

NASZE MAŁE OKRUCIEŃSTWA

Krzywdzisz tych,
których kochasz
najbardziej



LIZ NUGENT

LIZ NUGENT

NASZE MAŁE
OKRUCIEŃSTWA

Z angielskiego przełożył
Mateusz Rulski-Bożek

 WIELKA LITERA

*Dla Davy'ego i Jennifer McCollough za to, że pozwoliliście
mi wyjść za swojego pierwotnego syna. Bardzo wam się
udał.*

Latamy po niebie jak ptaki, pływamy w morzu jak ryby, ale nie nauczyliśmy się jeszcze najprostszej sztuki chodzenia po ziemi jak bracia i siostry.

Martin Luther King Jr.

W pogrzebie uczestniczyli wszyscy trzej bracia Drumm, ale jeden z nas był w trumnie.

Trzy to liczba nieparzysta, więc zawsze było dwóch na jednego, chociaż regularnie zmienialiśmy strony. Nikt by nigdy nie powiedział, że żyliśmy ze sobą blisko.

Na początku uroczystości poleciały mi łzy. Widać odziedziczyłem po matce zdolności aktorskie. Siedzieliśmy ramię w ramię z żyjącym bratem w pierwszej ławce sali pożegnań krematorium, a podchodzący ludzie wciskali nam łgarstwa, jakim to wspaniałym człowiekiem był nasz braciszek. Zwyczajne frazesy bez znaczenia.

Umarł nagle. W straszny sposób. Szybkie śledztwo zakończyło się jednoznacznie. Nie byłem podejrzany. Od dawna nie czułem takiej wolności i ulgi. Spodziewałem się, że atmosfera spokoju nie potrwa długo, ale postanowiłem cieszyć się nią, póki mogę.

Nie umiałem rozgryźć żyjącego brata. Może myślał o zmiażdżonym, połamanym ciele zmarłego? Z pewnością jednak nawet on wiedział, że tak będzie najlepiej.

*Daisy siedziała w ławce za nami. Jakby nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje wokół, wierciła się, szepcząc do siebie. Spojrzeliśmy po sobie z bratem, bo ludzie zaczęli zwracać uwagę na jej coraz głośniejsze mamrotanie. On wyciągnął do niej rękę i cicho poprosił, żeby przyszła do nas. Ten jego gest przyprawił mnie o chwilowy dygot. Chyba wróciła do rzeczywistości i bez sprzeciwu zajęła miejsce między nami. Każdy z nas próbował ją objąć w geście posiadania, ale strząsnęła nasze ręce. Na-
trafiłem na wzrok brata. Dawna rywalizacja pojawiła się na nowo.*

CZĘŚĆ PIERWSZA

Bracia

William

1994

Moja córka Daisy właśnie się urodziła, a Susan zmagala się z trudami początków macierzyństwa. Miałem dwadzieścia pięć lat i próbowałem rozkręcić wytwórnię filmową z Geraldem, moim kumplem ze studiów, który chciał reżyserować, ale mieliśmy problemy z pieniędzmi, a czułem, że będzie trzeba się pomęczyć, żeby przekonać Filmbase do dofinansowania nowej firmy. Mama pożyczyła mi trochę gotówki na start, a Gerald miał hojnego wujka, który też pomógł. Wynająłem wcześniej strych w mieście na biuro i zamówiłem papier firmowy, na którym pisałem rozpaczliwe apele do Arts Council, Dublin Corporation, National Lottery i wszelkich innych dysponujących pieniędzmi organizacji, które przyszły mi na myśl. Ciężko harowałem, a nocami często zajmowałem się dzieckiem, więc może byłem bardziej skłonny do irytacji, niż powinienem, ale gdy po długiej szycie wracałem wieczorem do domu, naprawdę ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, był widok mojego najmłodszego brata, gwiazdy rocka, rozwalonego na naszej kanapie, gdy moja wciąż jeszcze obolała żona z plamami po dziecięcych rzygach na ramionach, potargana i wycieńczona siedziała na krawędzi niewygodnego krzesła przy jadalnianym stole.

Na początku żartowałem z nim, udając, że jego obecność mnie cieszy, bo jeśliby się okazało, że nikt inny nie chce nam dać kasy, poprosiłbym o nią właśnie jego, ale to miała być ostateczność.

– Luke! Nie powinieneś czasem wciągać koki z tyłka jakiejś supermodelki?

Luke miał dwadzieścia trzy lata. Jego druga płyta cieszyła się ogromnym wzięciem. Przez trzy sezony był non stop w trasie, ale teraz miał przerwę. Mieszkał w wielkiej georgiańskiej kamienicy przy Waterloo Road, którą

kupił za gotówkę dwa lata po tym, jak rzucił studia, żeby śpiewać w zespole. My tymczasem wynajmowaliśmy przerobione ze stajni jednopokojowe mieszkanie bez centralnego ogrzewania i z nawalającą hydrauliką.

Zadziwiła nas ta jego gwiazdorska kariera. Ze swoimi wielkimi oczami i długimi włosami wyglądał jak bezdomny, a jego cienki, piskliwy głos nie miał prawa ponieść się dalej bez nagłośnienia. Zazdrościliśmy mu z Briannem. Byliśmy starsi i pracowaliśmy, żeby opłacić studia. Każdy z nas zrobił dyplom magistra nauk humanistycznych na czwórki z plusem. W szkole średniej Luke nas zaskoczył, bo miał na tyle dobre oceny, żeby się dostać na inżynierię, ale pierwsze dwa lata na uczelni zeszły mu na paleniu haszu nad stawem, czytaniu poezji i próbach z The Wombstones. Przez jakiś czas chodził po kampusie z kurą na smyczy. Taka poza. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, skąd wziął tę kurę ani co się z nią potem stało.

Z niewiadomego powodu przyciągał do siebie kobiety. Nie rozumiałem, jak to robi. Kobiety są dziwne. Prowadzał się z nimi albo je zostawiał i nigdy nie wydawał się z żadną szczególnie związany. W pewnym momencie dałem sobie spokój z zapamiętywaniem ich imion, bo było jasne, że za chwilę pojawi się nowa.

Gdy Luke zdobył sławę jako solista, zrobił się hojny. Zabrał nas wszystkich w trasę do Londynu i Lizbony, gdzie szastał kasą, jakby nie miała dla niego żadnej wartości. Jego nazwisko otworzyło mi drzwi do świata sztuki, ale tamtej wiosny nie przyszły żadne zaproszenia na koncerty, wystawne gale ani rockandrollowe imprezy. Zjawiał się więc u nas w porze obiadowej co najmniej dwa razy w tygodniu.

Taki był z nim problem, że nie chwycił aluzji. Zjadał przygotowany przez Susan albo przeze mnie obiad, ignorował nasze dziecko i gdy tylko napełnił brzuch, zmywał się bez słowa podziękowania. W końcu wspomniałem o kasie i swoim problemie z finansowaniem działalności. Kiwnął głową i odchrząknął, ale pomocy nie zaproponował. Musiałem o nią poprosić.

Powiedziałem, że to właściwie nie będzie pożyczka, tylko inwestycja, i poprosimy Luke'a, żeby skomponował muzykę do naszego filmu (choć on

wciąż jeszcze nie znał nut, a myśmy nie mieli filmu, bo nie było na niego pieniędzy).

– Film to nie moja działka – odpowiedział. – A proszę Briana?

Brian mieszkał wtedy w Paryżu. Mama od czasu do czasu dostawała od niego listy pisane na kartkach wyrwanych z zeszytu. Skoro nie było go stać na papier listowy, to na pewno nie miał pieniędzy, które mógłby mi pożyczyć.

– Briana? Coś ty? Wiesz, jak on podchodzi do kasy. Zresztą nawet nie wiem, czy wystarczająco dużo zarabia. – Spróbowałem opanować frustrację. Luke wykazał się typowym dla siebie brakiem świadomości i troski. Wzruszył ramionami, wziął pilota i zmienił kanał w telewizorze, w ogóle na mnie nie patrząc. Susan wstała od stołu i odeszła zniesmaczona.

Dopiero kilka tygodni później zebrałem się, żeby mu powiedzieć, że już nie jest u nas mile widziany. Gdybym to zrobił od razu, pomyślałby, że chodzi o pieniądze, a chodziło o całokształt. Wyglądało na to, że nie mył się za często. Przychodził – dosłownie – z pustymi rękami i gdy tylko się pojawiał, wysysał z naszego domu energię.

Do końca tamtego roku go nie widziałem, ale czytałem w gazecie, że wrócił do studia, nagrywa kolejną płytę, a potem znów jedzie w trasę. Wzmianka była w niedzielnej kolumnie plotkarskiej. Nie miałem zamiaru dzwonić z gratulacjami.

Susan chciała, żeby tamto Boże Narodzenie było wyjątkowe, ale ona miała większe poczucie winy z powodu Luke'a niż ja. Zasugerowała, że jeśli na świąteczny obiad zaproszę wszystkich, to będzie wyglądało, że jego – naturalnie – też. Poza tym wolała uniknąć wizyty w Glenageary, w domu mojej mamy, która u siebie była zawsze głośniejsza i bardziej apodyktyczna niż u nas. Brian przyjechał na kilka dni z Paryża i zatrzymał się u mamy. To były pierwsze święta Daisy. W końcu wywalczyliśmy mały grant od Filmbase i wyglądało, że nam się układa. W styczniu mieliśmy zacząć produkcję pierwszego filmu krótkometrażowego pod tytułem *Strach przed życiem* i planowałem ogłosić to na naszym uroczystym obiedzie. Zadzwo-

łem do Luke'a i zostawiłem mu wiadomość na sekretarce. Nie odezwał się przez kilka dni, więc Susan wrzuciła mu liścik do skrzynki.

Nie pojawił się, ale nas to nie zmartwiło. Już wcześniej zdarzało mu się zniknąć z radaru na miesiąc lub dwa. Wiedzieliśmy od Briana, że ma przerwę w trasie i jest w Dublinie. Mama była zła, że jej nie odwiedził. Strzeliła z tego powodu focha, ale było jasne, że ona też nie próbowała się z nim kontaktować.

Z początku rodzina była pod wrażeniem mojego newsa. Mama wzniosła kieliszek i wygłosiła toast na moją cześć:

– Mój syn, następny Steven Spielberg!

Ale kiedy Brian usłyszał, że film ma być krótkometrażowy i że nie będą go puszczać w kinach, prychnął lekceważąco i spytał:

– Po co kręcić film, którego nikt nie obejrzy?

Wyśmiał cały projekt, bo aktorami mieli być moi koledzy z uczelnianego koła teatralnego. Mama stwierdziła w mojej obronie, że przecież każdy gdzieś zaczynał, i spytała Briana cierpko, jakie on ma plany zawodowe. Bronił się, że przecież pracuje w prestiżowej szkole, ale mama zbyła te przechwałki:

– Nauczyciel, Brianie, to nie to samo co producent filmowy. My mamy show-biznes we krwi, a ty najwyraźniej odziedzyczyłeś geny po ojcu.

Brian się zjeżył:

– Praca nauczyciela jest bardzo ważna.

Ale i tak czułem potrzebę, żeby się wytłumaczyć, że muszę zacząć od małych rzeczy, a potem stopniowo zwiększać kaliber, że nikt nie da grupie nieznanych koleśki dziesięciu baniek na pełnometrażową fabułę. Co mama skwitowała:

– Jeszcze nie, kochanie. Jestem z ciebie taka dumna.

– Może Luke'a obsadzisz w tym swoim filmie? – podsunął Brian.

Mama parsknęła śmiechem:

– Pewnie, jeśli to ma być film dla małych.

Szydziła z sukcesu Luke'a i jego nastoletnich fanek. Tak jak my wszyscy. Zawsze umniejszała naszemu najmłodszemu bratu, a my zazwyczaj jej wtórowaliśmy. Dla nas to był niezły dowcip, że mały Luke może być idolem podlotków. Mnie osobiście zależało, żeby wyrobić sobie nazwisko, i nie zamierzałem zatrudniać mojego brata złamasa, zwłaszcza że nie dorzucił się do projektu.

Brian pomógł Susan w zmywaniu i pobawił się z Daisy. Mama wcześniej się wstawiła i zaczęła śpiewać do *Dźwięków muzyki* w telewizji. Wielki miś, którego kupiła dla wnuczki, wylądował na schodach, bo w salonie nie było dla niego miejsca. Daisy przycupnęła u stóp schodów i gapiała się na niego zafascynowana. Gdy mama i brat wyszli, dokończyliśmy z Susan wino i poszliśmy spać.

O trzeciej nad ranem zbudziło nas ogłuszające łomotanie do drzwi. Susan gwałtownie usiadła na łóżku, ale Daisy na szczęście nie zaczęła się wiercić. Narzuciłem szlafrok, trochę w strachu, że to może być jakaś zła wiadomość, ale też gotowy zbesztać wała, który wali do drzwi, jakby chciał je wyważyć.

Przed wejściem stał Luke, prawie niewidoczny zza ogromnego domku dla lalek.

– Sorry, dopiero go skończyłem, farba już wyschła, ale jeszcze trochę się lepi. To dla... twojej małej.

Wniósł go do korytarza, postawił i wyszedł. Oczywiście nie pamiętał, jak Daisy ma na imię. Pozwoliłem mu odejść w mrok nocy, bo o tej porze nie miałem chęci na zabawianie pijaka.

Gdy rano Daisy zobaczyła domek, aż jej oczy zabłyśły. Susan otworzyła zawieszony na zawiasach front. Został jej w rękę. Dach z jednej strony przechylił się niebezpiecznie, a okna miały chropowate krawędzie. Daisy wzięła małe łóżeczko i wcisnęła je sobie do buzi. Drewno było pełne drzazg i śmierdziało farbą. Tej nocy bez większego trudu połamaliśmy domek na szczapy i wrzuciliśmy do kominka.

Tydzień później Luke pojawił się w porze obiadowej, jakby poprzednie sześć miesięcy nie miało miejsca. Nie dopytywał o swój prezent, my też postanowiliśmy o nim nie wspominać. Spytałem, jak mu idzie praca nad nową płytą, ale on tylko wzruszył ramionami i zmienił kanał w telewizji. Byliśmy już za starzy, żebym mu przywalił, ale ręce mnie świerzbiły.

1985

Mama była rodzinną gwiazdą, wokalistką w zespole i aktorką, a tata z radością pozwalał jej błyszczeć. Nie był popychadłem – w razie potrzeby stawał się jej – ale był najcichszym członkiem naszej rodziny. Z szopy na tyłach ogrodu zrobił sobie swoją prywatną kwaterę, o której mówił: „moje miejsce”. Miał tam perski dywan na podłodze, stary fotel wymontowany z Hillmana Huntera – jego pierwszego samochodu, całą półkę historycznych książek o wojnie od starożytnego Rzymu po Wietnam, radio na baterie, skrzynkę z narzędziami i – z jego punktu widzenia najważniejszy element – odosobnienie. Tata był... tatą. Nie miał w sobie nic ekscytującego, nie był ważny ani sławny, nie brylował na imprezach, ale zawsze był. Ponieważ koncerty mamy odbywały się głównie wieczorami, to właśnie tata stale gotował nam obiady i pakował drugie śniadania do szkoły. Wstydzilem się tego. O ile było mi wiadomo, nikt inny nie miał gotującego ojca. Co gorsza, nasz chyba nawet to lubił. Często mówił do mamy z czułością: „Co ty byś beze mnie zrobiła, no co?”. Na co ona odpowiadała sarkastycznie, że znalazłaby sobie męża w swoim wieku. Kumpli zapraszałem tylko wtedy, gdy miałem pewność, że mama będzie w domu, bo gdyby zobaczyli mojego tatę w kuchennym fartuchu, to nie zniósłbym tego upokorzenia.

Wiedziałem, że przyprawia mu rogi, ale wołałem zachować to dla siebie. Może on też zdawał sobie z tego sprawę, ale mu to nie przeszkadzało albo postanowił to ignorować? A może on też ją zdradzał? Niezależnie od tego ich małżeństwo zawsze wydawało się stabilne. Tata często mówił o mamie „moja mała sierotka”, choć już dawno nie była mała. Myślę, że sobie wyobrażał, że jest jej rycerzem w lśniącej zbroi, i był rozczarowany, że nie jest mu bardziej wdzięczna za to jego rycerstwo. Generalnie się lubili, mimo że

czasem potrafili być dla siebie wredni i złośliwi. Jednak co do innych mężczyzn tata jej nie ufał.

Umarł, gdy miałem siedemnaście lat. Usłyszał diagnozę: rak prostaty, a czternaście miesięcy później, tydzień po moich urodzinach, już nie żył. Ostatni miesiąc życia spędził w hospicjum. U schyłku swoich dni nigdy nie rozmawiał z nami o śmierci ani o umieraniu, a gdy przychodziliśmy go odwiedzić, wydawał się zażenowany, jakby choroba była powodem do wstydu. O tym, że umrze, dowiedzieliśmy się z Brianem od Luke'a. Miałem mamie za złe, że najpierw wyjawiała to jemu, a nie mnie. Byłem najstarszy. Luke był dzieciakiem, ale to jemu powiedziała, gdzie tata ma guzy, że są przerzuty i że rak jest złośliwy. Luke powtórzył nam wszystko w sekrecie. Gdy wyrzuciłem to mamie, skwitowała tylko: „Nie chciałam, żebyś się denrowował, kochanie”. No i może miało to jakiś sens, bo zbliżały się moje końcowe egzaminy w szkole.

Coraz częściej płakała i było widać, że się boi. Luke chodził do hospicjum codziennie po szkole i spędził w nim ostatnie weekendy. Brian wybrał się tam raz, niechętnie. „Nie znoszę chorych ludzi” – mruknął.

Kiedy śmierć taty była już bliska – pielęgniarka oznajmiła, że zostało mu kilka godzin – przyszedłem do niego z mamą.

– Mam pójść po Briana i Luke'a? – spytałem, bo oddech taty stawał się coraz bardziej nieregularny.

– Nie, będą tylko przeszkadzać – powiedziała.

Gdy jego nierówny oddech w końcu ucichł, objąłem szlochającą mamę niezręcznym gestem.

Wróciliśmy z hospicjum do domu późnym wieczorem. Luke nie spał, czekał na nas.

– Nie żyje, tak?

Mama się rozplakała, a ja kiwnąłem twierdząco głową. Brian był już w łóżku. Luke poszedł zrobić mamie drinka, a ja wszedłem po schodach na górę, żeby obudzić brata i przekazać mu złą wiadomość.

Pchnąłem drzwi do jego pokoju. Czytał jakiś thriller czy inny kryminał z jaskrawą okładką.

– Brian? Słuchaj, przykro mi, ale tata umarł.

– O...

– No właśnie. To straszne, prawda? – Podniósł książkę i wrócił do lektury. – Może zejdziesz na dół?

– Nie, dzięki. Rano mam trening rugby.

– Co? Nie słyszałeś, co powiedziałem? Tata... nie żyje.

– Tak?

– Tak.

– I niby co ja mam z tym zrobić?

Długie dni spędzone w szpitalu miały swoje konsekwencje. Przez wiele tygodni prawie nie widywałem się z dziewczyną. Może Brian faktycznie był za młody, żeby dorośle zareagować na taką wiadomość. Był dziwny, inaczej niż Luke, ale tę jego agresję trudno było znieść. Luke miał mniej lat, a jednak był na dole i nalewał mamie ginu.

– Na przykład mógłbyś nie być takim kutasem.

– Spierdalaj.

Wziąłem z podłogi tenisówkę, rzuciłem, celując w jego głowę, i wyszedłem, trzaskając drzwiami.

Potem usprawiedliwiałem Briana, że w ten sposób próbował radzić sobie ze smutkiem – ignorując go, bo o ile mi wiadomo, nigdy nie kłócił się z tatą. My zresztą też nie.

W następnych dniach załatwialiśmy formalności pogrzebowe, a dom był pełen krewnych, znajomych i tac z kanapkami, ale Brian nie wychodził z pokoju. Luke chodził smutny, ale sądzę, że bał się rozplakać w mojej obecności. Miał czerwone obwódki wokół oczu i ubierał się w stary sweter taty. Przyjechali krewni mamy, jej siostra Peggy i kilka innych osób, których prawie nigdy nie widywaliśmy. Mama zebrała ich wszystkich w kuchni. Wstydziła się swojego rodzeństwa z północy i wołała je odizolować od

rodziny i przyjaciół taty. Poza Peggy nikogo z nich nie znaleźliśmy. Ciągłe wołali na mamę Moll, choć miała na imię Melissa. Nie cierpiała tego. Moll to używane wśród klasy robotniczej Dublina zdrobnienie od Margaret. Gdy tata żył, zwracał się do mamy per Moll, żeby ją wkurzyć. Zawsze myślałem, że mama wstydzi się swojej rodziny ze względu na tatę, bo on wywodził się z klasy średniej, z południowych przedmieść, ale i teraz, kiedy już nie żył, nadal chowała swoich krewnych w kuchni.

W przeddzień pogrzebu Luke przyszedł do mnie i spytał, czy wierzę, że Bóg naprawdę istnieje. Takie pytania zadawał tacie, więc próbowałem sobie wyobrazić, co on by powiedział. Udzieliłem standardowej odpowiedzi, jakiej można oczekiwać od starszego brata: „Nie wygłupiaj się. Oczywiście, że istnieje. Inaczej jak byśmy się tu wszyscy znaleźli?”. Luke nie wyglądał na przekonanego.

Odgrywałem rolę posłusznego syna i gdy przyszedł na to czas, brałem udział w wybieraniu trumny: „Weźmy drugą najtańszą, mamó. Nikt nie będzie nas oceniać. Zresztą kto zobaczy różnicę?”.

Wszyscy trzech byliśmy wysocy i wymyślono, że mamy nieść trumnę. Poszedłem na górę do pokoju Briana i Luke’a, żeby im to powiedzieć. Luke kiwnął głową.

– Przynajmniej tyle możemy zrobić.

Brian łypnął na mnie znad swojej głupiej książki.

– Nie będę nic nosił.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę. Grabarze to zrobią, nie? To ich robota.

– Mama chce, żebyśmy ponieśli trumnę.

– Nie.

Luke odezwał się cicho:

– Tata by chciał, żebyśmy to zrobili. Razem.

– On nie żyje, więc to, czego on chce, się nie liczy – odpalił Brian.

– Brian! Dlaczego jesteś taki?

– Ludzie bez przerwy umierają. Nie wiem, po co to całe zamieszanie. Masz pojęcie, ile dzieci w Etiopii umiera w tej chwili z głodu?

Rzuciłem się na niego, wrzeszcząc do Luke'a, żeby mi pomógł. Luke niechętnie obalił Briana na podłogę, a ja brutalnie wykręciłem mu ręce za plecami.

– Złażcie ze mnie, bydlaki! No już!

– Będziesz niósł trumnę taty i koniec!

On jednak nadal się szarpał i kłócił.

– Nie będę! Ani mi się śni. Nie zmusicie mnie!

W tym momencie do pokoju weszła mama.

– Co się tu dzieje, na Boga? Czy wy nie macie odrobiny szacunku? – syknęła. Zebrana na dole rodzina na pewno słyszała tę awanturę.

Luke, jak zwykle, wszystko wypaplał:

– Brian nie chce jutro nieść trumny.

– Jeśli nie chce, to nie musi. W tej chwili z niego zejździe! – Była zmęczona i zapłakana.

Następnego dnia na mszy pogrzebowej Luke i ja staliśmy z przodu trumny, a za nami dwóch wujków i dwóch grabarzy. Mijając Briana zajmującego miejsce w pierwszej ławce obok mamy, zobaczyłem, jak z triumfalną miną pokazuje mi środkowy palec. Łzy wściekłości napłynęły mi do oczu.

Przed kościołem, stojąc u boku mamy w chaotycznym tłumie żałobników, odbierałem kondolencje. Gdy zbliżył się Jack Gogan, znajomy taty, zobaczyłem, jak Luke po chamsku odpycha go na bok. Aż się facet wystraszył. Wyglądało na to, że mój młodszy brat go opieprza. Potem spytałem Luke'a, o co chodziło. Postukał się palcem w nos i wycedził: „Nie twoja sprawa”. Założyłem, że Gogan musiał być jednym z kochanków mamy.

W następnych tygodniach i miesiącach Luke i ja pomagaliśmy mamie i sobie wzajemnie pogodzić się z utratą taty. Nie pamiętam, żeby Brian kiedykolwiek o nim wspomniał. Żadnemu z nas nie umknął fakt, że brat nie chce rozmawiać o jego odejściu. Ta odmowa była na swój sposób zaraźliwa. Po roku tak rzadko przywoływaliśmy pamięć o ojcu, że nawet nie uczcili-

śmy rocznicy jego śmierci. Wtedy już każdy z nas radził sobie sam i przyznam, że po kilku tygodniach nie czułem, że brakuje mi ojca. Nie wiem, jak przeżywała to mama.

Chociaż wszyscy zdążyliśmy się wyprowadzić, tradycją stały się niedzielne obiady u mamy, która poszła z Peggy na warsztaty kulinarne i z zaskoczeniem stwierdziła, że jej się to podoba. Okazało się, że jest w tym lepsza od taty, ale to chyba dlatego, że on gotował dla nas po całym dniu w pracy.

Jeśli mama grała w teatrze, to wolne miała tylko niedziele i lubiła wtedy zaszaleć. Zawsze przyrządzała jedzenie dla co najmniej dziesięciu osób, bo nigdy nie było wiadomo, kto się pojawi. Każdemu z nas zdarzało się przyprowadzać nawet i trzech wygłodniałych współlokatorów. Uwielbiała się przed nimi popisywać. Była na bieżąco z najważniejszymi postaciami popkultury i potrafiła dyskutować o książkach, filmach i serialach. Była „spoko” mamą. Kumple mówili, że jestem farciarzem. Nie przeszkadzało jej, że palą, klną i piją alkohol. Na szczęście z nimi nie flirtowała.

Mieliśmy wtedy po dwadzieścia kilka lat. Luke i ja przyprowadzaliśmy do domu dziewczyny, ale Brian – nie. Droczyliśmy się z nim, że jest gejem, chociaż żadnych innych oznak nie zdradzał. Myślę, że jako dwudziestodwulatek prawdopodobnie był jeszcze prawiczkim.

Mama też zauważyła, że nie przyprowadza dziewczyn, i skomentowała to w zwykły dla siebie, niedelikatny sposób: „Może to przez ten twój nos?”. Z powodu krzywej przegrody Brian miał lekko wygięty nos z jedną dziurką większą od drugiej. Nie było tego widać, dopóki ktoś o tym nie wspomniał. „Ma go po tobie” – zwykła mawiać mama, a tata kiwał głową i przyznawał: „Tak, mój ojciec miał kawał nochala”. Myśmy tego nosa nie zauważali, bo zwyczajnie był częścią twarzy Briana, ale mama półgłosem nazywała go deformacją. Gdy był nastolatkiem, spytał raz, czy jest jakaś operacja, która mogłaby mu ten nos naprawić, ale mama go wyśmiała. Gdyby był dziew-

czyną i chciał sobie wyprostować zęby, to jeszcze, ale u chłopaków i mężczyzn wygląd nie jest aż tak ważny. Potem Brian powiedział, że nos mu nie przeszkadza, ale zauważyłem, że przy nowo poznanych ludziach zawsze ustawia się na wprost, a profil pokazuje dopiero, kiedy się dostatecznie z nimi oswoi.

W 1992 miał już dyplom i ukończony roczny kurs nauczycielski. Na pół etatu pracował w szkole, a od czasu do czasu, w nieparzyste dni, w księgarni w centrum. Luke nagrał wreszcie swój drugi album. Ja robiłem kurs produkcji filmowej w Filmbase.

W tę konkretną niedzielę Brian przyszedł z dziewczyną. Mama trąciła mnie łokciem i puściła do mnie oko. Dziewczyna była piękną pankówką. Tata zdecydowanie nie pochwaliłby jej wyglądu. Tlenione włosy ustawione w kolczasty czub, usta pomalowane szkarłatną szminką, mocno podkreślone oczy i – co najbardziej egzotyczne – amerykański akcent. Aż do wtedy słyszeliśmy Amerykanów wyłącznie w telewizji, więc już choćby tylko z tego powodu mnie zaintrygowała. Luke przyprowadził swojego bębniarza, wielbiciela trawy, i obaj byli ewidentnie najarani. Próbowaliśmy wciągać ich do rozmowy, ale na każde pytanie reagowali bezsensownym chichotem, więc po kilku minutach daliśmy spokój. Luke rozdrażnił mamę. Powiedziała mu, że ma się zachowywać albo odejść od stołu. Moja dziewczyna – Irene – siedziała obok mnie. Chodziliśmy ze sobą od kilku miesięcy. Z mojej strony to nie było nic poważnego, ale ona miała o naszym związku inne wyobrażenie. Tak naprawdę wcale jej nie zaprosiłem na ten obiad, ale wiedziała, że mamy taką niedzielą tradycję w rodzinie, i bezczelnie zjawiała się bez zaproszenia.

Mama nie mogła się powstrzymać, zagadnęła koleżankę Briana:

– Czyżby nasz Brian znalazł sobie dziewczynę? – Wręczyła jej miszkę z sałatką do odniesienia na stół, a ja w tym czasie kroilem łopatkę jagnięcą.

– Mamo! – burknął Brian wkurzony.

Dziewczyna uśmiechnęła się swobodnie.

– Nie, jesteśmy tylko znajomymi. Pracujemy razem w księgarni. – Ale, według mnie, w uśmiechu, który posłała Brianowi, było coś z flirtu.

– A skąd jesteś, kochanie?

– Z Detroit – odparła Susan. – W stanie Michigan.

– Serio? To rodzinne strony Henry’ego Forda, zgadza się?

– No. I w ogóle kolebka przemysłu motoryzacyjnego. Mój tata pracował na linii montażowej w Fordzie aż do samej śmierci.

– Naprawdę? Bardzo mi przykro. Czyli pracował w fabryce?

Mama niespecjalnie chwaliła się własnymi robotniczymi korzeniami, była jednak dumna z ciężkiej pracy, którą włożyła w to, by od nich uciec. Gdy zdobyła stypendium i poszła do konserwatorium, zapisała się na lekcje dykcji i wymowy. Pewnie też szybko i z łatwością przyzwyczaiła się do naszej zielonej alei Glenageary. Nie chciała, żeby ludzie uważali ją za snobkę, ale z całej swojej rodziny utrzymywała kontakt tylko z Peggy, która – na przekór wszystkiemu – została znaną projektantką mody, chociaż zaczynała jako zwykła szwaczka w fabryce koszul. Mama zdawała starszej siostrze relacje ze swoich lekcji wymowy.

– Tak. Był szefem lakierni elektroforetycznej. – Susan przytaknęła z taką dumą, jakby jej ojciec ambasadorował w Paryżu. Spodobała mi się ta jej pewność siebie.

Mama parsknęła śmiechem.

– Rodzina mojego zmarłego męża mówiła, że wychodząc za niego, awansowałam społecznie. Jego matka raz nazwała mnie „fordanserką z biednej dzielnicy”. Mnie! Dyplomowaną śpiewaczkę i medalistkę konserwatorium. Jestem gwiazdą zespołu muzycznego.

Ta tyrada, pozornie niezwiązana z tematem, zbiła Susan z tropu.

Brian zrobił zażenowaną minę.

– Byłaś. W czasie przeszłym. Mamo, naprawdę nie musisz...

Susan mu przerwała:

– Serio? Jest pani gwiazdą?

To pytanie zszokowało mamę.

– Brian, nie powiedziales Susan, kim jestem?

Brian usiadł powoli.

– Nie wszystkich musi to obchodzić. Większość moich znajomych nie umiałaby wymenić nazwisk Trzech Tenorów, więc wątpię, że słyszeli o jakiejś tam aktorce kabaretowej jedną nogą na emeryturze.

Mama zacisnęła zęby. Byłem wściekły na Briana za to lekceważące podejście. Kopnąłem go pod stołem. Mama wciąż miała się za celebrytkę. Miarą sukcesu był dla niej rozmiar i umiejscowienie jej zdjęć w „Sunday Independent”. Wtedy już od roku nie wspomniano o niej w gazetach, coraz rzadziej koncertowała i występowała, jednak nadal oczekiwała, że ludzie będą ją rozpoznawać. No ale przecież nie mogła winić Susan za to, że jej sława nie dotarła aż na przedmieścia Detroit.

Luke i jego kolega bębniarz zaczęli rechotać, krztusząc się piwem. Irene dostrzegła szansę, żeby przypodobać się mamie. Wskazała na nią palcem ze słowami:

– To jest ta Melissa Craig! Miała własny program telewizyjny, gdy byłam mała. – Z twarzy mamy wyczytałem wdzięczność dla Irene, choć taki opis sytuował czasy jej sukcesu w odległej przeszłości.

Na co Susan odparła bez złych intencji:

– O, moja mama nie przepadała za telewizją. Mieliśmy w domu tylko radio. Gdy wszyscy oglądali *Starsky’ego i Hutch’a*, kazała nam czytać książki, więc tym się zajmowaliśmy. Jak mam się do pani zwracać? Pani Drumm czy pani Craig?

– Po imieniu. Mów mi Melissa.

Mama przybrała to imię, jeszcze zanim poznali się z tatą. Była chyba jedyną Melissą w swoim pokoleniu. Sam nie zwracałem się do rodziców moich kolegów na ty, ale mama uważała, że dzięki temu jest nowoczesna i życiowo zorientowana.

– Okej, Melisso. Czy mam otworzyć wino?

– Nie, zostaw to chłopcom. Do tego trzeba siły. – Mama nie była jednak aż tak nowoczesna, jak jej się zdawało.

Brian zabrał się do otwierania wina z miną macho, jakby poskramiał lwa. Prawie się nie odzywał podczas obiadu, ale Susan okazała się zabawna i ciekawa.

Kilka tygodni później zadzwoniłem do Briana do księgarni i mimochodem spytałem o Susan.

- Czemu pytasz? – W jego głosie nagle zabrzmiał podejrzliwy ton.
- Mówiłeś, że nie jest twoją dziewczyną – odparowałem.
- Bo nie jest. My tylko...
- Podoba ci się?
- Nie!

Wiedziałem, że tak powie. Nigdy nie miał jaj, żeby mi się postawić.

Nie minął tydzień, a już spotykaliśmy się z Susan. Nie zamierzała zostać w Irlandii na dłużej, to miał być tylko początek jej długiej podróży dookoła świata. Planowała robić krótkie przystanki tu i tam, a potem ruszyć do Paryża i Madrytu. Dalej miały być Turcja i Indie. Zrobiła wcześniej jakiś kurs z literatury amerykańskiej w koledżu w Detroit, ale uniwersytet dubliński go nie honorował. Susan była ciągle w biegu. To mi się w niej podobało. Nie istniało ryzyko, że się mnie uczepi jak rzep psiego ogona.

Półtora roku później musieliśmy wziąć ślub. To znaczy nie musieliśmy, ale kończyła jej się wiza i była w ciąży. Zorientowała się, gdy było już za późno na aborcję, więc zachowałem się przyzwoicie i zrobiłem, co trzeba – poprosiłem ją o rękę. Na szczęście ona też chciała, żebyśmy się pobrali. Poczuliśmy się naprawdę szczęśliwi. Okoliczności nie były idealne, ale Susan stanowiła prawdziwą zdobycz. Jak na mój młody wiek nie mogłem narzekać na brak wrażeń. Dziecko urodziło się, gdy miałem dwadzieścia pięć lat, i mimo wsparcia finansowego mamy było nam ciężko.

Luke miał dzień wcześniej przylecieć z Amsterdamu na nasz kameralny ślub, ale uciekł mu samolot. Zjawił się dopiero w kościele z jakąś półnągą fanką, właśnie gdy mieliśmy się wymieniać obrączkami. Był wykończony, miał kaca i przyćmił nasz wyjątkowy moment.

Nie zdziwiło mnie, że Brian przyszedł na ślub bez pary. Było widać, że nasz związek niespecjalnie mu leży. Niedługo po naszym powrocie z zimowego miesiąca miodowego w Kerry wyniósł się do Francji.

A Susan i ja mieliśmy żyć długo i szczęśliwie.

1978

Tego roku Luke przygotowywał się do pierwszej komunii. Nasza rodzina nie była specjalnie religijna, jednak w większość niedziel tata niechętnie prowadził nas na msze o dziewiątej. Mama często wykręcała się od nich, mówiąc, że w sobotę do późna grała koncert. Podczas czytań, ofiarowania i modlitw wierciliśmy się z Brianem, ale lubiłem, kiedy wnosili kadzidło, bo gdy święty dym rozsnuwał się po kościele, miałem wrażenie, że z kadzielnicy zaraz wyskoczy dzinn albo z wysoka sfrunie papuga i wyląduje na ołtarzu, jednak nic takiego się nigdy nie stało. Dźwięk dzwonka oznaczał koniec mszy, ale zgodnie z kościelną etykietą trzeba było poczekać, aż kapłan sobie pójdzie. Księża w naszej parafii byli wyjątkowo starzy i mijало sto lat, zanim wreszcie doczłapali do zakrystii. Wypadaliśmy wtedy na zewnątrz, jakby nam się tyłki paliły, żeby wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem i uciec od nawiedzonego klimatu ofiary i cierpienia, który trudno znieść chłopcom w naszym wieku.

Luke widział to inaczej. Głęboko interesowało go piekło i to, jak się do niego nie dostać. Co tydzień dawał na tacę całe swoje kieszonkowe. Nie mógł się doczekać spowiedzi. Słyszałem, jak rodzice się z tego śmieją: „Z czego może się spowiadać siedmiolatek?”. Ale Luke odmawiał rozmów na temat swoich grzechów. Twierdził, że to sprawa pomiędzy nim a Bogiem.

Oczywiście ja i Brian pastwiliśmy się nad nim bezlitośnie, oskarżając o łamanie wszystkich dziesięciu przykazań, nawet tych, których nie rozumieliśmy. Nie wiedzieliśmy, co to znaczy „pożądać żony bliźniego swego”, ale świtało nam, że chodzi o jakieś grube chamstwo i sprośności, więc ułożyliśmy świńską piosenkę o Luke’u i pani Turner, naszej sąsiadce,

i doprowadzaliśmy go śpiewem do łez, a Brian zwędził ze sznurka na bieliznę rajstopy pani Turner i włożył je Luke'owi pod poduszkę.

Brat nigdy się nam nie zrewanżował. Zaczęliśmy go już nazywać Świętym Lukiem, ale szybko przestaliśmy, bo najwyraźniej mu się to podobało.

Gdy nadszedł dzień pierwszej komunii, Luke stwierdził rano, że jest chory i nie pójdzie na mszę, ale mama już sobie kupiła nowy strój na tę okazję, a tata poprzedniego wieczoru wypastował wszystkim buty. Tort też został zamówiony. Gdy termometr wskazał, że Luke nie ma gorączki, mama nie chciała słuchać żadnych tłumaczeń. Choć Luke płakał i zawodził, stała nad nim, aż się ubrał w białe szorty, koszulę, krawat i sweter w serek. Nie przestał się opierać, nawet gdy przypięła mu na piersi komunijną rozetę. Wreszcie zapakowaliśmy się wszyscy do samochodu taty. Im bardziej zbliżaliśmy się do kościoła, w tym większą histerię wpadał Luke. W końcu tatę trafił szlag – co rzadko mu się zdarzało. Zatrzymał się na poboczu i wywlekł Luke'a z wozu. Przykleiliśmy z Brianem twarze do szyby, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Tymczasem mama przestawiła sobie lusterko wsteczne, żeby kolejny raz poprawić szminkę.

Tata gestykulował wściekle, a Luke przyciśnięty do muru zakrywał głowę rękami, jakby miał w nią oberwać, choć tata nigdy nas nie bił. Po pięciu minutach wrócili do samochodu. Mama kazała tacie jechać szybciej, bo byliśmy już spóźnieni.

Wpadliśmy do kościoła, bełkotliwie przepraszając pozostałe rodziny i nauczycieli. Za to mama rozdawała łaskawe uśmiechy ludziom, którzy tręcali się łokciami na widok jej kapelusza z pawimi piórami. Usiedliśmy w swojej ławce. Luke przycupnął z brzegu, tak mocno ściskając książeczkę do nabożeństwa i różaniec, że aż mu kostki pobielają. Był przerażony, ale nie chciał albo nie mógł wykrztusić, co się dzieje. Zrobiło mi się go żal, więc nachyliłem się do niego: „Spokojnie, będzie dobrze. Pomyśl o kasie i słodyczach, które dostaniesz”. Nawet na mnie nie spojrział. Utkwił wzrok w swoich gołych kolanach i mrugał, żeby powstrzymać łzy. Gdy przyszedł czas, aby stanąć w kolejce chłopców podchodzących do ołtarza, tata musiał

siłą wypchnąć Luke'a z ławki. Wychowawczyni klasy położyła mu rękę na ramieniu i poprowadziła do ołtarza, szepcząc coś do ucha, by go uspokoić.

Z miejsca w połowie kościoła, gdzie siedzieliśmy, nie było widać, co się dzieje pod ołtarzem, ale nagle usłyszeliśmy krzyk: „Nie jestem godzien! Nie jestem godzien!”. Z przodu dobiegły nas zszokowane westchnienia parafian. Gdy tata wyszedł z ławki, nauczycielka skinęła na niego ręką.

Luke zwymiotował na ołtarz, ochlapując chłopców i szaty księdza stojącego naprzeciwko. Dzieciaki zaczęły płakać. Zarzygany ksiądz oddalił się szybko, ustępując miejsca innemu. Z zakrystii przybiegły zakonnice z miskami z wodą i mydłem, żeby ogarnąć cały ten syf. Ceremonię dokończono. Luke mimo wszystko otrzymał sakrament i natychmiast się uspokoił. Gdy tylko obrzygany i śmierdzący wrócił do ławki, najszybciej, jak to było możliwe, wyszliśmy z kościoła. Powstrzymując odruch wymiotny, Mama zdjęła z niego sweter, który wcisnęła do plastikowej torby i wrzuciła do bagażnika. Tata przeprosił Luke'a:

- Powinniśmy byli zostawić cię w łóżku, ale nie miałeś temperatury.
- Okej, tato, wybaczam wam.

Luke uśmiechnął się do mamy. Zignorowała go.

Gdy wróciliśmy do domu, Luke zaraz wydobrzeł. Podczas małego przyjęcia dla rodziny wystąpił w czystym ubraniu i różańcu założonym jak naszyjnik. Nie poszedł spać. Raczył się czekoladowymi ciasteczkami z dmuchanego ryżu i kanapkami z odciętą skórką oraz czytał na głos ze swojej nowej Biblii. Wszyscy zmówiliśmy modlitwę za kuzyna Paula, który był w szpitalu na badaniach.

Wieczorem z pokoju obok dobiegła mnie rozmowa Briana i Luke'a.

- Co ci się stało w kościele?
- Zrobiło mi się niedobrze.
- Przecież wiem, że się bałeś. Ale czego?
- No... diabła. Że zabierze moją duszę.
- Co ty wygadujesz?

– Diabeł mi powiedział, że będzie na mnie czekać w kościele, ale on chyba był we mnie. Zwymiotowałem go i już jestem czysty.

– Jesteś porąbany.

Potem zapadła cisza.

Zazwyczaj incydenty tego rodzaju uwieczniały się w rodzinnych opowieściach, regularnie wywlekanych, żeby nas zawstydzić albo nam dopiec, zwłaszcza gdy byliśmy nastolatkami, ale śmiertelnie poważny stosunek Luke'a do religii się nie zmienił. Nawet kiedy już nas do tego nie zmuszano, chodził na mszę co tydzień, czasem częściej, a do spowiedzi prawie codziennie. Nigdy o tym z nami nie rozmawiał. Mama taty była zachwycona. Tata stwierdził, że może Luke ma powołanie. Na to mama, że powinien się więcej widywać z ludźmi w swoim wieku, ale nie będzie rozczarowana, jeśli zostanie księdzem, bo nie chce być otoczona wnukami, gdy dorośniemy. Już dość dzieci się naoglądała. Tata obrzucił ją spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

Nasza sąsiadka z domu obok urządzała co roku imprezę halloweenową. Obowiązywały pełne przebrania. Wszyscy nienawidziliśmy, gdy zmuszano nas do wbijania się w te głupie kostiumy, z wyjątkiem Luke'a, który zawsze przebierał się za księdza albo zakonnika. Zmieniło się to dopiero, gdy miał trzynaście lat. Zrobił sobie krzyż z desek, pokaleczył nadgarstki i stopy nożem do chleba i wyszedł z domu jako Jezus Chrystus, obnosząc wszem wobec swoje stygmaty. Rany nie były głębokie, ale obficie krwawiły. Wtedy to przestało być zabawne.

Tamtego wieczoru rodzice się pokłócili. Słyszałem, jak tata mówił:

– Z nim jest coś nie tak! Chłopak potrzebuje pomocy.

Mama, jak zwykle, zbagatelizowała sprawę:

– Wyrośnie z tego, to przejściowe.

Luke faktycznie wyrósł z religijnego fanatyzmu, po śmierci taty. O ile Brian zareagował na nią dziwnie, o tyle Luke po prostu ją zaakceptował. Stwierdził, że przez jakiś czas miał wątpliwości, ale teraz jest już absolutnie pewien, że Bóg nie istnieje. Potem już nigdy więcej nie poszedł

do kościoła, choć często widywałem, jak szeptał do siebie, jakby się modlił. Wydawało się, że jest prawie zupełnie normalny – czymkolwiek jest normalność – przynajmniej przez jakiś czas.

1999

Zaprosiłem na drinka taką jedną aktorkę, Amy Shine. Miała tylko dwadzieścia jeden lat i dopiero co ukończyła nową dublińską szkołę teatralną. Widziałem ją w jakimś przedstawieniu w Miejskim Centrum Sztuki. Oglądałem wtedy prawie wszystko, co leciało, bo mieliśmy kręcić nasz drugi film fabularny, a że nie miałem całkowitego zaufania do kierownika obsady, więc chodziłem z nim na spektakle. Szukaliśmy młodego faceta, dwudziestokilkulatka, przystojnego, ale ciut ekscentrycznego, który miał jednocześnie czarować i budzić niepokój. Gość, który występował w tamtej produkcji, nie miał żadnej z tych cech. Ale Amy Shine, owszem, zabłysła. Gdyby jeszcze umiała grać, to z tym nazwiskiem mogłaby zostać gwiazdą filmową. Miała małą rolę, a ta sztuka absolutnie niczym nie zapadała w pamięć, poza jej niesamowitym ciałem. Amy grała w gorsecie, więc był to chyba dramat kostiumowy. Boże, jak ja bym chciał, żeby gorsety znów stały się modne.

Miała mały, ale idealny tyłeczek i mlecznobiałe piersi! Szczupła, wysoka, z długimi, złotymi włosami. Jej głos brzmiał okropnie, ale to nie było ważne.

Gdy opadła kurtyna, poszliśmy gadać z obsadą. Wiedzieli, kim jestem i po co przyszedłem, więc uparli się, że to oni będą stawiać drinki. Chętnie przyjęliśmy tę propozycję. W późnych latach dziewięćdziesiątych fucha producenta filmowego w Dublinie nie była lukratywna, ale ludziom wydawało się, że jestem ważny i dużo mogę, a mnie łatwiej było nie wyprowadzać ich z błędu. Amy należała do tych osób. Z początku udawała, że nie wie, kim jestem. Wielu tak robiło, a potem udawali zaskoczonych, gdy usłyszeli moje nazwisko: „William Drumm? Ten William Drumm?”

„Czy pan nie jest bratem Luke’a Drumma? Mam wszystkie jego płyty”.
„Widziałam pana film, Strach przed życiem. Świetny!” Bla, bla, bla.

Bez scenariusza nawet dobrzy aktorzy są do niczego. Ale nie mogę powiedzieć, że nie podobała mi się ta atencja, wstęp do barów dla VIP-ów w nocnych klubach czy zaproszenia na imprezy dla grubych ryb. Powoli wypelzałem z cienia Luke’a. Stawałem się całkiem samodzielnym celebrytą.

Przyznam, że zdarzyły mi się ze dwie, trzy jednorazowe przygody na boku, ale to nigdy nie była zdrada. Nie miałem żadnych romansów, nie zakochiwałem się. Nie byłem niewierny wobec Susan. To był tylko seks. Zawsze budziłem się we własnym łóżku, obok niej. Niezależnie od tego, jak późno wróciłem, rano zawsze wstawałem i robiłem jej kawę. W biurze przy placu Merrion miałem sofę, na której często odsypiałem zarwane noce. Susan czasami zbierało się na podejrzliwość i wypytywała mnie o to, gdzie i z kim byłem. Raz widziałem z korytarza, jak przeszukuje kieszenie mojej marynarki, przegląda paragony i obwąchuje kołnierzyki koszul, sprawdzając, czy pachną perfumami.

Kobiety dosłownie rzucały się na mnie. Wystarczyło, że napomknąłem o roli, która mogłaby być dla nich idealna, albo zaproponowałem, że zapoznam je ze Stevenem Spielbergiem. Spotkałem go raz w życiu na przyjęciu w amerykańskiej ambasadzie, ale dobrze wyczułem moment i gdy nas fotografowano, objąłem go ramieniem, żeby wyglądało, jakbyśmy byli starymi kumplami. Zdjęcie pojawiło się na ostatniej stronie „Sunday Independent”. Dobrze się przysłużyło mojej działalności i przyniosło też inne... korzyści. Na przykład takie jak Amy Shine.

Umówiłem się z nią w pubie niedaleko jej mieszkania następnego dnia po tamtym spektaklu. To była nora dla starców, z zapluta podłogą wysypaną trocinami. Było mało prawdopodobne, że ktoś mnie tam rozpozna czy w ogóle zauważy. Powiedziałem, że mam scenariusz, który może ją zainteresować, ale projekt jest z tych tajnych łamanych przez poufne, więc niech się nikomu nie wygada.

Gdy przyszła, nakierowałem rozmowę na nią i okazało się, że to jej ulubiony temat. Obsypałem ją komplementami i stwierdziłem, że jeśli

dobrze rozegra sprawę, to może ją czekać świetlana przyszłość. Tym razem ja stawiałem drinki. Gin z tonikiem, dla niej podwójny, ale się nie połapała. Po jakimś czasie miała już w czubie, ale gdy pod stołem położyłem rękę na jej kolanie, zachichotała nerwowo i odsunęła nogę. Ponieważ jednak nie wyszła, uznałem, że nie marnuję czasu. Wreszcie zaczęła dopytywać o scenariusz. Powiedziałem, że przecież nie mogę go jej pokazać w pubie. W końcu, z ociąganiem, zaproponowała, żebyśmy poszli do jej mieszkania za rogiem.

Gdy weszliśmy do wnętrza, zrozumiałem, dlaczego zapraszała mnie tak niechętnie. Mieszkanie było tycie i zabałaganione. Na kaloryferze wisiała bielizna, niedojedzony obiad stał jeszcze na kuchennym stole. Pojedyncze łóżko z rozkopaną pościelą nie zachęcało do zabawy. Chwiejnym krokiem Amy obeszła pomieszczenie, wrzucając ciuchy do szuflad, a talerze i sztućce do zlewu.

– Boże, przepraszam, nie spodziewałam się... Chyba jestem troszeczkę pijana.

Była bardzo pijana.

Poklepałem poduszkę sofy obok siebie.

– Mogę zobaczyć ten scenariusz? – spytała, zerkając na moją pustą teczkę.

– Nie zwracajmy sobie głowy scenariuszem. Chodź.

Wstałem i przyciągnąłem ją do siebie, chwytając za talię dzinsów. Poczulem ciepło jej ciała.

– Co ty robisz?

– Chyba oboje wiemy co, no nie?

– Ale ten scenariusz...

Nie miałem pewności, czy jest tak niewiarygodnie naiwna, czy tylko się spieszyła.

– Jesteś bardzo atrakcyjna, wiesz?

Odepchnęła mnie natychmiast, a jej głos zabrzmiał chłodno, choć słowa zniekształcał alkohol.

– Chyba się nie zrozumieliśmy.

Rozejrzałem się po pokoju.

– Masz jakieś wino?

– Powinieneś już iść.

– Mam iść? Przecież sama mnie zaprosiłaś. Niby co miałem sobie pomyśleć?

Odcięła się ostro i lodowato:

– Mogę cię prosić, żebyś wyszedł?

Z taką reakcją nigdy dotąd się nie spotkałem. Mało mnie szlag nie trafił. Przez cały wieczór robiła do mnie maślane oczy, nachylała się z tym swoim dekoltem po pas, przygryzała wargę. Dawła jednoznaczne sygnały!

– No to idę. A przy okazji, zapomnij o karierze aktorskiej. Znam wszystkich w tej branży. Nigdy nie dostaniesz żadnej roli. – I wyszedłem, trzaskając drzwiami.

Rok później poszliśmy z Susan na kolację z Brianem i jego najnowszą dziewczyną, Gillian. Brian przeniósł się z powrotem do Dublina. Przedtem uczył trochę w Paryżu, a kilka lat pracował z Lukiem, jeżdżąc z nim w trasy koncertowe. Luke to zniknął, to pojawiał się na naszym radarze, ale jego gwiazda zaczęła już wtedy blednąć. Nastolatki, które dawniej go uwielbiały, dorosły i przestały go słuchać. Grał teraz mniejsze koncerty i nie zapełniał całych sal. Zaprosiliśmy go na tamtą kolację, ale nie oddzwonił, co nas nie zdziwiło. Brian wspomniał, że planuje zostać jego menedżerem, bo wyglądało na to, że Sean chce odejść. Parsknąłem śmiechem. Brian nie miał pojęcia, jak zarządzać sobą samym, a co dopiero kimś innym.

Restauracja Hedon była wypasiona i miała gwiazdkę Michelina, ale ponieważ świętowaliśmy urodziny Susan, postanowiłem, że mogę się szarpnąć na hojny gest. Przy barze zamówiliśmy butelkę szampana, a potem szef sali zaprowadził nas do stolika i przedstawił kelnerkę... Amy Shine. Aż mną trzepnęło na jej widok, ale po chwili postanowiłem wziąć to spotkanie na bezczela.

– Amy! A co ty tutaj robisz? Myślałem, że do tego czasu będziesz już na Broadwayu.

Zaczerwieniła się po cebulki włosów.

– Cześć, William.

Susan od razu załapała, co jest grane. Wyczułem napięcie w powietrzu.

– Witaj, Amy. Skąd znasz mojego męża?

Ale niby co było grane? Wpadliśmy na dziewczynę, która nie dała mi się przelecieć. Byłem totalnie niewinny. Odpowiedziałem na pytanie Susan:

– Amy występowała w sztuce, którą widzieliśmy z Carlem w zeszłym roku. Grałaś w czymś potem, Amy?

Wiedziałem, że podejmie tę grę. Wtedy już zdążyłem odkryć, że kobiety prawie zawsze chronią mężczyzn przed gniewem ich żon. Choć nie wiedziałem dlaczego.

– Prawdę mówiąc, po tamtej sztuce rzuciłam aktorstwo. – W jej tonie czuć było żyletki. – Kończę studia z zarządzania kulturą.

– To świetnie, Amy! Fantastycznie. A możesz przysłać sommeliera? Przed jedzeniem chcemy zamówić wino. No, zuch dziewczyna.

Amy odeszła niezgrabnie, a ja, starając się nie gapić na jej idealny tyłek, otworzyłem menu teatralnym gestem.

Susan wycedziła:

– Jesteś protekcyjnym dupkiem, William.

Pod stołem ktoś przykopał mi w pizszczel. Najpierw pomyślałem, że dostałem piętą od Susan, ale gdy podniosłem wzrok, Brian przeszywał mnie morderczym spojrzeniem. „Kutas” – odczytałem z ruchu jego warg. Zrewanżowałem się kopniakiem i spojrzeniem o co ci, kurde, chodzi?! Rozmasowałem goleń, sięgając pod stół, a potem wszyscy wróciliśmy do rozkoszowania się wieczorem, udając, że nic się nie stało. Tylko Gillian nie widziała zbierających się nade mną czarnych chmur. Dziewczyna nie miała w sobie nic wyjątkowego, ale też żadna z dotychczasowych przyjaciółek Briana nie byłaby w stanie rozkochać w sobie tłumów.

Amy nie wróciła już do naszego stolika, żeby nas obsługiwać. Zastąpiła ją, bez słowa wyjaśnienia, kelnerka imieniem Orla, o wyglądzie cielaka, równie sprawna co nieatrakcyjna. Susan i Brian prowadzili ożywioną dyskusję ze sobą i z Gillian. Oboje przez resztę wieczoru mnie ignorowali, co wpeniało mnie tym bardziej, że to ja płaciłem rachunek za wszystkich.

Później, gdy wychodziliśmy z restauracji, Brian odciągnął mnie na bok. „Kurwa, zdradziłeś ją, tak? Ale z ciebie kutas”. Nim zdążyłem odpowiedzieć, wziął Gillian pod rękę i oboje oddalili się szukać taksówki. W drodze powrotnej Susan nie odezwała się ani słowem. Gdy dotarliśmy do domu, poszedłem zapłacić pryszczatej opiekunce do dziecka, a Susan zniknęła na górze. Nalałem sobie jeszcze jeden kieliszek wina i włączyłem telewizor. Susan zeszła do salonu, rzuciła na sofę zapasową kołdrę i wróciła do sypialni na piętrze, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

A nawet tamtej laski nie puknąłem.

1983

W połowie roku 1983 miałem czternaście lat. Z kumplami Jimem i Steve'em bardzo chcieliśmy pójść na Nieoczekiwaną zmianę miejsc do kina Forum, bo wszyscy w szkole gadali o cyckach Jamie Lee Curtis, więc musieliśmy pójść i zobaczyć je na własne oczy. Kino znajdowało się pięć minut spacerem od naszego domu, a my przez cały tydzień poprzedzający seans nie rozmawialiśmy o niczym innym.

To miał być mój pierwszy film dozwolony od piętnastu lat. Czułem się dorosły. Mama pozwoliła mi pójść, nawet nie pytając, na co idziemy. W takich sprawach była liberalna i miała do mnie zaufanie. Tata był surowszy, ale w tamtym tygodniu wyjechał na jakąś konferencję. Z naszej trójki tylko Steve miał skończone piętnaście lat. Raz nie zdał do następnej klasy, bo nie grzeszył bystrością, ale był przydatny. Jim i ja przeciwczyliśmy podawanie daty urodzenia, na wypadek, gdyby mieli nas o nią pytać. Wiele razy powtarzałem „1967”, bo podobno właśnie na to łapali nieletnich szczawiów, pytając o rok urodzenia. Ale ponieważ byłem z nas najwyższy, nie spodziewałem się problemów z wejściem.

Gdy mama stwierdziła, że tego wieczoru zaprosiła gości i muszę zabrać ze sobą Briana i Luke'a, wpadłem w szal. Oprócz tego, że nie miałem najmniejszej ochoty na towarzystwo młodszych braci, zwłaszcza gdy prowadziłem się z Jimem i Steve'em, to jeszcze nie było mowy, żeby nas wszystkich wpuścili na ten film. Luke był ubrany w koszulkę z Cliffem Richardem, na którego punkcie miał obsesję. Nosił ją przez całe lato. Robił totalną żenadę. Za to Brian miał na twarzy taki trądzik, że aż zapracował sobie na ksywę Ryzowe Ciacho, z której byłem dumny. Nawet mama się z niej śmiała, choć tata stwierdził, że to okrutne.

Mama oznajmiła, że możemy po prostu pójść na inny film. Na to ja, że umówiłem się właśnie na ten już wieki temu, że idę z kolegami, a bracia narobią mi obciachu. Mama dała mi pięć funtów i oznajmiła, że ma w nosie, dokąd pójdziemy, bylebym zabrał chłopaków ze sobą. Mało mnie szlag nie trafił. Brian się podniecił, bo on też chciał zobaczyć cycki Jamie Lee. Luke'a mniej interesowały cycki, ale ponieważ niezbyt często chodził do kina, więc i on zareagował entuzjastycznie. Mama często zmuszała nas do chodzenia na premiery okropnych przedstawień z udziałem jej znajomych, więc kino wciąż jeszcze było dla nas szczytem rozrywki. Kochałem je ponad wszystko. Odkładałem kieszonkowe, żeby mieć na bilety, i często chodziłem na filmy sam. Uwielbiałem ciemność sali kinowej i postacie unoszące się nad głowami na gigantycznym ekranie.

Nie udało mi się przekonać matki. Zaproponowałem braciom trzy funty, byleby się odpieprzyli, lecz oni też byli nieugięci, upierając się, że muszą zobaczyć ten film. W końcu wykradłem się z domu wcześniej, żeby im uciec, ale oczywiście pojawili się przed kinem i dołączyli do nas w kolejce.

Próbowałem nakłonić Luke'a, żeby zmienił T-shirt albo włożył na niego kurtkę, na co odparł, że jest wiernym fanem Cliffa i go nie zakryje. Rany, co za kretyn! Przynajmniej Brian zgodził się zostać w bejsbolówce, ale idiota założył ją daszkiem do tyłu, tak że ani trochę nie zakrywała jego przyszczatej gęby. Steve i Jim nie byli specjalnie zadowoleni.

– O jeny, wszystkich nas nie wpuszczą, nie ma bata. We trzech to jeszcze mieliśmy jakieś szanse...

Postanowiłem udawać, że nie znam swoich braci, ale Luke się rozplakał. Naprawdę chciałem umrzeć. Nie było jak się ich pozbyć.

– No dobra! Jeżeli jakimś cudem uda nam się dostać do kina, to żaden z was nie siada obok mnie, jasne? Brian, musisz powiedzieć, że się urodziłeś w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Luke, ty jesteś z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego, słyszysz? Jeśli kasjerka was spyta, ile macie lat, to mówicie, że piętnaście i szesnaście.

– Ale ja mam dwanaście – jęknął Luke, na co Steve i Jim czym prędzej się od nas oddalili.

– Sorry, Will, ale nie zamierzamy przegapić filmu z ich powodu.

Odciągnąłem braci na stronę.

– Luke, na miłość boską, skrzyżuj ręce na piersi i udawaj, że jesteś starszy. – Brian zmierzwił mu włosy, bo Luke zawsze je miał gładziutko przylizane grzebieniem. Wyglądał jak chłopiec z kościelnego chóru. Czulem, że cycki Jamie Lee Curtis nieuchronnie znikają za horyzontem. Steve i Jim kupili bilety i zatrzymali się obok stoiska z popcornem, patrząc, czy nas wpuszczą. Znudzona babka w kasie zauważyła nas, ale gdy poprosiłem o trzy bilety, głos nieznacznie mi zadrżał. Spojrzała znad lady na moich braci.

– W jakim on jest wieku? – spytała, wskazując na Luke’a. Brian z ulgą wypuścił powietrze.

– Urodziłem się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym – wypalił Luke.

Kasjerka popatrzyła na mnie, przekrzywiając głowę.

– Aha, a ja się urodziłam wczoraj. Nie wejdzie i kropka. W tym filmie są świętstwa dla dorosłych. Nie wstyd ci dziecko przyprowadzać na coś takiego? Co by twoja matka powiedziała?

– Więc poproszę tylko o dwa – wydukałem najgrzeczniej, jak się dało, a stojący za mną Luke próbował powstrzymać łzy. Zrobiło mi się go żal, ale co mogłem zrobić.

– Sorry, Luke, ale musisz wrócić do domu.

Brian był w rozterce. Najwyraźniej miał większe wyrzuty sumienia ode mnie. Jednak jego miłość do Jamie Lee Curtis przeważała nad miłością do Luke’a.

– Powiedz mamie, że cię nie wpuścili. Nie będzie zła.

Film był bardzo zabawny i wszyscy niecierpliwie czekaliśmy na tę jedną scenę. Jakiś kwadrans od rozpoczęcia seansu kasjerka z kwaśną miną wparowała na salę z latarką i zaczęła przeczesywać widownię. Brian siedział gdzieś na drugim końcu sali. Steve, Jim i ja wbiliśmy się głębiej w fotele w obawie, że nas szuka i zaraz zacznie przepytywać. Nic to nie

dało, bo babka metodycznie przetrząsnęła całe kino, rząd po rządzie, i w końcu mnie znalazła. Nawet nie próbowała szeptać.

– Hej, ty! – rozdarła się na cały głos. – Twój brat jest na zewnątrz i wpadł w histerię. Musisz do niego wyjść!

Cała publiczność zaczęła ją uciszać i protestować, a jednak musiałem wyjść. Rozejrzałem się za Brianem, ale ponieważ nie wiedziałem dokładnie, gdzie siedzi, więc go nie znalazłem.

Na zewnątrz mocno złapałem Luke'a za ramię i odciągnąłem spod kina.

– Co jest?! Psujesz mi seans!

– Mama! Poszedłem do domu, ale tam był jakiś pan i się z nią seksił!

– Co?!

– W sypialni!

– Zaraz, co takiego? Napadł na nią? Krzyczała?

– Tak! – Wargi zaczęły mu drżeć.

– Widział cię?

– Nie. Tak się bałem, że przyszedłem po ciebie.

Pobiegłem do domu najszybciej jak umiałem. Nie obejrzałem się nawet, czy Luke za mną nadąży. Z kina to było ledwie pięć minut, sprintem cztery.

Gdy wszedłem do środka, mama siedziała w salonie, pijąc gin z tonikiem w towarzystwie Nicholasa Sheedy'ego, reżysera muzycznego, z którym czasami zdarzało jej się współpracować. Wyglądała absolutnie przyzwoicie, poza rozczochranymi włosami z tyłu głowy.

– Co wy robicie w domu tak wcześnie? Spodziewałam się was dopiero za godzinę.

No jasne. Wtedy do domu wpadł zdyszany Luke.

– Boże, ty też tutaj, o nie! A gdzie Brian? – spytała mama.

Zmroziłem Luke'a spojrzeniem. Speszył się i zaczął czerwienieć na twarzy.

– No wiesz, ten film był nieodpowiedni dla Luke'a, więc odprowadziłem go do domu.

– Roztropny z ciebie młodzieniec! – odezwał się Sheedy.

– Serio? – powiedziała mama. – A co w nim było nieodpowiedniego?

– Golizna – odparłem.

Gdy mama i Sheedy parsknęli śmiechem, miałem ochotę ich pozabijać.

– Wydawało mi się, że właśnie dlatego chcecie go zobaczyć – zauważyła mama.

To dlatego zależało jej, żebyśmy wszyscy zmyli się z domu. Tak podejrzewałem. Zawsze z kimś flirtowała, ale teraz miałem prawdziwy dowód, a raczej Luke go miał. Dlaczego tata nigdy nic z tym nie zrobił? Przecież wiedział, jaka ona jest. Sam widziałem, jak na jego oczach dotyka innych facetów! Po takich akcjach przez kilka dni siedział cicho i się nie odzywał. Czemu był takim popychadłem? Gdy dorosłem, nigdy nie pozwoliłem żadnej kobiecie, żeby mnie tak traktowała.

Próbowałem później przekonać Luke'a, że nic nie widział, tylko mu się przywidziało. Kazałem przyrzec, że zachowa wszystko w tajemnicy, bo inaczej, jeśli kiedykolwiek powie komuś, co widział, mama pójdzie do piekła. Ciągle jeszcze miał obsesję na punkcie piekła i nieba, i tego, dokąd trafimy po śmierci. Po powrocie do domu Brian bez końca nawijał, jakie to duże i kształtne balony ma JLC. Podobno na ich widok całe kino zaczęło wiwatować i rzucać w powietrze popcornem.

Tak więc tego dnia Brian widział cycki i Luke też – choć były to cycki mamy, a ja żadnych cycków nie widziałem.

1998

Daisy to było najlepsze co mi się w życiu przytrafiło. Nie mogłem uwierzyć, że Susan i ja zrobiliśmy takie śliczne, idealne dziecko. Wiem, że wszyscy rodzice tak mówią, ale nasza córka naprawdę miała w sobie coś wyjątkowego. Daisy była mądra, zabawna i znacznie bystrzejsza od swoich rówieśników. Ciężką i brudną robotę przy małej, jak zmiana pieluch i pranie ubranek, odwalala Susan i wiem, ja miałem z nią wyjątkowo łatwo, ale gdy byłem w domu, chętnie ją w tych zadaniach wyręczałem.

Do czwartych urodzin małej dużo jeździłem na festiwale filmowe po całej Europie – szukałem współfinansowania i partnerów do produkcji naszego drugiego filmu fabularnego i umawiałem się na spotkania z dużymi dystrybutorami, którzy byliby skłonni zaryzykować współpracę z małą irlandzką wytwórnią, mającą na koncie jeden kinowy hit – Strach przez życiem.

Ale powroty z tych wyjazdów do domu, do Susan i Daisy, były wspaniałe. Susan znów zaczęła pracować w księgarni na pół etatu, a Daisy poszła do przedszkola, gdzie spędzała kilka godzin dziennie. Zaaklimatyzowała się do tych wszystkich zmian jak mały żołnierz. A gdy słyszała, że wracam do domu i od drzwi frontowych pytam: „Gdzie jest moja mała Daisy?”, rzucała się do mnie biegiem z otwartymi ramionami i szerokim uśmiechem. Łapałem ją w biegu i unosiłem wysoko, a ona ślinała mi twarz mokrymi całusami. Wtedy w korytarzu pojawiała się Susan, mówiła: „Witaj, nieznajomy!” i wszyscy troje przytulaliśmy się stęsknieni. Moja idealna mała rodzinka.

Myśleliśmy, że mama oszaleje ze szczęścia, mogąc posiedzieć z Daisy, gdy ta była malutka, ale szybko rozwiała nasze złudzenia: „Dzieci już

przećwiczyłam – was trzech – dziękuję bardzo, więcej nie zamierzam”. Sądziłem, że chodzi jej o zmienianie pieluch i karmienie, ale nawet gdy odwiedzaliśmy ją z małą ślicznie ubraną i śpiącą w najlepsze, mama nie okazywała nią zainteresowania. Raz nauczyliśmy Daisy Małą gwiazdko, mrugajże, żeby zaśpiewała babci. Mama wysłuchała i stwierdziła: „To dziecko nie ma słuchu muzycznego. Na pewno nie po mnie”.

Z mamą Susan było inaczej. Bardzo rzadko przyjeżdżała z Detroit, ale gdy już nas odwiedziła, mieliśmy wrażenie, że trzeba ją pilnować, bo gotowa porwać Daisy i wyjechać z nią do Stanów. Widziała w małej to samo co ja: piękne, utalentowane, obiecujące dziecko pełne miłości.

Dlaczego więc moja matka nie zwracała na nią uwagi? Czy dziadkowie nie powinni bezwarunkowo uwielbiać swoich wnucząt?

Dopiero po narodzinach Daisy poczułem, że brakuje mi taty. Zastanawiałem się, czy czytywał mi wieczorami w łóżeczku, gdy mama grała w teatrze. Czy odkrajał twarde skórki chleba z moich tostów i zabierał na dwór, żebym pojeździł na trójkołowym rowerku? Przejrzałem rodzinne zdjęcia, ale jeśli przedstawiały mnie i tatę, to w kadrze zawsze byli też Brian i Luke. Wiem, że robienie odbitek z kliszy było wtedy drogie i w ogóle rzadko ktoś w domu wyciągał aparat. Mama miała dużo fotografii, na których odbierała nagrody w towarzystwie różnych oficjeli, ale tamte pewnie robili inni ludzie i jej przysyłali.

Najwcześniejsze zdjęcia z całą naszą rodziną zrobiono na plaży. Tata, Brian, mama w ciąży i ja siedzimy wokół zamku z piasku, który, jak sędzę, zbudował tata. Miałem wtedy najwyżej dwa latka.

Zastanawiałem się, czy tata był ze mnie kiedyś tak naprawdę dumny. Nie jak wtedy, gdy mruknął: „No, brawo, chłopie”, bo przyniosłem dobre oceny ze szkoły. Ciekawe, czy kiedykolwiek patrzył na mnie tak, jak ja patrzyłem na Daisy? Prawdę mówiąc, zawsze czułem, że tata jest słaby, a mama jest od niego znacznie ważniejsza. Moja żona była dla mnie o wiele miłsza, niż mama była dla taty. Jakoś nigdy nie doceniłem tego, jak umiał ogarnąć jej humory.

Gdy wieczorem czytałem Daisy bajkę na dobranoc, siedziała mi na kolanach i wodziła paluszkami po literach. Wcześniej nauczyła się czytać – opanowała cały alfabet w wieku trzech lat. Była gadatliwa i, jak na swój wiek, miała bogate słownictwo. Czasami, gdy rano wchodziłem do jej pokoju, udawała, że śpi, by zerwać się nagle na równe nogi, piszcząc radośnie „Tatusi!”. Nie powinienem tego mówić ani nawet myśleć, ale kochałem ją bardziej niż Susan, a jeszcze wtedy Susan kochałem.

Pewnego dnia Daisy upadła w ogrodzie naszej sąsiadki i straciła przytomność. Rozwaliło mnie to. Susan robiła wtedy zakupy w supermarkecie, a ja siedziałem w domu i oglądałem w telewizji turniej golfa.

Roztrzęsiona sąsiadka zaczęła się dobijać do naszych drzwi. Zdążyła już wezwać karetkę. Minęło najwyżej trzydzieści sekund, a ja przeskoczyłem przez niski murek dzielący nasze ogródki i wziąłem na ręce moje bezwładne dziecko, ale przerażenie, którym tamte chwile mnie napełniły, już na zawsze zostanie ze mną. Kołysałem ją w ramionach, szczypiąc delikatnie i całując, żeby wywołać jakąkolwiek reakcję. Sąsiadka, Eve, zapewniała mnie, że mała wciąż oddycha, ale ja w skrajnej panice nie byłem tego pewien. Tracey, córka Eve, zaczęła się histerycznie wydzierać: „Daisy nie żyje!”, więc odruchowo wyciągnąłem rękę i zdzieliłem ją przez głowę, drugą przytulając do piersi moje maleństwo. Eve nic nie powiedziała, ale odesłała córkę do domu. Przez niekończące się minuty oczekiwania na karetkę nie odezwałem się do niej ani słowem. Za to ona trajkotała, że Daisy musiała wejść na murek i z niego spaść. I chyba tak było, to możliwe. Wcześniej widziałem, jak się na niego wspinała. Susan zmywała jej za to głowę i zakazywała włożenia na murek, ale ja byłem dumny z córeczki, że jest taka dzielna i zwinna.

Gdy w karetce Daisy odzyskała przytomność, odetchnąłem z ulgą i zaniósłem się szlochem. Ratownicy medyczni, obyci z takimi przypadkami, snuli przypuszczenia, że to prawdopodobnie tylko wstrząs mózgu i że mała „wylizuje się z tego w trzy miga”. Daisy jednak nic nie mówiła i nie była w stanie skupić wzroku na mojej twarzy. Jak tylko

dotarliśmy do szpitala, od razu zabrali ją na tomografię, a ja – walcząc z przerażeniem – podawałem pielęgniarce swoje dane. Niedługo potem zjawiała się Susan. Miała zaciśnięte usta i twarz bladą jak ściana. „Dlaczego jej nie pilnowałeś?” – warknęła i to był pierwszy, choć nie ostatni raz, kiedy doświadczyłem jej gniewu i frustracji skierowanych w moją stronę.

Poczułem, że płonę ze wstydu, więc się odwróciłem. Wtedy Susan położyła mi rękę na ramieniu. Przez ten gest sytuacja wydała mi się o wiele poważniejsza. Gdy dorastałem, moja rodzina unikała dotyku. Musiałem się specjalnie starać, żeby z Susan i Daisy było inaczej. W niedzielne poranki we troje jedliśmy śniadania w łóżku i przytulaliśmy się do siebie, owinięci kokonem ciepła i miłości. Ten fizyczny akt pocieszenia ze strony Susan był dla mnie znakiem, że moja córeczka na pewno umrze.

Kiedy przywieźli małą z rentgena, usiedliśmy oboje przy jej łóżku. Zawodziła trochę, ale na nasz widok się rozchmurzyła i było widać, że czuje ulgę. Przywarła do swojej mamy, ale gdy ja spróbowałem ją wziąć na rękę, zaczęła krzyczeć, aż Susan mi ją zabrała. Poczułem ukłucie zazdrości. Przecież Daisy zawsze była córeczką tatusia.

Poinformowano nas, że nie ma krwawienia wewnątrz czaszki. Faceci z karetki mieli rację – to było wstrząśnienie mózgu, ale w szpitalu powiedzieli, że zatrzymają ją na noc, na obserwację. Na oddziale pełno było dzieciaków z różnymi przypadłościami fizycznymi i umysłowymi. Pielęgniarki uwijały się jak w ukropie. Nie chciało mi się wierzyć, że będą w stanie otoczyć Daisy właściwą opieką. Zakomunikowano nam, że jest ryzyko napadów padaczkowych. Nie chcieliśmy zostawiać jej samej w szpitalu. Uprosililiśmy personel, żeby nas nie wyrzucali. Pozwolili nam przycupnąć na krzesłach, które sobie przynieśliśmy. Inni rodzice, głównie matki, spali na rolowanych materacach przy łóżkach swoich dzieci.

Gdy Daisy się poprawiło, lekarze pozwolili napić ją sokiem. Nie zwróciła go, co – podobno – było dobrym znakiem. O dziesiątej wieczorem, znacznie później, niż zwykle chodziła spać, zaczęła zagadywać do pluszowego misia i poza guzem na czole wielkości śliwki prawie całkowicie wydobrzała. Gdy wreszcie odpłynęła w drzemkę, sięgnąłem ponad

łóżkiem, żeby wziąć Susan za rękę, ale wyrwała ją gwałtownie. „Miałeś jej pilnować”.

Następnego dnia zabraliśmy Daisy do domu. Zbadali ją, stwierdzili, że jest cała i zdrowa, i wypisali, ale my przez cały tydzień strzeżliśmy jej jak para jastrzębi. Wobec siebie nawzajem też zachowywaliśmy ostrożność. Wiem, że tak naprawdę Susan nie winiła mnie za to, co się wydarzyło. Równie dobrze Tracey mogła wyciągnąć Daisy na dwór, gdy to ona była w domu. Odkąd Eve została naszą sąsiadką, dziewczynki często bawiły się razem.

Eve podrzuciła ciasto i liścik z przeprosinami, ale jej też nie winięm za wypadek. Dzieciom zdarza się upadać. To normalna część dorostania. Teraz to rozumiem. Ale kiedy chodzi o twoje własne dziecko, to wygląda inaczej, czujesz się tak, jakbyś je zawiódł w sferze, w której oczekuje się bezwzględnej niezawodności.

Po kilku tygodniach sytuacja wróciła do normy. Wtedy przed domem Eve pojawiła się tabliczka „Na sprzedaż”. W sobotnie popołudnie poszedłem porozmawiać z sąsiadką. Odniosłem wrażenie, że w mojej obecności czuje się niezręcznie.

– Myślałem, że okolica ci się podoba? – powiedziałem.

– Bo się podoba.

– Więc co, dostałaś gdzieś indziej pracę?

– Nie.

Wyczułem w jej głosie niechęć.

– Ale wszystko jest w porządku?

– Spytaj swoją matkę.

– Co? Nie rozumiem...

Odwróciła się na pięcie, ruszyła ścieżką do swojego domu i zniknęła we wnętrzu, zatraskując drzwi z hukiem.

Gdy później rozmawiałem z mamą przez telefon, dowiedziałem się, że „tylko dała Eve przyjacielskie ostrzeżenie”.

– No, chyba nie było aż takie przyjacielskie, skoro się wyprowadza.

– I dobrze.

– Coś ty jej nagadała?

– William, przestań dramatyzować. Powiedziałam tylko, że jeśli moja wnuczka będzie miała efekty uboczne po tym upadku, to ją pozwę do sądu.

– Ale... Co takiego? Za co ją powiesz?

– A skąd ja mam wiedzieć za co? Tak się mówi. Myślę, że powinna bardziej uważać, gdy ma u siebie cudze dzieci.

– Mamo, to się stało pięć tygodni temu. Nie przysłaś nawet, żeby się zobaczyć z Daisy, ale znalazłaś czas, żeby pójść do mojej sąsiadki i jej grozić.

– To kwestia zasad. Jesteś moim synem.

Oboje z Susan próbowaliśmy nakłonić Eve, żeby nie sprzedawała domu, ale ten incydent wyprowadził nas wszystkich z równowagi i po nim nasze przelotne rozmowy przy bramie były już zawsze niezręczne i szybko się urywały. Przed wyprowadzką zaprosiliśmy Eve na kolację. Tracey też przysłała i została na noc. Przeprosiliśmy za moją matkę, a Eve chyba nam wybaczyła. Z mamą spotkaliśmy się po kolejnych dwóch tygodniach. Gdy jej powiedzieliśmy, że Eve się wyprowadziła, westchnęła tylko z ulgą.

– Tak będzie bezpieczniej dla dziecka – skwitowała, wskazując na Daisy.

Nie jestem pewien, jak to świadczyło o mamie. Brian, który był ojcem chrzestnym małej, okazał jej znacznie więcej troski niż nasza matka. Odkąd usłyszał o wypadku, regularnie dzwonił, żeby się dowiedzieć, co u Daisy, a nasza mama zachowała się jak lwica wobec wnuczki, która tak mało ją interesowała. Wiem, że to zrobiła, bo Daisy była moim dzieckiem.

Luke zadzwonił z Manchesteru jakiś miesiąc później. Musiałem mu przypomnieć o wypadku. „A, tak, słyszałem od Briana – mruknął. – Ta mała jest aniołem, dbaj o nią stary”. Jego komentarz jednocześnie wprawił mnie w dumę i zirytował.

1981

Tata zawsze robił wiele hałasu w Boże Narodzenie. Brał z pracy urlop na całe dwa tygodnie w okresie świątecznych ferii szkolnych. W tym czasie mama zawsze dużo pracowała, grała koncerty i przedstawienia. Era zespołu objazdowego się skończyła, ale mama miała klasyczne wykształcenie i jeśli się wystarczająco przyłożyła do ćwiczeń, to była w stanie zaśpiewać nawet arię operową. „Jestem artystką wszechstronną” – oświadczała, a potem burczała na tym samym oddechu: „Znowu ten cholerny Mesjasz!”. Ale i tak to uwielbiała. Tak często zmuszała nas do oglądania tej sztuki, że serdecznie ją znienawidziliśmy.

W 1981 roku tata stracił największego ze swoich klientów. Miał firmę ubezpieczeniową, czerpiącą sześćdziesiąt procent dochodu z sieci supermarketów, która właśnie została wykupiona przez większą sieć z własnym ubezpieczycielem międzynarodowym. Nie było mowy, żeby tata mógł z nim konkurować.

Tego roku mama była zmuszona przyjąć pracę w świątecznej pantomimie, o której zawsze mówiła, że ta forma teatru jest poniżej jej godności. Poza tym to była ciężka robota. Dziewięć przedstawień tygodniowo przez sześć tygodni przed i po Bożym Narodzeniu z przerwą na pierwszy i drugi dzień świąt, czyli dzień Świętego Szczepana. Co gorsza, powiedziano mamie, że jest za stara, żeby grać Kopciuszka, i obsadzono ją w roli złej macochy. Zrobili dla niej specjalny pogrubiający kostium, musiała też przyklejać sobie do twarzy sztuczne brodawki. Nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy i bezustannie, z naciskiem przypominała tacie, jakich to poświęceń dokonuje dla dobra rodziny. Tata płaszczył się przed nią i codziennie przynosił jej śniadanie do łóżka, a my

utrzymywaliśmy dom w idealnym porządku, wiedząc, że naprawdę niewiele trzeba, żeby wyprowadzić mamę z równowagi, a wtedy mogła wpaść w jeden ze swoich nastrojów.

Brian miał wtedy jedenaście, ja dwanaście lat i nie wierzyliśmy już w Świętego Mikołaja, ale Luke w niego wierzył, co było fajne, choć zdarzało nam się z tego powodu szydzić za jego plecami. Tata nie odpuścił nam szopki z pisaniem listów do mikołaja, właśnie ze względu na Luke'a. Obaj zażyczyliśmy sobie rowerów marki Raleigh, model Chopper. Luke, jak to mały męczennik, poprosił o nową parę butów do szkoły, bo te, które miał, już go piły. Tata próbował przekonać mnie i Briana, że powinniśmy wziąć przykład z młodszego brata i prosić o rzeczy, których naprawdę potrzebujemy, a nie tylko chcemy. Bracia zawsze dostawali ubrania i buty po mnie. Ale choć w kurtce, którą teraz nosił Brian, pękł suwak i rozdarł się materiał na ramieniu, a mnie wszystkie spodnie sięgały już powyżej kostki, bo rosłem, to i tak obaj chcieliśmy dostać nowe rowery, „takie, jak mają wszyscy inni”. Boże Narodzenie i urodziny to były jedyne dni w roku, kiedy mogliśmy się spodziewać prawdziwych prezentów, które sami sobie wybraliśmy, i nie dać sobie wcisnąć kitu, zamiast tego, co większość normalnych rodziców po prostu dawała dzieciom bez żadnych ale. Tata westchnął i poprosił mamę, żeby nam wyjaśniła, że to niemożliwe. Podczas rozmowy z Brianem wpadła w szal:

– Nie mamy pieniędzy na żadne rowery! Ledwo nam starcza na cholerny olej opałowy! Nawet Luke to rozumie, ty samolubny gnojku!

– Luke jest downem! – odpalił Brian. Mama, zamiast zaoponować, kontynuowała swoją tyradę:

– Wolę mieć syna downa niż niewdzięcznego bachora, który ma w dupie, że jego matka haruje dniami i nocami, żeby synalek nie chodził głodny. – Brian nie chciał się rozplakać w naszej obecności, więc poszedł do łóżka.

– Mamo? – spytałem, gdy zostaliśmy tylko we dwoje. – Ale ja dostanę rower, prawda?

Wygładziła mi włosy i skrzywiła się.

– Zobaczymy, Williamie.

Zacząłem tracić nadzieję.

W Wigilię zwykle szliśmy na pantomimę, którą grali po południu, a wracając do domu, kupowaliśmy rybę z frytkami, ale tym razem mama w tej pantomimie występowała, więc rano oświadczyła tacie, że po przedstawieniu idzie do pubu z kolegami z zespołu. „Rany boskie, to tylko jeden drink. Chyba mam prawo do wolnego wieczoru, zanim całe dwa dni spędzę z wami, a potem znów będę się musiała wbijać w ten przeklęty kostium grubaski?!”

Oglądanie mamy w tej katastrofie było dla nas takim samym upokorzeniem, jak dla niej te występy. Miała brzydki, krzykliwy makijaż, a wielki sztuczny biust należący do kostiumu grubaski wylewał się z głębokiego dekoltu. Naprawdę wolałbym tego nie widzieć. Przy jej pierwszym wejściu Luke dostał lekkiej hysterii, więc musiałem się z nim zamienić miejscami, żeby mógł usiąść obok taty. Po zakończonym spektaklu poszliśmy za kulisy, żeby się zobaczyć z mamą, ale była zajęta dawaniem autografów innym dzieciakom. Tata powiedział, że nie szkodzi, zobaczymy się z nią później.

Zatrzymaliśmy się na rybę z frytkami, a w domu, czekając na powrót mamy, obejrzelismy w telewizji Czarnoksiężnika z krainy Oz. Tata był niespokojny i co chwila patrzył na zegarek. O dziewiątej wieczorem wysłał Briana i Luke’a do łóżek, ale ja zaproponowałem, że z nim zostanę i pomogę pakować rowery, które dostaniemy w prezencie. Wtedy się na mnie wydarł:

– Dostaniecie jeden rower i macie się nim z Brianem dzielić! Myślisz czasem o innych, czy zawsze tylko o sobie?!

To wkurzenie i bezpośredni atak były zupełnie do taty niepodobne. Zasmucony poszedłem się położyć. Nawet nie z powodu rowerów, ale bardziej dlatego, że mama wciąż jeszcze nie wróciła i dotarło do mnie, że może faktycznie jesteśmy bez kasy, a przy tym wieczór wigilijny, który dotąd zawsze spędzaliśmy razem, w zgodzie, był do niczego.

Mój pokój znajdował się nad korytarzem, więc słyszałem, jak mama wróciła do domu. Zgodnie z moim zegarkiem (ten timex był ostatnim prezentem od mikołaja, nim się dowiedziałem, że prezenty przynoszą rodzice) było trochę po północy. Długo dzwoniła kluczami przy zamku, zanim udało jej się otworzyć drzwi, a potem słyszałem, jak tata coś do niej szeptem. Nie wiem dokładnie, co mówił, ale chyba był wściekły, bo syczał prawie jak wąż. Mama nie zawracała sobie głowy szeptaniem:

– No i co, że zostałam dłużej. Chyba zarobiłam kasę, nie? To ty powinieneś utrzymywać tę rodzinę. Gdyby nie ja, nie mielibyśmy nawet indyka na święta.

Wtedy znów odezwał się tata, na co mama wypaliła:

– Po prostu jesteś zazdrosny! Kevina stać, żeby co jakiś czas kupić żonie brylant, a ja się nie mogę doprosić o cholerny toster!

Mówiła bełkotliwym głosem, potem trzasnęły drzwi. Leżałem w łóżku, marząc, żeby następnego ranka zapanował pokój, jak wtedy, podczas pierwszej wojny światowej, gdy Anglicy i Niemcy na jeden dzień odłożyli broń i zagrali ze sobą w piłkę, zamiast się zabijać. Dlaczego nasz tata nie mógł się zachowywać jak inni ojcowie? Dlaczego mama nie mogła być jak inne mamy?

Zbudziły mnie podekscytowane wrzaski Luke'a:

– Był mikołaj! Był mikołaj!

Gdy zszedłem na dół, rozczochrany tata we wczorajszym ubraniu zabierał koc z sofy.

– Spałeś tutaj, tato?

– A gdzie mama? – spytał Brian.

– Późno wróciła, a ja zasnąłem przed telewizorem. Przepraszam, chłopcy – bąknął tata z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

– Mikołaj musiał wejść bardzo cicho, skoro cię nie obudził – stwierdził Luke, przyciskając do piersi nową parę butów. Mówiąc szczerze, były naprawdę ładne, z brązowej skóry. Oczy błyszczały mu ze szczęścia. Odpakowaliśmy mniejsze prezenty dla nas – czekoladowe mikołaje,

mandarynki i kasety: dla mnie był David Bowie, dla Luke'a – Nolan Sisters, a dla Briana – Boomtown Rats.

– A gdzie rowery? – zainteresował się Brian.

Tata przybrał jowialny ton i wykorzystując obecność Luke'a, zaczął bagatelizować sprawę:

– Wiesz, Brianie, Święty Mikołaj widzi, że na świecie są biedne dzieci, i czasem decyduje, że musi obdzielić wszystkich po równo. Sam pamiętasz, że w poprzednich latach był bardzo hojny, ale w tym roku przyniósł tobie i Williamowi jeden rower na spółkę. – Co rzekłszy, tata wyszedł na dwór, by po chwili pojawić się w drzwiach od tarasu z rowerem owiniętym w papier prezentowy. Od razu zabrałem się do rozpakowywania, ale Brian siedział za moimi plecami w milczeniu. To nie był raleigh chopper. Rower nie był nawet nowy. Ślady i zarysowania na ramie i błotnikach zdradzały, że miał już za sobą jedno życie pod tyłkiem innego chłopaka.

– Mam nadzieję, chłopcy, że nie jesteście rozczarowani. Mikołaj...

Brian przerwał tacie:

– Wszystko, co dostaję przez okrągły rok, jest używane. Ubrania po Williamie, jego buty do rugby, jego książki. Dostaję jego stare zabawki, kiedy już ich nie chce. Na Boże Narodzenie prosiłem o nowy rower wyłącznie dla mnie, tylko tyle. A tak, nie dość, że muszę się z nim dzielić... – Tu walnął mnie pięścią w ramię. – ...to jeszcze wcale nie jest nowy. To stary rower Paula. Gnije w szopie wujka Dana, odkąd Paul umarł.

Paul to był nasz dziewięcioletni kuzyn, który dwa lata wcześniej zmarł na białaczkę.

– Skąd mikołaj miał rower Paula? – spytał Luke. Wargę zaczęła mu się wyraźnie trząść.

– Nieważne – uciałem. – Luke, idź obudzić mamę, okej? – Choć była dopiero siódma rano.

– Tak, to dobry pomysł – podjął tata. Ubrany w pizamę Luke ruszył na górę, tupiąc po schodach swoimi nowymi butami.

– Przecież to tylko rower. – Wybrałem dojrzały ton, wiedząc, że tacie się to spodoba.

– Ja właśnie chciałem rower, nic innego – jęknął Brian.

– Oj weź, dorośnij! – skwitowałem z całą wyższością, na jaką stać dwunastolatków.

To rozsierdziło Briana. Złapał rower i z całej siły cisnął nim we mnie. Gdybym się nie uchylił, na pewno skończyłbym w szpitalu. Rower przeleciał obok, rozbił szklane drzwi i wylądował na tarasie.

Zamiast oniemieć z przerażenia, Brian przystąpił do rozdeptywania pozostałych prezentów, nie oszczędził nawet tych jeszcze nierozpakowanych, dla rodziców.

– Synu, przestań! – ryknął zszokowany tata, ale Brian się nie przeląkł. Wyciągnął choinkę z donicy i rzucił ją za sofę, po czym pobiegł na górę do pokoju chłopaków, po drodze mało nie przewracając Luke'a i mamy.

– Co tu się dzieje, na Boga? Jezus Maria! – jęknęła mama na widok rozbitej szyby i totalnej rozwałki w salonie.

Luke zakwilił płaczliwie:

– Mikołaj już wcale nie przychodzi do naszego domu!

Po czym z góry dobiegł nas krzyk Briana:

– Nie ma żadnego mikołaja, jęłopie! Są tylko mama i tata, którzy nie chcą nam kupić normalnych prezentów. Jak ci się zdaje, debilu, dlaczego mikołaj używa tego samego papieru do pakowania, co my? I dlaczego inne dzieciaki zawsze dostają superzabawki? – Wybuch się skończył i na górze trzasnęły drzwi.

Luke stał z drżącymi wargami.

– Powiedźcie, że on kłamie. Mikołaj istnieje, prawda? – W jego głosie zabrzmiała nuta rozpacz.

Mama popatrzyła na tatę i położyła rękę na czole.

– Dałbyś mi aspirynę?

– Sama sobie weź – warknął tata.

– Ale mamo, mikołaj jest prawdziwy, tak?

– Nie, Luke, nie jest. A teraz idź do szafki z lekami i przynieś mamie aspirynę, dobrze?

Przez resztę dnia Luke milczał. Tata przez cały ranek wściekle rzucał garami w kuchni, przygotowując indyka i brukselkę, której nikt z nas nawet nie lubił. Ja posprzątałem w salonie, ponownie ustawiłem choinkę w donicy i ocaliłem, ile się dało, z rozdeptanych prezentów. Przednie koło roweru zgięło się przy upadku. Już nikt nie mógł na nim jeździć. Mama rozłożyła się na sofie. Od czasu do czasu pojękiwała i kazała sobie przynosić kawę i wodę. Na szczęście telewizor nie ucierpiał, więc Luke siedział przed ekranem, chłonąc Willy'ego Wonkę i fabrykę czekolady.

Tata zabił drzwi na taras płytą pilśniową z szopy. Na nową szybę musieliśmy czekać do marca, bo wcześniej nie było nas stać na wymianę.

Gdy o godzinie trzeciej świąteczny obiad wjechał na stół, posłano mnie na górę po Briana. Byłem pewien, że siedzi upokorzony i wstydzi się swojego porannego zachowania, ale ponieważ zepsuł nam święta, zależało mi, żeby na pewno poczuł się z tym źle.

– Wiesz, że rozwaliłeś rower?

– I co z tego?

– To, że teraz żaden z nas nie ma roweru, idioto.

– Tak? Wczoraj też nie mieliśmy rowerów, więc co za różnica?

– No, chyba taka, że jeszcze wczoraj nie byłeś totalnym kretynem.

Zaatakował mnie jak rozwścieczony byk. Tak mocno mi przywalił, że wyrzuciło mnie przez drzwi. Miałem szczęście, że nie spadłem ze schodów plecami w dół.

Gdy się zerwałem i rzuciłem na niego z pięściami, nadbiegł tata.

– Przestańcie!!! Matko Boska, co się dzieje z tą rodziną?! – Rozdzielił nas siłą. Jeszcze przez chwilę rzucał się na końcach jego ramion jak dwie wściekle postacie z kreskówki. – Macie zejść na dół na obiad i od żadnego z was nie chcę słyszeć ani słowa.

Zaprotestowałem:

– Ale on mnie uderzył i krew mi leci z nosa...

– Nie obchodzi mnie to! W tej chwili na dół!

Bożonarodzeniowy obiad upłynął nam w całkowitej ciszy. Jedząc, balansowałam na nosie paczką mrożonego groszku. Luke próbował powstrzymywać płacz, ale oczy i tak mu się zaszkliły. Mama i tata nie odzywali się do siebie. Brian siedział ze wzrokiem wbitym w talerz, a gdy już skończył przepychać po nim śliwkowy pudding, którego nikt z nas nie lubił, oświadczył:

– Nienawidzę tej nędznej rodziny. Wszystkich was nienawidzę! – I wrócił do swojego pokoju, trzaskając drzwiami.

Mama spojrzała na tatę i zadrżały jej usta, a po chwili oboje zaczęli chichotać z bezsilności. Luke dołączył do nich, czując ulgę, że atmosfera się rozluźniła. W końcu ja też się uśmiechnąłem. Bo musicie wiedzieć, że w naszej rodzinie, jeśli się śmialiśmy, to zawsze z kogoś. A w tamte święta tym kimś był Brian.

2006

Susan i ja uzgodniliśmy podział opieki nad Daisy, co oznaczało, że przeważnie miałem młodą w weekendy, ale nie zawsze mi to pasowało, bo w soboty i niedziele odbywa się większość festiwali filmowych. „Więc zabieraj ją ze sobą” – oświadczyła Susan. Powtórzyłem zatem po raz kolejny, że te festiwale to dla mnie praca, że będę chodzić na spotkania i tak dalej, ale ani na sekundę nie zbiło jej to z tropu. „Zapominasz, że jak Daisy była mała, to braliśmy dla niej opiekunkę i jeździłam z tobą. Więc wiem, jakie tam odchodziły balety. Chłajeś i wciągałeś tyle koki, że nie było mowy o spaniu aż do powrotnego lotu. Zabierzesz ją ze sobą, dasz sobie siana z pićciem i ćpaniem i będziesz jej pilnować. Myślisz, że jak jest w weekend u mnie, to ja się nie poświęcam? Rany boskie, Will, naprawdę!”

W 2006 zabrałem Daisy do Cannes. Nie zrozumcie mnie źle, kocham swoją córkę, ale była wtedy w tym dziwnym wieku, kiedy dzieciaki wstydzą się obcych. Wcześniej wyglądała tak ślicznie, ale teraz naprawdę mocno obrosła w dziewczęce sadelko. Trudno było tego nie zauważyć. Najwyraźniej ona też to sobie uświadamiała. Festiwal filmowy w Cannes to impreza dla ładnych dziewczyn, nawet bardzo młode muszą być ładne. Tymczasem Daisy odmawiała noszenia sukienek, wstążek i innych dziewczynskich rzeczy i wydawało mi się, że chce wyglądać możliwie najmniej atrakcyjnie. Miała tylko dwanaście lat i do tego stopnia nie interesowała się kinem, że przechodzący obok Leonardo DiCaprio, Kate Blanchett czy inne hollywoodzkie gwiazdy nie robiły na niej wrażenia.

Ku mojemu rozczarowaniu nie lubiła nawet chodzić do kina, no chyba że Brian ją tam zabierał. Większość czasu spędzała z głową w książce, wiem, że to dobrze, ale przecież jestem filmowcem. Statystowała więc

w filmach i serialach, które kręciłem, dopóki Susan nie zakazała mi jej zatrudniać. Młoda nie miała z tego przyjemności i skarżyła się matce, że nie znosi całymi dniami wysiadywać po szopach i jeść wyschniętych kanapek w oczekiwaniu na zdjęcia do jednej sceny zbiorowej. W jej wieku, mogąc zarobić pięćdziesiąt euro za siedzenie na tyłku i zbijanie bąków, z radości wylazłbym ze skóry. Tymczasem ona miała wszystko w nosie, niewykluczone, że przeze mnie, bo nieźle ją rozpuściłem. Tak działa poczucie winy prawie rozwiedzionego ojca. Kupowałem młodej wszystko, czego zapragnęła. Susan nie była aż tak hojna. Przypuszczam, że powinniśmy byli zorganizować Daisy rodzeństwo, ale jej matka tylko raz dała się zaskoczyć ciąży i na drugą już nigdy nie była gotowa.

Co miałem zrobić z dzieckiem w Cannes? Była tam polska aktorka, z którą miałem nadzieję zacząć kręcić, a z Daisy nie było na to szans. Gdyby kobieta, którą się interesowałem, zaczęła nawijać o swoim synu czy córce, zniechęciłoby mnie to do awansów. Zakładałem, że babki mają tak samo. No bo dla kogoś, kto ma dzieciaka, nigdy nie będziesz numerem jeden, to miejsce zarezerwowane dla potomka.

Rozwiązanie mojego problemu zaproponował Brian. Kto by pomyślał!

– Mogę pojechać z wami? – spytał. Był ojcem chrzestnym Daisy i oboje trzymali się dość blisko. Buszował z nią po księgarniach i czytał to, co ona, więc mieli wspólne tematy. Słowem: poważnie traktował swoje obowiązki. Jak mi się zdaje, co miesiąc jadał kolację u Susan, przyprawdzając tam kolejne brzydkie dziewczyny, więc Daisy była przyzwyczajona do jego towarzystwa.

Szczerze mówiąc, Brian potrzebował przerwy. Najpierw opiekował się Lukiem, gdy ten wyszedł z odwyku, a gdy Luke się wystarczająco ustabilizował, Brian mógł wreszcie robić, co chciał. Skończył właśnie pracować na zastępstwie za nauczycielkę na macierzyńskim w szkole z internatem. Na pewno nie był dobrym nauczycielem, bo nie zaproponowano mu stałego etatu, ale też dlatego, że menedżerował Luke'owi, z takim zresztą skutkiem, że wycyckał naszego najmłodszego brata z jego domu, więc niespecjalnie było mi go żal. Ponieważ Brian

pracował nieregularnie, zawsze miał więcej czasu na opiekowanie się innymi. Na przykład pomagał mamie z ubezpieczeniem samochodu i naprawami w domu albo dbał, żeby Luke miał wykupione recepty i chodził na konsultacje z psychiatrą.

Pytając, czy może z nami jechać do Cannes, Brian trafił w dziesiątkę, bo dawał mi szansę zaistnieć w roli hojnego starszego brata, który opłaca mu lot i zakwaterowanie, w zamian za co on mógł, w razie potrzeby, popilnować Daisy. Nasz zespół produkcyjny wynajął willę z pięcioma sypialniami na wzgórzach za miejscowością Antibes. Oprócz Daisy byli tam moi współpracownicy – Mary i Gerald. W poprzednich latach całe noce upływały nam na balangach z takimi szychami jak Colin Farrell czy Russell Crowe, ale w tym roku musiałem zakazać imprezowania w willi. Moja córka nie potrzebowała oglądać wygłupów przedstawicieli międzynarodowego przemysłu filmowego.

Daisy wyraźnie ucieszyła się na wieść o wyjeździe. Zawsze lubiła spędzać ze mną czas i, mimo braku wspólnych zainteresowań, nigdy nie miała problemu, żeby opowiadać mi o szkole i swoich kolegach. Niejednokrotnie próbowała też jojczyć na swoją matkę. Susan była dla Daisy surowsza ode mnie. Za słabe oceny w szkole dawała młodej szlaban. Zmuszała ją też do uprawiania lekkoatletyki i innych sportów, które sama w jej wieku lubiła. Daisy nie wrodziła się w swoją matkę, ale Susan i ja wykazaliśmy się dorosłością, uzgadniając, że solidarnie nie będziemy tolerować narzekań młodej na drugiego rodzica. Decyzję tę podjęliśmy przy okazji urządzonej przez Daisy sceny pod tytułem „A mama nie chce, żebym miała pieska”.

W samolocie do Europy Daisy zajęła miejsce między mną a Brianem. Była ubrana na czarno i miała warkocze, jak ta dziewczyna z Rodziny Addamsów – jedyne go filmu, który uwielbiała. Pomyślałem, że może jednak mogę ją zabrać na kilka imprez, w charakterze maskotki. Jako śliczna, ale dziwaczna córeczka tatusia mogła się spodobać Natalii Agnieszce. W końcu kobiety są skonstruowane inaczej niż faceci. Może

zachęci ją mój wizerunek kochającego taty? Zresztą wcale nie będę musiał go udawać. Ubóstwiam swoją córkę.

W maju na Riwierze bywa bardzo ciepło, ale mimo nieznośnego upału Daisy nie chciała słyszeć o zdjęciu czarnej bluzy. Gdy na lotnisku w Nicei czekaliśmy na wypożyczony samochód, zauważyłem, że pot spływa jej na czoło.

– Widzę, że ci gorąco, Daisy. Przecież masz pod tą bluzą T-shirt, nie? Weź ją zdejmij.

– Nie! Odczep się!

Brian przysunął się do mnie i szepnął mi do ucha:

– Daj jej spokój. Ma pierwszy stanik. Jeszcze się nie przyzwyczała.

– Co? Skąd wiesz?

– Po prostu nic nie mów. Tylko pogorszysz sprawę.

Zająłem miejsce obok kierowcy i zacząłem się zastanawiać, dlaczego Susan wyjawia tak osobiste szczegóły, jak ten o staniku, Brianowi, a nie mnie.

Gdy dojechaliśmy do willi, Daisy wygramoliła się z samochodu i zbiegła prosto nad basen.

– Tato! O Boże, jak tu jest super! Wow! – Czyli udało mi się zrobić wrażenie na córce.

Mary przyszła się przywitać. Poprosiłem, żeby ustaliła, kto śpi w którym pokoju, i zaniósła tam nasze bagaże. Brian zmierzył mnie spojrzeniem.

– Czy Mary nie jest twoją menedżerką do spraw rozwoju?

– Jest. I co?

– Więc dlaczego nosi twoje toboły i podaje ci gin z tonikiem?

– Jezu, Brian, weź mi tu nie wyjeżdżaj z poprawnością polityczną. Mary dobrze zarabia i cały dzień czyta skrypty. Nic jej się nie stanie, jeśli czasem zrobi drinka swojemu szefowi.

– Gdybym to ja był ojcem Daisy, wołałbym jej dać inny przykład odpowiedniego traktowania kobiet.

– Tak? A ja, gdybym wyzebrał darmowy weekend na festiwalu w Cannes, to trzymałbym gębę na kłódkę.

Po południu, gdy już wziąłem prysznic i się przebrałem, nadąsany Brian zawiózł nas do Cannes. Kazałem mu kilka razy obrócić po La Croisette, żeby Daisy zobaczyła ten cały przepych. W końcu wysiadłem pod Grandem, ale młoda chciała wrócić do willi i poczytać nad basenem. Kazałem Brianowi przyjechać po mnie o czwartej.

Umówiłem się na hotelowym tarasie z Hobiem Fiernstromem z Los Angeles, reprezentującym Film Capital Equity, żeby pogadać o funduszach na następny film. Po kilku piwach zaproponował mi kreskę, ale odmówiłem, tłumacząc, że przyjechałem z córką i muszę być grzeczny.

– W jakim wieku? – spytał.

– Właśnie skończyła dwanaście lat – pośpieszyłem z odpowiedzią. – Lubi książki i muzykę.

– Trudno, co zrobić. Za młoda, nawet jak dla mnie. – Zmierzyłem go wzrokiem, ale on wyszczerzył się w uśmiechu i mnie szturchnął. – Żartuję, żartuję.

Miałem ochotę rąbnąć go w pysk i zrobiłbym to, gdybym tak bardzo nie potrzebował układu, który mógł zaproponować. Uśmiechnąłem się łaskawie i przysiągłem sobie, żeby już nigdy nie imprezować z tym kutafonem. W poprzednim roku jak trochę we dwóch popłynęliśmy, nie wiadomo skąd pojawiły się młode laski. Dopiero teraz dotarło do mnie, że mogły być bardzo młode.

Po skończonym spotkaniu wróciłem do willi. Swarovski wydawał w tym roku bankiet w hotelu Majestic, a Brian zgodził się wieczorem zabrać Daisy na miasto.

Przebrany w smoking spotkałem się z Mary i Geraldem w hallu. Mary nieźle się odstawiła: krótka spódniczka, cycki na wierzchu, szpilki jak szczudła. Gerald skomentował: „Wybierasz się na polowanie?”. Na co ona spojrzała na mnie przeciągle spod długich rzęs. Wiedziałem, że muszę położyć kres wszelkim myślom na mój temat, które kłębiły się jej w głowie, bo bujała się we mnie w tak ewidentny sposób, że było to aż żenujące. Nie

byłem na tyle głupi, żeby sypiać z podwładnymi, ale raz dla śmiechu klepnałem ją przy ludziach w tyłek. Bardzo jej się to nie spodobało. Wybuchła płaczem i uciekła z pokoju. Zrobiła się z tego wielka sprawa, a powietrze w biurze można było kroić nożem, ale klimat się poprawił, kiedy ją awansowałem. Nie przestała kupować prezentów urodzinowych dla mojej córki i byłej żony i co tydzień odbierała moje ubrania z pralni chemicznej. Umiała ratować słabe scenariusze i z wielu projektów wybierać takie, które odznaczały się oryginalnością i mogły potencjalnie spodobać się szerokiej publiczności. Bez niej bym sobie nie poradził. W jej osobie, za cenę jednej pensji, miałem osobistą asystentkę i menedżerkę do spraw rozwoju. Sądząc po jej wyglądzie, tamtego wieczoru musiałem się naprawdę mieć na baczności, żeby zachować dystans, bo wcale nie była nieatrakcyjna, choć nie w moim typie.

– No, Mary, powodzenia! Masz już kogoś na oku? – spytałem.

Popatrzyła na mnie znacząco, a Gerald zaśmiał się niezręcznie i powiedział:

– Mnie tam wszystko jedno, byle nie smaliła cholewek do Richiego Corsovo z Universalu. On jest mój. – Co rzekłszy, zamruczał i machnął ręką jak kot, wiedząc, że ten gest doprowadza mnie do szału.

– Dobra, idziemy.

Krzyknąłem „do widzenia!” Brianowi i Daisy, którzy luzowali się przy basenie, pijąc zimną oranżadę i piwo prosto z dobrze zaopatrzonej turystycznej lodówki. Moja córka nareszcie odważyła się zdjąć swoją przydużą bluzę i została w gładkim T-shircie i szortach. Według Susan Daisy była beznadziejnie odporna na modę. Wychodząc do ludzi, ubierała się tylko w takie łachy, w których mogła się ukryć przed ich wzrokiem.

– Pa, tato! – pomachała mi. Brian mnie zignorował.

W tamten piątek planowałem wrócić do domu około północy, żeby następnego ranka móc normalnie wstać i popływać z Daisy. Potem, w sobotę po południu, miała pójść ze mną na projekcję filmu Green Hearts i chciałem, żeby Mary zabrała ją na zakupy, bo w Cannes obowiązuje niepisana etykieta co do strojów, więc gdyby młoda uparła się, że idzie

w swojej czarnej, przepoconej bluzie, to po filmie nie mógłbym jej zaprosić na scenę, tak jak sobie to zaplanowałem. Susan ostrzegła mnie, że zakupy z Daisy mogą być wyzwaniem, więc kazałem Mary wyszukać wszystkie designerskie cool butiki z rzeczami dla nastolatek. To miała być niespodzianka.

Tamtego wieczoru zaraz po kolacji spotkałem się z Natalią Agnieszką – co bardzo mnie ucieszyło, ją chyba też. Większość czasu spędziliśmy na balkonie hotelu Majestic, tuż obok Pałacu Festiwalowego, nad promenadą Croisette, za którą Morze Śródziemne rozbijało się o brzegi. Postanowiłem, że spotkanie z Natalią rozegram na chłodno, w biznesowym stylu. Będziemy rozmawiać o niej: jej karierze, dzieciństwie spędzonym w Warszawie, o jej ojcu – koncertującym pianiście, a potem – być może – wypnie mi się nazwisko jakiejś sławy i przypomnę sobie, że mówiliśmy o scenariuszu, w którym jest rola dla kogoś o wrodzonych predyspozycjach, takich, jakie ma Natalia. Sztuczka, jak sądzę, polega na tym, żeby w rozmowie z laską nigdy nie wspominać o jej wyglądzie. To sprawia, że zaczyna jej tego brakować, bo choć współczesne babki domagają się uznania dla przymiotów swojego intelektu, to zdecydowanie pragną być podziwiane również za piękno. Polityczna poprawność to broń obosieczna. Na szczęście dobrze znam kobiety.

Niedługo po północy wykonałem klasyczny ruch z papierosami – zapaliłem dwa i właśnie podawałem jeden z nich Natalii, gdy na taras wtoczyła się Mary. Podeszła do nas, chwiejąc się trochę, i było widać, że coś brała.

– Will? Pogięło cię? Przecież ty nie palisz! – wyrzuciła z siebie i wyjęła papierosa z moich ust.

O Jezuu, no jasne, że nie palę. Ale wiedząc, że Natalia pali, na wszelki wypadek kupiłem eleganckie, długie papierosy z filtrem. No i oczywiście przydałyby się, gdyby nie przylazła Mary.

– Słuchaj, nie obraż się, ale jesteśmy w środku spotkania...

Ale Mary nie słuchała. Zamiast sobie pójść, chwyciła ciężkie krzesło z kutego żelaza i zaczęła je wlec do naszego prywatnego kącika, zgrzytając

nózkami po kamiennej posadzce balkonu.

– Nie znosisz dymu. Pamiętasz, jak wygarnąłeś Ronaldowi, że ohydnie śmierdzi? Autorowi zdjęć do Cofki! Niezły serial. – Po czym utkwiała wzrok w Natalii, która głęboko zaciągnęła się papierosem i wydmuchnęła długą smugę dymu prosto w twarz Mary.

– Możesz pójść znaleźć Geralda? Rozmawiam z Natalią o nowym scenariuszu...

– Do Wina imbirowego? Ale tam nie ma roli dla Natalii, no chyba że miałyby zagrać dogsitterkę...

– Nie – wycedziła Natalia. – Filmy ci się pomyliły. Mówimy o Pięknym kłamcy. W reżyserii Scorsese’ego.

Mary parsknęła śmiechem.

– Chryste Panie, Will, coś ty jej naopowiadał? On sobie tylko jaja robi.

Wstałem, złapałem Mary za ramię i odciągnąłem ją na bok.

– Co ty wyprawiasz?! Bawisz się w zazdrosną dziwkę, tak? Wiesz, że w firmie nie ma miejsca dla zazdrosnych dziwek?

Mary wytrzeszczyła oczy. Wtedy minęła nas Natalia.

– Dobranoc, William. Muszę już iść.

– Nie, zaczekaj! Ona jest pijana. Bzdury wygaduje!

Natalia schodziła już po schodach. Nawet się nie obejrzała.

Mary znów się zaśmiała.

– O mój Boże, powiedziałeś jej, że robisz film z Martinem Scorsese, a ona ci uwierzyła? Jest głupia czy jeszcze głupsza?

To nie był cios pięścią, więc nie zostawił śladu. Wymierzyłem jej siarczysty policzek. Nie miał w sobie nic z tamtego figlarnego klapsa, który zapewnił jej awans. Odgłos chłaśnięcia zwrócił na nas uwagę gości siedzących na drugim końcu balkonu. Zdałem sobie sprawę, że trzeba natychmiast ograniczyć szkody. Przyciągnąłem Mary do siebie i przytuliłem ją mocno, ale zaczęła się szamotać i wyrywać.

– Mary, przepraszam cię!

W tej chwili wyrósł obok nas niski Anglik. Zebrało mu się na zgrywanie bohatera.

– Nic ci nie jest, kochanie? Facet ci się naprzykrza?

– Wszystko w porządku, dziękujemy – uciałem.

– Nie mówiłem do ciebie, koleś – warknął agresywnie. – Na pewno wszystko w porządku? – zwrócił się ponownie do Mary. Gdy się do niego odwracała, musnąłem palcami jej dłoń.

– Jest okej – burknęła sztywno.

– Stamtąd wcale nie wyglądało okej. – Podał jej swoją wizytówkę. – Gdybyś potrzebowała świadka, zadzwoń.

Następna godzina upłynęła mi na przeproszaniu Mary. Wypiliśmy dwie butelki szampana, a ja tłumaczyłem, że chcę obsadzić Natalię w fabule, o której nie zdążyłem Mary powiedzieć, a scenariusza nie czytała, bo projekt jest jeszcze ściśle tajny (żadnego scenariusza nie było). W pijanym widzie narzekała, że skoro jest menedżerem do spraw rozwoju, to żadnych scenariuszy nie wolno trzymać przed nią w sekrecie, i że jeśli mam zamiar robić film z Martinem Scorsese, to ona ma pełne prawo, żeby o tym wiedzieć. Wywlekła wszystkie żale, które do mnie miała za to, jak ją traktowałem przez cały rok.

Wcześniej była sekretarką. Nowy tytuł uderzył jej do głowy. Kazała sobie tłumaczyć, dlaczego nie zatrudniłem nowej osoby do sekretariatu. Bo teraz musi opędzać dwa etaty jednocześnie. Powiedziałem, że z powodów osobistych. Że chcę mieć ją blisko siebie. I że trudno mi w naszych relacjach zachować profesjonalizm. Łyknęła ten bullshit jak pelikan. Zarzuciła mi ręce na szyję, bełkocząc, że nie miała pojęcia o stresie, w jakim żyję. Że pragnie tego samego, co ja. Po czym zaproponowała, żebyśmy wzięli powrotną taksówkę. Tak czy inaczej, zrujnowała mi wieczór. Chciałem się już tylko położyć spać.

Gdy wróciliśmy do willi, usiadłem w atrium i wyciągnąłem teczkę, żeby poukładać sobie sprawy na następny dzień. Mary przyszła z kolejną butelką wina i dwoma kieliszkami. Powiedziałem jej, że mam już dość.

Jako pijana fleja była nieatrakcyjna i mocno mnie już znudziła. Gdy spróbowała mnie pocałować, wybuchłem:

– Mary! Co ty robisz?! Jestem twoim szefem!

Odsunęła się i zaczęła histeryzować:

– Uderzyłeś mnie! Mam świadków!

Wyjęła z kieszeni wizytówkę tamtego gościa. Wyrwałem jej kartonik z ręki i podarłem na strzępy, potem odepchnąłem ją mocno, tak że upadła na kanapę. Cała ta akcja wyszła mi chyba brutalniej, niż zamierzałem.

I wtedy zobaczyłem moją córkę. Stała na półpiętrze w drzwiach swojego pokoju.

– Tato? Tato! Przestań!

Ile z tej sceny widziała? I co słyszała? Wybuchła płaczem, wycofała się do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami.

Otworzyły się drzwi do pokoju Briana.

– Co tu się dzieje, do cholery?

Ani Mary, ani ja nie odpowiedzieliśmy na to pytanie. W całym domu zaległa cisza, w której słyszeć było tylko przerywany szloch Daisy.

– Jezu Chryste, Will! – Wszedł do pokoju młodej i zamknął za sobą drzwi.

– Idę spać – oświadczyłem Mary. – A ty się ogarnij, głupia ździro.

Następnego ranka obudziłem się późno. Dopiero teraz przeraziłem się tym, co zaszło poprzedniego wieczoru, i jak to mogło wyglądać w oczach Daisy.

Mary siedziała na tarasie. Jadła croissanty i piła czarną kawę.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś? – Wciąż byłem na nią wściekły.

– Nie jestem twoją pieprzoną zegarynką. – Wróciła do wnętrza willi.

Brian wyjrzał przez okno.

– Daisy siedzi nad basenem i wypłakuje oczy. Coś ty nawyprawiał nocą?

Wtedy zobaczyłem moją córeczkę. Tkwiła skulona na jednym z leżaków do opalania i ciężko łąpała powietrze, trzęsąc się od szlochu.

*

W tamtym czasie już od dwóch lat byliśmy z Susan w separacji. Dużo rzeczy w naszym małżeństwie nie działało i oddaliliśmy się od siebie. Gwoździem do trumny była moja niewierność, ale Susan też się zmieniła. Stała się bardziej wymagająca i trudniej ją było zadowolić. Gdy wróciła na studia, żeby zrobić magisterkę, zaczęła spotykać się z bandą wojujących feministek, które jeszcze bardziej ją zepsuły. Coraz częściej twierdziła, że jestem seksistą i że moja matka jest seksistką, co było idiotyczne, bo jak kobieta może być seksistką? Wszystko zaczęło się kręcić wokół ról przypisanych płciom i tego, że mój wkład w wychowanie Daisy jest niewystarczający. Że niby Susan zajmowała się wszystkim co konieczne, czyli chodziła na zebrania rodziców, kupowała podręczniki, latała z młodą po lekarzach z jej egzemą, odrabiała z nią prace domowe itede, itepe, a mnie najwyraźniej zostawiała tylko „zabawa”, czyli chodzenie na jej szkolne koncerty, zabieranie do kina na premiery, do biblioteki, a w weekendy – na plac zabaw.

Nie opuściłem rodziny. To żona mnie odrzuciła i wygnała z domu, nie była więc wcale ofiarą i męczennicą, którą udawała. A przy tym pozostała bardzo atrakcyjna. Prawdę mówiąc, pół roku wcześniej zdarzyło nam się wylądować w łóżku, co oboje uznaliśmy za błąd, choć wydaje mi się, że żadne z nas go nie żałowało.

W czasie dwóch lat separacji udało nam się z Susan wynegocjować coś w rodzaju pokoju. Jedyłą jego zasadą było: nie zasmucać Daisy. Rozpad naszego małżeństwa głęboko nią wstrząsnął. W ciągu trzech lat ze szczęśliwego, radosnego dzieciaka stała się nadąsanym, roszczeniowym bachorem. A teraz na dodatek widziała, jak szarpię się z kobietą. Miałem nadzieję, że słyszała też, jak odrzucam awanse Mary.

Brian poszedł do Daisy, żeby ją pocieszyć, a ja wziąłem prysznic i nałatem sobie kubek świeżej kawy. Mary zeszła na dół z umytą twarzą. Miała głupią minę.

– Co do wczorajszego wieczoru... Daisy się przestraszyła. Muszę się skupić na niej. Jest moją córką.

Mary położyła dłoń na mojej ręce.

– Rozumiem.

Ze złością odsunąłem jej rękę.

– Nie wydaje mi się. – I powiedziałem jej, że na resztę pobytu w Cannes powinna sobie znaleźć inne zakwaterowanie.

Daisy nie chciała ze mną rozmawiać. Brian – to mu trzeba przyznać – robił co w jego mocy, żeby nas pogodzić, ale młoda kategorycznie odmówiła wszelkich kontaktów ze mną i nie ruszyła się znad basenu. Zaproponował więc, że zabierze ją na wycieczkę. Do Monako można było podjechać pociągiem. Powiedział, że weźmie ją do oceanarium, zobaczą prawdziwy pałac, zjedzą obiad i popływają w basenie przy porcie, jeżeli Daisy da się namówić na włożenie kostiumu kąpielowego. Ucieszyłem się. Przynajmniej miło spędzi czas i będzie bezpieczna z Brianem. Wręczyłem mu pięćset euro i kazałem, żeby jej kupił wszystko, co będzie chciała.

Potem poszliśmy z Geraldem i Mary na projekcję naszego filmu. Gerald wygłosił kilka złośliwych komentarzy o dramatyzowaniu i napięciach w czasie zdjęć. Mary była zdawkowa i uprzejma, ale ogółem wszyscy podeszliśmy do witania potencjalnych nabywców i klientów profesjonalnie. Sala miała czterysta miejsc i na oko była wypełniona w dwóch trzecich, co stanowiło całkiem niezły wynik jak na niezależny film z Irlandii. Natalia się nie pojawiła, nie odpowiadała też na moje SMS-y. Na wieczór miałem umówionych kilka spotkań. Zadzwoiłem do Briana. Powiedział, że właśnie wracają z Daisy z Monako. Spytałem, czy zjedzą z nami kolację w Le Maschou na canneńskiej starówce, a on odparł, że w drodze do domu planują skoczyć do McDonalda. Rozmawiał ze mną na luzie i bez spiny. Zapytałem, czy mogę pogadać z Daisy, ale stwierdził, że młoda jest zmęczona i może jutro zacznie się do mnie odzywać.

Jezu, myśl o rozmowie z własną córką wzbudziła we mnie taki lęk, jak w dzieciństwie rozmowa z dyrektorem szkoły.

– Dzięki, Brian – mruknąłem.

– Ta, spoko – odburknął. On też był na mnie wściekły, ale nie chciał, żeby Daisy to widziała.

Poszliśmy na kolację. Mary jak zwykle wypła za dużo wina i znów próbowała ze mną rozmawiać, ale byłem zajęty przymilaniem się do gości od marketingu pracujących dla jednego francuskiego finansisty, który – wiedziałem to na pewno – miał jacht. Z tyłu głowy kombinowałem, że gdyby udało mi się skołować zaproszenie na imprezę na tym jachcie dla siebie i Daisy, to młoda mogłaby zapomnieć o nocnych ekscesach. Czy nie byłoby super, gdyby za parę dni w szkole mogła pochwalić się tym jachtem swoim koleżankom? Niestety zaproszenie się nie pojawiało, mimo moich usilnych aluzji. Gdy wieczór miał się ku końcowi, monsieur stwierdził, że nie jest upoważniony, by zaoferować mi dalsze finansowanie, ale dziękuje za gościnność. I wyszedł. Mary natychmiast zajęła jego miejsce, lecz ja odwróciłem się do siedzących po lewej stronie gości ze swędzącymi nosami, a gdy wyszli do toalety, poszedłem z nimi i razem wciągnęliśmy kilka kresek. Kop, jaki mi dały, nie był przyjemny, ale pokręciłem się jeszcze trochę, dopóki nie dopadło mnie zmęczenie skumulowane w ciągu kilku ostatnich dni. Przeprosiłem, kogo trzeba, i wróciłem do willi.

Brian i Daisy leżeli już w łóżkach. Wziąłem sobie piwo i przez chwilę próbowałem oglądać telewizję, ale wciąż byłem spięty i miałem gonitwę myśli. Po pół godzinie zjawiała się Mary. Gerald spiknął się z gościem z Frankfurtu i oświadczył, że zobaczymy się następnego dnia. Mary powiedziała, że jak tylko wrócimy do Dublina, składa wymówienie.

– Im wcześniej, tym lepiej – burknąłem.

Wstałem, poszedłem do swojego pokoju i zamknąłem drzwi. Z drugiej strony dobiegł mnie głos Mary:

– Nie zapomnę o tym, że mnie uderzyłeś w twarz, i mam na to świadków.

Wziąłem dwie pigułki valium, żeby zapanować nad wzbierającą we mnie wściekłością, i położyłem się spać.

Do domu mieliśmy wracać w niedzielę wieczorem. Do tego czasu Daisy nie ruszyła się znad basenu. Brianowi udało się kupić jej nowy T-shirt z podobizną księżnej Grace. Młoda powiedziała mu, że widziała, jak biję się z Mary.

– Nie biłem się z nią, tylko ją odepchnąłem, bo chciała mnie pocałować. To nie ja tu jestem czarnym charakterem.

Wiem, że mi nie uwierzył. Wcześniej wyjaśnił Daisy, że dorośli są skomplikowani i najlepiej by było, gdyby po prostu spróbowała zapomnieć o tym, co widziała. Powiedział, że chciała wiedzieć, czy z Susan też się biłem. I czy byłem brutalny wobec niej. Biedactwo! Mało mi serce nie pękło.

Odbębniłem spotkania i wróciłem do willi, żeby się spakować. Mary wyjechała już wcześniej na lotnisko z Geraldem i przysłała mi nadęty SMS. Daisy była sama w kuchni.

– Hej, kochanie, przepraszam cię...

– Nie chcę o tym gadać, tato.

– Wiesz, dorośli czasami robią strasznie głupie rzeczy, chociaż wcale nie chcą ich robić. Mary próbowała mnie pocałować...

– Tato, proszę cię...

– To była naprawdę niezręczna sytuacja. Wiesz, że nigdy nie tknąłem palcem twojej mamy...

– Weź się, kurwa, zamknij!

– Daisy! – Ten bluzg i jej ton mnie zszokowały.

– Słyszałeś, że nie chcę o tym rozmawiać. Nigdy. I nie, nie musisz się bać, że powiem mamie, bo wiem, że by się zdenerwowała.

– Daisy... Przepraszam.

Wzięła swoją małą walizkę i wyszła na zewnątrz do mojego brata, który czekał już przy bramie.

Podczas powrotnego lotu siedziała przy oknie, z Brianem. Dla mnie zostało miejsce po drugiej stronie przejścia. W taksówce z lotniska do domu Susan młoda wreszcie podniosła głowę i spojrzała mi w oczy.

– Tato, musisz sobie kupić szczeniaka, żebyś się miała z kim bawić, jak będę cię odwiedzać. – To było bardziej polecenie niż prośba.

1984

Gdy dostaliśmy bilety na koncert Boba Dylana pod zamkiem Slane, przez jakiś czas byłem oficjalnie najrówniejszym chłopakiem w klasie, choć nie wspomniałem kolegom, że wybieram się tam z mamą i tatą. Na ścianach świetlicy chłopaków z szóstej klasy wisiały jego plakaty, a według mnie, choć nie bardzo znałem jego muzykę, chłopaki, którzy słuchali Dylana, byli znacznie bardziej na czasie od kumpli z mojej klasy, fanów modniejszych kapel jak Depeche Mode czy Duran Duran. Ci ostatni nosili wielkie, falbaniaste bluzy i mieli idiotyczne kanciaste fryzury. Tamte starsze chłopaki, hipisi, miały długie włosy i ubierały się w normalne koszule z guzikami. Brat mojego kumpla Steve'a miał w domu kilka płyt Dylana, które Steve od niego „pożyczył” i dał je mi.

– Rany boskie, co to za jazgot? – spytał tata, gdy pierwszy raz puściłem Desire.

Westchnąłem ciężko.

– To Bob Dylan, tato. Za miesiąc idziemy na jego koncert, nie pamiętasz?

– Chryste Panie, czy on ma coś z zatokami?

Mama wtrąciła się do rozmowy:

– Nie bądź takim filistrem, Martin. Naprawdę zaczynam czuć różnicę wieku między nami.

Mama leciała na wszystko, co było popularne. Choć zanim dostaliśmy zaproszenie na koncert, nigdy nie słyszałem, żeby wspominała o Dylanie.

Była o piętnaście lat młodsza od taty. Urodziła mnie, gdy miała dwadzieścia dwa lata, a ja nie cierpiałem tego, że często wywleka tę różnicę wieku, zwłaszcza w obecności ich wspólnych znajomych. Nie znośmłem też

jej żartów, że kiedyś zostawi tatę dla młodszego faceta. Obawiałem się, że pewnie któregoś dnia to zrobi. Postanowiłem, że sam, gdy dorosnę, ożenię się z kobietą w swoim wieku, żeby moje dzieci nie miały mnie za dziada, a żona nie myślała, że jestem stary.

Nie miałem jeszcze skończonych szesnastu lat i myśl o tym, że idę na prawdziwy koncert rockowy, mocno mnie podniecała. Mama nie bardzo chciała nas zabrać, ale tata się uparł, że mamy iść. Poszedł do biblioteki, żeby poczytać o Dylanie, gdzie się dowiedział, że Bob jest nowo nawróconym chrześcijaninem, więc jego piosenki dobrze nam zrobią.

Luke nie mógł pójść, bo rodzice stwierdzili, że jest za młody i zbyt wrażliwy, żeby go ciągnąć w ten tłum. Wciąż jeszcze byliśmy zszokowani sceną, którą urządził pięć lat wcześniej, gdy mama śpiewała podczas mszy papieskiej.

Szacowano, że na koncercie Dylana, który miał się odbyć na polach wokół zamku w Slane, pojawi się sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Mama знаła właściciela zamku. Był lordem. Na półce nad kominkiem stało nawet ich wspólne zdjęcie.

Tata wyobrażał sobie, że ten koncert będzie podobny do mszy papieskiej, że pójdziemy na piknik, ale będzie trudno o miejsce do parkowania. Mama powiedziała mu, żeby nie był śmieszny. Mieliśmy przepustkę za kulisy, gdzie nas napoją i nakarmią wraz ze sławami. I że pewnie będę miał okazję poznać Boba.

– Czy tam będą sami hipisi? – zaniepokoił się tata.

Spojrzenie, którym go przeszyła, mogłoby przeciąć diament.

Ponieważ jak na swój wiek byłem wysoki, zdecydowanie mogłem uchodzić za osiemnastolatka. Oprócz prawa do chwalenia się tą przygodą, szczególnie interesował mnie fakt, że na koncercie miało być mnóstwo pijanych dziewczyn. Zdawałem sobie sprawę, że jestem przystojny. Mama często mówiła, że żałuje, że moi bracia nie są tak przystojni jak ja.

Wieczorem w przeddzień koncertu napełniłem małą butelkę po lemoniadzie ginem z barku rodziców, a brak w butelce uzupełniłem wodą. Niespecjalnie miałem ochotę pałętać się w strefie dla VIP-ów ze

znajomymi moich rodziców, przeważnie starymi piernikami. Mama zakazała nam brać zeszyty na autografy i, choć na koncercie grali UB40 i Santana, nie wolno nam było zawracać im głowy.

W drodze na koncert musieliśmy dwa razy stawać, żeby Brian mógł się wysikać. Za pierwszym razem mu się nie udało, bo krowa go obserwowała.

Po godzinie spędzonej w kolejce na parking i następnej w kolejce do wejścia, wijącej się ścieżką odgradzoną linkami, znaleźliśmy się pod zamkiem. Był wspaniały. Na lewo od niego zbudowano ogromną scenę, przed którą rozciągało się zielone pole w kształcie naturalnego amfiteatru, które już zaczęło się wypełniać ludźmi. Za zamkiem płynęła bystrym nurtem rzeka Boyne. Pokazaliśmy wrogo nastawionej ochronie przy wejściu do zamku nasze VIP-owskie zaproszenia i otrzymaliśmy dostęp do wszystkich stref.

Pierwszą żenadę tego wieczoru zafundowała nam mama, gdy wrzasnęła przez wielki hall do Bono. A mieliśmy nie zawracać gwiazdom głowy. Mama nigdy osobiście nie poznała Bono, ale ponieważ sama była sławna, oczekiwała, że on powinien znać ją. Gdyby miała parę lat więcej, spokojnie mogłaby być jego matką, wiekiem było mu bliżej do mnie niż do niej. Ukłonił się grzecznie w naszą stronę, a mama popchnęła mnie do przodu.

– O, cześć, Bono! William jest twoim wielkim fanem. Ma nawet w domu kubek z U2, prawda, kochanie?

O Boże. Nie tak sobie wyobrażałem spotkanie z moim idolem. Wolałbym wpaść na niego w barze i tam pogawędzić z nim w towarzystwie jakichś ładnych lasek. Brian automatycznie podniósł rękę do twarzy, żeby zasłonić nos, i bez żenady, łamiąc ustalony zakaz, wypalił:

– Mogę prosić o autograf?

Na co Bono zmierzwił mu włosy i powiedział:

– Jasne, stary! Może wpadniesz poczilować do sali bilardowej? Widziałem tam fajne dzieciaki.

Brian skwapliwie nadstawił zakazany zeszyt do autografów, który miał w kieszeni. Mama się zmyła, gawędząc z jakimś ministrem, który chyba

usiłował być trendy, bo wprawdzie włożył garnitur, ale nie miał krawata. Otrzymawszy od Bono zamaszysty autograf, mój brat odbiegł w stronę sali bilardowej.

Ponieważ ja wciąż jeszcze nie odezwałem się słowem, tata pchnął mnie naprzód.

– W naszej rodzinie William jest pana największym fanem, prawda, synu?

Do głowy nie przychodziło mi nic, co mógłbym powiedzieć facetowi wiszącemu na plakacie w moim pokoju, poza tym – dostosowując się do głupiego zarządzenia mamy – nie miałem zeszytu do autografów.

– Który numer lubisz najbardziej? – spytał Bono, i tym razem naprawdę mówił do mnie.

Dostałem całkowitego zaćmienia umysłu. W głowie rozbrzmiewało mi tylko to, że Bono nazwał Briana starym, chociaż mój brat nie miał ani jednego albumu U2. Był właścicielem tylko dwóch płyt: Bananaramy i Boomtown Ratsów. Tata szturchnął mnie w ramię.

– Śmiało, Wacusiu, powiedz panu Bono, jakie masz płyty. – Wacus. I pan Bono.

Zagulgotało mi w gardle. Dwa miesiące wcześniej zaczęła mi się mutacja, a teraz – bez żadnego powodu – zapałem jak Michael Jackson:

– Mam wszystkie wasze płyty.

– Super! – oświadczył Bono.

– Czy ja też mogę dostać autograf?

– Jasne.

Spojrzał na mnie z wyczekiwaniem, ale nie miałem żadnego papieru ani niczego do pisania. Tata zauważył, że wiję się niezręcznie. Znalazł jakiś list i długopis w wewnętrznej kieszeni marynarki. Bono podpisał się na odwrocie koperty, a ja popatrzyłem na tatę z wdzięcznością.

– Chyba się trochę zawstydził – wyjaśnił tata.

Wtedy na schodach pojawiła się piękna kobieta i zawołała Bono. Laska mogła być jego żoną, bo wyglądała naprawdę odłotowo. Pomyślałem, że

pewnego dnia też się z taką ożenię.

– Muszę lecieć. Dobrej zabawy, chłopie! – rzucił Bono, wciskając mi do ręki kopertę. Przynajmniej nazwał mnie chłopem.

Tata pchnął mnie w stronę sali bilardowej i odszedł szukać mamy. Od razu się skapowałem, że ten bilard to jest przechowalnia dla dzieciaków. Wszyscy byli tam młodszy ode mnie. Brian grał w Connect 4 z dziewczynką wyglądającą na pięciolatkę. Nie było opcji, żebym tam został. Powiedziałem Brianowi, że idę do ludzi pod scenę i żeby przekazał rodzicom, że wrócę po secie Dylana.

– Idę z tobą! – Brian aż podskoczył.

– Chyba cię posrało – uciałem.

Dziewczynka podniosła wzrok.

– Powiedziałeś brzydkie słowo.

Odszedłem szybkim krokiem, bo Brian zaczął szukać swojej kurtki. Mała uczepiła się jego ramienia, pewnie nie chcąc stracić nowego kolegi. Po chwili spojrzał na mnie, pokręcił głową i ponownie usiadł z dziewczynką. Znalazłem się w wielkim hallu. Mama stała z jakimś politykiem i śmiała się, a tata udawał pochłoniętego obrazami. A może i nie udawał, historia była jego konikiem. Tak czy inaczej, był najstarszą osobą na tym koncercie. Przekradłem się niezauważony obok nich i wyszedłem na zewnątrz przez ogromne wrota.

Przed zamkiem wyjąłem z kieszeni kopertę z autografem. Odwróciłem ją. Tata dał Bono do podpisania list od lekarza z zaproszeniem na wizytę w sprawie wyników badania prostaty. Ohyda. Jak miałem komuś pokazać taki autograf? Co gorsza, Bono napisał: „Wspaniałego dnia, Wacku! Bono”, a obok narysował kwiatek. Trochę gejowsko... Milion razy mówiłem tacie, żeby nie nazywał mnie Wackiem, ale on się upierał, że to z czułości. W szkole przezywali mnie tak moi wrogowie. Miałem więc autograf z kwiatkiem, dla Wacka, na liście o tyłku mojego ojca. Zmiałem kopertę i rzuciłem ją na ziemię. Wtedy dobiegł mnie krzyk ochroniarza: „Ej, podnieś to, gnojku!”. Ruszył w moją stronę krokiem kafara, więc dałem w długą, żeby ukryć się w gęstniejącym tłumie widzów.

Na scenie grała już jedna z kapel występujących jako support – In Tua Nua. Jej frontmenką była ładna blondynka, ale żadne znane mi spokoziomki nie lubiły kapel, których liderkami były laski, więc nie słuchałem, tylko ruszyłem w głąb tłumu. Ludzie przeważnie siedzieli na trawie, pili, palili i się całowali. Wszędzie już walały się śmieci. Ucieszyłem się, że nie ma tu taty, bo z pewnością przyłączyłby się do tamtego ochroniarza i zaczął męczyć ludzi, że mają po sobie posprzątać.

Rozglądałem się za bratem Steve'a, Markiem, ale na polu pod sceną były już dziesiątki tysięcy osób. Przypomniałem sobie, że w kieszeni kurtki mam butelkę z „lemoniadą”. Wziąłem kilka łyków, ale smak był taki, że musiałem się postarać, żeby się nie krzywić. Miałem przy sobie cztery funty, więc stanąłem w kolejce do namiotu z piwem. Widziałem, że sprzedają ludziom młodszym ode mnie, ale niektórych pytali o dowód. Kilka tygodni temu tata skonfiskował mi fałszywą legitymację i jeszcze nie zdążyłem skołować sobie nowej, bo laminarka należąca do ojca Steve'a zepsuła się od nadmiernego używania. Steve zbił małą fortunę, sprzedając laminowane kserokopie legitymacji studenckich po funcie od sztuki.

Kolejka zapowiadała się na pół godziny stania, a większość ludzi czekała w grupkach. Chłopaki, które stały za mną, były z pięć lat starsze i kompletnie mnie ignorowały. Za to stare jak świat babki znajdujące się przede mną, które mogły mieć koło trzydziestki, były całkiem zabawne. Przepadały za Dylanem i nabijały się, że jestem takim szczawiem. Gdy przyszła ich kolej, jedna z nich kupiła mi browara i tym samym ocaliła od potencjalnego wstydu, gdyby w namiocie nie chcieli mnie obsłużyć. Nawet nie wzięła ode mnie kasy! „Pij z rozwągą” – powiedziała. „Żeby cię mama nie okrzyczała”. Wszystkie trzy zarechotały wesoło i sobie poszły.

Pierwszy support skończył grać i zapanowała cisza, a na estradzie uwijali się już techniczni, przygotowując ją do występu Santany. Pod sceną zaczęło się robić coraz gęściej, ale nie ruszyłem tam jeszcze, próbując wypatrzeć w tłumie kogoś znajomego. Pomachałem do dwóch starszych dziewczyn z naszej ulicy i powiedziałem im „cześć”, ale udały, że mnie nie widzą, więc zrobiło mi się łyso.

Gdy na deski wszedł Santana tłum wydał z siebie ryk, a ja poczułem przyływ adrenaliny. Tabun ludzi, który ruszył pod scenę mało mnie nie rozdeptał. Musiałem się mocno trzymać. Przez jakiś czas słuchałem, jak grają. Ocknąłem się dopiero przy długaśnej gitarowej solówce. Poczułem głód, więc stanąłem w kolejce do foodtrucka z żarciem. Kolejne pół godziny stania. Przegapiłem końcówkę występu Santany. Nikt w kolejce nie odezwał się do mnie słowem. Paskudniejszych frytek nigdy nie jadłem, a za nędzną porcyjkę kasowali dwa funty! Zdażyłem włożyć sobie do ust ich jedną garść, gdy wpadła na mnie jakaś pijana dziewczyna i rozsypała resztę mojej kolacji na ziemi. „Sorka!” – wymamrotała. Oczy miała rozbiegane i nie mogła być dużo starsza ode mnie. Średnio ładna. Nic specjalnego, ale była pijana, więc prawdopodobnie miała piwo albo dostęp do niego, a przy odrobinie szczęścia mogło mi się trafić macanko. Wyszczrzyłem się do niej, odpowiedziała uśmiechem.

– Jak masz na imię?

– Stella. – Zatoczyła się, a ja złapałem ją w pasie, pozwalając, żeby moja ręka zsunęła się trochę na jej biodro.

– Ups – zaśmiała się. – Jestem troszkę nawalona. Danny znalazł sekretny barek swojej matki. – Nie dowiedziałem się, kim jest Danny, ale zrobiło mi się żal gościa, że ma mamę alkoholicką.

Następną rzeczą, jaką poczułem, było uderzenie w bok głowy, po którym wylądowałem na ziemi. Na moje żebra i brzuch posypał się grad ciosów i kopniaków.

– Zabierz łapy od mojej dziewczyny, zasrańcu! – ryknął mi ktoś w twarz.

Stella krzyknęła:

– Danny! Przestań! Danny! – A tłum rozstał się, żeby przypadkiem nie oberwać od okładającego mnie pięściami i nogami Danny’ego.

Instynktownie zasłoniłem ramionami głowę i krocze, odsłaniając plecy i tyłek, z czego wściekły Danny skwapliwie skorzystał. Nagle kopniaki ustały. Popatrzyłem przez krwawą zasłonę na tłum, w którym szybkim krokiem oddalał się Danny z wyjąca jak upiór Stellą, uczepioną pleców jego koszuli. Podeszło kilka osób i przykucnęło wokół mnie. Nie mogłem złapać

powietrza, a jednocześnie zebrało mi się na wymioty. Jakaś starsza kobieta próbowała mnie przytulać, ktoś narzucił na mnie koc, a ktoś inny krzyknął: „Odsuńcie się!”. Poczulem zawroty głowy i musiałem zemdleć.

Ocknąłem się w namiocie pierwszej pomocy służby medycznej St John Ambulance.

– Wszystko w porządku, synu? – spytał facet z podkreconymi wąsami, w mundurze i mundurowej czapce, świecąc mi w oczy małą latarką. Wyglądał tak, że spokojnie mógłby służyć w okopach pierwszej wojny światowej, więc przez chwilę myślałem, że mam halucynacje. – Dostałeś ciężki łomot, chłopie. Nie wiem, czy tutaj zdołamy cię połatać. Będziesz musiał pojechać do szpitala Navan na rentgen.

Wszystko mnie bolało. Wreszcie zorientowałem się, gdzie jestem. Z zewnątrz dobiegał pomruk tłumu. Staralem się ignorować pacjenta wymiotującego na leżance obok.

– Jak się nazywasz? – spytał Wąsaty.

Przedstawiłem się, pokazałem mu swoją kartę wstępu do wszystkich stref i wyjaśniłem, że moi rodzice i brat są na zamku, w strefie dla VIP-ów. Natychmiast się zorientował, że nie mam szesnastu lat, czyli jestem nieletni. Ze sceny rozległa się piosenka Red Red Wine UB40. Ludzie wiwatowali, śpiewali z zespołem, a do mnie dotarło, że to jest jak dotąd najlepszy moment całego koncertu. Patrząc przez szczelinę między połami namiotu, stwierdziłem, że jestem na lewo od estrady. Było tam widać jak cały tłum, na bank pięćdziesiąt tysięcy ludzi, kołysze się, faluje i bawi, a ja poczułem, że chce mi się płakać, bo wiedziałem, że nie wezmę w tym udziału, że ten dzień się dla mnie skończył i nie zobaczę już Boba Dylana, a krew na twarzy i piekielny ból przy oddychaniu znaczą, że trafię do szpitala. Ale przynajmniej mama zaraz tu będzie.

Gdy zrobiło się ciemno, UB40 zeszło ze sceny, ale w ciszy między występami słychać było mocno podekscytowaną publikę. Niedługo miał się pojawić główny artysta wieczoru. Przez szparę w połach namiotu czuło się w powietrzu elektryzującą atmosferę oczekiwania.

Pojawił się zwalisty strażnik i spisał moje zeznanie. Opisałem Danny'ego najlepiej jak się dało, ale nie miałem nadziei, że uda im się znaleźć „młodego gościa z długimi włosami, w dżinsowej kurtce i spodniach”, bo opis ten pasował do mniej więcej trzydziestu tysięcy innych ludzi na koncercie, w tym do mnie.

Usłyszałem ryk tłumu. A więc na scenie pojawił się Dylan. Spróbowałem usiąść, ale w żebro dźgnął mnie taki ból, że opadłem na leżankę i znów straciłem przytomność, tym razem na krótko.

Jakąś godzinę później zjawił się tata, wlekąc ze sobą Briana. Nadal mnie bolało, ale Wąsacz dał mi jakieś pigułki, więc ból był znośniejszy.

Na mój widok Brian odwrócił wzrok. Tata zbladł jak ściana.

– Mój Boże, co ci się stało? Nie mogliśmy znaleźć mamy. Chyba jest gdzieś za kulisami. Wdałeś się w bójkę? Lekarz mówi, że musimy jechać do szpitala. Boli cię? – Miał bardzo zatroskaną minę. W tej chwili kochałem go tak bardzo, jak nienawidziłem swojej matki, która bez wątpienia flirtowała na zamku z jakimś facetem, na pewno młodszym od taty.

Trafiłem na noszach do ambulansu, do którego oprócz mnie i ratowników wtłoczyli się tata i Brian.

– A gdzie mama? – jęknąłem. Tata obrzucił mnie zasepionym spojrzeniem.

– Prosiłem wszystkich, żeby jej przekazali, co się stało. W końcu nas znajdzie.

Dojechaliśmy do małego szpitala. Gdy zrobiono mi prześwietlenie, okazało się, że mam trzy pęknięte żebra, stłuczoną kość ogonową, obszerne uszkodzenia tkanki miękkiej na brzuchu i rozcięcie nad lewym okiem wymagające czterech szwów. Owinęli mi klatkę piersiową bandażem i zatrzymali mnie na noc na obserwację. W szpitalu był duży ruch. Usłyszeliśmy, że dwóch chłopaków utopiło się w rzece Boyne, gdy próbowali ją przepłynąć, żeby wejść na koncert za friko. Nie chciałem o nich myśleć, ale było trudno, bo z korytarza dochodziły szlochy ich rodzin.

Poza tym było tam więcej uczestników koncertu: jedni – zamroczeni narkotykami i alkoholem, inni – poszkodowani w bójkach. Gdy o jedenastej w nocy wróciłem na oddział, tata oznajmił, że mama w końcu zadzwoniła, rozmawiał z nią przez telefon w dyżurce pielęgniarek. Powiedziała, że zostanie na noc w zamku i rano po nas przyjedzie, bo nie może prowadzić po alkoholu. Przesyła uściski i cieszy się, że nic poważnego mi się nie stało.

Tata próbował przekazać wiadomość od mamy na wesoło, ale ja byłem wkurzony, że nie znalazła jakiegoś innego sposobu, żeby przyjechać do mnie do szpitala. Tata zadzwonił do swojego klienta, który mieszkał w okolicy. Facet zaproponował, by on i Brian u niego przenocowali, lecz Brian się uparł, że chce zostać ze mną. Znalazł sobie fotel, wepchnął go między moje łóżko, a łóżko chłopaka z halucynacjami po kwasie. Tata, wykończony i przestraszony wydarzeniami tego dnia, nie spierał się z nim. Spytał pielęgniarki o pozwolenie i zgodził się, żeby brat ze mną został.

Gdy tylko tata wyszedł, Brian przypuścił atak:

– Wiesz, że jesteś samolubną świnią? Dlaczego nie mogłeś po prostu zostać na zamku? Tata się o ciebie zamartwiał. Poza tym wszyscy muzycy tam byli, chodzili w tę i we w tę. I wszystkich poznałem.

– Niby gdzie? W przechowalni dla smarkaczy?

– Tak. I co z tego, że tam? Byli mili. Dostaliśmy hot dogi i hamburgery, a potem przyszedł Ali Campbell i ktoś robił zdjęcia, i dostałem autograf. Od Boba Dylana też.

– Dostałeś autograf od Boba Dylana?!

– No! Widziałem, jak idzie do kibla, i poczekałem, aż wyjdzie. – Brian wyjął z kieszeni zeszyt z autografami i pokazał mi nieczytelny zawijas.

– Sam to namazałeś.

– Wcale nie.

Wiedziałem, że nie kłamie.

– No i jaki on jest?

– To stary zrzęda. Wcale nie chciał mi się podpisać. Widziałem to.

Przerzuciłem strony zeszytu. Były tam autografy wszystkich gwiazd, które grały na koncercie, w tym tych, o których obecności nie miałem pojęcia. Wszystkie z dedykacjami dla Briana.

Nocą musiałem pójść do łazienki. Obolały wygramoliłem się z pościeli i zwinąłem spod łóżka zeszyt z autografami. W toalecie wyrwałem wszystkie kartki z podpisami, nasikałem na nie i spuściłem w kiblu. Zeszyt wrzuciłem do specjalnego kosza z odpadami do spalania.

Następnego dnia Brian był zrozpaczony. Podejrzewał, że jego bezcenny zeszyt został ukradziony przez kogoś z pacjentów. Dodatkowo po nocy spędzonej w fotelu był obolały i marudny, ale obu nam poprawiły się humory na widok mamy i taty, idących do nas przez oddział, choć mama nie od razu trafiła do mnie, bo musiała jeszcze dać autografy kilku starszym pielęgniarkom. Nie wyglądała najlepiej. Wywiedziała się o mój stan i zadała ledwie kilka pytań na temat tego, co się wydarzyło. Tata był na nią zły, ale próbował to ukryć.

W drodze powrotnej tata powiedział, że nigdy więcej nie pójdziemy razem na żaden koncert ani inną wielką imprezę, i wydaje mi się, że wszystkim ulżyło. Mama się nie odzywała.

Gdy dotarliśmy do domu, mama i ja położyliśmy się do łóżek, a Brian poszedł odebrać Luke'a z domu cioci Peggy. Powoli wracałem do zdrowia. Przy okazji opowiedziałem kolegom o gościu, któremu spuściłem łomot, i jak zakumplowałem się z muzykami z UB40 i Bobem Dylaniem. W następnym tygodniu moi kumple z łatwością wyciągnęli prawdę od Briana, bo ukazała się gazeta ze zdjęciem, na którym był z muzykami z UB40, In Tua Nua i Santaną. Fotograf ujął go z profilu i było widać jego krzywy nos. Stanowiło to niewielkie pocieszenie, ale zawsze. Ponieważ zrobił ze mnie kłamcę, przystąpiłem do zabawiania moich kumpli opowieścią o tym, jak to o mały włos nie zrobił w gacie, bo bał się sikać przy krowie.

Co niezwykle, mama przeleżała w łóżku prawie tydzień. Powiedziała, że źle się czuje, ale nie pozwoliła tacie wezwać lekarza i kazała mu spać na sofie. Normalnie podczas choroby strasznie dramatyzowała. Jeśli bolało ją

gardło, to nie był zwykły ból gardła tylko paciorkowiec, ból brzucha to musiało być zakażenie przewodu pokarmowego, a przeziębienie – ciężki przypadek grypy. Tata codziennie chodził do pracy, a Luke i Brian jeździli na rowerach po okolicy. My z mamą jedliśmy zupę z puszki i leżeliśmy w łóżkach. Ale sześć dni po koncercie usłyszałem, jak rozmawia przez telefon. Wyszedłem cicho z pokoju i zacząłem się przysłuchiwać – telefon mieliśmy na korytarzu u stóp schodów. Mówiła szeptem. Zawisłem na półpiętrze i przyłożyłem ucho do balustrady, domyślając się, co mówi osoba po drugiej stronie linii.

– Nie, nie byłam trzeźwa, ale nie chciałam... Gadałam z nim wcześniej, ale mi się nie podobał, Peggy... Zmusił mnie... – Mama zaczęła płakać. – Podciągnął mi spódnice. Wszędzie mam siniaki...

Wmurowało mnie. Szlochając, mama opowiadała siostrze, co się stało.

– Znasz mnie, wiesz, że ze wszystkimi flirtuję. Ale to nic nie znaczy... To było zupełnie co innego, Peggy. Romans. Przelotny, ale tym razem się zaangażowałam. To był mój wybór... Było inaczej, myślałam, że jest naszym przyjacielem. Chodziliśmy na przyjęcia do ich domu, jego żona tam była. Ale naprawdę nie chciałam... W składziku na bieliznę... Zastąpił mi drogę, nie mogłam go ominąć... Nie. Powinnam, ale gdybym zaczęła krzyczeć, zrobiłaby się straszna scena... Po prostu zamarłam. Nie wiedziałam, gdzie jest Martin. Szukałam Williama, gdy mnie dopadł.

Więc jednak mnie szukała.

– Martin zniknął. Dopiero godzinę później mi powiedzieli, co się stało z Williamem... Nic nie mówił... Próbowałam się wyrwać, ale przytrzymał mi ręce nad głową, za nadgarstki, był za silny...

W jej głosie było słychać płacz.

– A gdy skończył... no, wiesz... powiedział tylko „dzięki”, jakbym mu przyniosła kawę, i wyszedł. Nie wiedziałam, co robić. Schowałam się w kuchni z ludźmi od cateringu. Jakaś dziewczyna dała mi filiżankę herbaty, a potem ktoś przyszedł i powiedział, że William jest w szpitalu, a Martin i Brian pojechali z nim karetką, ale nie mogłam się ruszyć z miejsca. Siedziałam jak skamieniała. Potem wyszłam, ale koncert już się

skończył. Poszłam do samochodu, ale nie chciałam nigdzie jechać. Nie mogłam nawet myśleć o biednym Williamie. Leżałam na tylnym siedzeniu i ryczałam.

Po cichu wróciłem do swojego pokoju, nakryłem głowę kołdrą i próbowałem nie zastanawiać się nad tym, co usłyszałem. To nie była moja wina, że mama została zgwałcona. Chciałem zabić faceta, który jej to zrobił, ale bałem się przyznać, że o tym wiem. Gdybym komuś powiedział, potem musiałbym sobie to wyobrazić. A tata obwiniłby mamę, bo flirtowała. Biedna mama.

2001

Tego nieszczęsnego, fatalnego września Luke był w Nowym Jorku. Od kilku tygodni się nie odzywał, ale w utrzymywaniu kontaktów przez e-maila zawsze był beznadziejny, a SMS-y też jeszcze nie bardzo ogarniał. Nie wiedzieliśmy dokładnie, co tam robi. Gdy ostatni raz rozmawiałem z nim przez telefon z domu mamy, był bardzo podekscytowany jakimś nowym projektem, który miał na tapecie. Powiedział, że współpracuje z producentem hip-hopowym, który nagrywał z Beastie Boys. Brian miał mu menedżerować, ale trudno było mieć mu za złe, że nie było czym zarządzać. Brian starał się również o etat nauczyciela w szkole słynącej z agresywnych uczniów.

Muzyczna renoma Luke'a zdążyła już sięgnąć dna. Dawni nastoletni fani z niego wyrosli i nikt nie chciał słuchać jego popowej tandety pędzonej na syntezatorach. Od jakiegoś czasu grał tylko na prywatnych imprezach, pojawiał się w dziennym paśmie w telewizji, ale nie jeździł więcej w trasy ani nie dawał wielkich koncertów. Dni, kiedy wypełniał stadiony, miał za sobą. Wciąż brał dobrą kasę z tantiem i odtworzeń w sieci, a według mojej rachuby u szczyty sławy zarobił z milion, więc nie było mi go specjalnie żal. Miał dom nieobciążony kredytem. Psychicznie też sobie radził – wyglądało na to, że bierze przepisane leki i generalnie panuje nad swoim życiem. Do tego czasu nauczył się dobrze grać na gitarze, a z biegiem lat poprawił mu się głos, więc nowa współpraca z Sharkym D miała być potencjalnie doskonałym ruchem w jego karierze, otwierającym mu drogę do Stanów. Luke był supergwiazdą w Europie, ale na amerykańskim rynku jeszcze nie zdołał się przebić.

Byłem w biurze, gdy zadzwoniła mama i kazała mi posłuchać radia. Kiedy włączyliśmy telewizor w sali konferencyjnej, zdążyliśmy zobaczyć, jak wali się druga wieża. Przez telefon w głosie mamy było słychać niepokój. Próbowwała się dodzwonić na komórkę Luke'a, ale nie odbierał. Według mnie nic mu się nie stało. Powiedziałem, żeby poczekała dobę na telefon od niego, a potem może wpadać w panikę. Wysłałem mu mail z prośbą, żeby odezwał się do mamy. Życie w firmie zamarło, bo wszyscy odeszliśmy od pracy i gapiliśmy się na kolejne wiadomości w telewizorze. Mary Cullen, nowa pracownica biurowa, zaczęła płakać. Telefony się urywały: „Jesteś cały?” „Widziałeś wiadomości?” „Tam chyba jest twój brat?”. Każdy znał kogoś w Nowym Jorku.

Wcześniej planowaliśmy z Geraldem zabrać Mary na powitalnego drinka – to była końcówka jej drugiego dnia w biurze – ale zadzwoniła Susan, błagając, żebym wrócił do domu.

Gdy wróciłem, był u nas Brian, bawił się z Daisy w ogrodzie.

– Poprosiłam go, żeby odwrócił jej uwagę – wyjaśniła Susan. – Nie chcę, żeby to oglądała.

Sama gapiała się w telewizor z wielkim kielichem wina w ręku, a na policzkach miała wyschnięte zacieki po łzach, które rozmazały tusz do rzęs. Przytuliłem ją mocno.

– A co z Lukiem? – spytała. – Wasza mama dzwoniła trzy razy.

– Jezu, sama wiesz, jaki on jest. Zadekował się pewnie w jakimś studiu na Brooklynie i nie ma pojęcia, co się dzieje.

– Will, wszyscy w Stanach wiedzą, co się dzieje! W wiadomościach mówią, że to zorganizowany atak terrorystyczny. Nie martwisz się o niego?

W tej chwili do salonu wpadła Daisy i tryknęła mnie głową w brzuch, aż mnie zatkało.

– Daisy, jesteś za duża na takie wygłupy! – wrzasnąłem.

Za moją córką stanął Brian.

– William – wycedził – ona jest tylko dzieckiem.

Zanim zdążyłem odparować, że jest moim dzieckiem i co on tu do cholery robi, spytał:

– Czy Luke się już odzywał? Mama tu jedzie.

W trudnych sytuacjach rodzinnych nasz dom stawał się dworcem centralnym. Brian mieszkał w obskurnej kawalerce, a do domu mamy nikt nie chciał przychodzić. Bywaliśmy tam tylko z musu, na niedzielnych obiadach.

Nalałem sobie wina, a potem pojedynczym gestem podałem kieliszek i jemu. Nie przestałem go jednak ignorować. Przykucnąłem obok Daisy, której trzęsły się wargi.

– Przepraszam, kochanie, ale trochę przestraszyłaś tatusia. Pójdiesz się przebrać w piżamkę? Zaraz przyjdzie babcia, dorośli muszą porozmawiać o nudnych sprawach.

Chlipiąc jeszcze trochę, spróbowała usiąść na kolanach u Susan. Brian powiedział, że pójdzie z małą na górę i poczyta jej na dobranoc, a ja znów poczułem się dumny, że wybrałem dla Daisy najlepszego z możliwych ojców chrzestnych.

Nie niepokoił mnie fakt, że Luke jeszcze się nie odezwał ani że nie można się było do niego dodzwonić. Pół planety wydzwaniało właśnie do Nowego Jorku, żeby się dowiedzieć, czy ich krewnym nic nie jest. Tak to przedstawiłem mamie, gdy zjawiła się u nas z ponurą miną.

– Jeśli jest cały, ale nie chce mu się z nami skontaktować, to nie chcę go więcej widzieć. Zawsze był samolubem. – To jedyny przypadek, o którym pamiętam, kiedy mama okazała prawdziwy niepokój o Luke’a, ale nawet wtedy musiała być wredna.

– Sieci telefoniczne pewnie nie wyrabiają – rzuciła Susan i wyszła kupić jeszcze jedno wino. Zapowiadało się, że noc będzie długa.

Gdy Brian zszedł na dół, musiał przyznać, że dwa miesiące wcześniej Luke nie powiedział mu o wyjeździe do Nowego Jorku. Nie wiedział też nic o tamtejszych kontaktach naszego najmłodszego brata.

– Gówniany z ciebie menedżer, co Brian? – stwierdziłem.

Dwa dni później obdzwoniliśmy już wszystkich ludzi, którzy według naszej wiedzy mogli mieć kontakt z Lukiem w sprawach muzycznych i wszelkich innych. Nikt z nich nie słyszał o żadnym Sharkym D. Wykorzystując wszystkie znajomości, Brian namierzył jakąś babkę, która pracowała w firmie menedżerskiej Beastie Boys. Też nie słyszała o Sharkym. Zadzwoniliśmy do każdego szpitala w Nowym Jorku i codziennie dobijaliśmy się do tamtejszego irlandzkiego konsulatu.

W czwartek po południu miałem już pewność, że coś jest nie tak, ale podejrzewałem, że cokolwiek się stało, nie miało związku z atakami terrorystycznymi.

Steve, mój stary kumpel ze szkoły, pracował na dość wysokim stanowisku w dziale kart kredytowych Banku Irlandii i zdobył dla mnie informacje o karcie Luke'a. Steve studiował ekonomię i od czasów szkoły zrobił się z niego pyszałkowaty chujek, ale gdy usłyszał mój głos w telefonie, przywitał mnie z uniozoną radością. Byłem już wtedy kimś w raczkującym świecie filmowym Dublina.

– Przykro mi, Will, ale sprawa jest odrobinę wstydliva. Prawie wyczerpał limit na karcie...

– Wszystko jedno, Steve. Możesz mi powiedzieć, gdzie była ostatnio używana?

– Mhm. W aptecce Walgreens przy Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy. Wydał...

– Wali mnie, ile wydał. Mów, kiedy to było!

– Wczoraj.

– A więc żyje? Zabiję go! Moja matka chodzi po ścianach!

– Zdaje się, że kartą kredytową płaci też agencji za wynajem mieszkania.

– Możesz powiedzieć której?

– ReMax. Największej w Nowym Jorku. Poczekaj, sprawdzę. Może się dowiem, w którym oddziale.

Steve okazał się przydatny.

Zadzwoiłem do właściwego oddziału ReMaxa w Nowym Jorku. Odebrał automat. Do konsultanta dodzwoniłem się dopiero po północy, ale

odmówił podania adresu mojego brata. Powiedział tylko, że to mała kawalerka. Dodał, że bez telefonu stacjonarnego. Starając się nie wybuchnąć, wyjaśniłem mu, jak wygląda sytuacja.

– Przykro mi, ale regulamin to regulamin i musimy go przestrzegać.

Wtedy skłamałem, że nasza matka jest umierająca. Spytałem, czy może zostawić wiadomość w mieszkaniu z prośbą, żeby brat zadzwonił do domu.

– Proszę pana, ja tu tylko odbieram telefony. Nie chodzę po domach.

– Ale pan rozumie, że to jest nagły wypadek?

– Z całym szacunkiem, Nowy Jork to jest jeden wielki nagły wypadek. Nie mamy tu innych.

Zacząłem go błagać, zaproponowałem, że zapłacę, ale powiedział, że mógłby to zrobić tylko, gdybym przyszedł do niego z gotówką osobiście. Rozłączyłem się.

Poprzednim razem, gdy Luke rozpadł się na kawałki i zaliczył totalny dół, do kupy zbierał go Brian. Założyłem, że tym razem też to zrobi. Był dobry w te klocki. Zresztą teraz to była jego praca. Mnie zwykle udawało się wykpić z tarapatów, płacąc komu trzeba albo odbierając przysługi, ale do osobistego osuszania emocjonalnych bagienek najlepiej nadawał się Brian. A mama nalegała, że jeden z nas ma tam pojechać i sprowadzić Luke'a do domu.

– Muszę wiedzieć, gdzie on jest. Inaczej ludzie pomyślą, że nie interesuję się własnym synem!

Powiedziałem Brianowi, że opłacę mu samolot i hotel w Nowym Jorku.

– To chyba twoja kolej, Will.

– Co? Nie mogę wziąć wolnego. Mam robotę. A ty jesteś tylko...

– Tylko czym? Nauczycielem? Zawsze zlewasz moją pracę ciepłym sikiem! Dostyc tego. Uczę w szkole, Will, i też jestem zajęty.

– Oj weź, Brian, ty jeden wiesz, jak z nim rozmawiać, jak do niego podejść...

– Może czas, żebyś ty też się nauczył?

– Słuchaj, Daisy właśnie zaczęła nową szkołę, nie chcę jej zostawiać...

Od razu przejrzał moją ściemę.

– Kiedy Daisy się rodziła, byłeś na baletach, a jej ostatnie urodziny przegapiłeś, bo zaprosił cię na obiad jakiś prawnik z Goldmana Sachsa. Naprawdę, nie zasłaniaj się Daisy.

Postanowiłem zmienić taktykę i zaapelować do jego dobrego serca.

– Oj Brian, daj spokój. On ciebie słucha. Ja przez rok prawie z nim nie rozmawiałem. Nie wiedziałbym, co mam robić...

– A więc zabierz się ze mną.

Do rozmowy włączyła się mama.

– O, właśnie. Powinniście pojechać razem. – Brian spojrzał pytająco na Susan. Kiwnęła głową. Nie było sensu spierać się z nimi obiema.

– Dobrze – powiedziałem. Postanowiliśmy ruszyć najszybciej jak to możliwe.

Pięć dni później poleciliśmy do Nowego Jorku pierwszym dostępnym lotem z Dublina. Dzień przed podróżą Brianowi udało się skontaktować z psychiatrą Luke’a, która stwierdziła, że powinniśmy jak najszybciej go odnaleźć. Było prawie pewne, że Luke nie ma amerykańskiego ubezpieczenia zdrowotnego, ale babka była tak miła, że wypisała Brianowi receptę na środki uspokajające na jego nazwisko. Było to totalnie nieetyczne, ale ponieważ wcześniej leczyła Luke’a i wiedziała, jak bardzo może mu odbić w fazie manii, spodziewała się, że możemy być zmuszeni go „przytłumić”, żeby pozwolił się wsadzić do samolotu.

W samolocie panowało milczenie. Niektórzy pasażerowie płakali. Podejrzywałem, że niejedni leci odebrać szczątki bliskich, a niektórzy będą wracać do kraju z poszkodowanymi. Nie miałem pojęcia, z kim albo z czym sami będziemy wracać ani czy w ogóle wrócimy do domu.

Taksówkarz, który zabrał nas z lotniska JFK, powiedział, że jest muzułmaninem z Syrii. „Ci ludzie nie zrobili tego w moim imieniu ani w imieniu mojej rodziny, ani w imieniu żadnej osoby, którą znam. Bratanek sąsiada był w drugiej wieży. Już stamtąd nie wyszedł”. Gdy

dojechaliśmy do hotelu Fitzpatrick dałem mu hojny napiwek i uścisnąłem rękę. Chciałem się zdrzemnąć i coś zjeść, zanim ruszymy na poszukiwania Luke'a, ale to Brian był szefem tej ekspedycji. Dał mi dwadzieścia minut na prysznic.

Poszliśmy do najbliższego biura ReMaxa, pokazaliśmy dokument ze zdjęciem i opowiedzieliśmy, co nas sprowadza, oszłamniając pięknej dziewczynie za ladą. W przeciwieństwie do faceta, z którym rozmawiałem przez telefon, ona okazała nam ogrom współczucia i bez problemu podała adres Luke'a. Próbowałem dać jej napiwek, ale nie chciała przyjąć pieniędzy. Korzystając z okazji, poprosiłem ją o telefon. Zrobiła zażenowaną minę i wskazała palcem na ślubną obrączkę. Zapisałem numer swojej komórki na żółtym postacie. Gdy go jej podałem, wbiła we mnie wzrok, nic nie mówiąc. Wtedy zjawił się Brian i wyciągnął mnie z biura.

Wydarł się na mnie dopiero na ulicy:

– Nie przyjechaliśmy tu, kurwa, na wczasy, żebyś wyrywał laski, tylko po to, żeby znaleźć Luke'a, ocenić jego sytuację i jeśli będzie trzeba, sprowadzić go do domu. Jesteś totalnym złamasem! Żonatym złamasem!

Wkurzył mnie tym. Skoro Luke śmiga sobie na zakupy w Walgreens, to chyba jest cały. To już nie była sytuacja awaryjna. Ale Brian musiał być szlachetnym rycerzem. Nudnym, splekany singlem.

– Mhm. Jestem żonatym kutasem, który płaci za nasz pobyt w tym miasteczku, od dwóch miesięcy pokrywa twój czynsz i przedstawił cię dyrektorowi szkoły, który zrobił mi przysługę i dał ci robotę, więc póki nie będziesz umiał sam się utrzymać, może nie zgrywaj męczennika.

Zatrzymał taksówkę i podał kierowcy adres we wschodnim Harlemlu.

W drodze na przedmieścia Brian gapił się przez szybę. Potrafił chować urazę całymi tygodniami. Ja raczej szybko się nakręcałem i szybko mi mijało. Po kilku minutach zacząłem mu pokazywać interesujące miejsca, które mijaliśmy. On rytmicznie zaciskał pięści i rozluźniał dłonie, żeby się uspokoić.

– Harlem to mordownia. Czemu nie zamieszkał gdzie indziej? – mruknąłem.

Taksówka zatrzymała się pod budynkiem z czerwono-brunatnego piaskowca. Kierowca Latynos, który najwyraźniej wyczuł napięcie między nami, odwrócił się i przestrzegł nas cichym głosem:

– Nie kręćcie się tutaj po zmroku chłopaki, okej? Z takim wyglądem na bank was obrobiją.

Ulica była zasłana śmieciami i potłuczonym szkłem. Gromadki zdziczałych dzieciaków zaczęły nas podejrzliwie lustrować.

– A wy co, gliny? – spytał najodważniejszy chłopak.

– Nie, Irlandczycy – odparłem.

– Taa, wszystkie gliny to Irlandczycy – zawyrokował inny pętaś, a ja poczułem, jak coś przelatuje mi koło ucha i uderza w ścianę za plecami.

– Nie jesteśmy z policji, przyjechaliśmy do brata – wyjaśnił Brian przyjaznym tonem.

Przedarliśmy się na schody prowadzące do frontowych drzwi budynku.

Znowu odezwał się tamten odważny:

– Wasz brat to Jezus? – Tym razem go zignorowaliśmy.

Przyciski na domofonie były oznaczone nazwiskami, ale Luke Drumm nie figurował wśród lokatorów. Obok dolnego guzika dopatrzyliśmy się jednak dziecinnego rysunku wieloryba, a może rekina.

– Sharky D? – zgadywałem.

– Dlaczego Luke płaci za mieszkanie Sharky’ego D?

– Bo Sharky D to jest Luke?

Nacisnąłem guzik domofonu i przytrzymałem. Czekaliśmy chwilę. Nic. Zadzwoniliśmy ponownie. Było wczesne popołudnie. Dzieciaki straciły zainteresowanie nami i odjechały na deskorolkach.

Na podeście schodów, kilka drzwi dalej, siedziały dwie staruszki. Zza drzwi dobiegł nas odgłos znajomych kroków, po którym rozległ się szczepek odryglowywanych zasuw i zamków. Były co najmniej cztery.

Drzwi otworzyły się do środka i zobaczyliśmy Luke'a. W pierwszej chwili rzuciła mi się w oczy jego chudość. Gdy był na lekach po pierwszym załamaniu, bardzo się roztył, potem, gdy już się ustabilizował, została mu tylko trochę nalana twarz i brzuch. Ale teraz miał zapadnięte policzki, długie włosy i obfitą brodę. Nic dziwnego, że dzieciaki nazwały go Jezusem. Był ubrany w koszmarne brudny T-shirt z nadrukiem Grateful Dead, dekatyzowane džinsy i sportowe adidas, które kupiłem mu na gwiazdkę. Nie miały sznurowadeł.

Kilka sekund mrużył oczy, zanim przyzwyczaiły się do światła, i dopiero wtedy nas rozpoznał. Twarz mu się rozjaśniła.

– Brian! Will! Wiedziałem, że przyjdziecie. No, wiedziałem! Co wy tu robicie? – mówił bełkotliwie, ale nie było u niego widać oznak manii.

Uśmiechnął się błogo. Miałem ochotę mu przywalić.

Brian uściskał go mocno. Ja spróbowałem opanować irytację.

– Więc jednak żyjesz. Nie pomyślałeś, żeby zadzwonić...

Brian wszedł mi w słowo:

– Wpuścisz nas? Możemy zobaczyć, jak mieszkasz?

Luke odsunął się od drzwi i weszliśmy do ciemnego korytarza, w którym jechało kocimi, a może też ludzkimi szczynami.

– Jezu, dlaczego się gnieździsz w tej norze?

Przecisnął się przez drzwi w głębi korytarza. Całe jego mieszkanie ograniczało się do jednego pokoju. Zdołałem to stwierdzić, zanim rozsunąłem zeszmaczone zasłony, żeby wpuścić trochę światła. W kącie był zaplamiony zlew i elektryczna kuchenka. Materac na podłodze, sterta zatechłego prania, jedno krzesło, wieża stereo, półka pełna komiksów z kilkoma powieściami Dostojewskiego, lampa lawa, gitara akustyczna, przepelnione popielniczki, brudne pudełka po żarciu na wynos i puste puszki po piwie. Brian zakrył nos koszulką, na co Luke bąknął nerwowo:

– No, gdybym wiedział, że przyjdziecie, tobym posprzątał, co nie? Trochę mnie, tak jakby, zaskoczyliście.

– Chodźmy na miasto. Zjemy coś, napijemy się? – zaproponowałem, jak gdyby wszystko było w porządku. Chciałem się już wynieść z tej meliny, a Brian i Luke przyjęli pomysł z entuzjazmem.

Pojechaliśmy taksówką do restauracji Rosie O’Grady’s na środkowym Manhattanie. Po drodze Luke przyznał, z odrobiną podniecenia, że faktycznie to on jest Sharkym D i że pracuje nad nowym materiałem.

– W jakimś studiu? A co cię łączy z Beastie Boys?

– No, właściwie to pracuję sam, w domu. O Beastie Boysach wspomniałem tylko dlatego, żeby gazety w kraju potraktowały mnie poważnie, rozumiecie?

– Ale w tej norze, którą nazywasz domem, nie ma żadnego sprzętu do nagrywania.

Nie zamierzałem tolerować tych bzdur. Brian był bardziej zainteresowany jego stanem psychicznym.

– Luke, bierzesz lekarstwa?

Nasz najmłodszy brat zrobił urażoną minę, jakbyśmy oskarżyli go o kradzież.

– Tak, biorę. Wiem, że z waszej perspektywy to może wyglądać dziwnie, ale ja tu naprawiłem swoje życie, dokonałem naprawdę pozytywnych zmian, pozbyłem się wszystkiego, co niepotrzebne. Tak? A dom w Dublinie oddałem przyjaciółom.

– Co takiego?!

Taksówka stanęła i wysypaliśmy się na chodnik. Luke pobiegł do spożywczego po papierosy. Brian zaczął mnie instruować:

– Poczekaj, aż wejdziemy do środka, niech najpierw coś zje. Ten dom pewnie sobie wymyślił. Nie wiedziałby nawet, jak to zrobić.

– Na moje oko brzmi całkiem normalnie. Znaczy nie to, co mówi, tylko sposób, w jaki to mówi.

– Może tak, ale jednak mamrocze, w grę mogą wchodzić inne czynniki. Po prostu zachowaj spokój, okej? – Przewróciłem oczami. – Okej? – powtórzył pytanie Brian. Kiwnąłem głową.

Przeglądając kartę dań w restauracji, zamówiliśmy trzy piwa.

– Skoro bierzesz leki, może nie powinieneś pić? – spytał Brian.

Luke udał, że nie słyszy.

– Hej, gdzie są wszyscy? – powiedział, rozglądając się po prawie pustej sali. – W ostatnich dniach jakoś mało ludzi widać na ulicach.

– Luke, słyszałeś chyba o WTC, no nie?

– Aaa, tak! Całkiem zapomniałem. Wow! To było niesamowite, prawda?

Brian i ja spojrzeliśmy po sobie.

– Niesamowite? To było potworne! Jeszcze nie wiadomo, ilu ludzi zginęło, może nawet sześć tysięcy. Jak sądzisz, dlaczego tu przyjechaliśmy? Myśleliśmy, że możesz być... poszkodowany. – Brian ostrożnie dobrał słowo.

– Widziałem to w telewizji. Piękna sprawa. Upadek kapitalizmu.

– Jezu Chryste, Luke, nie czytałeś żadnej gazety? To był atak terrorystyczny. Całe miasto jest w szoku. Nie zauważyłeś tego?

– No tak, z tymi wszystkimi ofiarami to słabo. Znaczący, żal mi ich rodzin, ale to, jak te wieże się zawalały...

– One się same nie zawaliły. Zamachowcy samobójcy wlecieli w nie samolotami pasażerskimi. W całej historii nie zdarzyło się nic tak okropnego, a ty mówisz o estetyce?

Brian kopnął mnie pod stołem.

Luke się zawstydził.

– No tak, przepraszam... Ale po prostu postanowiłem, że we wszystkim będę widzieć piękno. To taki wybór życiowy, wiesz?

Nie wytrzymałem:

– W morderstwie nie ma nic pięknego! – Luke zaczął się wiercić, jakby nękała go namolna mucha. Wyjąłem telefon i podałem mu. – Zadzwoń do mamy, powiedz jej, że jesteś bezpieczny.

– Aaa, tak, no chyba powinienem był do kogoś zadzwonić, ale miesiąc temu wyrzuciłem telefon do Hudsonu.

– Do rzeki, dlaczego?!

– No... bo nie był mi potrzebny.

– Zadzwoń do niej! – rozkazałem.

Wyszedł na zewnątrz z swoją komórką.

– Masz rację. Nie zachowuje się normalnie – mruknąłem do Briana.

– Tak, ale też nie wydaje się nieszczęśliwy. I nie jest w fazie manii.

– Poprzestawiało mu się w tym jego małym rozumku i to nie jest dzisiaj jego pierwsze piwo. A co z tym oddanym domem? Wiesz coś na ten temat?

– Nie, ale jestem pewien, że go nie oddał. Może tam mieszkają i płacą czynsz? Kurwa, sam bym się tam wprowadził. Przydałby mi się większy metraż.

– A tutaj mieszka jak włóczęga. Chyba miałeś się opiekować jego finansami, nie?

– Jak miałem mu przysłać kasę, skoro nie wiedziałem, gdzie jest?

Gdy Luke zaczął zarabiać pieniądze, mama uparła się, żeby poprosił Tony'ego Kinga – jej księgowego, żeby zadbał też o jego finanse. Nie wiem, jak dobrze Tony zatroszczył się o Luke'a, ale jedno mu się udało: namówił naszego brata, żeby kupił dom. Gospodarowanie pieniędzmi w wydaniu Luke'a było kpina. Kupował nam horrendalnie drogie, ekstrawaganckie i niestosowne prezenty, tylko dlatego, że było go na nie stać. Na trzecie urodziny Daisy zajechał na podmiejską uliczkę, przy której stał nasz dom, z końską przyczepą. Nie pomyślał, że konie trzyma się w stajni, że ktoś musi się nimi zajmować, że trzeba płacić za żarcie, ani o tym, że moja córka jest za mała, żeby jeździć na kucyku. Nasze życie na kilka tygodni pogrążyło się w chaosie. Poprzedni właściciele zwierzaka zwęszyli frajera i sprzedali mu zarżniętą chabetę, za starą, żeby się ją dało do czegokolwiek wyszkolić. Ponieważ żadne schronisko dla zwierząt nie chciało przyjąć bydlaka, musieliśmy go oddać do uśpienia. Gdy próbowaliśmy wyjaśnić Luke'owi, jakie konsekwencje wiązały się z jego „prezenterem”, ten tylko wzruszył ramionami i stwierdził, że przecież dziewczynki uwielbiają kuczki. Zawsze mnie martwiło, że tak łatwo jest go wykorzystać. A teraz,

gdy zarządzanie karierą Luke'a przejął Brian, wyglądało na to, że Luke oddał swój dom jakimś ludziom. Sam nie wiem, który z moich braci był bardziej bezużyteczny.

Luke wrócił do środka i oddał mi telefon.

– Rany, naprawdę nieźle się wkurzyła, co nie? Wrzeszczała, że powinienem był zadzwonić. Mówi, że muszę wracać do domu.

– Może powinienes? – skwitował Brian, a ja pomyślałem: „Nie, błagam, nie wracaj do domu, bo wtedy staniesz się naszym problemem. Będziemy cię musieli pilnować, sprzątać bajzel, którego narobisz, i znosić upokorzenia po twoich publicznych wyskokach”. Gdy Luke mieszkał w Nowym Jorku, przynajmniej nie musieliśmy go oglądać ani się nim przejmować.

– Ona tak naprawdę nie chce, żebym wrócił – stwierdził Luke. – Potrzebna jej historyjka, żeby mogła coś opowiedzieć w radiu. Jutro ma być w programie u Marian Finucane.

Przez chwilę rozgarniał sałatkę Cezara po talerzu, drugą ręką zasłaniając oczy, żeby nie widzieć naszych steków.

– Luke, masz tu jakichś przyjaciół? Z kim spędzasz czas? – spytał Brian łagodnie.

– Ano właśnie, taką ciekawą rzecz odkryłem. Nie potrzebuję przyjaciół. I prawie nie muszę jeść. Jem może połowę tego, co wcześniej. Umysł mam przejrzysty jak kryształ. A te dwie wieże widziałem tylko w telewizorze w witrynie jakiegoś sklepu, no i rzuciły mi się w oczy nagłówki w prasie, ale nie kupuję tej ściemy, którą wciskają media. Gazet to nie czytałem już sam nie wiem jak długo. Hej, jaki dziś mamy dzień?

Zacząłem tracić cierpliwość.

– Niedzielę. Ale wiesz, Luke, skoro nie potrzebujesz ludzi, może po prostu odwieziemy cię do Harlemu, a sami wrócimy na lotnisko? Bo jesteś tu szczęśliwy, no nie?

Jego oczy napęłniły się łzami, a po chwili wybuchnął histerycznym płaczem.

„Ty gnojku” – odczytałem z ruchu ust Briana.

Brian objął Luke’a ramieniem, a ten przyłgnął do niego tak, jak przytulał się do taty, gdy był małym chłopcem. Ten widok był zarazem wzruszający i żalospny.

– Wiesz, Luke, z tą krystaliczną przejrzystością myśli to chyba trochę przesadziłeś. Powiedz, ale tak naprawdę, bierzesz te leki? – Brian miał podejście do dzieci. Nic dziwnego, że Daisy go uwielbiała. Ale Luke był trzydziestoletnim facetem, ogarniętym życiowo jak siedmiolatek. Łzy wciąż ciekły mu po policzkach. Potrząsnął głową.

– Jestem samotny – zaszlochał.

Zrobiło mi się za niego wstyd. Restauracja była prawie pusta, ale nieliczni goście zaczęli się nam przyglądać ze współczuciem. Na pewno uznali, że chodzi o ofiarę ataku z 11 września.

– Spokojnie. Zabierzemy cię do domu, do Irlandii, i zaopiekujemy się tobą. Sharky D niech zostanie w Stanach. Odszukasz starych kumpli muzyków. Przecież najlepiej ci się śpiewa, kiedy grasz z innymi ludźmi, nie?

Brian znów kopnął mnie pod stołem. Teraz to ja sam próbowałem powstrzymać łzy. Nigdy nie oglądałem Luke’a w takiej rozsypce. Owszem, zdarzało mi się go widzieć na oddziale psychiatrycznym w katatonii po psychotropach. Patrzyłem, jak będąc w fazie manii, na koncercie skakał w tłum z dwunastometrowego rusztowania i zwichnął sobie obojczyk. Ale ta żalospna, zapłakana kupka nieszczęścia to była dla mnie nowość.

– Tak, Luke, wróć do domu. Tęsknimy za tobą – powiedziałem i wcale nie do końca było to kłamstwo. Brakowało mi tamtego przemądrzałego dzieciaka na czerwonej hulajnodze, który zawsze dzielił się wszystkimi smakołykami, jakie dostawaliśmy. Tęskniłem za nieśmiałym grajkiem, który na początku kariery śpiewał odwrócony tyłem do publiczności, bo mu się zdawało, że jest Vanem Morrisonem czy inną gwiazdą. Brakowało mi brata, którym mógł się stać.

– Mama za mną nie tęskni. Ona mnie nie kocha. – To był temat, który Luke wyciągał przy okazji każdego wariackiego epizodu, jaki przechodził.

Gromadził w pamięci wszelkie uchybienia, jakich mama dopuściła się wobec niego, odkąd był oseskiem, i miał je w głowie w kółko i na okrągło. To prawda, że mama nie kochała nas jednakowo. Wiedziałem o tym, bo było oczywiste, że z naszej trójki to ja odniosłem największy sukces i jestem najmniej popierdzielony, co wyrażała, krzycząc: „Dlaczego twoi bracia nie mogą być tacy jak ty?!”. Ale jestem pewien, że kochała nas wszystkich. Na swój sposób.

Dwa dni później lecieliśmy we trzech do Dublina. Tak jak przewidział Brian, Luke trzy razy zmieniał zdanie co do powrotu w naszym towarzystwie, więc Brian zaordynował mu środki uspokajające, które pozwoliły nam podjąć decyzję za niego. Wymówiliśmy najem meliny w Harlemie i zostawiliśmy tam wszystko oprócz gitary Luke’a.

W Dublinie Brian wyrzucił „przyjaciół” Luke’a, którzy owszem mieszkali w jego domu, lecz czynszu nie płacili, po czym sam się tam wprowadził, twierdząc, że tak łatwiej roztoczy nad nim opiekę, ale i Brianowi to pasowało, bo mógł mieszkać za darmo. A przynajmniej z początku wydawało mi się, że to taki układ. Prawdę odkryłem dopiero po kilku miesiącach.

Altruistyczny gest Briana był porażającym oszustwem. Okazało się bowiem, że Luke narobił sobie kilkadziesiąt tysięcy euro długów. Żeby je spłacić, pod menedżerskim nadzorem Briana Luke sprzedał mu dom za ułamek wartości i został jego najemcą. Brian potajemnie wydymał własnego brata.

Gdy dowiedziałem się od mamy o finansowej sytuacji Luke’a, mało mnie szlag nie trafił. Mamę też to martwiło, ale stwierdziła, że jest lepiej, gdy Brian „zarządza” Lukiem. Sama nie miała ochoty się nim opiekować. Natarłem na Briana, jednak odgryzł się, że sam nigdy nie zaoferowałem Luke’owi pomocy, że teraz on troszczy się o naszego brata i jest to jego praca na pełen etat. Że musiał dla niego zrezygnować z nauczania. I że, jego zdaniem, po prostu sobie na ten dom zasłużył.

Gdy Luke wydobrzeał, przynajmniej tymczasowo, zapragnął niezależności. Wyprowadził się do wynajętego mieszkania i znów zaczął

robić muzykę. Naprawdę nie interesowały go pieniądze, domy ani posiadanie czegokolwiek. Ale zanim upłynął rok od wydarzeń 11 września, znów się stoczył i trafił do podobnej nory co tamta w Harlemie, tylko że w Dublinie. Przestał brać leki i znowu stał się obiektem współczucia i kpin dla mediów, w których pokazywano, jak bosso gra na Grafton Street, nękany przez nastoletnich łobuzów.

Pozwoliłem, żeby Brian się tym wszystkim zajmował. Mama i ja nie potrzebowaliśmy być obsmarowywani w plotkarskich kolumnach. Nie komentowaliśmy sprawy w mediach. Poza tym byłem zarobiony i małżeństwo zaczęło mi się rozpadać. Nie miałem czasu dla Luke'a. Skoro Brian postanowił żyć na jego koszt, to on powinien go niańczyć.

2004

Susan mnie przyłapała. Zawsze byłem ostrożny, ale kto nie docenia kobiecej intuicji, ten robi błąd. One czasami po prostu wiedzą, że coś się dzieje. Zawsze była podejrzliwa wobec Mary z biura, bo odkąd ta zaczęła u nas pracować, nie dało się ukryć, że na mnie leci. To prawda, że nie byłem całkiem odporny na pokusy jej dekoltu, ale też nie miałem zamiaru sypać piasku w tryby naszej sprawnie funkcjonującej firmy. Partnerstwo biznesowe z Geraldem dobrze się układało. Skończył studia w tym samym roku co ja i zaraz potem poszedł do szkoły filmowej w Londynie. Gdy się poznaliśmy, miał już doświadczenie jako asystent reżysera w krótkich metrażach i reklamach. Zналиśmy ludzi z branży filmowej, aktorów, autorów zdjęć i scenarzystów. Świetnie się z nim pracowało. Nasza pierwsza fabuła Strach przed życiem wprawdzie podbiła festiwale, ale komercyjnie nie zażarła. Nasz drugi film Naked Bakers przebił się wśród nastoletniej publiczności i zyskał uznanie dla naszej wytwórki w Europie, ale Ameryka wciąż wydawała się nie do zdobycia. Studiowałem umowy, prawo regulujące przemysł rozrywkowy, przepis 42 o dochodach z produkcji filmowej i byłem sprytnym negocjatorem. Gerald lubił Susan, z wzajemnością. Stanowiliśmy zgrany zespół, mimo że pojawienie się Mary trochę zmieniło dynamikę naszych relacji.

„Błagam, tylko jej nie puknij” – powiedział kilka minut po wyjściu Mary z rozmowy kwalifikacyjnej. Miała zdecydowanie za wysokie kwalifikacje na oferowane przez nas niskopłatne stanowisko w administracji, ale z jakiegoś powodu naprawdę jej na nim zależało. Stać ją było na znacznie więcej. Ale w firmie brakowało rąk do pracy, a ktoś taki jak ona zdecydowanie mógł się nam przydać. Gerald wiedział o moich nielicznych

skokach w bok, ale nigdy ich nie krytykował. Wychodził z założenia, że to, co się wydarza między dwoma dorosłymi osobami za obopólną zgodą, jest ich sprawą. Miał dojrzałe podejście. Być może dlatego, że homoseksualne zachowania, które sam przejawiał, zalegalizowano zaledwie siedem lat wcześniej.

Ale Susan nie złapała mnie z Mary, tylko z Kate. Byłem wtedy grubo po trzydziestce, a Kate miała dwadzieścia lat, ale Susan zareagowała tak, jakbym był jakimś pedofilem. Kate nie miała nic wspólnego z branżą filmową. Była higienistką dentystyczną, do której chodziłem na zabiegi. Dziewczyna potrafiąca zakochać się w facecie, któremu rozdziawiła gębę i usuwała z zębów kamień i plamy od kofeiny, musi mieć w sobie nieudawane dobro. Zdejmując rękawiczki chirurgiczne, zaleciła mi ograniczyć picie kawy.

– A to szkoda – powiedziałem. – Więc może zamiast na kawę, umówimy się na herbatę?

– Słucham? – Zarumieniła się uroczo.

– Nie, nic, przepraszam – bąknąłem. – Nie powinienem wyjeżdżać z czymś takim. – Udawanie zawstydzenia to dobry sposób na niektóre kobiety, a zresztą tylko sprawdzałem grunt.

Zaśmiała się wtedy i stwierdziła, że zaraz idzie na lunch i nie ma nic przeciwko, żebym się do niej przyłączył. Ale wskazała też na moją obrączkę.

– Masz żonę, więc nie jestem zainteresowana. To będzie tylko lunch. – Poczulem rozczarowanie, ale nie dopiekło mi ono zbyt mocno. Ta jej szczerłość miała w sobie coś świeżego.

Lunch upłynął nam w przyjemnej, luźnej atmosferze. Kate zaczęła pracować w gabinecie niedługo po ukończeniu dwuletniej szkoły kierunkowej.

– Wszyscy myślą, że higienistka to taka tępa, nedorobiona wersja dentysty – powiedziała, dokładnie wyrażając moją opinię.

Po szkole średniej nie mogła strawić myśli o kolejnych pięciu latach studiów, więc wybrała kurs dla higienistów. Praca była fajna, ale nie widziała się w niej za kilka lat.

– Chyba jeszcze nie zdecydowałam, co chcę robić w życiu. – Spytała o mnie, a gdy odpowiedziałem, ożywiła się. – Aa, słyszałam o tobie. – Już sobie w duchu gratulowałem, gdy dodała: – Jesteś bratem Luke’a Drumma, tak? – Jej brwi się zmarszczyły. – Jak on sobie radzi? To musi być stresująca sytuacja dla waszej rodziny.

Gazety znów o nim pisały. Załamania, które przeżywał na oczach świata, i jego dziwactwa stanowiły niewyczerpaną pożywkę dla kolumn plotkarskich. I choć nigdy nie wydałem żadnego publicznego oświadczenia na ten temat ani nie komentowałem jego sytuacji, to po każdym wysoku Luke’a mój telefon się urywał. I ta dziewczyna to rozumiała. To było dla nas wszystkich zarazem stresujące i wstydlive, ale w taki sposób, że nie umiałbym tego opisać innej osobie tak, żeby nie wyjść na totalnie samolubną świnię. Niezależnie od tego, jaki sam osiągnąłem sukces, Luke zawsze wisiał mi jak kamień u szyi. Niejednokrotnie w cichości ducha mówiłem sobie, że gdyby wcale się nie urodził, oddałby przysługę mamie, Brianowi, mnie i sobie również, bo nie musiałby żyć na rozbujaanej huśtawce między manią a cierpieniem.

Otarłem czoło ozdobną chustką.

– Przepraszam – powiedziała Kate. – Nie powinnam o to pytać.

Była pierwszą i jedyną osobą, z którą rozmawiałem o Luke’u, o tym, jak trudno jest być jego bratem, o upokorzeniach, które na mnie sprowadzał, o tym, że przez niego nie mogłem skupić się na pracy i rodzinie, i o dystansie, który próbowałem między nami zachować.

– Nie wszyscy są stworzeni, żeby wytrzymać kontakt z chorymi psychicznie – stwierdziła ze współczuciem. – Moja babcia ma demencję i z naszej rodziny już tylko ja jestem w stanie ją odwiedzać w domu opieki. Czuję, że wciąż jeszcze mamy jakiś kontakt. Chociaż trudno powiedzieć... Ale wiem, że sytuacja z twoim bratem jest trudniejsza, bo przecież nie możecie go na resztę życia zamknąć w zakładzie...

– Czasami chciałbym to zrobić.

Kate położyła dłoń na mojej dłoni, ale to nie był flirt. Po prostu chciała mnie pocieszyć. Mogłem wykorzystać ten gest, żeby wykonać swój ruch, ale tego nie zrobiłem.

Spojrzenie na zegarek przypomniało mi, że Daisy czeka w świetlicy. Kurczę, przy tej dziewczynie mogłem sobie pozwolić na szczerłość.

– Muszę odebrać córkę – powiedziałem.

– Masz córkę? Super! Ile ma lat?

– Dziesięć.

– To zadbaj, żeby szczotkowała zęby, tak?

– Jasne. Co wieczór jej o tym przypominam. Jak w zegarku.

– Mam nadzieję, że rano też?

– Poranki należą do żony.

Gdy wspomniałem o Susan, Kate spojrzała na mnie i już wiedziałem, po prostu wiedziałem, że będziemy mieć romans, i że to będzie ważne. Rozpaczliwie tego potrzebowałem.

Nie uganiałem się za Kate. To ona odezwała się do mnie. Tydzień później w biurze zadzwonił telefon. Powiedziała, że o mnie myśli, zastanawiała się, czy możemy znowu się spotkać. W jej głosie nie było wahania. Dobrze wiedziała, czego chce.

Nigdy wcześniej nie miałem dziewczyny, która byłaby wymagająca pod względem seksu. Młodsze kobiety nie były tak nieśmiałe jak te z mojego pokolenia. Kate upierała się, że mamy używać prezerwatyw. Nie lubiłem ich, ale nie protestowałem. Mieszkała w luksusowym apartamencie przy kanale w Ballsbridge. Nie było to lokum, na które mogła sobie pozwolić z pensji higienistki. Raz wspomniała mimochodem, że jest to „jedno z mieszkań taty”. Jej ojciec, jak się wkrótce dowiedziałem, był adwokatem. Specjalizował się w sprawach kryminalnych. Spotkałem go raz czy dwa razy na przyjęciach. Gdy wspomniałem o tym Kate, była w szoku.

– Jezu! Nie sądziłam, że jesteś taki stary. – Zapewniłem, że jej ojciec jest ode mnie co najmniej o piętnaście lat starszy. Rozumiała moją potrzebę

utrzymania naszej relacji w tajemnicy i jej również na tym zależało. – Moi znajomi chyba tego nie zaaprobowali. – powiedziała. Wydawało się, że mamy układ idealny.

Gdy nie wyjeżdżałem, spotykaliśmy się po pracy, a czasami wiozłem nas do jakiejś restauracji na dalekich obrzeżach Dublina, gdzie nie było ryzyka, że ktoś nas rozpozna. Nie zostawałem u niej na noc, zresztą ani razu mnie o to nie prosiła. Czasami pytała o Daisy, ale nigdy o Susan. Nasze schadzki były rzadkie i nieregularne, nie obiecywaliśmy sobie niczego. Zdarzało się, że między spotkaniami upływał miesiąc, a potem widzieliśmy się trzy wieczory z rzędu. Ani Kate, ani ja nie mieliśmy nadmiernych potrzeb. Na schadzki zwykle umawialiśmy się SMS-owo, ale zawsze skrętnie usuwałem wiadomości zaraz po ich otrzymaniu. Dodałem ją do kontaktów w telefonie jako Rogera. Pisaliśmy kodem, ale całkowicie neutralnie. Dzięki temu nasz związek był jeszcze bardziej ekscytujący. Nie dawałem Susan najmniejszych powodów do podejrzeń. Kate nie używała perfum ani szminki. Nie miałem żadnych śladów na kołnierzykach.

O czym rozmawialiśmy? O zwykłych sprawach: o muzyce, książkach, serialach w telewizji, cenach nieruchomości, polityce, religii. Kate otwarcie przyznawała, że nieczęsto chodzi do kina. Widziała tylko mój drugi film fabularny, ale już żadnego z krótkich metraży ani dokumentów. Według niej był dobry, ale nie wybitny. Uraziła mnie tym. Wolałbym, żeby skłamała, pochwaliła mnie, ale to nie było w jej stylu. Mimo że nie składaliśmy obietnic ani nie wyznawaliśmy sobie miłości, poczułem się zdradzony. Gdy nie byłem z Kate, ciągle o niej myślałem i zastanawiałem się, co robi. Kiedy była niedostępna, w przyływach zazdrości zdarzało mi się wyobrażać sobie, że jest z innym facetem. Nigdy jednak jej o to nie pytałem. Nie przekraczaliśmy niepisanych granic.

Okolo roku po naszym spotkaniu w gabinecie dentystycznym Kate zniknęła. Przestała odpowiadać na SMS-y. Gdy do niej dzwoniłem, nie odbierała telefonu ani nie odpowiadała na wiadomości głosowe. Umówiłem się na kontrolę w gabinecie, w nadziei, że tam ją spotkam, ale przyjął mnie jakiś facet imieniem Steve. Niby od niechcienia spytałem

o Kate, lecz stwierdził, że jej nie zna. Przyszedł na jej miejsce kilka tygodni wcześniej. Na początku założyłem, że wyjechała. Wspominała wcześniej, że marzy jej się podróż do Azji Południowo-Wschodniej, ale wydało mi się dziwne, że zniknęła ot tak, bez słowa. Napisałem do niej e-mail, związałem wiadomość w biznesowym stylu, ale nie dostałem odpowiedzi.

Tęskniłem za nią. Wysyłałem jej kolejne SMS-y, zostawiałem dłuższe wiadomości na sekretarce. Wieczorami po pracy zdarzało mi się jechać pod jej mieszkanie i siedzieć na dole, obserwując wejście do domu, w nadziei, że zobaczę ją, jak wchodzi albo wychodzi. Kiedyś udało mi się wślizgnąć do środka za innym mieszkańcem, zanim ustało brzęczenie domofonu i domknęły się drzwi, jednak gdy wszedłem na piętro Kate i kilkakrotnie zastukałem do jej drzwi, nikt nie otworzył. Ze sto razy próbowałem ją znaleźć w Google'u, ale na świecie jest bardzo wiele Kate Harris. Poza starym zdjęciem ze szkolną drużyną hokejową nic nie znalazłem.

W desperacji sprawdzałem nawet nekrologi. Tam też się nie pojawiła. Jeszcze raz zadzwoniłem do gabinetu, żeby zasięgnąć języka, dokąd się wyprowadziła. Nie mogli albo nie chcieli mi pomóc. Nie znałem nikogo z jej znajomych, więc ich też nie mogłem spytać. Czułem się jak zbity pies. Nie do wiary, że mogła mi coś takiego zrobić.

Trzy tygodnie od rozpoczęcia poszukiwań siedziałem właśnie na sofie, gdy wylądowała na mnie niedzielna gazeta rzucona przez Susan.

– Wygląda na to, że Luke ma dziewczynę.

Luke nie miał dziewczyn, jeśli już, to groupies. Kiedy podniosłem gazetę, w oczy rzucił mi się nagłówek: „Poważny związek Luke’a Drumma?”. Artykuł opatrzony był jego zdjęciem w kawiarnianym ogródku z „tajemniczą blondynką”. To była Kate.

Według „anonimowych źródeł” Luke chodził z nią już od sześciu miesięcy, dziewczyna pomogła mu się ustabilizować, a odkąd się poznali, on regularnie uczęszczał na terapię. „Kontaktowaliśmy się z Lukiem. Nie chciał podać imienia i nazwiska tajemniczej wybranki, ale stwierdził, że

nadaje ona sens jego życiu. Życzymy Luke'owi i jego nowej miłości dużo szczęścia”.

Susan ucieszyła się, gdy zaoferowałem, że spędzę dzień z Daisy. Wymyśliłem, że pójdziemy do zoo. Daisy twierdziła, że jest już za duża na oglądanie zwierzątek, ale wiedziała, że jeśli spędzi dzień ze mną, to może liczyć na czekoladę i inne słodczy zakazane przez jej mamę. Kiedy zwiedzała terrarium, odpaliłem pierwszy wściekły SMS do Kate: „Teraz pierdolisz się z moim bratem? Serio? Więc to na niego od początku polowałeś?”.

Potem zadzwoniłem do Briana. Przez kilka minut pieprzył o dupie Maryni, wreszcie zorientował się, że mam gdzieś jego biadolenie i narzekania na trudny los zarządcy gasnącej kariery naszego brata.

– Mów, o co chodzi, William. Wiem, że nie interesują cię pogawędki. U Daisy wszystko okej?

Próbowałem zachować lekki ton:

– Może wiesz, co tam u Luke'a? Susan mówiła, że ma dziewczynę?

Przez chwilę milczał.

– Może zadzwoń do niego i sam się dowiedz?

Parsknąłem śmiechem.

– Tak tylko pytam. To prawda z tą dziewczyną? Oni tak na poważnie?

Znów zapadła cisza.

– Znasz ją, tak?

Nie odpowiedziałem.

– O Jezu. Tylko mi nie mów, że masz z nią romans? Rany boskie, Will!

– To nie był żaden romans. Widywaliśmy się tylko od czasu do czasu. To nic poważnego.

– Tak? To czemu wypytujesz o nią i Luke'a?

– Ale ja wcale...

– Daruj sobie. Kate to najlepsze, co mu się w życiu trafiło. On jej słucha. Ubóstwia ją. Zawsze otaczała go banda klakierów, ale ona jest inna. I na

pewno nie ugania się za jego pieniędzmi, bo sama jest nadziana. Naprawdę jej na nim zależy.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Bo ją poznałem. Dziewczyna jest solidna, Will. Nie spierdziel mu tego. Kiedy się z nią spotykałeś?

– Nieważne.

– Ale niedawno? Tylko błagam, nie mów, że chodziliście z nią na zakładkę.

– Oczywiście, że nie.

Miałem swoją dumę.

– A Susan niczego nie podejrzewała?

Dlaczego on zawsze musiał wspomnieć o Susan, jakby był strażnikiem mojej moralności?

– Nie, Brian, byłem dyskretny.

– Kiedyś cię przyłapie.

– Nie przyłapie. Między nami jest okej. O niczym nie wie.

– Traktujesz ją jak gówno.

– Chyba sobie żartujesz! Powinieneś zajrzeć do jej szafki na buty.

– W chuja sobie lecisz, Will? To tylko rzeczy...

– Słuchaj, dzwonię, żeby powiedzieć „cześć”, a nie wysłuchiwać cholernych połajanek.

Poczułem, że ktoś szarpie mnie za płaszcz. Ta była Daisy.

– Z kim znowu rozmawiasz? – spytała rozdrażniona.

– Z wujkiem Brianem.

Buzia jej się rozjaśniła.

– Dasz mi go?

Oddałem jej telefon. Podekscytowana zaczęła opowiadać Brianowi o jaszczurkach i krokodylach, potem zachichotała w odpowiedzi na jego żart. Odeszła z moim telefonem w ręce, a ja stałem wściekły, gapiąc się na cholerne pingwiny zadowolone ze swojej monogamii. Postanowiłem o tym

nie myśleć. Przecież i tak rzadko widzujemy się z Lukiem, a jego groupies pojawiają się i znikają, więc Kate również szybko ulotni się z naszego życia.

Kilka miesięcy później Susan powiedziała, że Brian zaprasza nas wszystkich na kolację z Lukiem i jego nową dziewczyną.

– Brian mówi, że ona jest cudowna, a Luke nareszcie sprawia wrażenie szczęśliwego. Wasza mama też się wybiera.

Susan uparła się, że musimy iść. Zawsze mówiła, że mama jest okrutna i złośliwa wobec Luke'a, więc pójdziemy, żeby okazać mu wsparcie. W obronie mamy zauważyłem, że Luke tak wiele razy dawał ciała, że na jej miejscu każdy miałby go za chodzącą żenadę. Mój brak lojalności wobec brata oburzył Susan. Zresztą nie pierwszy raz. Ciągłe powtarzała, że gdyby jej siostra mieszkała w Dublinie, to codziennie by się widywały. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego trzymam swoich braci na dystans.

Byłem wściekły na Briana. Może chodziło mu o to, żeby zawstydzić mnie i Kate? Czy ona powiedziała o mnie Luke'owi? Czy Brian działał celowo? Ale ponieważ naprawdę bardzo chciałem zobaczyć Kate, zgodziłem się pójść. Susan zorganizowała opiekunkę dla Daisy.

Brian nadal mieszkał w wielkim domu Luke'a przy Waterloo Road. Wkurzało mnie to. Luke miał tam swój pokój i regularnie w nim pomieszkiwał, ale wynajmował też jakąś klitkę w dzielnicy Rathmines na przedmieściach Dublina. Po drodze zabraliśmy mamę. W samochodzie słuchałem, jak plotkują z Susan o nowej dziewczynie.

– Powiedział, że naprawdę mu się podoba. Wiesz, czyją jest córką? Clive'a Harrisa, tego prawnika, co się ciągle pojawia w wiadomościach. Luke pojechał na weekend do jej rodziny. Byli dla niego bardzo mili.

– Nie przeszkadza im różnica wieku? – spytała Susan. – Trzyście lat to sporo.

– Jaka tam znów różnica wieku? Ojciec Williama był ode mnie dużo starszy. W tych czasach ludzie się już nie przejmują takimi rzeczami, a poza tym... – W głosie mamy pojawił się złośliwy ton, jak zwykle, gdy mówiła o najmłodszym synu. – Luke nie należy do najdojrzałych,

prawda? Dorosły to on nie jest. Niewykluczone, że są idealnie dobrani. Na zdjęciu w gazecie wyszła bardzo ładnie, prawda?

– O tak, jest zachwycająca! – potwierdziła Susan.

– Luke dużo o niej opowiadał Brianowi. Mocno go wzięło. Miejmy nadzieję, że tego nie spieprzy. – Mama dała wyraz swojemu zwykłemu brakowi wiary w Luke’a, no ale on faktycznie ciągle nawalał.

– Nie pamiętam, czym ona się zajmuje? – spytała mama. – Chyba robi coś nieskomplikowanego, tak?

– Jest higienistką dentystyczną – wypaliłem bezmyślnie.

– O, skąd wiesz? Luke ci powiedział? Rozmawiałeś z nim? Kiedy? – spytała Susan.

– Eee... nie. Brian.

Wróciły do rozmowy, nie zauważając mojej czerwieniejącej twarzy, a ja skupiłem się na drodze.

Brian powitał nas jak zwykle – dopytując o Daisy. Luke i Kate jeszcze nie dotarli. Gdy Brian został sam w kuchni, wykorzystałem okazję.

– O co ci chodzi? Chcesz rozpętać gównoburzę?

Westchnął.

– Oczywiście, że nie. Luke przychodzi przedstawić dziewczynę rodzinie. Nie wszystko kręci się wokół ciebie, Will. Będziesz musiał udawać, że się nie znacie. Ale chyba sobie poradzisz? Masz wprawę.

Wróciłem do salonu z butelką czerwonego wina, którą przywiozłem, i napełniłem kieliszki. Dzięki Bogu Susan powiedziała, że będzie prowadzić w drodze powrotnej, bo potrzebowałem alkoholu, żeby przetrwać ten wieczór.

Pięć minut później zjawili się Luke i Kate. Znalazłem sobie miejsce przy kominku. Na wypadek gdybym się zarumienił, mogłem powiedzieć, że mi gorąco od ognia. Do salonu najpierw wszedł Luke. Trzymał Kate za rękę. Wyszczrzyła się do mnie w uśmiechu.

– Will, jak miło cię widzieć! – Luke’a zamurowało. Susan i mama wbiły we mnie wzrok. – Tak! W zeszłym roku pracowałam w gabinecie

dentystycznym i Will był moim pacjentem.

Udałem zdziwionego.

– Naprawdę? Wybacz, nie pamiętam...

Luke przerwał mi, przystępując do przedstawiania Kate rodzinie, świadomy, że Susan przeszywa mnie wzrokiem. Jezu! Skoro Kate planowała przyznać, że się znamy, mogła mnie przynajmniej uprzedzić.

Kolacja minęła bez scen. Unikałem wzroku Kate. Byłem na nią zły. Mogła zadzwonić, napisać mail albo SMS. Co miałem o tym myśleć? Brian zerkał na nas dwoje, wypatrując alarmujących sygnałów. Mama obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym niepokoju.

– Jakiś taki cichy dzisiaj jesteś, Will. Wszystko w porządku? Aż trudno uwierzyć, że nie pamiętasz Kate. Zawsze miałeś oko do ładnych dziewcząt. Powiem ci, Susan, że przed tobą mój William lubił skakać z kwiatka na kwiatek – stwierdziła mama z udawaną dezaprobatą.

– Wiem o tym – mruknęła Susan oschłym tonem.

– Wszystko dobrze, mamo, tylko trochę zmęczony jestem. Praca i takie tam.

– Kate, wiesz, że Will jest producentem filmowym?

– O, tak – odpowiedziała Kate, olśniewając zebranych wybielonymi zębami. – Wiem o nim wszystko.

Była bezczelna, ale niestety mówiła prawdę. Jak dotąd ani razu nie skłamała.

Brian nie zadał sobie trudu, żeby zadbać o dobre jedzenie. Kolacja składała się z dwóch dużych zapiekaneek pasterskich kupionych w sklepie i taniej vienetty na deser. Zasłużył na marketowy jabol z kartonu. Zauważyłem, że Kate ledwie sączy swoje wino, nie wypića nawet połowy kieliszka, gdy Luke stwierdził, że musi nam coś zakomunikować, na co ona weszła mu w słowo:

– Nie! Jeszcze za wcześnie! – Zanim to powiedziała, już wiedziałem, co jest grane. Była w ciąży. Dopiero w ósmym tygodniu, ale Luke był tak podekscytowany, że po prostu musiał wszystkich poinformować.

Mama skoczyła ją ścisnąć, udając zachwyty, że będzie miała kolejnego wnuka. Susan odkaszlnęła, spojrzała na mnie i pogratulowała mi chłodno. Brian uścisnął Luke'owi rękę i poklepał go po plecach, jakby ten wygrał wybory prezydenckie. Okazało się, że Brian już wcześniej o tym wiedział.

Jednym łykiem pochłonąłem cały kieliszek wina, żeby nie musieć nic mówić.

– Daisy będzie miała kuzynka! – zaświergotała Kate. Myślałem, że ją zabiję. Gdy przeprosiła i wyszła do toalety, zacząłem sprzątać ze stołu.

– Popatrzcie! – odezwał się Brian. – Will jest dzisiaj niezwykle uczynny.

Wszyscy z wyjątkiem Susan parsknęli śmiechem. Zaczekałem w hallu, aż Kate wyjdzie z łazienki. Postanowiłem zagrać w jej grę – lekko i na luzie.

– To co? Jednak nie wszyscy bracia muszą jechać z gumą? – Mój uśmiech nie sięgnął oczu.

– Planowaliśmy to dziecko. Luke go chciał. Nie bądź taki, Will. To między nami nie było na serio. Byliśmy z sobą „bez zobowiązań”, pamiętasz?

– Ale on jest moim bratem. – Mój głos zabrzmiał ostro jak żyłotka, nie potrafiłem tego złagodzić.

Ktoś odchrząknął.

Obróciłem się na pięcie. W hallu stała moja żona. Kate ją widziała. Wracając do salonu, przeszła obok niej i wyszeptwała śpiwnie:

– Naprawdę mi przykro. – Jakby właśnie przypadkowo rozlała wino na dywan.

Susan chwyciła swoją torebkę z komody i przeszła mnie wzrokiem.

– Wracam do domu. – To było wszystko, co powiedziała. W jej oczach błyszczały łzy. W hallu pojawił się Brian. Od razu zrozumiał, co jest grane. Poczyszającym gestem położył jej rękę na ramieniu, ale strząsnęła ją gwałtownie i naskoczyła na niego. – Wiedziałaś? Ty? – Prawie biegiem znalazła się przy drzwiach.

– No to zjechałaś – skwitował Brian. – Brawo, Will!

Brian wrócił do salonu. Słyszałem, jak wyjaśnia mamie, że Susan pojechała do domu, bo dostała nagłej migreny. Ja musiałem wrócić do stołu, zająć swoje miejsce obok szczęśliwej pary przyszłych rodziców i wysłuchać opowieści Luke'a o tym, jakiego szukają domu. Tym razem próbowałem pochwycić spojrzenie Kate, ale przez resztę wieczoru trzymała się Luke'a, gapiąc się na niego z uwielbieniem. Rzygać mi się chciało. Kate i Luke odwieźli mamę do domu. Gdy wychodzili, Luke mnie uściskał.

– Liczę na twoje porady rodzicielskie.

Brian wziął się za ładowanie naczyń do zmywarki. Ja otworzyłem kolejną butelkę wina.

– Chyba powinieneś wrócić do domu – mruknął – i powiedzieć jej prawdę.

Święty Brian, który nigdy nie zбочzył ze ścieżki sprawiedliwych.

Wróciłem taksówką dość późno. Daisy i Susan były już w łózkach. Spróbowałem porozmawiać z Susan, ale wrzasnęła, że mam spieprzać z sypialni. Położyłem się w gościnnym, ale prawie wcale nie spałem. Nie chciałem rozwalić tego małżeństwa. To fajne mieć zorganizowany dom, do którego można wracać, a Susan okazała się świetną mamą. Była bystra, zabawna i mnie kochała. To oczywiste, że płomień, który nas połączył przed dwunastu laty, już ostygł, ale moja żona nadal wyglądała atrakcyjnie, a ja nigdy nie chciałem jej skrzywdzić. No pewnie, że zdarzało jej się podejrzewać mnie o skoki w bok, ale nawet jeśli w tych podejrzaniach była prawda, to wszystkie przygody mijały. Teraz jednak problem polegał na tym, że zniewaga w postaci Kate, miała na stałe wejść do mojej rodziny i rozgościć się w naszym życiu wraz z dzieckiem Luke'a.

Leżałem, gapiąc się na farbę odchodzącą płatkami z sufitu w pokoju gościnnym, gdy odezwał się sygnał otrzymanej wiadomości. „Wybacz mi” – przeczytałem. „Zakochałam się w nim”.

Susan kazała mi się wyprowadzić. Nie mogłem uwierzyć, że podchodzi do tego aż tak poważnie, ale każde słowo wychodzące z moich ust brzmiało

jak wyświechtany frazes i pogarszało sytuację. „To nic nie znaczyło”. „To był tylko jeden raz”. „Uwiodła mnie”. „Nie zwracałaś na mnie uwagi”.

Susan stwierdziła, że jestem obrzydliwy.

– Ta dziewczyna to prawie dziecko. Mam uwierzyć, że to ona uwiodła ciebie?

Tymczasowo przenieśliśmy się do Briana.

– Możesz pomieszkać przez tydzień – oświadczył.

– Luke mieszkał tu cały miesiącami – zaprotestowałem.

– On jest psychicznie chory, a ty nie.

Następnego dnia odebrałem Daisy ze szkoły i odwiozłem do domu. Susan wyjaśniła jej, że mnie nie ma z powodu nocnych zdjęć, ale młoda i tak była nieswoja. Wiedziała, że coś jest nie tak. Z pomocą przyszedł Brian. Ponieważ zbliżały się ferie szkolne, zaproponował, że zabierze ją w weekend na wyspę Fota. Oboje z Susan zgodziliśmy się, że to dobry pomysł.

Prawie przez cały dzień siedziałem w samochodzie przed mieszkaniem Kate, aż wreszcie pojawiła się bez towarzystwa. Wskoczyłem z wozu i dogoniłem ją przy drzwiach. Z początku mój widok trochę ją wystraszył, ale po chwili ochłonęła i na jej twarzy pojawił się uśmiech. „Will! Co ty tutaj robisz?” Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jaka jest młoda. Nie zastanawiała się nad konsekwencjami naszych działań. W mieszkaniu wyłożyłem jej twarde fakty. Moje małżeństwo wisi na włosku. Będę je ratować za wszelką cenę, bo nie mam nic do stracenia. Jeśli nie usunie dziecka i nie zerwie z Lukiem, rozpowiem o naszym romansie. Bez problemu mogę wysłać prywatne zdjęcia do jej ojca, do Luke’a i do brukowców. Mogę ją zniszczyć. W obronnym geście położyła rękę na brzuchu i zrobiła wielkie oczy.

– Nie możesz mnie o to prosić – wydyszała.

– Ja nie proszę, tylko ci każę. Umówisz się na aborcję. Mogę nawet za nią zapłacić. Powiesz Luke’owi, że poroniłaś, a potem z nim zerwiesz, tylko

najdelikatniej, jak potrafisz. Inaczej zrobię tak, jak powiedziałem. Ale jeśli ci na nim zależy, to do tego nie dopuścisz.

Kate podjęła mądrą decyzję. Nie naprawiło to mojego małżeństwa i głęboko żałowałem tego, co się stało. Poprosiłem ją o okropną rzecz. Ale zrobiłem to dla Susan i dla Daisy, a nawet dla Luke'a. Susan miała rację, że Kate to dziecko. Zupełnie się nie nadawała na partnerkę dla mojego brata. On potrzebował dojrzałej kobiety, a jeśli naprawdę pragnął być ojcem, to miał na to jeszcze ogrom czasu. Ich związek by nie przetrwał. Kate była za młoda, żeby sobie poradzić z jego załamaniem. To, które go dopadło, gdy „poroniła” i od niego odeszła, było dość głębokie, ale Brian pozbiierał go do kupy. Stary, dobry Brian.

2016

Mój styl życia... życia mi nie ułatwiał. Nigdy nie byłem ćpunem, ale w branży filmowej jest mnóstwo okazji, żeby sobie folgować, na różne sposoby. Na niektórych festiwalach należało się spodziewać szampana i wystawnych kolacji, a kokaina też zawsze pojawiała się w zasięgu ręki, ale moją słabą stroną stanowiły kobiety.

Rok po śmierci matki w 2014 był dla mnie dość trudny. Teraz trochę się wstydzę tego wyznania, bo przecież ludziom często zdarza się zostać sierotą w wieku czterdziestu pięciu lat, ale gdy mama umarła, poczułem się jak statek, który zerwał cumy i dryfuje, wlekąc za sobą kotwicę. Zawsze mnie wspierała, niezależnie, co robiłem, a teraz nie żyła, a ja byłem zagubiony.

W pracy szło dobrze, wygrzebywaliśmy się z trudów recesji. Ponownie zatrudniliśmy ludzi na cztery z ośmiu pełnych etatów, które wcześniej byliśmy zmuszeni zredukować, a i zlecenia też do nas płynęły. Robiliśmy seriale telewizyjne i fabuły, które zbierały nagrody, głównie w koprodukcji z partnerami europejskimi i z kilkoma inwestorami ze Stanów, a ja ledwo się wyrabiałem z tą całą zonglerką. Nazbierałem tyle mil w liniach lotniczych, że pół życia mógłbym latać za darmo, ale serdecznie znienawidziłem lotniska. Ciągle byłem zirytowany i brakowało mi sił. Wdawałem się w niepotrzebne pyskówki o głupoty, na które wcześniej nawet nie zwróciłbym uwagi.

Daisy zmieniła się w roszczeniową damulkę, oczekującą, że wszystko zostanie jej podane na talerzu. Wykruszała się z kursów, które rozpoczynała w koledżu, i wielokrotnie zmieniała towarzystwo, z jednej bandy nieudaczników na następną. Co chwila wyprowadzała się od matki

do wynajętych mieszkań, po czym do niej wracała. Żadnego z tych loków nie umiała utrzymać w czystości, a pieniądze na czynsz, które jej dawaliśmy, regularnie znikwały z coraz to innych, niewiarygodnych przyczyn. Jediną rzeczą, na którą Daisy miała ochotę, było granie na gitarze i śpiewanie. Próbowaliśmy jej wybić z głowy myśli o karierze artystki, dowodząc na niezliczonych przykładach z życia Luke'a, że to kiepski wybór. Awantury na ten temat zazwyczaj kończyły się trzaskaniem drzwiami i brzemieną fochem ciszą.

W tajemnicy przed nami Daisy dużo jadła. Susan powiedziała mi o resztkach jedzenia, które znalazła w szafce w pokoju u młodej. Próbowaliśmy rozmawiać z córką o wadze, ale całkiem się zamknęła. Poprosiłem Briana, żeby on do niej w tej sprawie zagadał, ale odmówił.

– Daj jej spokój – powiedział. – Ona jeszcze dorasta, ale wyjdzie na prostą.

Obwinałem Susan za to, że sama je byle co i nie daje młodej dobrego przykładu. W kontrataku wywlekła wszystkie przypadki, kiedy w ostatniej chwili odwoływałem wyjścia z Daisy, i powiedziała, że okazałem się zajebicie gównianym ojcem. Machnąłem wymownie rękami, wskazując odlotowy apartament przypominający posiadłość w Dalkey, do którego właśnie wprowadziła się Daisy. Poczucie winy sprawiało, że zawsze byłem hojny dla Susan. Zapisalem na nią nasz dom. Dostała wszystko, czego sobie zażyczyła, czyli znacznie więcej, niż to wynikało z jej praw, a jednak jakimś cudem wciąż byłem dla niej tym złym. Płaciłem za spotkania Daisy z psychologiem. W końcu wyciągnęła się z marazmu, ale jedyną rzeczą, na której jej zależało, były światła estrady, a ja nie umiałem wybić jej tego z głowy.

Cieszyło mnie, że nikt nigdy nie zajął mojego miejsca w życiu Susan. Nie wyszła ponownie za męża, a nawet jeśli miała jakichś facetów, to nigdy o nich nie słyszałem. Od czasu do czasu zdarzało nam się ze sobą sypiać, zwykle po zakrapianych alkoholem rodzinnych obiadach, które się zbyt długo przeciągnęły. Z całą pewnością nie łączyła nas sympatia, ale

znajomość – owszem, a gdy wszystkie opcje są złe, to najlepsza jest ta znana.

*

Jeśli nie było absolutnej konieczności, nigdy nie chodziłem się badać, ale w połowie 2016 roku czułem, że jadę na oparach, bolałyby mnie mięśnie, nie mogłem się otrząsnąć z ogólnego zmęczenia, miałem nawracające bóle gardła, puchły mi węzły chłonne na szyi, walczyłem z chronicznymi wysypkami, bólami brzucha i pleców. Stres. Robota piętrzyła się wokół i miałem już totalnie dość wszystkiego. Czerwcowy wolny dzień z okazji święta bankowego spędziłem na sofie z wyłączonym telefonem. Otworzyłem za to laptopa i wyszukałem w Google’u Daisy.

Moja córka zdążyła już zostać gwiazdą mediów społecznościowych, śpiewającą autorką piosenek. Wygłaszała prelekcje w ramach cyklu TED o fat shamingu i pozytywnym podejściu do własnego ciała. W wywiadach słowem nie wspominała o Susan ani o mnie, przyznawała jednak, że pochodzi z majątnej rodziny, dodając: „środowisko, z którego się wywodzę, jest największym problemem współczesnego społeczeństwa, bowiem ludzie ci nie widzą potrzeby zmian”. Miała w repertuarze całą masę podobnych bzdur. Wiedziałem, że w znacznym stopniu manipuluje nią Brian, który – wbrew naszej woli – zarządzał jej medialną karierą. Od jakiegoś czasu nie gadaliśmy ze sobą i wcale mi go nie brakowało. Oboje z Susan byliśmy na niego wściekli. Wiedział, że Daisy jest wrażliwa, a mimo to wystawiał ją tłumom na pożarcie dla korzyści finansowych. Próbowałem się o nią nie zamartwiać. Dorosła już, ale nie przestała być moim dzieckiem, chociaż prawie się do mnie nie odzywała. To było naprawdę bolesne.

We wtorek rano powiedziałem w firmie, że jestem chory, i podzwoniłem do ludzi, których wystawiłem w weekend, żeby ich udobruchać, tłumacząc, że zmógł mnie jakiś wirus. Nie kłamałem, mówiąc, że tego dnia mam umówioną wizytę u lekarza.

Mój lekarz rodzinny był znajomym, którego syna zatrudniłem do kilku filmów dokumentalnych w charakterze kamerzysty. Pojawiłem się u nich

w domu pod pozorem niezobowiązującej wizyty towarzyskiej, bo wolałem nie mówić, że bez przerwy chce mi się rzygać. Gdybym przyszedł do niego do gabinetu, to tak jakbym od razu się przyznał, że jestem śmiertelnie chory. Pogawędziliśmy trochę o tym i o tamtym, wreszcie powiedziałem mu, że się fatalnie czuję. Wysłuchawszy długiej opowieści o nękających mnie objawach, zgodził się, że przyczyną może być stres, ale zalecił, żebym poszedł do kliniki Blackrock i zrobił kompleksowe badania.

Umówiłem się tam na koniec miesiąca, wróciłem do biura i rozdzieliłem tyle zadań, ile się dało. Odwołałem wyjazd do Los Angeles w kolejnym tygodniu i udało mi się opóźnić preprodukcję następnej fabuły o kilka tygodni.

Wchodząc do kliniki Blackrock, poczułem strach. Przez kilkanaście dni poprzedzających badania dbałem o siebie: szpikowałem się witaminami, przestałem pić, zacząłem pływać i ćwiczyć, bardzo dużo odpoczywałem, odpuściłem sobie życie towarzyskie i spróbowałem wyeliminować wszystkie czynniki powodujące stres. Jednak zmęczenie i bóle głowy nie zniknęły, a na dodatek pojawiły się nowe problemy z niestrawnością. Wiedziałem, że coś jest nie tak. Miałem obawy, że to może być rak, najpewniej mózgu, być może z przerzutami do żołądka albo wątroby. Zdecydowanie było ze mną źle.

Tydzień później z kliniki zadzwoniła do mnie jakaś doktor Galvin. Miała dobrą wiadomość, że wyniki moich badań są względnie w normie, ale zasugerowała, że powinienem się zgłosić do doktora Shabratha – również nieznanego mi wcześniej – z kliniki zdrowia seksualnego szpitala imienia Świętego Jakuba, bo moje objawy mogą wskazywać na coś innego.

Syfilis.

Jezu. Od lat nawet nie słyszałem o syfilisie. Na sam dźwięk tego słowa poczułem do siebie odrazę, ale krótkie poszukiwanie w Google'u mnie uspokoiło: antybiotyki załatwiają sprawę. Wkurzyłem się, że doktor Galvin sama nie mogła mi ich przepisać.

W poczekalni kliniki zdrowia seksualnego miałem chwilę, żeby się przyjrzeć pozostałym pacjentom. Byli tam całkiem normalni ludzie, pary

w moim wieku i starsze, na oko przedstawiciele klasy średniej i dość młode babki w typie gorącej mamuśki. Na krzesłach kwitło też kilku wychudzonych ćpunów. Przewagę liczebną mieli młodzi mężczyźni. Jak widać, choroba nie wybiera.

Zrobiłem kolejne badania, a po tygodniu doktor Shabrath poinformował mnie najdelikatniej, jak umiał, że mam pozytywny wynik HIV. Potem jeszcze długo mówił wspierającym tonem, ale go nie słuchałem. Myślałem tylko o Tomie Hanksie w Filadelfii, tym filmie o wyniszczonych chorobą gejach z San Francisco lat osiemdziesiątych. Nie znaleźmy, to znaczy ja nie znałem, nikogo z AIDS. Nie byłem gejem ani nie wstrzykiwałem sobie dragów w żyłę. Jak to w ogóle było możliwe? A jednak było.

Dotąd bardzo dużo czasu spędzałem w Los Angeles, gdzie kobiety – te kosmetycznie poprawione i naturalne – były piękne i desperacko potrzebowały pracy. Więc z nich korzystałem. Z mojego punktu widzenia to był biznesowy barter. Seks za obietnicę dnia albo dwóch na planie. Powinienem być ostrożniejszy. W okolicach 2005 zaraziłem się rzeżączką, ale wykryli ją na czas i mnie wyleczyli. Obiecałem lekarce – mocno krytycznej starszej pani – że odtąd już zawsze będę uprawiał bezpieczny seks. Ale tak bardzo nie lubiłem prezerwatyw, że zdarzyło mi się odprawić kilka kobiet, które kazały mi je zakładać.

W trakcie monologu doktora Shabratha przypomniały mi się wszystkie odjechane, dzikie i cudowne przygody seksualne z poprzednich lat. Która z tych ździr mnie zaraziła? Była wśród nich dziewczyna, która szczególnie mi się podobała. Nie miała w sobie desperacji, a przy tym była bystra i wykształcona. Właśnie z nią najczęściej się widywałem. Czy to mogła być ona? Spróbowałem ponownie skierować uwagę na słowa doktora.

Wsiadłem do samochodu, żeby wrócić do siebie, ale zamiast stanąć pod domem, pojechałem dalej. Zatrzymałem się na stacji, zatankowałem i wrzuciłem telefon do bagażnika. Przez następne dwie godziny jechałem przed siebie, słuchając muzyki klasycznej w Lyric FM, żeby się uwolnić od całego tego hałasu i gadaniny. Przez chwilę zastanawiałem się, czy to może

być załamanie nerwowe, i pomyślałem, że może Luke czuł się podobnie w trakcie swoich psychotycznych epizodów.

Stanałem dopiero w Wexford, pod hotelem w stylu bogatej wiejskiej posiadłości. Zameldowałem się w pokoju, wziąłem długą kąpiel i ubrałem ponownie w rzeczy, które miałem na sobie rano. Kilkoma haustami wypilem dwie małpki whiskey z minibarku, po czym zszedłem do hotelowego baru. Barman rozpoznał mnie i zaczął wypytywać o aktorów i filmy. Zamiast wdawać się w rozmowę, wyszedłem z hotelu na jedną z miejscowych plaż. Był jasny letni wieczór, więc nad wodą bawiło jeszcze kilka rodzin, par i innych plażowiczów, korzystając z ciepła powoli zachodzącego słońca. Zdjąłem buty i skarpetki, podwinąłem nogawki spodni i poszedłem nad wodę. Była lodowata. Mimo ciepłego dnia pojawił się też przesywający wiatr z północy. Urlopowicze spakowali manatki i się wynieśli, co mnie ucieszyło. Kilkoro z nich przywitało mnie kiwnięciem głowy, ale nie chciało mi się odpowiadać.

Podobno energiczny spacer potrafi dobrze zrobić. Przeszedłem trochę ponad półtora kilometra w jedną stronę, potem wróciłem do hotelu, ale w głowie wciąż mi się kłębiło. Umowy, finanse, cwani aktorzy, reżyserzy primadonny, Gemma – ta dziewczyna, z którą się z przerwami umawiałem, i Susan. I te ich wiecznie rosnące wymagania. Drażnił mnie Brian, usiłujący zbić kasę na wątlej karierze Daisy, i Luke z tą swoją nową trzeźwością, bo chociaż teraz wydawało się, że wszystko jest u niego normalnie, to byłem pewien, że zaraz znowu da do wiwatu i narobi mi wstydu. Myślałem o wszystkim, z wyjątkiem tego, o czym mówił lekarz. Wokół tej rozmowy zbudowałem sobie w głowie mur.

Wróciłem do hotelowego baru, za astronomiczną kwotę kupiłem całą butelkę Jamesona, zabrałem ją do swojego pokoju z widokiem na morze, zamówiłem jedzenie z restauracji i zacząłem przerzucać kanały w telewizji. Po jakimś czasie zapadłem w pijacki sen.

Następnego ranka zwymiotowałem i zapłaciłem konsjerżowi, żeby posłał kogoś do apteki po solpadeinę i alka-seltzer oraz do sklepu po T-shirt, bokserki i skarpetki. Odniosłem wrażenie, że nie byłem pierwszym

gościem, który go o to prosi. Nie wziąłem prysznicza ani nie przebrałem się w czyste ubranie. Zamiast tego usiadłem na balkonie. Nie mogłem się zdecydować na nic konkretnego do jedzenia, więc zamówiłem po porcji wszystkiego, co mieli w hotelowym menu. Dwa razy dzwonili z kuchni, żeby się upewnić, czy naprawdę chcę, żeby mi to wszystko przynieśli. Niebawem do mojego pokoju wjechały trzy wózki załadowane żarciem. Żałowałem, że nie wziąłem apartamentu, bo w małym pokoju nie było miejsca na to całe jedzenie. Porozkładali je wszędzie: na podłodze, na łóżku, a nawet na toalecie w łazience. Skubnąłem po trochu z każdego dania, ale wszystko miało smak trocin. Nic nie było w stanie poprawić mi samopoczucia ani mnie ucieszyć. Absolutnie nic.

Cały dzień lało. Siedziałem na balkonie, patrząc jak chmury sunące po wielkim, otwartym niebie zrzucają swoje brzemie na bezludną plażę i opustoszałe morze. Zjadłem coś i środki przeciwbólowe zaczęły działać, ale męczący ból mięśni, który utrzymywał się od miesiący, nie przeszedł. Zamówiłem szklankę whiskey na rozluźnienie, a potem jeszcze jedną. Obsługa zabrała tace z prawie nietkniętymi potrawami, tuszując obrzydzenie uprzejmym wyrazem twarzy. Potem zadzwoniłem do recepcji, zamówiłem kolejną butelkę whiskey i przystąpiłem do jej stopniowego opróżniania w stałym tempie, próbując złagodzić nękające mnie stres i ból.

Po jakimś czasie wstałem i wyszedłem z pokoju, żeby zejść na parking. Pojawiłem się na dole ubrany jedynie w hotelowy szlafrok i majtki. W ręce miałem kluczyki. Zdołałem pokonać pół drogi do samochodu księżycowym krokiem, gdy przechwycił mnie hotelowy odźwierny w cylindrze.

– Sir? Proszę pana! Może jednak nie powinien pan teraz prowadzić? Proszę wrócić do lobby, zamówimy panu taksówkę. Sir?

Kazałem mu spierdalać i otworzyłem bagażnik. Wyszedłem tylko po telefon. Mijając konsjerża w drodze powrotnej do hotelu, potknąłem się. Miał zawstydzoną minę.

- Przepraszam, proszę wybaczyć, ale wyglądało na to, że...
- Na co wyglądało? – wybełkotałem.
- Na nic, proszę pana.

Tak dla żartu zbliżyłem się do niego i strąciłem mu z głowy ten idiotyczny cylinder. Rzucił się w panice na ziemię, żeby go podnieść. Spostrzegłem, że ludzie zaczynają się na mnie gapić. Pokazałem im środkowy palec i poszedłem do windy, ale musiałem nacisnąć zły guzik, bo gdy dotoczyłem się do końca korytarza, moja karta nie chciała otworzyć zamka i zorientowałem się, że stoję przed numerem 359 zamiast 559. Wściekły, kopnąłem w drzwi i ruszyłem z powrotem do windy. Po drodze znalazłem wejście na schody prowadzące na wyższe piętra.

W pokoju odblokowałem telefon. Pokazywał trzynaście nieodebranych połączeń od Susan, Geralda, mojej dziewczyny Gemmy i jeszcze kilku innych zer, które się pałętały w moim życiu. Daisy nie dzwoniła. Chciałem wybrać numer mojej matki. Strasznie mi jej brakowało. Nie było już nikogo, kto byłby ze mnie tak naprawdę dumny. Co by mi powiedziała w tej sytuacji?

Przelałem resztę whiskey z butelki do szklanki. Było mi niedobrze, a jednocześnie – co dziwne – czułem głód. Otworzyłem minibarek i pożarłem wszystkie pringlesy i precelki, po czym wypilem wino i resztę alkoholi w miniaturowych buteleczkach. Po bacardi i wódce położyłem się na łóżku, a pokój zaczął wirować wokół mnie. Myślałem, że przed helikopterem uratuje mnie zamknięcie oczu, ale to tylko pogorszyło sprawę, więc znowu usiadłem na łóżku. Czułem, jak żołądek mi się kurczy, i wiedziałem, że zaraz rzucę pawia, ale tym razem nie zdążyłem do łazienki. Zemdląłem.

Ocknąłem się w niedzielę wczesnym rankiem, ohydnie upapwany własnymi rzygami. Dotarło do mnie, że potrzebuję pomocy. Zadzwoiłem do jedynej osoby, która wydawało mi się, że może mnie zrozumieć.

- Halo – mruknął zaspanym głosem. Był w łóżku.
- Luke, tu Will. Słuchaj... Potrzebuję twojej pomocy.
- Co? A gdzie jesteś?

Rozplakałem się. Nieczęsto zdarzało mi się płakać. Dwa lata wcześniej na pogrzebie matki nie umiałem powstrzymać szlochu i wstydziłem się tego. Pamiętam, jak mówiła z dumą: „William nigdy nie był beksą i nigdy

nie narzekał. William ze wszystkim daje sobie radę”. I oto ja, milioner, z dziewczyną superlaską, najbardziej wzięty irlandzki producent filmowy wszech czasów, posiadający absolutnie wszystko, o czym można zamarzyć – ryczałem i zawodziłem jak dziecko.

*

Luke przyjechał taksówką po kilku godzinach.

– Uuu, stary, ale popierdolona akcja.

„Co ty nie powiesz”.

Zmusił mnie, żebym wziął prysznic i przebrał się w przymały dres, potem wysłał mnie do samochodu i kazał tam czekać, aż sam zapłaci rachunek moją kartą kredytową. Przy okazji dał kilka autografów i zapozował do selfie z brzydką jak nieboskie stworzenie recepcjonistką w średnim wieku. Byłem na niego wściekły, nie umiałem znaleźć w sobie krzty cierpliwości.

Luke był w dobrej formie. Po pogrzebie matki stwierdził, że się cieszy, że już nie musi się starać, żeby ją zadowolić. Wszystko jedno. Stał się teraz niepijącym, niepalącym, zdrowo żyjącym ogrodnikiem i pasjonatem kina. W poprzednich latach studiował coś związanego z filmem i przy każdym spotkaniu zasypywał mnie pytaniami na temat branży. Z wiekiem zrobił się przystojny. Miał teraz czterdzieści pięć lat. Trzy razy w tygodniu chodził na siłownię i przestał rozjaśniać włosy. Zaczął nosić porządne marynarki i dzinsy. Mogłem go zabrać wszędzie, wiedząc, że nie narobi mi wstydu, ale nigdzie go nie zabierałem. Przed tym weekendem nie rozmawiałem z nim z miesiąc albo i dwa. O ile tylko się dało, unikałem go, bo nie było pewności, czy przy najbliższej okazji znowu mu nie odbije.

Przywiózł mnie do domu przy wiktoriańskiej uliczce, który wynajmował w dzielnicy Ranelagh na przedmieściach, i zaprowadził do wolnego pokoju. Z szafki z lekami dał mi na uspokojenie coś, po czym spałem siedem godzin.

Gdy się obudziłem i zszedłem na dół, Luke przyrządził jakieś wegetariańskie danie z pełnoziarnistego makaronu. Podał mi mleko kokosowe do wypicia. Spytałem, czy nie ma nic mocniejszego, ale

powiedział, że nie trzyma w domu alkoholu. Zadał kilka pytań o Daisy i o projekty filmowe, nad którymi pracowałem. Spytał, czy wyremontowałem łazienkę po incydencie z cieknącą termą. Potem opowiadał coś o agencji artystycznej Briana i stwierdził, że dobrze, że z niej odszedł, bo teraz sam jest sobie menedżerem, ale strasznie chce, żebyśmy ja i Brian znowu zaczęli się do siebie odzywać. Nie miałem najmniejszej ochoty na godzenie się ze średnim bratem ani na rozmowę o nim czy na żaden inny temat. Gdy skończyliśmy jeść, Luke zebrał talerze i powiedział, że mogę u niego zostać tak długo, jak zechcę. Nie pytał o mój stan psychiczny ani dlaczego do niego zadzwoniłem. Zamiast tego wręczył mi kartkę z zamiarami jego psychiatri.

– Po co mi to?

– Rozsypałeś się, więc może potrzebujesz z kimś porozmawiać. Znaczący z profesjonalistą. Ja cię mogę wysłuchać, ale mówiąc szczerze, sam nie rozumiem, co się dzieje w mojej własnej głowie, i nie bardzo mogę brać na siebie ciężary innych, rozumiesz?

– Nic mi nie jest. To tylko stres. Przepracowanie i zmęczenie.

– Jak uważasz, ale wiesz: i tak powinieneś się do kogoś zgłosić.

Zapewniłem go, że mój weekend był tylko chwilową wpadką i że jestem gotów wrócić do domu.

Gdy od niego wychodziłem, jeszcze na kilka minut zatrzymał mnie w progu i wtedy zrozumiałem, że całe to przedstawienie jest ściemą.

– Słuchaj, Will, myślałem, żeby trochę zacząć aktorzyć. A ty teraz kręcisz ten pełny metraż według książki Jane Casey, więc sobie pomyślałem, że mógłbym zagrać ojca tej młodej detektywki? Warunki, sam przyznasz, mam świetne i czuję, że super bym sobie z tą rolą poradził, nie?

Tak bardzo mnie zaskoczył, że odpowiedziałem dopiero po paru sekundach:

– Luke, aktorów szukamy zwykle w agencjach albo zwracamy się do zawodowców, wiesz: prawdziwych aktorów, z doświadczeniem, po szkołach aktorskich i z dobrymi rolami w portfolio.

– No tak, jasne, ale myślałem, że skoro ja ci rano pomogłem, to teraz ty mógłbyś pomóc mnie, pociągnąć za kilka sznurków...

Odwróciłem się i poszedłem do samochodu, ale Luke ruszył za mną, nie przestając mówić. Wsiadłem, zamknąłem drzwi i podkręciłem muzykę w radiu, żeby zagłuszyć jego przymilny głos.

Po weekendzie pojechałem do szpitala Świętego Jakuba. Doktor Shabrath powtórzył wszystko, co za pierwszym razem przeleciało mi mimo uszu. Zapewnił mnie, że HIV nie jest już wyrokiem śmierci i że istnieją leki antyretrowirusowe, a w dodatku wszyscy pacjenci jego kliniki dostają je za darmo. Słowem, wyjdę na prostą. Z miejsca zdecydowałem się na leczenie i badania, ale pod warunkiem, że będą przeprowadzane z pełną dyskrecją. Doktor Shabrath zastanawiał się, czy mogłem kogoś zarazić, i zachęcił, żebym porozmawiał ze swoim partnerem. Zapewniłem go, że jestem hetero. Spojrzał na mnie tak, jakbym powiedział, że noszę spodnie, a nie spódnice. Stwierdził, że to nie ma żadnego znaczenia. Po podaniu leków mój ładunek wirusowy spadnie do niewykrywalnego poziomu i nie będzie już możliwości, żebym kogoś zaraził. Będę mógł wrócić do pełnego, normalnego życia płciowego. Nie miałem pojęcia, od jak dawna krąży we mnie ten HIV, może od kilku miesięcy, a może miałem go od lat? Nie było jak tego sprawdzić. Ale co do dwóch rzeczy miałem pewność: na razie nie chciałem uprawiać seksu absolutnie z nikim i nikt nie mógł się dowiedzieć o mojej przypadłości.

Zasugerowano nam, że obaj powinniśmy wygłosić mowy na pogrzebie, ale zaproponowałem, żebyśmy zamiast tego odczytali coś ze znanej poezji. Sam wybrałem wiersz W.H. Audena wykorzystany w filmie, który był popularny w czasach naszej młodości, i ukochany przez wielu ludzi. Mój brat przeczytał jakiś natchniony, ale nieprzystający do okazji cytat z nie wiadomo kogo, który na chybił trafił znalazł w internecie w dniu pogrzebu. Obaj otrzymaliśmy gorące brawa.

W raporcie z sekcji zwłok wpisano: strzaskana czaszka, połamane dłonie i zmiażdżone łokotki. Starąłem się wyrzucić z głowy te obrazy.

Sprowadzenie jego ciała do kraju zajęło siedem dni i wymagało pomocy irlandzkiego konsulatu.

Postanowiliśmy nie organizować pogrzebu kościelnego. Sala krematorium pękała w szwach. Kurtyna, przesuwaną się po elektrycznej szynie, zasłoniła trumnę, gdy ta zaczęła zjeżdżać w dół – pewnie do pieca. Wtedy mój brat zaniósł się głośnym szlochem. Hipokryta. Sam zachowałem pełne godności milczenie. Wolałem nie ściągać na siebie większej uwagi, niż to było konieczne. Nie chciałem zachowywać się jak winowajca ani robić z siebie widowiska.

Dawne urazy i niechęć wobec mnie i mojego brata rozwiały się w obliczu naszej obecnej straty. Dawni przyjaciele ściskali nam dłonie i proponowali spotkania – to na drinka, to na kolację – do których oczywiście nigdy nie miało dojść.

Po ceremonii zorganizowaliśmy stypę z przekąskami w czterogwiazdkowym hotelu. Taka była rekomendacja domu pogrzebowego. Przystaliśmy na nią. Próbowaliśmy namówić Daisy, żeby chociaż skosztowała kanapek, ale odmówiła. Napiała się tylko miętowej herbaty. Z nikim nie rozmawiała, nic nie jadła, tylko wychodziła palić na zewnątrz, jakby nie zauważając zacinającego deszczu, który siekł ją po ramionach.

Luke

1977

- Tato, a co to jest cherlak?
 - Skąd znasz to słowo, Luke? – spytał.
 - Mama powiedziała, że jestem najgorszym cherlakiem z całego miotu, a „miot” brzmi jak wymioty. O co jej chodziło?
 - Mówiła tak, kiedy była na ciebie zła?
 - Ona zawsze jest na mnie zła.
 - Nieprawda. Ale ostatnio jest trochę zmęczona i powinniśmy się przy niej zachowywać troszkę ciszej.
 - Powiedziała, że zaprowadzi mnie do lasu i zostawi u tej staruchy, która tam mieszka.
 - U jakiej znowu staruchy?
 - Nie wiem. No u tej, co mieszka w lesie.
 - Nic się nie martw. Twoja mama czasami dramatyzuje, ale takich rzeczy nie mówi na poważnie. A w lesie nie mieszka żadna starucha.
 - To znaczy, że mama kłamie?
 - Nie, tylko trochę wyolbrzymia. A czasami różne rzeczy wymyśla, żeby utrzyć nosa małym chłopcom.
 - Wcale nie jestem mały!
 - Mhm. A ile masz lat? Sześć. Jesteś moim najmłodszym synkiem.
- Tata wziął mnie na barana i ruszyliśmy dalej. Pamiętam ten spacer po nabrzeżu. Nie wiem, gdzie tego dnia byli Brian i William. Nie spędzałem zbyt wiele czasu sam na sam z tatą. Ale naprawdę to uwielbiałem. Tata zawsze umiał sprawić, że czułem się wyjątkowy. Wydaje mi się, że lubił

mnie tak samo jak moich braci. Zupełnie inaczej niż mama. Ona nie miała rodziców, odkąd skończyła cztery lata, czy coś koło tego. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że sam mógłbym nie mieć rodziców. Ona i jej starsza siostra Peggy wychowały się z przyszywanymi rodzicami, którzy byli biedni.

Nocą często patrzyłem przez okno mojego pokoju na las za domem i myślałem o starej pani, która w nim mieszkała, chociaż tata mówił, że wcale jej tam nie ma. W dzień chodziłem do lasu po kasztany, ale nigdy nie widziałem tam żadnego domu, a jedyną staruszką, na którą się natknąłem w lesie, była nasza sąsiadka pani Turner. Spacerowała z psem. Chciałem, żeby tata miał rację, jednak wyobrażałem sobie tamtą staruchę ze szczegółami. Była wysoka, lecz zgarbiona. Trzymała wielki kij i nosiła długi czarny płaszcz. Jej twarz przeważnie zasłaniał kaptur, ale pewnie gdyby go zdjęła, ukazałyby się długie białe włosy, cienkie usta i upiornie blada twarz, i miałyby taki piskliwie skrzeczący głos. Prawdopodobnie była czarownicą. Mama nigdy jej specjalnie nie opisywała. Nie było potrzeby.

Pewnego dnia w szkole, podczas lekcji, odwiedził nas ojciec Martin i powiedział, że Bóg ochroni nas przez złem. Uwielbiałem ojca Martina. Był zabawny i potrafił robić magiczne sztuczki. Podniosłem rękę i spytałem, czy Bóg może nas też obronić przed czarownicami. Ojciec Martin się uśmiechnął i odparł, że oczywiście, jeśli tylko będę pilnie czytać Biblię i przygotowywać się do pierwszej komunii.

Przed spaniem prosiłem tatę, żeby zamiast bajek na dobranoc czytał nam coś z Biblii, ale Brian i William kręcili na nią nosem. Mówili, że Jezus to nudziarz, i upierali się przy opowieściach o pilocie Bigglesie, które słyszeliśmy już sto razy. Ja wcale nie miałem Jezusa za nudziarza. Według mnie był niesamowity, a ten cud z nakarmieniem tysięcy ludzi pięcioma bochenkami chleba i kilkoma rybami uważałem za fantastyczny. Obiecowałem sobie, że gdy dorosnę, sam będę czynił cuda. Jeśli się bardzo postaram, to też mogę zostać Jezusem. To by było Jego Drugie Przyjście. Musiałem tylko być grzeczny i miły dla wszystkich.

Gdy mama się denerwowała, a tata nie znajdował się w pobliżu, to mnie biła. Otwartą ręką. Mówiła też, że jestem głupi i do niczego. William i Brian zrzucali na mnie winę za wszystko, co sami mieli na sumieniu: znikające ciastka, pozdierane buty, rozlane mleko. Wystarczyło, że powiedzieli: „Luke to zrobił”, a mama zaraz im wierzyła. Na początku próbowałem się modlić, żeby uwierzyła mnie, a potem, aby Bóg wybaczył moim braciom, bo nie chciałem, by poszli do piekła, ale modlitwy nie na wiele się zdawały. To był krzyż, który musiałem nieść, drobnostka w porównaniu z prawdziwym krzyżem, który dźwigał Chrystus w drodze na Kalwarię.

Kiedy poszedłem do pierwszej spowiedzi, nie miałem żadnych grzechów, do których mógłbym się przyznać, więc „pożyczyłem” grzechy Williama i Briana: kopanie się z braćmi, wykradanie czekolady i zwalanie winy na innych. Ksiądz kazał mi okazać skruchę i zmówić dwie zdrowaśki i jeden ojczenasz, ale po wszystkim poczułem się jeszcze gorzej, bo okłamywanie prawdziwego księdza na pewno było śmiertelnym grzechem. Nie mogłem jednak tego wyjaśnić ojcu Martinowi, bo od razu by się zorientował.

Próbowałem pytać o to tatę. Powiedziałem mu, że Bóg może się na mnie gniewać, bo skłamałem. Tata stwierdził, że nie ma się o co martwić, skoro mogę o tym porozmawiać z księdzem przy spowiedzi w następnym tygodniu. Przez całe siedem dni bardzo bolał mnie brzuch. Nie miałem wątpliwości, że to diabeł. Siedzi tam i rośnie we mnie. Wiedziałem, że prędzej czy później starucha z lasu przyjdzie i mnie zabierze.

Zaproponowali nam koncert w Olympii. Najpierw miały zagrać inne zespoły, a potem, o północy, wchodziliśmy na scenę my. Sean bardzo się podekscytował. Olympia ma tysiąc dwieście miejsc siedzących – była to zdecydowanie największa sala, w jakiej dotąd graliśmy. Z trudem przebrnąłem przez pierwszy rok studiów na dublińskiej uczelni University College Dublin, a potem całe lato upłynęło nam w trasie. Telepaliśmy się po kraju zdezelowaną furgonetką, graliśmy w małych klubach i pubach, a gdy nadszedł październik, nie pojawiłem się na ani jednym wykładzie, bo nasza kapela, The Wombstones, była zajęta wyrabianiem sobie marki. Zresztą już byliśmy dość znani. Czas upływał nam na pisaniu numerów i próbach, a Sean próbował organizować pieniądze na nagranie drugiego albumu. Do Olympii regularnie przyjeżdżali promotorzy z Wielkiej Brytanii poszukujący nowych talentów, więc po raz pierwszy mieliśmy szansę, wprawdzie wątplą, ale jednak, na kontrakt płytowy.

Okropny atak paniki i dziwaczne wizje, które mnie dopadły, ośwładnęły mną i przeraziły w czasie naszego pierwszego koncertu, należały już do przeszłości. Miałem niesamowite szczęście, że Sean był po mojej stronie, bo po tej pierwszej wtopie, mimo osiągniętego przez nas sukcesu, Alana i Jamiego trzeba było nakłaniać, żeby znowu ze mną zagrali. Napędziłem wszystkim stracha, łącznie z sobą samym. Ale drugi koncert poszedł gładko. Alan i Jamie zaczęli się wobec mnie zachowywać trochę bardziej przyjaźnie, chociaż i tak otwarcie nazywali mnie Lucyferem. Sean przekonał ich, że tłumy przychodzą oglądać właśnie mnie, a te tłumy składały się w większości z dziewcząt. Alan i Jamie uwielbiali, gdy babki się nimi interesowały. Ja też miałem tyle seksu, ile tylko zechciałem, jednak po

pierwszych kilku miesiącach straciłem zainteresowanie. Według nich to było dziwne, ale zdążyłem już przywyknąć, że ludzie mają mnie za kogoś dziwnego.

Nie mogliśmy się w zespole dogadać, jaką muzykę mamy grać. Sean chciał zwerbować klawiszowca z syntezatorami, który by nam nadał nowoczesne brzmienie, ale Alan wołał, żebyśmy pisali i grali staromodne aranże rockandrollowe. Z kolei jedwabisty bas Jamiego pchał nas bardziej w stronę jazzu, więc graliśmy wszystkiego po trochu, a ja zmieniałem barwę głosu odpowiednio do gatunku. Sean mówił, że mam fantastycznie szeroką skalę, ale muszę pracować nad siłą, bo śpiewam za cicho.

W ciągu kilku miesięcy opracowałem sobie stylówkę. Wiem, że była idiotyczna, ale wyglądało na to, że to, co idiotyczne, jest w modzie. Zapuściłem włosy do połowy pleców. Regularnie je myłem, lecz rzadko czesałem, więc układały się w rozczochrane loki. Golilem się raz na tydzień, we wtorki, więc do piątku, soboty miałem już odpowiedni zarost. Nosilem ciasne dzinsy, a ponieważ byłem wysoki i szczupły, kupowałem największe rozmiary dziecięcych T-shirtów – nieważne, czy chłopięcych, czy dziewczęcych – jakie udawało mi się znaleźć. Były na nich podobizny lalek Cabbage Patch, zabawkowych żołnierzyków albo inne obrazki, jakie się trafiały w dziale dla najmłodszych. Według Seana ten mój młodzieńczy image działał na korzyść zarówno moją, jak i zespołu. No i dziewczyny go uwielbiały. Raz Sean prawie siłą zawlekl mnie do damskiej toalety w klubie, żebym zobaczył graffiti z moją podobizną i wyrazami zachwyty nad moją cudownością. Wcześniej nie miałem się za przystojnego. Nikt mi nigdy nie mówił, że wyglądam atrakcyjnie, z wyjątkiem cioci Peggy, ale ona nazywała przystojniakami nas wszystkich, nawet Briana z jego krzywym nosem.

Różową marynarkę z cekinami, którą włożyłem na T-shirt z Troskliwymi Misiami, pożyczyłem na ten ważny koncert od mamy. Powiedziała, że wyglądam w niej na zniewieściałego. Nie przejąłem się tym. Miała się pojawić na koncercie z ciocią Peggy, Brianem i Willem, chociaż narzekali, że zaczyna się o skandalicznie późnej porze. Klub Olympia był popularny, bo miał licencję na prowadzenie baru w czasie trwania koncertów. No a w

Dublinie było bardzo mało miejsc, w których można się zimą napić alkoholu po jedenastej wieczorem, czyli po zamknięciu pubów. Udało mi się załatwić dla rodziny miejsca w łoży, żeby nie narażać mamy na kontakt z pijanymi i awanturnikami.

Po próbie technicznej miałem poczucie, że dobrze brzmiemy i – dla odmiany – wcale się nie denerwowałem. Jeszcze kilka godzin i rodzina będzie ze mnie dumna. Sean gadał jak nakręcony: „To jest ten moment, chłopaki! Nareszcie nam się uda! To nasza wielka szansa!”. Bezustannie sprawdzał, czy mam się dobrze: „Jak tam, Luko, wszystko spoko?”. Obawiał się, że może mi odbić tak jak za pierwszym razem. Uśmiechnąłem się więc, zapewniłem go, że wszystko okej, i jednym haustem wlałem w siebie kolejną puszkę harpa, na dowód, że naprawdę jest spoko. Przed naszym wejściem grał support. Sean specjalnie wybrał ten beznadziejny zespół, bo nie było obawy, że nas przyćmią. Gdy schodzili ze sceny, przybiliśmy sobie z nimi piątki – wszyscy mieli fryzury na The Cure i uszmkowane usta. Wybąkali w naszą stronę, że serdecznie życzą udanego koncertu.

Kiedy wreszcie weszliśmy na scenę, była za piętnaście pierwsza w nocy, a smród potu, haszu i wódy uderzył w nas jak obuchem. Puściłem chłopaków przodem, żeby mieli chwilę na strojenie, po czym wkroczyłem sam i wykonałem teatralny ukłon. Spodziewałem się zwykłych wiwatów i gwizdów, ale nie było reakcji. Gdy Jamie nabijał linię basu we wstępie do pierwszego numeru, popatrzyłem na łożę swojej rodziny. William ostentacyjnie spojrział na zegarek, jakby chciał mnie upomnieć za spóźnienie. Mama przyniosła lornetkę operową i robiła przegląd publiczności. Ciocia Peggy szczyrzyła się do mnie w pełnym dumy i zadziwienia promiennym uśmiechu. Na twarzy Briana malowało się umiarkowane zainteresowanie, jakby oglądał film dokumentalny o dzikich zwierzętach na BBC2. Między Brianem a Willem siedziała jakaś dziewczyna, której nie znałem.

Zaśpiewałem pierwsze wersy numeru otwierającego nasz występ. Publiczność prawie nie zareagowała, miałem wrażenie, że wszyscy się śmieją i gadają. Pokazałem akustykowi, żeby podkreślił mój mikrofon. Sean

skarcił mnie wzrokiem, bo na próbie technicznej ustawiliśmy poziomy i wszystko było dobrze, ale wiadomo, że gdy pojawi się publiczność, trzeba zrobić korektę. Sean kiwnął więc głową i dał akustykowi znak, żeby podgłośnił cały zespół.

Drugi numer zagraliśmy mocniej, z większym wykopem w refrenie i publika wreszcie zaczęła zwracać na nas uwagę, ale też nie aż tak bardzo, jak byśmy sobie życzyli. Nie przywykliśmy do takiej olewki. Owszem, wcześniej graliśmy tylko w małych salach, ale za kilka tygodni mieliśmy wystąpić w programie Anything Goes w telewizji, tymczasem ludzie w Olympii mieli nas w nosie. Pod koniec drugiej piosenki odsunąłem mikrofon i spytałem Seana, czy nie powinienem poprosić publiczności, żeby się uciszyła i zaczęła słuchać. Powiedział, że absolutnie nie. Musimy przez to przebrnąć.

Gdy ogłosiliśmy przerwę między setami, znów zerknąłem na lożę i zobaczyłem, że cała moja rodzina umiera z nudów. Tylko ciocia Peggy pomachała do mnie i uśmiechnęła się, kiedy nasze spojrzenia się spotkały.

Za kulisami wybuchłem: „Co się z nimi dzieje?! Przecież robimy dobre show! Dlaczego nie reagują?”. Okazało się, że istnieje kilka teorii. Olympia to w zasadzie tylko lepszy bar, ludzie nie przychodzą tu słuchać muzyki. Trafiła nam się starsza publiczność – przed i po trzydziestce. Nagłośnienie musi być do niczego, bo numery, które wcześniej porywały tłumy, dzisiaj w ogóle nie chcą zażyć. Sean zasugerował, że powinienem się rozluźnić. Alan stwierdził, że śpiewam, jakbym miał w dupie pogrzebacza. Chciało mi się płakać, ale Sean powiedział Alanowi, żeby się odczepił, bo będzie dobrze, jeśli tylko trochę się odprężę. Jamie przewrócił oczami.

Naprawdę nie miałem ochoty tam wracać i dalej upokarzać się przed rodziną. Will i Brian raz albo dwa razy widzieli nas wcześniej w akcji, ale wiedziałem, że na niedzielnym obiedzie następnego dnia mama będzie miała niejeden cięty komentarz do wygłoszenia. Dlaczego nie mogła przyjść na ten koncert, kiedy wszystkie dziewczyny skandowały moje imię, a ja płynąłem niesiony na rękach tłumy aż na koniec sali?

Ciężkim krokiem powlekliśmy się z powrotem na scenę. Zerknąłem na lożę. Była pusta. Zdziwiło mnie, że nie poczułem nic poza ulgą. Presja zniknęła. Zaczęliśmy grać i całkowicie odleciałem. Całe ciśnienie ze mnie zeszło. W połowie drugiego seta publiczność była już całkowicie nasza. Sala – wbrew przepisom przeciwpożarowym – zaroїła się od ludzi, którzy napłynęli tłumnie z obu barów działających na terenie klubu. Wszystkie miejsca były zajęte, ale nikt nie siedział. Dawaliśmy czadu, a ja znowu czułem się fantastycznie. Trzy razy bisowaliśmy, jednak tłum chciał więcej, a gdy dziesięć minut później znaleźliśmy się w garderobie, wciąż dobiegały nas skandowanie, wiwaty i rytmiczny tupot butów. Spojrzeliśmy po sobie, wybuchliśmy śmiechem i – w chwilowym przypiływie autentycznej sympatii – uściskaliśmy się z chłopakami. „No tośmy się, kurwa, wygrzebali z otchłani” – powiedział Alan.

Łyknęliśmy piwa i w triumfalnym geście unieśliśmy w górę pięści. Pięć minut później przyszedł menedżer klubu i zaproponował nam cykliczne występy w styczniu i lutym, w każdy piątek i sobotę. Zostawiliśmy Seana, żeby ustalił z nim szczegóły. Przypuszczaliśmy, że jeśli na sali był A&R menedżer albo inny łowca talentów z wytwórni, to zmył się po pierwszych pięciu minutach naszego koncertu, ale mieliśmy nadzieję, że wróci, gdy się rozejdzie wieść, że roznieśliśmy tę budę.

Następnego dnia przy niedzielnym obiedzie mama ani słowem nie wspomniała o koncercie. Gdy tylko chłopaki zaczęli o nim mówić, płynnie przechodziła do podawania warzyw albo uprzątnięcia talerzy, szcękając przy tym sztuczkami. Brian i William koniecznie chcieli mi wytłumaczyć, dlaczego ich zdaniem koncert był taki kiepski. William stwierdził, że szkoda, że nie jestem przystojny i nie mam mocniejszego głosu. Brian powiedział, że koniecznie powinienem wrócić na wykłady, bo ten mój zespół nigdy nie zdoła się przebić. Mama w końcu przemówiła. Poprosiła, żebym nigdy więcej nie wkładał na scenę jej marynarki, ale to było jedyne nawiązanie do poprzedniego wieczoru. Odpowiedź uznałem za zbytęcną, bo w głębi serca czułem, że nam się uda i sukces czeka za rogiem.

Tylko częściowo miałem rację. Pod koniec stycznia do Seana odezwał się producent z Sony. Proponował kontrakt płytowy, ale nie całemu zespołowi. Chciał tylko mnie i piosenki. Oferował pieniądze, przeloty i czas w londyńskim studiu nagraniowym, o którym wszyscy marzyliśmy. W pierwszej chwili nie potrafiłem sobie wyobrazić, że mam nagrywać muzykę i w ogóle robić wszystko bez kolegów z zespołu. To by była totalna zdrada. Zaryzykowali, postanawiając grać ze mną, a kiedy nawaliłem, dali mi drugą szansę. Poza tym tylko cztery z naszych piosenek były mojego autorstwa. Propozycja wytwórni, zainteresowanej jedynie moim głosem, była obraźliwa. Powiedziałem Seanowi, żeby faceta spławił. Nie zgadzam się na kontrakt bez zespołu. Sean był wdzięczny za tę lojalność i poszedł przekazać wytwórni moje warunki. Wrócił z bardziej interesującą propozycją. Sony zaoferowało mi większą kasę jako soliście, a Sean zaproponował, że będzie moim menedżerem. Ufałem mu. Lubiłem go. Zresztą był tak naprawdę jedyną osobą, która zagrzewała mnie do działania. Zgodziliśmy się.

Alan i Jamie już nigdy się do nas nie odezwali.

1984

Rodzice nie zgodzili się, bym poszedł z resztą rodziny na koncert Boba Dylana pod zamkiem Slane, bo miałem tylko trzynaście lat. Nie przeszkadzało mi to. Nie znosiłem tłumów, choć chętnie zobaczyłbym, jak wygląda prawdziwy zamek od środka. Noc spędziłem w domu u cioci Peggy. Pozwoliła mi piec pianki w kominku, a potem bawiłem się z jej psem Rustym.

Ciocia Peggy była siostrą mojej mamy, ale zupełnie jej nie przypominała. Nie miała własnych dzieci i uwielbiała mnie i moich braci. Wszystkich nas kochała jednakowo i choćbym nie wiem, co zrobił, nigdy mnie nie uderzyła. Gdy przewróciłem jej ulubioną wazę, którą podarował jej król Syjamu, powiedziała, że nic nie szkodzi, bo teraz ma mniej rzeczy do odkurzania. Uwielbiałem chodzić do niej do domu, zwłaszcza jeśli szedłem sam. Czasami pokazywała mi stare zdjęcia jej i mamy, gdy były malutkie, z dużą rodziną, w której miały jeszcze czworo rodzeństwa, zanim ich mama i tata zginęli w wypadku tramwajowym. Raz albo dwa spotkałem wujków i ciocię z tych fotografii w domu u Peggy, ale do nas ich nigdy nie zapraszano. Zawsze nazywali mamę Małą Moll, choć naprawdę miała na imię Melissa. Tamto rodzeństwo nigdy nie trafiło do adopcji i wszyscy dorastali w sierocińcach. Ciocia Peggy opowiadała, że rodziny adopcyjne, w których wychowywały się ona i mama, nie obchodziły się z nimi zbyt miło. Powiedziała też, że jej prawdziwa rodzina zachowywała się trochę zbyt szorstko wobec mojego taty. Nie rozumiałem, co miała na myśli. Tamci wujkowie to byli tacy duzi faceci, którzy mówili przez zęby, zawsze z papierosem w ustach albo za uchem. Ciotki miały na Thomas Street stoiska, gdzie sprzedawały papier toaletowy i wybielacz. Mama się

denerwowała, gdy pytałem ją o rodzeństwo i rodziców. Twierdziła, że nawet ich nie pamięta i nie ma poczucia, że to jej rodzina. Kiedy próbowałem się czegoś dowiedzieć od taty, stwierdził tylko, że na pewno są dobrymi ludźmi, ale szkoda, że nie zdobyli żadnego wykształcenia. Potem dodał, że jest dumny z mamy, bo sama wydzwignęła się z rynsztoka i dzięki ciężkiej pracy nad śpiewem stała się kimś.

Nikt z mojej rodziny nie bawił się dobrze na koncercie. Brian wrócił do domu nadąsany, bo ktoś mu ukradł zeszyt z autografami. Williama napadli i pobili, i skończył w szpitalu. Tata był naprawdę zły na mamę, ale ona zachowywała się najdziwniej ze wszystkich. Zaraz poszła do łóżka i z żadnym z nas nie chciała rozmawiać. Tata pościelił sobie na sofie. Pomyślałem, że się pokłócili, ale Brian wyjaśnił, że mama zaginęła w zamku i nikt nie wiedział, gdzie jest. Czyżby znowu zdradziła tatę? Może tym razem ją przyłapał. Możliwie, że mama była maniaczką seksualną.

Bałem się, że sam też mogę być zbrojcem. Rok wcześniej odkryłem, że pocieranie się tam na dole bywa fantastycznie przyjemne, a czasem zdarzało mi się to nawet we śnie i wtedy się moczyłem. Mieliśmy wspólny pokój z Brianem, ale on zupełnie nic nie zauważył, a przynajmniej nigdy nic na ten temat nie napomknął. Księża pod koniec podstawówki wspominali o tym, ale mówili też, że to wielki grzech. Wreszcie spytałem tatę, jak to jest. Powiedział, że to wcale nie grzech, ale też nie powinienem o tym nikomu opowiadać. Więc dalej czułem, że grzeszę. Spytałem taty, czy powinienem to wyznać księdzu na spowiedzi, ale stwierdził, że absolutnie nie.

Tamtego lata moi bracia chętnie bawili się z sąsiadami w okolicach lokalnego centrum handlowego albo w lesie za domem. Ten las wciąż wydawał mi się straszny. Starucha regularnie odwiedzała mnie w snach i zawsze mówiła, że ma dla mnie wiadomość. Nigdy nie zdążyła mi jej wyjawić, bo wcześniej się budziłem, ale byłem pewien, że to coś złego, i nie chciałem się dowiedzieć, co ma mi do powiedzenia. Zdawałem sobie sprawę, że to tylko sen. Nie byłem już małym dzieckiem. Przestałem wierzyć w straszydła, ale te wizje pojawiały się często i zawsze mnie

przerazały. Gdy mówiłem o tym Willowi i Brianowi, wyśmiewali mnie, że opowiadam o czarownicach, więc nauczyłem się, że lepiej milczeć. Nie miałem wielu kolegów. Chłopaki z klasy nazywały mnie dziwolągiem, a dzieciaki z sąsiedztwa unikały mojego towarzystwa. Nie przeszkadzało mi to, bo Bóg był po mojej stronie.

Pewnego ranka, jakieś dziesięć dni po koncercie na zamku w Slane, Brian i Will wyszli gdzieś na dwór, żeby zgrywać luzaków i pewnie też palić papierosy. Leżałem sam na sofie w salonie i gapiłem się na stary czarno-biały film. Gdyby moi bracia byli w domu, musielibyśmy w nieskończoność oglądać kasety z nagrany programem z irlandzkiego kanału Music Television USA na badziewnym magnetowidzie, który tata wygrał na loterii. A ten stary film był naprawdę śmieszny: o dwóch facetach, którzy, by uciec przed zbirami, udawali, że są kobietami i grają w żeńskiej orkiestrze. Ale były w nim też dwie rzeczywiście piękne, prawdziwe kobiety. Jedna z nich miała taki zabawny wysoki głos i trochę sepleniała, a za każdym razem, kiedy dokądś szła, to pupa jej się trzęsła, a biodra kołysały. Sam nie wiem, kiedy ręka zawędrowała mi do majtek. Spostrzegłem się dopiero, gdy mama krzyknęła na mnie, stojąc w drzwiach do salonu: „Jezus Maria, wszyscy jesteście tacy sami! Obłeśne zwierzęta!”. Patrzyła na mnie wściekle, kipiąc gniewem.

Natychmiast wyjąłem rękę ze spodni, ale mama zdążyła zobaczyć, co robię. Pachniała jakoś tak kwaśno, włosy sterczały jej do góry, a z tyłu były skołtunione. Na pewno dopiero co płakała. Trzasnęła drzwiami i wyparowała z salonu, a po chwili usłyszałem też trzaśnięcie kuchennych drzwi. Zdenerwowałem się, bo tata mówił, że trzepanie jest okej, ale to sprawa prywatna. Może jednak mama o tym nie wiedziała? Poszedłem za nią do kuchni.

– Przepraszam, mamo – powiedziałem.

Ciężko opadła na krzesło, a ja zaproponowałem, że zrobię jej filizankę herbaty. Kiwnęła głową, ale nie spojrzała na mnie.

– Najpierw umyj te brudne łapy. – Gdy stałem przy zlewie, odwrócony do niej plecami, rzuciła: – Zostałam zgwałcona.

– Co?

– Chyba wiesz, co to znaczy? – Poczulem, jak krew uderza mi do głowy. Całkiem mnie zatkało. Oczywiście, że wiedziałem, co to znaczy, ale nigdy o tym nie rozmawiałem, z nikim. – To się stało, gdy byliśmy na zamku w Slane. Jack Gogan to zrobił. – Bałem się odwrócić. – Znasz go, prawda?

Przypomniałem sobie, że kiedyś byliśmy w domu u państwa Goganów na przyjęciu bożonarodzeniowym. Mieli dwoje dzieci, mniej więcej w naszym wieku, chłopaka i dziewczynę. Nie spodobało mi się jak pan Gogan patrzył na mamę i że pocałował ją pod jemiola, ale to było kilka lat wcześniej.

Skończyłem robić herbatę i postawiłem ją na stole przed mamą. Gestem nakazała, bym usiadł.

– Tobie mogę o tym powiedzieć. Nikt inny nie zrozumie, jak to jest... no wiesz... ciągle się bać. Nikomu innemu nie mogę się zwierzyć, więc usiądź i słuchaj. – Usiadłem i słuchałem słów, których nie chciałem słyszeć. Pozwoliłem im płynąć, od czasu do czasu dostrajając się do tego, co z sobą niosły. – ...rozchylił mi nogi... Byłam za bardzo przerażona, żeby krzyczeć...

Próbowałem nucić w głowie piosenkę. Mama mówiła dalej, a ja skupiłem uwagę na jej cienkich, promieniście otoczonych zmarszczkami ustach, które moim zdaniem wyglądały staro. Wokół oczu rozchodziło się jeszcze więcej zmarszczek. Popatrzyłem na jej długie uszy. U nasady farbowanych na kasztanowy kolor włosów zauważyłem białe odrosty. Pochylała się zgarbiona nad stołem. I wtedy nagle zrozumiałem, bez cienia wątpliwości, że to moja matka jest staruchą, która nawiedza mnie w snach. Już dawno mnie u niej zostawiono. To ona mnie przerażała.

Gdy skończyła mówić, sięgnęła po puszkę z czekoladowymi ciastkami i podała mi jedno.

– No, co ty na to?

Przez chwilę myślałem, że pyta o ciastko.

– To okropne, mamó. Powinnaś się zgłosić na policję.

– Gdybym poszła na policję, to by od razu trafiło do gazet. Taka jest cena sławy. Nie rozumiesz?

– A nie możesz porozmawiać z tatą?

– Są rzeczy, o których małżonkowie sobie nie mówią, bo potem zaczęliby inaczej na siebie patrzeć.

– Na przykład o tobie i Nicholasie Sheedym? Czy on też cię zgwałcił? To ją zaskoczyło.

– O czym ty mówisz?

– Widziałem cię... z nim, w waszym łóżku.

– Kiedy?

– W zeszłym roku... a może w poprzednim? Nie wiem, nie pamiętam. Jakiś czas temu.

– Och, zamknij się już! – krzyknęła, ale teraz w jej głosie była wściekłość.

– Myślałam, że mnie zrozumiesz!

Ja też byłem zły.

– Tak? Dlaczego właśnie ja?! Czemu nie powiesz tego Williamowi albo Brianowi?

– Bo ty wiecznie masz koszmary. A ja właśnie przeżyłam koszmar. Myślałam, że okażesz zrozumienie, a ty mi wyjeżdżasz z Nicholasem Sheedym, jakby to miało jakikolwiek związek!

– Przepraszam, ale...

– Myślisz, że to moja wina, że sama się prosiłam?!

– Oczywiście, że nie. Ale jedno i drugie to był... seks.

– Jesteś za młody. Co ja sobie myślałam? Zapomnij o tej rozmowie. Nie było jej. I nikomu ani słowa.

– Mamo?

– Co?

– Dlaczego ciągle mi mówisz złe rzeczy?

– O co ci chodzi?

– Na okrągło zdradzasz mi jakieś sekrety, ale one są zawsze okropne. O tamtej dziewczynie i małym dziecku, którzy umarli w grocie, albo o tym, że w zeszłym roku nie mieliśmy pieniędzy.

Jej usta rozszerzyły się w wilczym uśmiechu.

– Nie wiem, może dlatego, że nie zasługujesz na dobre wiadomości. Nigdy nie przyszło ci to do głowy?

– A dlaczego nie zasługuję? Nie chciałem słuchać o tym, jak umierał Paul. Całymi miesiącami miałem złe sny, ale ty siadałaś w nogach mojego łóżka i opowiadałaś mi wszystko ze szczegółami. On był przyjacielem Briana, dlaczego jemu tego nie mówiłaś? Jak wygrałaś na zakładach pięćdziesiąt funtów, to się chwaliłaś Brianowi i Willowi, a jak mieliśmy jechać na wakacje, dowiedziałem się ostatni. To nie fair!

Bez słowa wyszła z kuchni. Może to był dar, który miała dla mnie starucha z lasu? Złe wiadomości.

Poszedłem wyrzucić przez drzwi frontowe. Na murku, na końcu ślepej uliczki siedział William. Miał dzinsową kurtkę, choć było naprawdę ciepło i słonecznie. Rozmawiał z dwiema dziewczynami. Brian kopał piłkę, odbijając ją o drzwi garażu. Poczułem w żołądku znajomy skurcz, jakby zawiązał mi się tam supeł. Ruszyłem po schodach do swojego pokoju, którego okno wychodziło na las za domem. Gdy dotarłem na górę, nad lasem zdążyła zawisnąć czarna chmura. Zaciągnąłem zasłony i poszedłem do łóżka. Błagałem Boga, żeby mama przestała być zgwałcona i żeby nie była czarownicą. Myślałem, że głowa mi pęknie, miałem taki mętlik. Modliłem się bez końca za mamę, żeby więcej nie uprawiała seksu z innymi facetami... Może ten gwałt to kara boska? Może od teraz będzie już wierna tacie?

Tamtego roku bardzo wciągnąłem się w czytanie gazet i oglądanie programów publicystycznych. Niewykluczone, że to przez mamę. Tak jakbym się uzależnił od złych wiadomości. Prosiłem Boga, żeby IRA przestała podkładać ludziom bomby, żeby Wielka Brytania i Irlandia mogły żyć w przyjaźni i żeby znów otworzyli fabrykę Forda w Cork, bo wtedy wszyscy zwolnieni robotnicy mogliby zachować pracę.

Był wtedy jeden temat, który kompletnie zdominował media. Co wieczór puszczały wiadomości z Etiopii o głodujących dzieciach. Ich brzuchy, rozdęte puchliną głodową i chude jak patyki ręce i nogi stanowiły szokujący widok. Muchy, które gromadziły się w kącikach ich ogromnych oczu, przerażały mnie i obrzydzały. Zacząłem codziennie chodzić na mszę, a potem dwa razy w tygodniu do spowiedzi. Czułem się winny, że nie mogę pomóc tym dzieciom, to było nie do zniesienia. Na Boże Narodzenie kupiłem każdemu domownikowi singla Band Aid, a wszystkie pieniądze, które mi zostały, oddałem na cele dobroczynne. Jednak dzieci w Etiopii nadal umierały całymi tysiącami. Bóg już mnie nie słuchał. Robiłem wszystko, żeby mu się przypodobać, ale on miał to w nosie. Tkwiałem w szponach staruchy z lasu.

Kiedy tata zachorował, a Bóg nie kiwnął palcem, żeby mu pomóc, przestałem w Niego wierzyć. I to też nie Bóg zgwałcił mamę. Zrobił to Jack Gogan.

1995

Gdy byłem mały, nigdy nie marzyłem o sławie. Chociaż tata zawsze powtarzał, że jestem twórczy i mam wnikliwy umysł, to ja chciałem zostać listonoszem. Ta praca wydawała mi się taka niewydumana i przydatna. Inne dzieciaki pragnęły być piłkarzami albo astronautami, ale mnie ciągnęło do zajęcia, w którym miałbym wyznaczoną trasę i rutynę. Mama zaśmiała się, kiedy jej o tym powiedziałem, i stwierdziła, że będę miał szczęście, jeśli jakaś poczta zechce mnie przyjąć.

A teraz, w wieku dwudziestu czterech lat, byłem gwiazdą rocka. Albo mówiąc dokładniej, gwiazdą popu. Chyba tak. Tak naprawdę jedyna różnica polega na wieku i płci fanów. Ja miałem głównie nastoletnie fanki zamiast starszych facetów. Trasy koncertowe i praca nad nagraniami u jednych i drugich wyglądają mniej więcej tak samo. Najwyraźniej jednak gwiazdy popu nie wyrzucają telewizorów przez okno (raz próbowałem, ale kabel był na stałe zamontowany w ścianie) ani nie biorą twardych narkotyków (ja próbowałem każdego).

Miałem wszystko, czego tylko mogłem zapragnąć: sławę i bogactwo, występy w telewizji, uwielbienie fanek, więcej pieniędzy, niż byłem w stanie wydać, podróże po całym świecie, seks na zawołanie, psychotropy w zasięgu ręki i psychiatrę na każde wezwanie, w razie gdyby dopadł mnie dół. Ale tej wiosny wszystko było dobrze. Czułem siłę i stabilność, a wszyscy twierdzili, że nigdy nie widzieli mnie w lepszej formie. Chociaż twierdzili tak również, gdy byłem na dnie. Niewielu ludziom mogłem zaufać, mało kto mówił mi prawdę.

W tej części trasy grałem pięć koncertów z rzędu w paryskim Palais Omnisports, a potem miałem trzy dni wolnego przed wylotem do Zurychu.

To była świetna okazja, żeby nadrobić towarzyskie zaległości z Brianem. Rok wcześniej Susan i Will wzięli ślub, a Brian niedługo potem wyprowadził się do Paryża. Wcześniej byłem z nim bliżej niż z Willem, bo w dzieciństwie mieszkaliśmy w jednym pokoju, ale odkąd zacząłem robić karierę, widywaliśmy się bardzo rzadko. Po licencjacie nie mogłem się zdecydować, co chce robić. Poszedłem na studia pedagogiczne, zrobiłem magisterkę i teraz uczyłem angielskiego w jakimś ekskluzywnym paryskim lycée. Zazdrościłem mu anonimowości, ale wiedziałem, że gdybym musiał żyć tak jak on, zanudziłbym się na śmierć. I to mu się chyba udzieliło, bo w czasie ośmiu dni mojej bytności w Paryżu zdążył rzucić pracę w szkole i zatrudnić się – o dziwo – w restauracji. Powiedział, że tam jest mu fajniej i ma lepsze towarzystwo. Nie rozumiałem, dlaczego zmienił posadę intratną na słabo wynagradzaną, zwłaszcza że zawsze miał obsesję na punkcie pieniędzy, ale nie chciał ze mną o tym rozmawiać.

Zatrzymałem się w hotelu Lutetia, bo chciałem trochę zaszpanować. Byłem w dobrym zdrowiu, co chyba ucieszyło Briana. Po koncertach pozwalałem sobie wtedy co najwyżej na kilka puszek coca-coli i ciastka z francuskich cukierni, niczym innym się nie trułem.

Brian ubrał się niespecjalnie elegancko i chyba w ogóle nie za bardzo o siebie dbał. Gdy przedstawiłem go w towarzystwie, ludzie byli zaskoczeni, że to mój brat. „Jesteście do siebie zupełnie niepodobni!” – tak reagowali. Wszyscy trzej zawsze się różniliśmy, a ja na dodatek – pod dyktando stylistów – byłem teraz tak odstawiony, że całkiem straciłem kontrolę nad swoim wyglądem. Chętnie jednak oddałem innym prawo do podejmowania decyzji co do mojego wizerunku. Wcześniej nosiłem długie włosy, teraz mi je podcięli i zrobili pasemka, wybielono mi też zęby, ale stworzony w ten sposób image miał być scruffy chic, czyli taki niby niedbały, lecz jednak z klasą. Gdyby ktoś się dowiedział, ile wysiłku i pieniędzy wkładałem w to, żeby wyglądać, jakbym dopiero wstał z łóżka, to pękłby ze śmiechu. Codziennie spędzałem godzinę na siłowni, a co tydzień chodziłem do solarium, żeby w tej części koncertu, w której dziewczyny z baletu zrywają ze mnie koszulę, wyglądał na dobrze

wypieczone ciacho. Było dla mnie oczywiste, że według Briana to idiotyzm. Ja też tak uważałem, ale Sean, mój menedżer, mówił, że wizerunek jest najważniejszy, a akurat taki działa na moją korzyść, więc się z nim nie spierałem.

– Dobrze wyglądasz – stwierdził Brian. – Znaczy, no wiesz, dziwnie. Ale zdrowo. Jak tam głowa? – W ten sposób Brian pytał o moje zdrowie psychiczne.

– Dobrze – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Przesypiałem całe noce, bo w snach nie odwiedzały mnie już moje małe zjawy. Nikomu o nich nie mówiłem. Nie potrafiłbym tego wytłumaczyć.

Zanim Brian rzucił pracę w szkole, zabrał grupkę swoich uczniów na jeden z moich koncertów. Gdy skończyliśmy grać, jedna z dziewczyn próbowała wpakować się do limuzyny, żeby wrócić z nami do hotelu. Brian ochrzanił ją ostro i kazał wysiąść z samochodu, ale ja byłem przyzwyczajony do małych z obsesją na moim punkcie, więc powiedziałem, żeby się wyluzowała.

Nie zaprosił mnie do swojego mieszkania. Powiedział, że jest małe, ciasne i nie ma się tam jak ruszyć. Jednak innego wieczoru, bliżej mojego wyjazdu, zabrał mnie do restauracji La Saucisserie, w której właśnie się zatrudnił. Był strasznie podekscytowany na myśl, że przedstawi mnie właścicielowi. Gdy już się poznaliśmy z Conradem, Brian spytał mnie:

– Nie przypomina ci kogoś? – Uważniej przyjrzałem się wyszczerzonemu w uśmiechu Conradowi i rzeczywiście było w nim coś znajomego, ale nie potrafiłem zgadnąć, kogo ma na myśli mój brat. – Przecież to wykrapany Paul! – zapał Brian.

Od razu do mnie dotarło, że mówi o naszym kuzynie, który w dzieciństwie zmarł na białaczkę. Poczulem w piersi nieprzyjemne trzepotanie i cień przemknął mi przed oczami. Faktycznie. Conrad wyglądał dokładnie tak, jak mógłby wyglądać Paul, gdyby żył.

Conrad zaprosił paparazzich, więc nie mogliśmy zjeść w spokoju, a po niedługim czasie wokół lokalu zebrał się tłum nastolatków. Była to ekscentryczna, modna restauracja w szóstej dzielnicy. Conrad bez przerwy

klepał Briana po plecach i kazał mi pozować do wspólnych zdjęć. Gość był ciepły i przyjazny, a przy tym na maksa afektowany.

Zaraz po kolacji zadzwoniłem po kierowcę, żeby nas stamtąd zabrał. Wróciliśmy do hotelu i zamówiliśmy do pokoju crème brûlée. Brian zaczął przeglądać moją szafę z ubraniami i butami. Powiedziałem mu, że może sobie wziąć, co chce. Wybrał naręczne jedwabnych marynarek, wełnianych płaszczy, kilka par butów, parę kamizelek, czapek i kapeluszy, a nawet nieotwarte opakowanie skarpetek. Wziął mniej więcej tyle, ile mógł unieść.

Z Brianem było tak, że nigdy nie okazywał wdzięczności. Nieważne, co dla niego zrobiłem albo ile rzeczy mu kupowałem, to nigdy nie było wystarczająco dużo, żeby podziękował. Gryzło mnie to, ale poza moim terapeutą nie mogłem nikomu o tym powiedzieć. Doktor Shroeder spytał, dlaczego oczekuję wdzięczności za rzeczy, które mogę zaoferować bez żadnego poświęcenia z mojej strony, ale według mnie, gdy człowiek ma dobre maniery, to umie podziękować za prezenty.

Później olśniło mnie, że jest coś, co mogę zrobić dla brata, żeby było mu lepiej w życiu. Brian nigdy nie miał prawdziwej dziewczyny. Przyjaźnił się z kilkoma, może coś tam ich łączyło przez chwilę, ale żadna nie była taka rzeczywiście wyjątkowa.

Sam zakochiwałem się co kilka tygodni, ale trasa koncertowa toczyła się swoim tempem i szybko pojawiała się następna dziewczyna. Na początku miałem coś w rodzaju sekretnego związku z siostrą Seana, ale on był moim menedżerem i czułem, że taki układ za jego plecami jest jak zdrada. Ilekroć wracałem do Dublina, spotykaliśmy się z Sarah, ale po moim ostatnim załamaniu odsunęła się ode mnie i nie mogłem jej za to winić. Tak czy inaczej, nigdy nie miałem problemu, żeby zorganizować sobie dziewczyny. Brian chyba przeciwnie. Zawsze brakowało mu pewności siebie. Mnie dawało ją śpiewanie, ale myślę, że on – były nauczyciel, a obecnie kelner – czuł, że mógłby sobie radzić lepiej.

Terapeuta ostrzegł mnie, że bym nie oferował bratu jałmużny, a jednak postanowiłem dać mu pracę przy obsłudze mojej trasy. Mogłem to załatwić tak, żeby został menedżerem od gadżetów, odpowiedzialnym za sprzedaż

plakatów, T-shirtów i płyt CD. Proste rozwiązanie. Roilo się tam od kobiet i byłem przekonany, że dla niejednej upolowanie mojego brata będzie niezłym osiągnięciem.

Złożyłem mu propozycję następnego dnia w dyskretnej kafejce, do której mnie zaprowadził. Potraktował to jak policzek.

– Serio? Widzisz we mnie sprzedawcę tandety dla podfruwajek?

Aż mnie замуrowało.

– Ale, Brian, wreszcie zarobisz rozsądne pieniądze, pojeździsz po świecie. I spędzimy trochę czasu razem.

– Sam radzę sobie całkiem nieźle, dziękuję.

– Naprawdę? Jako pomywacz? Muszą ci dobrze płacić.

Odwrócił wzrok i zaczął się bawić zegarkiem.

– I niby co? Zwolnisz kolesia, który teraz sprzedaje te twoje gadżety, żeby zrobić miejsce dla brata? Jak on się poczuje?

„Kolesiem”, który obecnie sprzedawał moje towary i ogarniał marketing, była piękna i wysoka dwudziestotrzyletnia Niemka po studiach prawniczych, z którą regularnie sypiałem, ale ponieważ dawała mi jasne znaki, że zależy jej na związku w pełnym tego słowa znaczeniu, jej nieustająca obecność na imprezach po koncertach trochę mnie uwierała. Mogłem jej załatwić dobrą odprawę. Poprosiłbym Seana, żeby się tym zajął. Nawet nie musiałbym się z nią spotykać. Takie rozwiązanie wydawało się oczywiste.

– Nie przejmuj się tym. Ekipy w trasie zmieniają się z koncertu na koncert. Nie będzie żadnego problemu.

– Wal się, Luke. Nie jestem żebrakiem.

– Oferuję ci robotę. Będziesz musiał pracować. Brian, naprawdę, zastanów się! I pomyśl o dziewczynach! – Mrugnąłem do niego.

– Jezu Chryste, Luke, weź posłuchaj, co mówisz! Rzucasz mi ochłapy. Całe życie byłem tym gorszym, a teraz jeszcze chcesz mi ubliżyć? – Gwałtownie odepchnął krzesło i wymaszerował z kafejki, jak zwykle zostawiając mnie z rachunkiem.

Wkurzyłem się i zasmuciłem. Chciałem mu tylko pomóc, a on rzucił mi tym w twarz i nawet nie podziękował za wszystko, co dla niego wcześniej zrobiłem. Tego popołudnia wyłądownałem w hotelowym barze, wypilem więcej, niż powinienem i przestałem się pilnować. Modelki, a może i prostytutki, wypełzły znikąd i zanim się spostrzegłem, stawiałem im szoty i szampana. Zrobiło się grubo. Późnym wieczorem postanowiłem skonfrontować się z Brianem. Wezwałem kierowcę i kazałem się zawieźć do tamtej restauracji, żeby wydebić informację, gdzie mieszka mój brat. Opryskliwy kierownik sali, widząc, że jestem pijany, z ociąganiem podał mi adres, pod którym miałem znaleźć Briana.

Miejsce to było zupełnie inne, niż się spodziewałem. Tak jak większość Paryża kamienica przy Place de l'Estrapade, w której mieszkał Brian, była zbudowana w stylu haussmannowskim. Każde mieszkanie zajmowało tam całe rozległe piętro. Jakim cudem było go na to stać? Nacisnąłem przycisk domofonu i po chwili odezwał się głos, którego nie rozpoznałem. Nie byłem przekonany, czy to właściwy adres, więc niepewnie spytałem o Briana Drumma. Znużony głos kazał mi pojechać windą na drugie piętro, a drzwi wejściowe otworzyły się automatycznie. Wszedłem do wysokiego atrium, w którego centrum, na wprost wejścia, znajdował się otoczony kratą szyb staromodnej windy. Ponieważ naoglądałem się różnych filmów, takie urządzenia budziły we mnie obawę, więc ruszyłem na górę znajdującymi się obok schodami.

Drzwi do mieszkania były uchylone. Zaskoczył mnie widok stojącego w nich Conrada w jedwabnym szlafroku.

– Entrez! – powiedział i zawołał mojego brata po imieniu: – Brian! Ton frère est là!^[1]

Usiadłem na obszernej, obitej aksamitem sofie, a mój wzrok powędrował w stronę wysoko zawieszzonego żyrandola. Do salonu wszedł Brian, czerwony na twarzy i w półneglizu. Mruknał coś do Conrada, który zniknął w tym samym korytarzu.

– Co ty tu robisz, Luke? Jest po północy.

– Mieszkaś tutaj? Mówiłeś, że masz małą kłitkę? W porównaniu z tym, czego się spodziewałem, to jest pałac! – Dopiero teraz zacząłem trybić, co jest grane. – Mieszkaś tu... z Conradem?

– Oj, weź się zamknij. Zatrzymałem się u niego tylko na kilka nocy, to wszystko.

– U niego w sypialni?

– Nie jestem gejem.

– Jezu, Brian, przecież nie ma się czego wstydzić...

– Kurwa, nie jestem gejem – wyszeptał. Pewnie dlatego, że dla Conrada byłaby to nowość.

– Ale mieszkaś w wypasionym apartamencie ze swoim szefem ciotą?

Zwiesił głowę. Po chwili wstał, podszedł do kryształowej karafki, która stała na wyszukanym stolyczku, i napełnił dwa kieliszki.

– Nic o mnie nie wiesz. Musiałem szybko wyjechać z Irlandii...

– Ale dlaczego? Chodziło o kasę? Dlaczego nie przyszedłeś do mnie...?

– Nigdy nie oferowałeś pomocy. Wyjechałem, ale to nie miało związku z kasą. Gdy wylądowałem tutaj, dostałem pracę w lycée i stanąłem na nogi, ale w zeszłym tygodniu pojawił się problem... z jednym dzieciakiem...

– Jezus Maria, Brian, uderzyłeś ucznia? Co się stało? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Oczy mu się zaszklily i przez kilka chwil milczał.

– Jestem rodzinnym pośmiewiskiem, frajerem, który nie zrobił olśniewającej kariery w mediach. Nie chcę twojej pomocy. Pomieszkać tu tylko tak długo... aż uzbieram na czynsz na coś własnego, tam zamieszkać sam. Może mógłbyś mi pożyczyć...

– Więc jesteś żigolakiem, ale nie gejem?

– To nie tak. No kurwa, Luke! Przysięgam, że nie jestem gejem. Marzę o tym, żeby spotkać taką kobietę jak... Sam nie wiem jaką.

Rozkleił się i zaczął szlochać. Chociaż byłem pijany w sztok, wiedziałem, że nie mogę go tam zostawić. Nie miałem za złe Conradowi. Nie wyglądało

na to, żeby Brian był do czegokolwiek zmuszony.

– Gdzie masz paszport? Powiedz Conradowi, że jedziesz ze mną. Spakuj się, okej?

– Ale ja... Ludzie nie mogą się o tym dowiedzieć, Luke.

– Przecież nikomu nic nie powiem, tak?

– Znaczący o tym w szkole...

– Nikomu nic nie powiem. Zresztą nie zdradziłeś mi, co się tam stało.

– Dopóki jesteś w dobrej formie, to może i nie powiesz, ale co będzie, jak cię dopadnie kolejne załamanie? Wtedy zawsze gadasz, co ci ślina na język przyniesie.

Wiedziałem, że Brian nie chciał mi dokuczyć, ale naprawdę nie potrzebowałem, żeby mój „heteroseksualny” brat, który dawał dupy innemu facetowi za kasę na czynsz i nie wiem co jeszcze, przypominał mi o dawnych problemach.

– Ludzie nie wierzą w ani jedno słowo z tego, co mówię, gdy mam epizod. Nie masz się czego bać.

Po powrocie do mojego apartamentu w Lutetii porządnie się upiliśmy.

– To wszystko wina Willa.

– Niby co? – spytałem.

– Wszystko. On zawsze dostaje to, czego chce.

Trudno mi się było doszukać sensu w tym, co powiedział.

Dwa dni później Brian sprzedawał mój towar w hali widowiskowej Hallendstation w Zurychu. Nie powiedział: dziękuję. Ale – zgodnie z relacjami ekipy – regularnie sypiał z dziewczynami. Wszystkimi, jakie się nawinęły. Nigdy nie zrozumieć, jak wtedy mógł się tak sprzedać. Terapeuta nie chce ze mną omawiać problemów Briana, a Brian nie chciał się z nim umówić. „Wszystko jest ze mną w porządku. Miałem tylko trudny okres” – tak skwitował całą sprawę.

1988

Byłem wtedy na pierwszym roku inżynierii na University College Dublin. Na studiach żyło się inaczej, niż wcześniej sądziłem. Will uczył się na ostatnim roku, mieszkał w domu wynajętym na spółkę ze znajomymi i pracował jako bileter w kinie, żeby zarobić na czynsz. Brian i ja mieszkaliśmy w domu rodzinnym, chociaż wreszcie doczekaliśmy się oddzielnych pokoi. On i Will wybrali kierunki humanistyczne. Mama powiedziała, że poszedłem na inżynierię tylko dlatego, że nie prowadzę życia towarzyskiego, bo nie mam żadnych przyjaciół. Ale myślę, że jednak była ze mnie dumna, bo chwaliła się moimi studiami cioci Peggy. Na Brianie i Willu moje wysokie oceny na maturze nie zrobiły specjalnego wrażenia. W ogóle prawie mnie nie zauważali. Mówili, że jestem frajerem i gamoniem.

Spodziewałem się, że na studiach będzie tak samo. Planowałem się nie wychylać i dbać o to, żeby mnie ignorowali, żeby mieć spokój. Tymczasem na uczelni było znacznie mniej ograniczeń niż w szkole średniej. Nie kazali nosić mundurków i mogłem zapuścić tak długie włosy, jak mi się podobało. Codziennie wkładałem dzinsy, wojskową kurtkę i pasiasty sweter, który ciocia Peggy zrobiła dla mnie na drutach. Roilo się tam od dziewczyn. Były wysokie i eleganckie, słodziutko-pulchniutkie, śmieszki i poważne – no w każdym typie. I mnie lubiły! Niektóre uważały mnie za zabawnego i mówiły, że jestem super, ale byłem zbyt nieśmiały, żeby wykonać jakiś ruch. Jednak pierwszy raz w życiu należałem do paczki. Miałem przyjaciół.

Znalazło się też kilku starszych chłopaków, którzy chcieli się z nami kumplować. Mieli zespół i grali w garażu u jednego z nich – wszyscy chodziliśmy tam, żeby ich słuchać. To było naprawdę ekscytujące.

Dziewczyny spytały mnie, czy śpiewam jakieś piosenki. Kilka, owszem, znałem, ale wstydziłem się swojego wysokiego głosu. Wiedziałem, że jeśli zacznę śpiewać przy ludziach, to mnie wyśmieją, więc ćwiczyłem, gdy nikogo nie było w domu. Nagrywałem się na magnetofon na baterie.

Pewnego wieczoru jedna z dziewczyn urządzała imprezę. Zaprosiła kilka osób, w tym mnie. Rodzice Sarah wyjechali. Jej brat, Sean, był jednym z tych starszych chłopaków i grał na gitarze. Wtedy jeszcze prawie nie piłem alkoholu. Co najwyżej zdarzało mi się sączyć browar dla towarzystwa, ale nie bardzo mi smakował. Brian i Will regularnie upijali się już od liceum, a ja nie umiałem zrozumieć, jak to jest, że wciąż mają taką ochotę na picie, skoro potem regularnie rzygają i zachowują się dziwnie.

Tego wieczoru Sarah zrobiła dużą misę ponczu. Smakował jak sok owocowy, więc go sobie nie żałowałem, aż w końcu zrobiło mi się przyjemnie i ciepło. Sean grał akordy na gitarze, w pokoju snuły się kłęby dymu z zioła. Sarah siedziała na podłodze u moich stóp, a Carrie zaplatała mi warkoczyki. Wszyscy po kolei śpiewali piosenki. Gdy przychodziła moja kolej, wykręcałem się, ale w pewnej chwili dotarło do mnie, że być może jestem lepszy od kilku osób, które śpiewały przede mną. No i alkohol dodał mi pewności siebie. Zgodziłem się wykonać piosenkę, ale pod warunkiem, że będę mógł to zrobić ze swetrem naciągniętym na głowę. Wszyscy parsknęli śmiechem, ale nie śmiali się ze mnie. To było świetne uczucie. Naprawdę im zależało, żeby dobrze wypadł.

Miałem okropnego pietra, że się zbląźnię. Podciągnąłem sweter aż na czoło i zaśpiewałem Amazing Grace. W salonie nie było takiej akustyki jak w naszej łazience, więc mój głos zabrzmiał sucho i piskliwie, ale nie skopałem melodii i wszystkie nuty wyszły mi czysto. Śpiewając, słyszałem, jak ludzie chodzą po pokoju, zapalają zapałki, brzękają szkłem i cicho rozmawiają. Jednak gdy skończyłem, przez chwilę panowała absolutna cisza. Wreszcie nieśmiało zsunąłem sweter z twarzy.

Sarah rzuciła się na mnie i zaczęła ścisnąć, a Carrie pocałowała mnie w usta.

– Jesteś naprawdę dobry, Luko! – powiedziała.

Sean, gitarzysta, zaproponował:

– Chcesz być w naszym zespole? Nie będziesz tam śpiewał hymnów ani innych bzdetów, ale masz w sobie coś niezwykłego. Wszyscy się silą, żeby zabrzmieć jak ktoś inny, a ty śpiewasz jak... ty.

Sarah wyszczerzyła się do mnie w uśmiechu.

– No pewnie! Zgódź się! Ich wokalista wyjechał na zawsze do Bostonu. A już mają zaplanowane koncerty.

Sean popatrzył na mnie.

– Jeden warunek: nie waż się puknąć mojej siostry, tak? – Sarah poczerwieniała i rzuciła w niego poduszką, a Carrie wzięła jej rękę i położyła mi na ramieniu. Tak powstał nasz zespół. Przez co najmniej rok dotrzymywałem obietnicy, że się nie prześlę z siostrą Seana.

Sean był gitarzystą i głównym organizatorem, Alan grał na bębnach, a Jamie na basie. Próby mieliśmy w garażu u taty Seana. Były tam wzmacniacze, tarcza do rzutek, pacholki drogowe i rolka wykładziny dywanowej. Wytłoczki po jajkach, zawieszane na ścianach, miały tłumić echo. Czuję, że nareszcie mam swoje miejsce i swoich ludzi. Chłopaki byli dla mnie naprawdę mili, choć zszokowało ich, gdy zdradziłem, jakiej słucham muzyki. Myśleli, że robię sobie jaja, ale pewnego dnia przyniosłem na próbę swoją kolekcję płyt.

– Taa... – mruknął Sean. – Musimy cię podszkolić.

Zaczęli mi pożyczać płyty Led Zeppelin, Lynyrd Skynyrd, Queen, The Who, Doorsów, Nicka Drake'a, Django Reinhardta, Johna Coltrane'a, Johna Martyna, Pata Metheny'ego i wielu innych. Tamta muzyka nie była mi zupełnie nieznana, bo Brian i Will mieli kilka ich płyt, gdy dorastaliśmy. Najbardziej skupiałem się na słowach, chociaż czasami wokaliści je wywrzaskiwali i trudno było zrozumieć, co śpiewają.

Na próbach w garażu Sean zwykle zaczynał od jakiegoś prostego riffu, po chwili Jamie przyłączał się do niego na basie, a ja nuciłem coś pasującego do ich muzyki. Stopniowo to nucenie zmieniał się w słowa,

które pojawiały mi się w głowie, i w którymś momencie pomyślałem, że być może wcale nie jestem przyszłym inżynierem, tylko poetą. Gdy tata mówił, że potrafię tworzyć różne rzeczy, może miał na myśli właśnie piosenki? W ciągu następnych kilku tygodni opuściłem wiele wykładów, bo pracowałem nad tekstami i głosem. Jamie pokazał mi, jak czytać nuty, a po niezbyt długim czasie nauczyłem się trochę grać melodie na pożyczonej od Seana gitarze. Z Alanem jarałem jointy, dzięki czemu umysł mi się otworzył i uzyskałem dostęp do takich obszarów świadomości, o których istnieniu wcześniej nie miałem pojęcia.

Najdziwniejsze i najlepsze w piosenkach było to, że pisząc je, pozbywałem się koszmarów. Starucha z lasu, która prześladowała mnie od dzieciństwa, zniknęła. Dawno nauczyłem się milczeć o tych snach, ale teraz nareszcie się od nich uwolniłem. Drugą uboczną korzyścią był seks. Dziewczyny chciały ze mną sypiać. Dziewictwo straciłem w noc poprzedzającą nasz pierwszy koncert.

Graliśmy go w klubie Baggot Inn, termin był zaklepany jeszcze za czasów poprzedniego wokalisty. Nazywaliśmy się The Wombstones, co stanowiło połączenie słowa tombstones, czyli kamienie nagrobne, z wyrazem womb, czyli łono. Nie wiem, kto ani dlaczego wymyślił taką nazwę. Chłopaki uważały, że dzięki niej wydajemy się ostrzy, a nawet trochę niebezpieczni. Według mnie robiła z nas analfabetów. Po kampusie rozwieszono plakaty, a całe stada dziewczyn oferowały swoją pomoc w działaniach promocyjnych. Dzień koncertu nadchodził nieubłaganie i coraz bardziej się denerwowałem. Śpiewanie w garażu Seana w naszym wąskim gronie to było jedno, a normalny koncert to co innego, w dodatku zapowiadało się, że wszystkie bilety zostaną sprzedane. Mogło przyjść nawet dwieście osób.

Carrie poprosiła mnie, żebym wpisał ją i jej dwie kumpele na listę gości. Nie miałem pojęcia, co to takiego ta lista gości, ale Sean powiedział, że nie ma sprawy. Spytał mnie, w co mam się zamier ubrać na scenę. Nie pomyślałem o tym. On i Alan planowali pomalować oczy tuszem, a włosy postawić w czub. Stwierdzili, że ja i Jamie powinniśmy zrobić tak samo.

Jamie powiedział, że to idiotyzm, bo „nie jesteśmy, kurwa, Duran Duran”. W końcu doszliśmy do konsensusu, że każdy ubierze się tak, jak uważa, i nie musimy wyglądać jednolicie. Postanowiłem wystąpić w dzinsach i swetrze zrobionym na drutach przez ciocię Peggy, który nosiłem na co dzień. Było mi w nim wygodnie. Miał poprzeczne, czarno-żółte paski z przodu i czerwone plecy. Odkąd dostałem go na poprzednie urodziny, wkładałem go prawie codziennie, więc na łokciu zrobiła się już dziura. Poza tym moje długie, kręcone włosy musiały się spodobać dziewczynom, więc nie czułem potrzeby, żeby cokolwiek zmieniać w swoim wyglądzie. Jednak w przeddzień koncertu poszedłem rano do sklepu i kupiłem sobie parę martensów, bo wszyscy mówili, że są spoko.

W czasie próby technicznej na sali kręciło się kilkoro gości, była ekipa za barem i tamtejszy akustyk. Spróbowaliśmy się, osłuchaliśmy z naszym brzmieniem przepuszczonym przez klubowe kolumny – tak głośno jeszcze dotąd nie graliśmy. W repertuarze na wieczór mieliśmy siedem własnych numerów i trzy covery: Bohemian Rhapsody Queenów, Stairway to Heaven Zeppelinów i, tak dla zgrywy, rockową wersję piosenki tytułowej z serialu Sąsiedzi, bo Sean powiedział, że jeśli publika uzna, że traktujemy się zbyt serio, to wyjdziemy na nadętych buców.

Ulokowali nas w malutkiej garderobie na piętrze, nad samą sceną, ze skrzynkami od piwa zamiast krzeseł. Tam czekaliśmy, aż sala się wypełni. Chłopaki pili piwo, ale mnie było niedobrze i ledwo dałem radę przełknąć kilka łyków. Próbowałem robić ćwiczenia wokalne, żeby się rozśpiewać, ale mimo to mój głos wydawał mi się cieniutki i zduszony. Alan zapalił jointa, zaciągnął się i podał go mnie: „Stary, musisz się wyluzować. To tylko koncert”. Oni grali ze sobą i w innych kapelach już dwa lata, ale żaden z nich nie był frontmanem. Tego ranka mama sprzedała mi radę za dwa grosze: „Wiesz, pierwszy koncert jest zawsze do niczego, ale trzeba go przeżyć, zanim zagra się drugi. Pamiętam, jak sama przed wejściem na scenę wypijałam trzy giny z tonikiem i przy drugiej piosence nie potrafiłam trafić w tonację. Oczywiście ja swój pierwszy koncert śpiewałam z orkiestrą, a nie w pubie”. Mama zdobyła sławę jako uczestniczka

ogólnokrajowego festiwalu piosenki. To było zanim się urodziłem. Często mówiła, że zwycięzca odszedł w zapomnienie, podczas gdy jej kariera trwała długo. Chociaż jej piosenek już prawie wcale nie puszczała w mediach i żadnej z nich sama nie napisała.

Moje nowe martensy były ciasne i uwierały, a przez wełniany sweter zdążyłem się zgrzać, zanim jeszcze wyszliśmy na scenę. Od kilku machów jointa miałem zawroty głowy i strasznie zachciało mi się postawić klocka. Popędziłem do obleśnego kibla w końcu korytarza, pocąc się na całym ciele jak świnia. Skończyłem, splukałem toaletę i zagapiłem się w zaplamione lustro. Sean załomotał do drzwi.

– Już czas, Luko. Idziemy!

– Daj mi chwilę – rzuciłem, zanurzając ręce pod kranem, żeby nabrać trochę zimnej wody i zwizzyć plecy pod swetrem. Moja twarz przybrała chory, bladoczerwony kolor. Na kilka sekund zamknąłem oczy, a gdy znów je otworzyłem, zobaczyłem w lustrze staruchę z lasu. Stała za moimi plecami i szczerzyła się do mnie w opętańczym uśmiechu. Potrząsając głową, przerażony i zszokowany wybiegłem z łazienki. Sean zatrzymał mnie, kładąc mi ręce na ramionach. „Będzie zarąbiście. Rozwalimy tę budę, co nie?” Nie chciałem mu mówić, że koszmar ze snów właśnie nawiedził mnie na jawie i w związku z tym wszystko się na pewno posra.

Gdy chłopaki weszli za Alanem na scenę, powitał ich huraganowy aplauz. Przywalili kilka głośnych akordów, a ja stałem za kurtyną roztrzęsiony, przyrośnięty do podłogi, bojąc się otworzyć oczy, żeby na widowni nie zobaczyć staruchy. Sean wrócił za kulisy i pociągnął mnie w światła sceny. Popatrzyłem przez palce na salę – była gęsto upakowana. Ten tłum mnie przeraził. Zalała mnie fala gwizdów i braw. Na scenie przed moim mikrofonem leżała przyklejona taśmą setlista, więc wlepiłem w nią wzrok, bojąc się spojrzeć na twarze ludzi.

Alan nabił rytm pałeczkami, Sean zaczął grać wstęp na gitarze. Gdy skończyli trzeci obrót, pochylił się do mnie: „Stary, weź się ogarnij, bo nam spierdolisz koncert. Jeśli musisz, to stań plecami do sali, ale, kurwa, zacznij śpiewać!”

Odwróciłem się przodem do Alana, który piorunował mnie wzrokiem znad bębnow. Zagrali jeszcze jedno kółko intra, a ja wreszcie podniosłem mikrofon do ust. Nie rozpoznałem głosu, który się z nich wydobył. Alan też wyglądał na zaskoczonego, chociaż uśmiechnął się do mnie zachęcająco. Zaśpiewałem cały pierwszy numer nisko, głęboką barwą, ale słowa były inne niż te, które napisałem i śpiewałem na próbach. Wylewała się z nich nienawiść, przemoc i agresja. Gdy Sean grał ostatnie akordy, nie mogłem się powstrzymać i kilkakrotnie powtórzyłem ostatnią linijkę: „Zabiję wszystkich was... Zabiję wszystkich was... Zabiję wszystkich was...”. Potem ta moc, która mnie opętała, nagle odeszła, osunąłem się na kolana i przewróciłem bokiem na scenę.

Tłum oszalał. Ludzie zaczęli skandować moje imię: „Lu-ko! Lu-ko! Lu-ko!”.

Czułem się słaby i pusty. Sean i Jamie pomogli mi wstać.

– Nie wiem, kurwa, co ty wyprawiasz, ale to działa, więc dawaj dalej – powiedział Jamie. Popatrzyłem na Seana z rozpaczą.

– Wszystko w porządku? – spytał z nutą niepokoju, bo on jeden zauważył, że jestem zlany potem, mam siną skórę i cały się trzęsę.

Spokojnym krokiem podszedł do Alana i Jamiego i po chwili zaczęli grać improwizowany jazzowy kawałek, który tydzień wcześniej spadł z listy numerów na ten wieczór.

– Ochłoń, ale nie schodź ze sceny. – Podał mi butelkę piwa. Opróżniłem ją jednym haustem, wywołując kolejny wybuch aplauzu, potem schyliłem się, zdjąłem buciory i ściągnąłem sweter. Bosy, z gołą klatką odwróciłem się z powrotem do publiczności i kiwnąłem głową do Seana, że jestem gotowy.

1983

Modliłem się o nieśmiertelną duszę mamy, bo popełniła cudzołóstwo i nie chciałem, żeby poszła do piekła. Ale kilka miesięcy po tym, jak ją zobaczyłem z Nicholasem Sheedym – kiedy William próbował mi wmówić, że wcale ich nie widziałem – byłem pewien, że ciągle kombinuje z innymi facetami, bo miałem na to oko. Próbowałem rozmawiać o tym z Willem, ale kazał mi się zamknąć. Powiedział, że mama nie może nic poradzić na to, że podoba się mężczyznom, i to wina taty, że nie poświęca jej dość uwagi. Jednak ze sposobu, w jaki kładła rękę na kolanie mojego nauczyciela, albo ze spojrzeń, które posyłała facetom zaproszonym do programu The Late Night Show, gdy czasami występowała w telewizji, przeczuwałem, że ma nieczyste myśli. Było oczywiste, że muszę się dla niej bardziej poświęcić.

Klęcząc po mszy w ławce, kiedy wszyscy już wybiegli z kościoła, wpatrywałem się w wiszącego na krzyżu Jezusa i błagałem, by zesłał mi jakiś znak, że moja mama nie zostanie potępiona i nie strawi jej ogień wieczny. Błękitne oczy miał wzniesione ku niebu, włosy i brodę matowe od krwi, a cierniowa korona wciśnięta na jego czoło wyglądała jak zrobiona z kolczastego drutu. Musiał strasznie cierpieć. Jego ramiona były rozciągnięte, dłonie przyszpilone do poziomej belki krzyża, a złączone w dole stopy przybite do pionowej ogromnym gwoździem, który przechodził przez obie kostki. Sam często zastygałem w tej pozie na łóżku – na godzinę albo dłużej – z wyciągniętymi ramionami i skrzyżowanymi stopami, próbując sobie wyobrazić to cierpienie, któremu Jezus się za nas poddał.

Zbliżało się Halloween. Pani Turner z domu obok zawsze urządzała przyjęcie dla dzieciaków z sąsiedztwa. Była miła. Ozdabiała salon

pajęczynami z włóczki i piekła babeczki ze strasznymi twarzami. Przychodziły do niej wszystkie dzieci z naszej ulicy, czasem z rodzicami, którzy przynosili słodczyce i gry. Zakładaliśmy maski i zębami wyławialiśmy jabłka z miski, nie używając rąk. Pan Mulcahy odpalał fajerwerki w ogrodzie. Tam zawsze była fajna zabawa. Tego roku William i Brian powiedzieli, że się nie pojawią, bo jeden ze starszych chłopaków z końca ulicy urządzał przebierane disco, ale ja chciałem pójść do pani Turner.

Tata wyjechał i mama była w domu, ale ona nigdy specjalnie nie interesowała się przyjęciami u pani Turner, chociaż w okolicach Halloween pozwalała nam pożyczać ze swojej szafy różne ubrania, zwłaszcza stare kostiumy i fikuśne kapelusze z przedstawień, w których występowała. Wszyscy przebieraliśmy się w jej kostium Robin Hooda i strój z cylindrem z czasów, gdy grała w Kabarecie.

W tym roku, zamiast skorzystać z jej rzeczy, postanowiłem stworzyć własny kostium. Zajęło mi to dzień, może dwa, i pracowałem głównie w ogrodowej szopie, żeby nikt mi nie przeszkadzał, bo chciałem zachować to w sekrecie. Tam mogłem też korzystać z rękawic ogrodniczych taty. Z krzewu róży wybrałem kilka jesiennych gałązek, które uwiłem w cierniową koronę. Nie chciałem się boleśnie pokłuć, więc założyłem pod nią opaskę na głowę. Wziąłem z łazienki niewielki ręcznik, żeby użyć go jako przepaskę na biodra, taką, jak miał Jezus na krzyżu, ale włożyłem pod nią majtki. Zrezygnowałem też z butów. Strasznie marzłem w tym stroju, ale to nie miało znaczenia. Rozmroziłem kawałek polędwicy wołowej z zamrażarki i wycisnąłem z niego krew tak, żeby pociekła mi po twarzy. Mogłem też sobie przyprawić sztuczną brodę, ale chciałem, żeby potraktowali mnie serio. Potrzebowałem pokazać wszystkim, przez co przeszedł Jezus dla naszego dobra.

Mocno przyciskając flamaster, narysowałem sobie czerwone krople we wnętrzach dłoni i na grzbietach stóp. Planowałem, że wejdę do salonu pani Turner i stanę tam w pozie ukrzyżowanego, nie wezmę udziału w żadnych grach ani zabawach, tylko będę patrzeć w sufit i milczeć. Wiedziałem, że

ktoś zawoła moją mamę i wtedy ona zrozumie, że robię to dla niej. Po cichu zakradłem się do nas do domu i krzyknąłem do mamy, że idę do sąsiadki. „Świetnie!” – odkrzyknęła i usłyszałem, jak podgłośnia telewizor. Leciał właśnie teleturniej Blockbusters. Zawsze robiła głośniejsze, gdy nie chciała, żeby jej ktoś przeszkadzał.

Obejrzałem się w lustrze w hallu. Efekt mnie rozczarował. Krew była prawdziwa, ale nie moja. Wróciłem na palcach do kuchni, zdjęłem opaskę z głowy i mocno docisnąłem koronę cierniową. Trochę mnie pokłuła i podrapała, ale nie bolało tak bardzo, jak oczekiwałem. Wyjąłem nóż do chleba z drewnianego stojaka na parapecie. Zacisnąłem usta i dziabnąłem się czubkiem ostrza najpierw w jedną rękę, potem w drugą. Tym razem naprawdę zabolęło, ale dla właściwego efektu musiałem wbić nóż jeszcze głębiej. Na prawej ręce udało mi się zrobić tylko powierzchowną ranę, ale potem ustawiłem nóż na sztorc i mocno uderzyłem lewą ręką w czubek ostrza. Teraz krew połała się strumieniem. Przez chwilę stałem, kurczowo trzymając się zlewu, żeby ochłonać. Byłem w szoku, bo okropnie bolało, a jeszcze nawet nie zrobiłem sobie ran na nogach. Gdy się schyliłem, poczułem, że kuchnia zaczyna wirować, i wtedy dotarło do mnie, że jeśli podziurawię sobie jeszcze stopy, to mogę nie dojść do domu sąsiadki, więc ten punkt postanowiłem odpuścić. Przygryzając wargę i powstrzymując łzy, żeby nie zamazały mi policzków, wymknąłem się z domu tylnymi drzwiami.

Do pani Turner wszedłem od frontu.

– A to ci dopiero! – powiedziała pani McCarthy, mieszkająca trzy domy dalej. – Luke’u Drummie, zgarniesz dzisiaj wszystkie nagrody. Fantastyczne przebranie! – Zawołała pozostałych, żeby przyszli mnie zobaczyć.

W tym czasie przeszedłem do salonu, ustawiłem się obok kominka i wzniosłem oczy ku niebu.

– Jemu leci krew! – wykrzyknęła Marian spod czterdziestego drugiego, z którą chodziłem do klasy w podstawówce.

Pani Turner zaśmiała się nerwowo.

– No, Luke, nieźle to sobie wymyśliłeś, ale czy nie jest ci zimno? Mam nadzieję, że ta sztuczna krew spierze się z mojego dywanu!

Nic nie odpowiedziałem, tylko rozrzuciłem ramiona, przybierając wyćwiczoną pozę.

– Ta krew jest prawdziwa! – stwierdziła Marian, patrząc, jak czerwone krople, które ściekają mi z lewej dłoni, tworzą kałużę na ciemnozielonym dywanie wokół moich bosych stóp.

– Matko Boska, masz rację! – Pani Mulcahy aż się zatchnęła. – On krwawi! Szybko, Martho, daj jakiś ręcznik!

Pani Turner zgarnęła ze stołu wszystkie słodycze, chwyciła obrus i rzuciła się do obwiązywania mojej rany. Zacząłem się z nią szarpać, żeby uwolnić rękę z jej uścisku, bo nie chciałem zmieniać pozy, dopóki mama nie przyjdzie, żeby mnie zobaczyć. Wtedy pan Mulcahy podniósł mnie do góry i siłą przytrzymał rękę, którą owinęli obrusem. Dzieciaki biegały po salonie, wrzeszcząc, a wszyscy dorośli gapili się na mnie z przerażeniem. Ja jednak zachowałem spokój. Nie odzywałam się, nie krzyczałem ani nie płakałem. Cierpiałem w milczeniu tak jak nasz Pan. Ktoś poszedł do naszego domu po mamę. Przybiegła z krzykiem:

– O mój Boże, co on znów nawyprawiał?!

Uśmiechnąłem się do niej i wskazałem na swoją rękę.

– Jestem jak Pan Jezus – powiedziałem. – Czynię pokutę za twoje grzechy.

W salonie na chwilę zapadła cisza, którą przerwał dopiero pan Mulcahy, oferujący, że zawiezie mnie na ostry dyżur. Mama nic nie zrozumiała. Zamiast tego tłumaczyła się wszystkim:

– Ja z tym chłopakiem mam wieczną udrękę! Ale spójrzcie sami, skoro się uśmiecha, to chyba aż tak go nie boli, prawda? Strasznie poważnie podchodzi do tej Biblii. Całkiem zgłupiał na tym punkcie. Nie wiem, skąd mu się to wzięło, bo pozostali dwaj są całkiem normalni...

To chyba wtedy zemdlałem.

Gdy się później ocknałem, przy moim łóżku siedział tata. Mocno mnie przytulił.

– Luke – powiedział surowym tonem. – Wybij sobie z głowy te bzdury z Jezusem. Jesteś dobrym chłopcem. Nie musisz tego udowadniać swojej matce, mnie ani nikomu innemu. Od teraz będziesz chodził do kościoła tylko raz w tygodniu. A o spowiedzi zapomnij. Ta twoja wiara zrobiła się trochę... obsesyjna. To niezdrowe. Masz takie piękne ręce, dlaczego je pokaleczyłeś? Bóg nie chce, żebyś sobie robił takie rzeczy. On pragnie naszego szczęścia.

Kilka dni później tata, mama i ja mieliśmy spotkanie z ojcem Martinem. Potwierdził wszystko to, co powiedział tata:

– Wiesz, Luke, Jezus chce, żebyśmy wszyscy byli szczęśliwi, a połowa z tych rzeczy, które mi opowiadasz w konfesjonale, to właściwie nie są grzechy. Naprawdę nie masz za co pokutować.

– A co, jeśli muszę pokutować za innych?

– Inni ludzie decydują sami za siebie, Luke. My za nich nie odpowiadamy.

Poczułem, że kamień spada mi z serca, ale ta ulga była tylko tymczasowa.

Gdy wróciliśmy do domu, Brian i Will stwierdzili, że mój „halloweenowy numer” trochę ich rozbawił, ale też trochę im zaimponował.

– Któregoś dnia skończysz w wariatkowie – powiedział Brian.

– Nie zdziwiłabym się – skwitowała mama.

1997

Wcale nie siedzieliśmy całymi dniami w piżamach, plotąc koszyki z wikliny. To chyba jedyny stereotyp, który nie odzwierciedla prawdy. Pozostałe oddają ją dość dokładnie: trzy razy dziennie rozwozili na wózku leki, dzięki którym nie robiliśmy krzywdy sobie ani innym. Byli wśród nas zarówno pacjenci z katatonią, jak i inni – skrajnie agresywni. Mieliśmy sesje grupowe i dwa razy na tydzień spotkania indywidualne z wyznaczonym psychiatrą. To nie był oddział zamknięty ani przymusowy pobyt, ale też wcale nie chciałem tam być. Po prostu za bardzo się bałem, żeby wyjść.

Za tę miesięczną terapię płaciła wytwórnia płytowa, ale jej przedstawiciele powiedzieli, że to moja ostatnia szansa. Najwyraźniej nie mieli zamiaru dłużej tolerować odwoływanych koncertów i nieprzewidywalnego zachowania, a mój stary przyjaciel i menedżer Sean dał jasno do zrozumienia, że jeśli następna krótka trasa po Wielkiej Brytanii nie pójdzie gładko, to z nami koniec. Trudno było go za to winić. Moje jazdy, nawroty manii i dołów jak Rów Mariański były strasznie trudne do zniesienia dla wszystkich, którzy ze mną współpracowali. Wielu muzyków odmówiło wspólnego grania. Menedżerowie tras koncertowych pojawiali się i znikali. Nie znałem imion połowy ludzi, którzy wchodzili ze mną na scenę. Potrzebna mi była przerwa. Tak właśnie traktowałem pobyty w zakładach psychiatrycznych – jako odpoczynek dla ciała i umysłu. W ogóle nie mogłem pojąć, jak inni ludzie dają sobie bez nich radę.

Aaa, jest jeszcze jeden stereotyp, który mija się z prawdą. W czasie sesji z psychologiem nie leżeliśmy na sofach w niedbałych pozach. Siedziało się

wówczas zwykle w wygodnym fotelu, z przygotowaną obok baterią pudełek z chusteczkami, na wypadek, gdyby ktoś płakał. Ja dużo płakałem.

– No dobrze, Luke. Jak się dziś czujemy?

– Nie wiem, jak pan się czuje, ale u mnie chyba wszystko okej.

– Tylko okej?

– Gdyby było świetnie, to raczej bym tu nie siedział, prawda?

Chwila ciszy.

– Czy od czasu naszej poprzedniej rozmowy miałeś koszmary?

– Które?

– Te z dzieckiem.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Już wcześniej o tym mówiłem.

– Wieczorem w dniu twojego przyjęcia sporządzono notatkę, w której czytałem, że byłeś skrajnie wzburzony w związku z jakimś dzieckiem. Ale na naszym poprzednim spotkaniu przyznałeś, że kobieta z lasu jest wytworem twojej wyobraźni. Wiesz, czasami, gdy mówimy o rzeczach, które nas przerażają, dobrze jest je zmierzyć, policzyć, bo wtedy zaczyna się je widzieć takimi, jakie są. To pomaga.

– Nie rozumiem.

– Szczególnie interesuje mnie to dziecko, o którym mówiłeś tamtego wieczoru, bo zastanawiam się, czy ono może symbolizować twoje życie.

– To pan jest psychiatrą, więc niech sam pan to wyjaśni.

– Dobrze, spróbuję. Ale będziesz musiał mi pomóc. Kiedy po raz pierwszy „zobaczyłeś” to dziecko? – Nakreślił palcami w powietrzu cudzysłów. Westchnąłem głęboko.

– Nie wiem.

– W dzieciństwie? Czy później, kiedy już stałeś się sławny?

– Tak, później.

– Jak wyglądało za pierwszym razem? Nie ustaliliśmy też, czy to chłopiec, czy dziewczynka, prawda?

– Nie wiem, nie znam płci. Jest zbyt małe, żeby to stwierdzić, ale chyba byłem wtedy w Berlinie albo w Düsseldorfie. Wiem, że gdzieś w Niemczech.

– A kiedy?

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim. Pięć lat temu. Na wiosnę.

– Mhm?

– Leżałem w łóżku.

– Sam?

– Tak... nie... wcześniej była u mnie dziewczyna, ale zdążyła wyjść.

– Czy przyjmowałeś jakieś... substancje?

– Niedużo. Musiałem wcześniej wstać na wywiad w telewizji śniadaniowej. Po koncercie poprzedniego wieczoru wróciliśmy do hotelu, zamówiliśmy room service, kilka butelek piwa i wciągnęliśmy parę kresek koki na głowę, to wszystko.

– Znałeś tę dziewczynę? Uprawiałeś z nią seks? – Odkaslnął. – Nie muszę znać szczegółów.

Spojrzałem na niego, próbując ocenić, czy to kolejny zbok w tej branży. Miałem do czynienia z wieloma terapeutami i uwierzcie, bylibyście zaskoczeni, jak wielu z nich próbuje sprowadzić wszystko do seksu.

– Tak. O ile pamiętam miała na imię Hilda albo Gilda. Tamtego dnia przed koncertem na stadionie robiła mi make-up.

– Przyjaźniliście się? Czy była twoją dziewczyną?

– Coś w tym rodzaju. Przynajmniej tamtego wieczoru.

– A czy potem się z nią widywałeś?

– Nie.

– Czy gdy pojawiło się dziecko, byłeś jeszcze na haju? Po kokainie?

– Nie. Odlot się skończył, ale nie mogłem zasnąć. To jeden z efektów ubocznych, ale pewnie pan to wie. – Jego twarz zdradziła, że facet mnie osądza. – Tak, wiem, że wciąganie twardych dragów, gdy następnego

ranka ma się umówione spotkania, wydaje się nieodpowiedzialne, ale zdążyłem do nich przywyknąć. Bywały imprezy, na których brałem znacznie więcej, ale nie miałem żadnych cholernych halucynacji.

– Luke, jestem twoim psychiatrą i byłbym nieodpowiedzialny, gdybym ci nie przypomniał, jak bardzo negatywny wpływ mogą mieć takie substancje zwłaszcza na kogoś tak... wrażliwego jak ty.

– Chciał pan powiedzieć: na takiego świra jak ja.

– Nie użyłbym tego sformułowania. Ale wróćmy do hotelu. Siedzisz sam w pokoju, jest późno. Co się dzieje?

Wcisnąłem dłonie pod pachy, bo nagle zrobiło mi się zimno.

– Luke?

Zacząłem się wiercić na fotelu, który z jakiegoś powodu przestał być wygodny. Gdyby to była sofa, mógłbym się na niej położyć, zamiast siedzieć z facetem twarzą w twarz.

– Spojrzałem na swoje ręce i było tam dziecko, zwinięte w kłębek. Takie małe, że całe mieściło się na dłoni. Wiło się i pełzło w stronę palców.

– Ludzkie dziecko? A czy to nie mogła być, na przykład, mała mysz?

Wbiłem w niego wzrok.

– Nie, to nie była mała mysz, tylko dziecko, mała osoba. Miało ręce, nogi i buzię. Krzyczało.

– Z bólu? Czy ten krzyk było słychać?

Zastanowiłem się nad tym.

– Nie, nie słyszałem go, ale widziałem, że krzyczy. Tak, z bólu. Naprawdę wtedy nie spałem. To było na jawie. Na bank nie spałem.

– Okej, ale wiesz, Luke, że to jest po prostu niemożliwe, żeby ludzkie dziecko było takie małe?

– Jeśli coś wiem, to to, że pan mi nie wierzy. I wiem, że to, co widziałem, było niemożliwe. A jednak je widziałem. Wciąż widuję, regularnie.

– Wierzę, że jesteś przekonany, że je widzisz. Jakie uczucie to w tobie wywołało, za pierwszym razem?

– Zdenerwowałem się. Ale też czułem potrzebę, żeby się nim zaopiekować.

– Jak myślisz, skąd się tam wzięło?

Skrzywiłem się, bo dalsza część tej historii zakrawała na jeszcze gorsze wariackie urojenia.

– Starucha je przyniosła.

– Ta kobieta z twoich koszmarów, tak? A skąd wiesz, że to ona je tam umieściła? Widziałeś ją?

– Siedziała w kącie pokoju. Kazała mi wystawić otwartą dłoń. A potem zniknęła. Nigdy więcej jej nie widziałem. Kilka dni wcześniej zapowiedziała, że coś mi da.

– We śnie?

– Tak.

– Dobrze. Skupmy się na dziecku. Powiedziałeś, że masz potrzebę się nim zaopiekować. Czy czujesz, że to jest twoje dziecko?

– Nie wiem, ale nie chciałem, żeby ktoś je skrzywdził.

– Kto miałby je skrzywdzić?

– Ja.

To był mój ostatni tydzień pobytu w psychiatryku – wytwórnia chciała, żebym już wrócił na trasę. Odzyskałem trochę spokoju, leki zadziałały i znów zacząłem się zastanawiać, dlaczego wcześniej przestałem je brać. Kiedy byłem w dobrej formie, mogłem występować, nie robiąc z siebie pośmiewiska, i nie potrafiłem zrozumieć, jak to się działo, że pozwalałem rzeczywistości tak bardzo wymykać się spod kontroli. Gdy byłem sobą wiedziałem, że nie ma żadnego dziecka ani staruchy z lasu i nikt nie usiłuje mnie zabić. Tym razem Sean poprosił mojego brata Briana, żeby się mną zajął. Moje poprzednie „niańki” – kierowców i ochroniarzy – łatwo było nakłonić, przy użyciu gotówki albo groupies, żeby zaopatrzyli mnie w dragi i alkohol albo załatwili wejście do nocnych klubów, takich jak na przykład Mayfair. Nie byli jednak na tyle bystrzy, żeby nie dać się wywieść w pole brukowcom, które przysyłały reporterki incognito w siatkowych

rajstopach i krótkich spódniczkach, z małutkimi cyfrowymi aparatami, żeby cyknąć mi kilka fotek przy wciąganiu koki w burdelu. Mój nieskazitelny chłopięcy wizerunek dawno legł w gruzach.

Mając dwadzieścia sześć lat, byłem już za stary, żeby pozować na enfant terrible. Tak bardzo nudziły mnie te wszystkie bezsensowne zmiany tonacji przed ostatnim refrenem wprowadzane tylko po to, by wydłużyć piosenki do optymalnych trzech minut i trzydziestu sekund. Kazali mi wiernie naśladować brzmienie z radia. Nie było mi wolno eksperymentować z własną muzyką! Miałem dość hotelowych pokoi, autobusów, które wozily nas w trasie, zarwanych nocy, fast foodów i szybkich numerków w garderobach. Byłem zmęczony. Naprawdę zmęczony.

Mama zjawila się z Willem, w odwiedzinach. Żadne z nich nie chialo tu przychodzić, to bylo widać. Kto wie, być może zawarli pakt: jeśli ty pójdziesz, to ja też? Will przyniósł ciasto, które upiekła dla mnie Susan. Kawowo-orzechowe. Kiedyś je uwielbiałem. I zawsze lubiłem Susan.

Mama spytała, czy możemy wyjść i usiąść w ogródku, bo towarzystwo czubków ją denerwuje. William się zaśmiał, a ja poprowadziłem ich na podwórko dla palaczy. Wszyscy na oddziale psychiatrycznym palili. Nie było tam zbyt wielu innych zajęć. W palarni zastaliśmy dwóch świrów, ale obaj zajmowali się sobą: jeden mamrotał do siebie cicho, drugi gapił się na niebo jak w transie. Byłem w znacznie lepszym stanie od tych dwóch.

– Dobrze was karmią? – spytał Will.

– Chyba w porządku. – Dwa lata wcześniej straciłem smak, z dnia na dzień. Jedzenie nie sprawiało mi już przyjemności, ludzie musieli mi ciągle o nim przypominać, inaczej wcale bym nie jadł. Moja utrata wagi martwiła wytwórnę płytową. Zgodnie z ich zamysłem miałem wyglądać dobrze, a nie jak wycieńczony asceta.

– Gdy byłeś dzieckiem, zawsze wybrzydzałeś przy jedzeniu – stwierdziła mama.

– To raczej Brian, mamó. Luke zawsze wszystko zjadał – przerwał jej Will.

– A... tak, chyba masz rację. Brian. Wszystko na jego talerzu musiało być podane oddzielnie i nie jadł nic poza groszkiem.

– Więc jednak nie wybrzydzałem?

– Daj spokój, nie pamiętam, chyba nie.

Will oparł ręce na stole z kutego żelaza.

– Rozumiem, że za sześć tygodni wracasz na trasę, tak? Pewnie nie możesz się doczekać?

Wzruszyłem ramionami.

– No.

– Bo wiesz, kariera w popie szybko się kończy. Póki trwa, trzeba z niej wycisnąć, ile się da. Jeśli mogę być szczery, to masz szczęście, że się tak długo utrzymałeś. A tym ściekiem w brukowcach się nie przejmuj. Nie ma czegoś takiego jak zły rozgłos. Ludzie kupią bilety na twoje koncerty choćby po to, żeby zobaczyć, w jakim jesteś stanie. Koniec końców liczą się wpływy do kasy. – To był Will w wydaniu „serdeczny starszy brat”.

– Brian będzie moim osobistym asystentem. Sean uważa, że to dobry pomysł, żebym miał przy sobie kogoś z rodziny, kto będzie mnie stabilizować.

Mama parsknęła śmiechem.

– Pogratuluj Brianowi! Wcześniej sprzedawał twoją tandetę, więc to dla niego awans.

Will się wkurzył.

– Co takiego? Będzie więcej zarabiał za to, że poda ci ręcznik i pokaże którędy do kibla? Kurwa, ja pierdołę!

Chociaż Will właśnie wyprodukował swój pierwszy film, zawsze się wściekał, gdy Brian dostawał coś, na co – w opinii Willa – nie zasłużył. Często nazywał go leniem i nieudacznikiem. Dwa lata wcześniej wpadł w szal, gdy mu powiedziałem, po spotkaniu w Paryżu, że zatrudniam Briana.

– To ma sens – westchnąłem.

– Jasne, dla ciebie. To był jego pomysł?

– Nie, Seana. Będzie dobrze.

Mama weszła mi w słowo:

– A wiesz, że na początku to właśnie jego winiłam za... – Machnęła ręką w moją stronę. – Za to teraz Sean jest jedyną osobą, która odpowiada wprost, gdy pytam, co się z tobą dzieje, kiedy znikasz na całe miesiące i nawet nie raczysz się ze mną się skontaktować. – Uśmiechnęła się. – Ale to przez twoją chorobę, prawda? Nikt inny nie jest tutaj winien. Wasz ojciec miał ciotkę, która wpadła pod pociąg. Wszyscy wiedzieli, że to nie był wypadek, jednak udawaliśmy, że owszem. Szaleństwo odziedziczyłeś po rodzinie ojca. Ale ty nie zrobiłbyś czegoś takiego, Luke? Nie zhańbisz naszej rodziny, prawda? Takiego wstydu bym chyba nie zniosła. Obiecuj, że nigdy niczego takiego nie zrobisz.

Na twarzy Willa pojawił się niesmak i przerażenie, zupełnie jakby mama położyła na stole między nami psią kupę.

– Mamo! Takich rzeczy się nie mówi!

– Dlaczego nie? Mówię to, co wszyscy myślą. Ilekroć masz jeden z tych swoich... epizodów, Luke, wszyscy zachodzą w głowę: czy tym razem na dobre ze sobą skończy? Umieram z nerwów i mam dość milczenia na ten temat. Gdyby ludzie byli ze sobą bardziej szczerzy, to w tym kraju zdarzałoby się mniej samobójstw. Tymczasem wszystko się zawsze zamiata pod dywan. Mam tego po dziurki w nosie.

– Mamo, jestem w dobrym stanie i we wtorek stąd wychodzę, bo mam próby przed trasą. Biorę leki i dawno nie czułem się taki silny. Ale to prawda, że coś jest ze mną nie tak. Ta choroba to depresja maniakalna albo neuroza, albo schizofrenia paranoidalna, a może coś jeszcze innego, czego jeszcze nie nazwali. Nie wiem, jak to wpłynie na moje zachowanie, ale naprawdę śmierć jest ostatnią rzeczą, której pragnę, i dlatego Brian będzie mi towarzyszyć na każdym kroku. Zadba o to, żebym przyjmował leki i nie brał innych rzeczy.

– Brian! Taki dobry z niego chłopak! – powiedziała mama.

Gdy wychodzili, Will uściskał moje ramię i bąknął:

– No to w kontakcie.

Przytuliłem mamę, a ona na to pozwoliła, przynajmniej przez chwilę.

– Tak trzymaj – rzuciła i zrobiło mi się miło. O ile pamiętałem, nigdy wcześniej się nie przytulaliśmy.

1978

Zbliżały się dziewiąte urodziny Williama i rodzice pozwolili mu zrobić imprezę. Modliłem się wcześniej, żebym ja też w tym roku mógł mieć przyjęcie z okazji pierwszej komunii, ale skończyło się na rodzinnym obiedzie z ciocią Peggy, wujkiem Danem i ciocią Judy, a potem był jeszcze tort. Gdy zrozumiałem, że to egoistyczne prosić Boga o rzeczy, których się chce dla siebie, modliłem się o imprezę dla Williama. W końcu takie party jest dla wszystkich, a nie tylko dla jubilata. Wcześniej nigdy nie robiliśmy u siebie imprez urodzinowych. Mama mówiła, że nasz dom jest za mały, żeby „grasowały po nim hordy barbarzyńców”. Dlatego z okazji urodzin zazwyczaj chodziliśmy do Łodziarni u Teddiego, a potem jedliśmy obiad w knajpce. Nasz dom wcale nie był mały, a już na pewno nie za mały na imprezy rodziców, na których bywało nawet trzydzieści dorosłych osób.

Kazali nam wtedy wcześniej iść do łóżek, ale i tak często budził nas śmiech, śpiewy i gra na pianinie. Jednego razu do naszego pokoju wpadła jakaś pijana pani. Zaczęła ścisnąć i całować mnie i Briana. Nie wiedziałem, co mam robić, ale Brian zszedł na dół po tatę, który zaraz się pojawił i wyprowadził ją do łazienki na górze.

Chłopaki z klasy suszyli mi głowę o to, że nie urządzam imprez urodzinowych. Sami zapraszali mnie do siebie i nie mogli zrozumieć, dlaczego się nie rewanżuję. Powiedziałem im, zgodnie z prawdą, że mama nie lubi chłopców w moim wieku. Jeden stwierdził, że pewnie jest taka brzydka, że nie chce się pokazywać, inny, że jest za gruba i nie daje rady wyleźć z łóżka, a jeszcze inny, że na pewno trzymamy ją zamkniętą na strychu, bo jest stuknięta.

Łatwo było zadać kłam tym historyjkom, bo wszyscy wiedzieli, że mama jest znaną piosenkarką i regularnie jeździ z koncertami po całym kraju. Tata powiedział, że chłopcy z klasy mi zazdroszczą, bo moja mama jest gwiazdą i wszyscy aż się palą, żeby zobaczyć, jak wygląda dom tak sławnej osoby. Tata Eamona Pattersona był prezenterem wiadomości, ale wszyscy mówili, że dom mają całkiem zwyczajny.

Ponieważ na scenie i w telewizji mama zawsze występowała w długich, olśniewających sukniach, miała pięknie ułożone włosy i błyszczącą biżuterię, chyba się spodziewali, że mieszkamy w wielkiej posiadłości. Nasz dom wcale nie przypominał pałacu, ale jednak był większy od domów innych chłopaków. Miał pięć sypialni. No i żadną ścianą nie stykał się z innym budynkiem, jak wszystkie pozostałe domy na naszej ulicy. Mama i tata dzielili sypialnię, ja dzieliłem pokój z Brianem, a Will zajmował swój własny. Mama powiedziała, że Brian też mógłby mieć oddzielny pokój, gdyby tylko sobie zażyczył, ale ja nie chciałem być sam, więc mieszkał ze mną.

Największy pokój na piętrze, ustępujący wielkością tylko sypialni rodziców, nazywaliśmy zawsze garderobą. I była to bardziej garderoba teatralna niż szafa. Stało tam mnóstwo wieszaków z sukniami i kostiumami mamy, wysokie lustro, w którym można się było przejrzeć od stóp do głowy oraz wielka komoda z szufladami pełnymi butów, biżuterii, pasków, chust i szalików. Znajdowała się tam też długa toaletka z blatem, na którym roilo się od balsamów, kremów, szminek i wałków do włosów. Wśród tych przedmiotów znalazłem również taki dziwny przyrząd do podkręcania rzęs. Czasami się tam bawiliśmy, gdy mamy nie było w domu albo kiedy wisiła na telefonie. Ale biada temu, kogo by przyłapała. W ostatnim wolnym pokoju stało pianino i mama ćwiczyła tam swój głos.

Rodzice naprawdę się postarali, żeby urodzinowa impreza Willa była idealna. Doszli do wniosku, że jego koledzy są już wystarczająco duzi i osobiście przywitali wszystkich siedmiu, a potem Will demonstrował gościom działanie swojego nowego magnetofonu. Później chłopaki biegały po domu i ogrodzie z tatą i piłką do rugby, ale był ziąb, a mama się

wściekała, że William zabrudzi biały sweter do krykieta, który mu kupiła specjalnie na tę okazję, chociaż żaden z nas nie grał w krykieta ani nawet się nim nie interesował. Przyszedł też wynajęty magik, żeby dać pokaz. Zamienił bukiet kwiatów w tort i pokazał kilka sztuczek z kartami. Wszyscy byliśmy rozczarowani, że na końcu nie wyjął królika z kapelusza ani nie przepiłował na pół żadnej pani.

Potem był imprezowy poczęstunek w jadalni: kiełbaski koktajlowe, trójkątne kanapki i czekoladowe ciastka z dmuchanego ryżu. Graham, chłopak, który siedział obok mnie, spytał, czy jestem sąsiadem Willa. Na chwilę mnie zatkało.

– Nie – zaprzeczyłem. – Jestem Luke, brat Willa. A to... – Wskazałem na Briana. – ...jest jego drugi brat, Brian.

Graham trącił łokciem kolegę siedzącego po jego drugiej stronie:

– Ej, te chłopaki to są bracia Williama!

Szturchnięty chłopak krzyknął tonem zdradzającym całkowity brak wątpliwości:

– William nie ma żadnych braci, prawda, Will?

W jadalni na chwilę zaległa cisza. Mama stała za plecami Williama, który siedział u szczytu stołu.

– William! – powiedziała. – Ukrywałeś Luke'a i Briana przed kolegami? – Will zignorował to pytanie, podrzucił tylko w powietrze garść smartiesów i złapał jedną drażetkę ustami. Reszta chłopaków poszła za jego przykładem, ale mama spytała ponownie: – Dlaczego im nie powiedziałeś, że masz braci?

William zawsze chodził do szkoły sam, nigdy ze mną i Brianem. Nigdy na nas nie czekał i zawsze pędził, żeby się spotkać ze swoimi prawdziwymi kumplami. Koledzy Willa znali nas ze szkoły, ale nie mieli pojęcia, że jesteśmy rodziną.

Później, po sprzątaniu, tata oświadczył, że nie urządzą nam już żadnej imprezy, dopóki nie skończymy piętnastu lat i nie przestaniemy się

zachowywać jak dzikusy. Słyszac to, mama zaśmiała się i poklepała Willa po głowie.

– Wszystkiego najlepszego, synu – powiedziała, a my po raz kolejny włączyliśmy na magnetofonie Mull of Kintyre McCartneya.

Tego wieczoru, po modlitwie zmówionej przez wszystkich na klęczkach, spytałem tatę:

– Ale my jesteśmy braćmi, tato, prawda?

Tata wziął mnie na ręce.

– Oczywiście, chłopcy. Jasne, że tak. – William udał, że go nie słyszy i zaczął kręcić nad głową różańcem jak lassem.

1994

Byłem samotny. W trasie otaczali mnie najróżniejsi ludzie: ochroniarze, asystentki, księgowi, menedżerowie i dziewczyny, ale gdy koncertowa karuzela się zatrzymywała i musiałem z niej wysiąść, żeby wrócić do swojego wielkiego, pustego domu, to nagle okazywało się, że nie mam do kogo ust otworzyć. Poza tym, że nie lubiłem rozmów przez telefon (bo nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak wygląda osoba po drugiej stronie), to wielu ludzi, którzy chcieli być w moim życiu, tak naprawdę nie pragnęło spędzać ze mną czasu. Mogłem od nich kupować dragi, mogliśmy je razem ćpać, uprawiać seks, mogłem zabierać ich do Library Bar w burdelu u Lillie albo do sekcji dla VIP-ów u Renardsa, ale oni nie chcieli ze mną rozmawiać. Udawali, że owszem, ale w rzeczywistości nikt mnie nie słuchał. A nawet gdyby mnie słuchali, to jak miałem im powiedzieć o dziecku, które wszędzie się za mną snuło, albo o staruszce, która najpierw prześladowała mnie dniami i nocami, a potem wyparowała?

Mój dom był ogromny, ale tak dużo czasu spędzałem poza nim, że nigdy tak naprawdę nie czułem się w nim jak u siebie. Było tam mało mebli. Miałem supernowoczesny system audio i mnóstwo wielkich pufów ze styropianowym groszkiem, a półki nad kominkami uginały się od bibelotów, które dostawałem od ludzi, jednak nie zawsze udawało mi się uruchomić centralne ogrzewanie. Raz porąbałem kilka krzeseł z jadalni, żeby napalić w kominku. Korespondencji nie otwierałem zbyt często, bo w dużej części zawierała techniczne wywody na temat programów emerytalnych, pisane – z rosnącą niecierpliwością – przez mojego księgowego, a reszta to były listy od fanek tak młodziutkich, że jeszcze nie nauczyły się dobrze łączyć liter w słowa. Przygnębiało mnie, że te dzieciaki

widzą we mnie swojego idola i bohatera, podczas gdy sam wiedziałem, że nie mam nikomu nic do zaoferowania. Byłem gwiazdorem popu o wyglądzie młodego boga, piszącym tandetne, przewidywalne pioseneczki, który jakimś cudem wypełniał stadiony i sale koncertowe w całej Europie, ale żyłem w strachu i samotności.

Przez większość dni piłem tak dużo, żeby paść na łóżko, zasnąć i o niczym nie śnić. Prawie nie reagowałem na pukanie do drzwi, bo często nachodzili mnie fani, którzy nie wiedzieli nawet co powiedzieć, gdy w końcu im otwierałem, tylko stali na progu jak zamurowani, z rozdziawionymi ustami. Sam też nie wiedziałem, o czym mam z nimi gadać. Czasami dawałem im autograf i odchodzili. Zdarzało się, że niektórzy chcieli wejść do środka, żeby ze mną pobyć, ale nie wpuszczałem nikogo, bo za bardzo się wstydziłem stanu, w jakim był mój dom. Wiedziałem, że ta cała izolacja jest niezdrowa, że powinienem wyjść i zacząć widywać się z ludźmi.

Will mieszkał w małym domu kilka ulic ode mnie. Nie wiem, czemu nie przeprowadził się do większego, zwłaszcza teraz, kiedy dorobili się z Susan córki, takiej prawdziwej. Może i byłem stuknięty, ale nie aż tak, żeby nie umieć jej odróżnić od tego mojego, malutkiego wytworu wyobraźni. Zauważyłem jednak, że gdy mam towarzystwo, moje dziecko znika, więc żeby przed nim uciec, regularnie chodziłem do Willów. Jadłem z nimi obiady i oglądałem telewizję. Zarzucali mnie pytaniami, ale rzadko miałem ochotę na rozmowę. Will zaczął mi wiercić dziurę w brzuchu, żebym wziął udział w jakimś projekcie filmowym, ale nie byłem zainteresowany. Potem, po kilku miesiącach, powiedział, żebym więcej do nich nie przychodził. Nie miałem pojęcia, co zrobiłem nie tak, ale być może faktycznie miałem irytującą osobowość, jak zwykła mawiać mama. Pod koniec lata musiałem wrócić do studia, żeby nagrać kilka piosenek na mocno już wyczekiwaną trzecią płytę. Sean przyszedł osobiście, żeby mi to obwieścić, bo przez jakiś czas nie odbierałem telefonu. Kończyła nam się sześciomiesięczna przerwa po dwóch latach spędzonych w trasie koncertowej. Gdy go wpuściłem, zrobił megazaskoczoną minę.

– Jezu, Luke, czy ty w ogóle o sobie nie dbasz? Chryste, jak ten dom wygląda! Nie masz sprzątaczkę? Stary, musisz wziąć prysznic. I ogól się. Image kloszarda nie zrobi dobrego wrażenia na ludziach z Sony.

Sean był moim jedynym przyjacielem i menedżerem, ale stwierdził, że podczas przerwy koncertowej my też musimy od siebie odpocząć. Powiedział, że zajmie się wszystkimi pilnymi sprawami, a mnie kazał odpoczywać i regenerować siły.

– Nie byłeś na wakacjach? Nigdzie nie wyjechałeś?

Powstrzymując łzy, próbowałem wyjaśniać, że w ciągu tych dwóch lat byliśmy prawie non stop w rozjazdach, więc teraz chciałem wreszcie pobyc w domu.

– Czy ty w ogóle coś jesz? Przyda ci się pomoc specjalisty...

Sean zaprowadził mnie do psychiatry. Jak się okazało, pierwszego z bardzo wielu. Facet zdiagnozował u mnie depresję i odesłał do domu z receptą na jakieś leki. Świadomość, że pustka, którą czuję, letarg, w jakim się pogрузyłem, i brak koncentracji mają konkretną przyczynę, przyniosła mi ulgę. Przepisane prochy też zdecydowanie pomagały. Poczulem się lepiej i przystąpiłem do działania. Ograniczyłem picie i hasz. Dziecko zniknęło. Częstotliwość pojawiania się koszmarów spadła. Nagraliśmy nową płytę. Tym razem przez kilka ostatnich dni nagrań towarzyszyła nam pełna orkiestra symfoniczna, więc ten album miał znacznie większy rozmach od poprzednich. Dni przygotowań w studiu były długie, ale podobał mi się ten muzyczny przyływ, który zwykle popowe numery zmieniał w arcydzieła. Zdaniem Seana nowy album mógł się przebić w Ameryce. Byliśmy podekscytowani i pełni optymizmu.

W połowie grudnia wytwórnia urządziła nam huczną imprezę w hotelu Clarence. Było naprawdę grubo. Zjawiły się dosłownie wszystkie sławy – w każdym razie te, które wróciły do kraju na święta: aktorzy, muzycy, malarze, poeci, tancerze. Z sufitu sypał się brokat, a szampan płynął strumieniami. Chociaż tłum budził we mnie nerwowość, to pilnowałem się z alkoholem. Sean, mimo że był już mocno zrobiony, zauważył, że czuję

dyskomfort. „Spoko, Luke, dzisiaj możesz wyluzować. Zasłużyłeś sobie!” Wlał trzy czwarte butelki szampana do piwnego kufła i podał mi go.

Tego wieczoru tak dobrze się bawiłem, że imprezowałem jeszcze przez kilka dni. Niby powinienem brać leki, ale czułem się fantastycznie i byłem przekonany, że te, które przyjmowałem do tej pory, już mnie wyleczyły.

Na sekretarce pojawiły się wiadomości od Briana i Willa. Pytali o Boże Narodzenie. Gdzie będę je spędzał? Czy chcę przyjść do Willa na obiad? Ale przecież przed kilkoma miesiącami Will zakazał mi przychodzić do siebie do domu. Pomyślałem, że powinienem go przeprosić. Zdałem sobie sprawę, że zachowywałem się jak dupek, codziennie zwałając im się na głowę. Postanowiłem kupić mu jakiś naprawdę ekstrawagancki i sensowny prezent, ale nie mogłem pójść do sklepu, bo przerażały mnie przedświąteczne tłumy. A potem mnie olśniło. Przecież prezent mogę zrobić własnoręcznie! Na przykład... domek dla lalek dla jego dzieciaka. W czasie tamtego kilkudniowego baletu kupiłem kilka gramów koki i pomyślałem, że teraz mi się przyda. Dzięki niej szybko uporam się z zadaniem.

Nie byłem pewien, jakiego użyć drewna. Chyba powinno być mocne a zarazem cienkie, żeby za dużo nie ważyło. Wybrałem się na wyprawę do sklepu po wszystkie materiały potrzebne do budowy. Ułożyłem sobie bardzo dokładny plan. Facet za ladą mnie rozpoznał. Był bardzo pomocny i powiedział, że najlepsza na domek będzie sklejka. Dał mi nawet darmowe próbki farby, żebym miał go czym pomalować. Dorzucił też spore kołki z litego drewna, w razie gdyby mi się chciało wyrzeźbić figurki do kompletu. Gdy zabrałem się do pracy, wstąpiła we mnie nowa energia. Nie jestem pewien, jak dużo czasu zajęło mi budowanie, ale przypuszczam, że przez jakieś trzy noce nie spałem. Musiałem trzykrotnie zaczynać od nowa, bo przez brak cierpliwości popełniłem kilka błędów przy cięciu sklejki i – przez przypadek – przepiłowałem stół w jadalni.

Kiedy skończyłem budować domek, postanowiłem wyrzeźbić z drewnianych kołków mamę, tatę i dziewczynkę. Zacząłem od dziewczynki, ale mój entuzjazm zmienił się w przerażenie, gdy zdałem

sobie sprawę, że tycia figurka, którą wystrugałem, to było tamto małe dziecko, w dodatku znowu żywe i znów krzyczące na mnie bezgłośnie.

To było nie do zniesienia. Próbowałem je uspokajać. Owinąłem watą i głaskałem, ale nijak nie mogłem zakryć wykrzywionej w cierpieniu, malutkiej twarzyczki.

Zadzwoiłem do psychiatry, ale odezwała się automatyczna sekretarka z informacją, że gabinet będzie otwarty 7 stycznia, po przerwie świątecznej.

Nie chciałem zostać sam z dzieckiem, więc wykręciłem numer Seana, ale nie odebrał. Do Briana nie mogłem zadzwonić, bo aktualnie zatrzymał się u mamy, a do niej mogliśmy dzwonić najpóźniej o dziewiątej wieczorem, później był zakaz.

Popatrzyłem na zegar. Którego dziś mamy? Był wczesny poranek 26 grudnia. Przegapiłem święta. Przypomniałem sobie, że miałem iść na obiad do Willa. Przecież domek dla lalek budowałem dla jego dziecka. Postanowiłem, że najlepiej będzie, jeśli włożę „swoje” dziecko do domku i zaniosę do Willa. On i Susan wiedzą, jak się zajmować dziećmi!

Dostarczyłem im prezent w środku nocy. Will chyba się nie ucieszył na mój widok. Wróciłem do siebie i tak się zjarałem, że padłem nieprzytomny. Gdy dwa dni później odzyskałem świadomość, dziecko leżało na poduszce przy mojej głowie. Dostałem gęziej skórki, gdy podpełzło i wtuliło mi się w dół łokciowy.

Tydzień przed moimi ósmymi urodzinami mama śpiewała na mszy papieskiej. Na samą myśl o tym umierałem z ekscytacji. Miała wykonać Ave Maria, moją ulubioną pieśń! Nie wiedziała tego na pewno, ale nie można było wykluczyć, że osobiście spotka się z papieżem, a on położy jej rękę na głowie i się za nią pomodli. Miałem pewność, że po takim błogosławieństwie już zawsze będzie mnie kochać, i to tak naprawdę. Lepiej! Gdyby papież dotknął mamy i pobłogosławił święconą wodę, którą kupiłem jej na urodziny, to moglibyśmy zbawić duszę Paula!

Paul był naszym kuzynem i najlepszym przyjacielem Briana. Zawsze okazywał mi serdeczność. Uważał, że jestem zabawny i interesujący. Wypytywał mnie o żywoty świętych, bo pamiętał, że wszystkie znam na wrywki. Był przekonany, że Elvis Presley zostanie świętym, ale ja wiedziałem, że nie ma na to najmniejszych szans. Lubiłem Elvisa w filmach, ale nie wydawało mi się, żeby święci wozili się sportowymi samochodami, całowali z dziewczynami w spódniczkach hula i nosili obcisłe spodnie. Paul lubił żartować o cudach, których dokonywał Elvis. Na przykład jednym machnięciem ręki potrafił sprawić, że dziewczyny wrzeszczały jak szalone. Cierpliwie wyjaśniałem Paulowi, że cuda są po to, żeby czynić dobro, a wrzeszczących lasek chyba się nie da pod to podciągnąć.

Jednak w ostatnich miesiącach Paul stał się jeszcze bledszy i bardziej milczący niż wcześniej. Dużo czasu spędzał teraz w szpitalu i często nie budził się nawet wtedy, gdy przychodziliśmy go odwiedzić. Kiedy nikt nie patrzył, William wyjadał mu galaretkę i lody. Powiedziałem Willowi, że to grzech, ale on nigdy się nie przejmował grzechami. Zamiast chodzić do

spowiedzi, szedł za kościół palić papierosy ze swoim kolegą Steve'em, więc to ja się za niego modliłem.

Jednego dnia poszedłem odwiedzić Paula tylko z mamą. To było pod koniec letnich wakacji. Spytałem mamy, jak Paul będzie chodzić do szkoły, skoro leży w łóżku. Gdy tylko na mnie spojrzała, wiedziałem, że jest zła, bo pogłębiły jej się dwie zmarszczki między oczami.

– On nie wróci do szkoły, Luke. Nie bądź głupi.

– A dlaczego nie?

Wydała z siebie ciężkie westchnienie:

– Paul umiera. Nigdy już stąd nie wyjdzie.

Wiedziałem, że jest chory i jego stan się pogarsza, ale myślałem, że moje modlitwy są jednak coś warte. Ojciec Martin zawsze powtarzał, że jeśli się tak naprawdę wierzy w Boga, to On odpowie na nasze modlitwy. A ja szczerze w Niego wierzyłem.

– Ale on nie może umrzeć – zaprotestowałem. – Ja się za niego modłę.

– Przestań być naiwnym smarkaczem. Masz już osiem lat...

– Osiem i trzy czwarte – poprawiłem ją.

– Więc jesteś dość duży, żeby wiedzieć, czym są śmierć i umieranie. W jego krwi jest rakowata trucizna. Białaczka. Nie ma dla niego nadziei. To bardzo smutne.

Przez chwilę milczałem. Gdy skręciliśmy na przyszpitalny parking, spytałem:

– Ale pójdzie prosto do nieba, tak, mamó? Nie będzie musiał czekać w czyścú, prawda?

– Nie mam bladego pojęcia – odburknęła i znużonym gestem wyciągnęła torebkę z samochodu.

Gdy weszliśmy do pokoju, Paul siedział na łóżku. Miał dobry dzień. Wokół jego oczu malowały się ciemne kręgi. Mnie wcale nie przeszkadzała łysa głowa Paula, ale jego rodzice – wujek Dan i ciocia Judy – co tydzień przynosili mu nowe czapki. Najbardziej lubił hełm wikinga, który zrobiła

mu na drutach ciocia Peggy, chociaż ona była siostrą mojej mamy, a wujek Dan był bratem taty. Ciocia Peggy była dobra dla wszystkich.

Paul czytał książkę z żartami, którą ktoś mu przyniósł, i śmiał się w głos. Postanowił wypróbować na mnie wszystkie kawały zaczynające się od „Puk, puk! Kto tam?”. Mama i ciocia Judy zeszły do szpitalnej kawiarni i zostawiły nas samych, więc mieliśmy chwilę, żeby pogadać. Wiedziałem, że Paul woli, żeby zamiast mnie odwiedził go Brian, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Może się pomodlimy? – zaproponowałem.

– Jeśli chcesz.

– Powinniśmy zmówić modlitwę, żebyś poszedł do nieba, kiedy już umrzesz.

– Umrę?! Co ty gadasz?

W tamtej chwili skapowałem, że nie powinienem był tego mówić. Poczułem, jak zaczynają mnie piec policzki. Trzeba się było jakoś wycofać.

– Tak na wszelki wypadek. No wiesz, gdybyś miał kiedyś umrzeć, to przecież chciałbyś pójść do nieba?

Zrobił wielkie oczy, a twarz jeszcze bardziej mu pobladła.

– Słyszałeś coś? Moja mama ci powiedziała, że umieram?

– Nie! – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Wrócił do czytania na głos kawałów „Puk, puk! Kto tam?”. Wtedy zrozumiałem, że się boi. Czuję to przez skórę. Ja też się bałem. Co będzie, jeżeli Paul nie pójdzie do nieba? Wyjąłem różaniec, który zawsze nosiłem w kieszeni, i pomachałem nim przed jego twarzą. Zignorował mnie i zaczął śmiać się jeszcze głośniejszym głosem z kawałów w książce, ale ten śmiech nie brzmiał już naturalnie. Był wymuszony i nieprawdziwy.

Po tej wizycie zakazali mi odwiedzać Paula. Ciocia Judy powiedziała mamie, że według niej jestem na to za mały. Mama spytała, czy powiedziałem coś, co mogło go zdenerwować. Odpowiedziałem, że ja tylko zaproponowałem mu wspólną modlitwę, co nie do końca było kłamstwem.

– Modlitwy nie zawsze zostają wysłuchane – stwierdziła.

To wspomnienie mocno wryło mi się w pamięć, bo słowa mamy przeczyły temu, co mówił ojciec Martin, więc nie wiedziałem, komu wierzyć.

Spytałem tatę o umieranie Paula.

– Mama ci powiedziała? Niepotrzebnie. – Chociaż byłem na to o wiele za duży, posadził mnie sobie na kolanach. – Posłuchaj, synku. Ludzie czasami umierają. Nie ma na to rady.

– Nawet dzieci?

– Niestety tak.

– Czy taka jest wola Boga, żeby dzieci umierały?

– Chyba nie ma innego wyjaśnienia.

– Ale dlaczego? I dlaczego akurat Paul? On jest bardzo miły. Czy to znaczy, że ja też umrę? I Brian, i William też?

– Nie, dzieci umierają bardzo rzadko. O siebie ani o swoich braci nie musisz się martwić.

– Ale gdybym się modlił tak naprawdę bardzo, bardzo mocno, to czy mógłbym wygonić z niego tę truciznę, którą ma we krwi?

– To nie my decydujemy, kto będzie żyć, a kto umrze – odpowiedział tata. – Ale nie mów nikomu, że Paul jest umierający, dobrze? Nie chcę, żebyście wciąż o tym myśleli.

Tego wieczoru słyszałem, jak rodzice się kłócą. Tata krzyczał, że mama nie powinna mi mówić o Paulu. Ale potem, już w łóżku, pomyślałem, że może mama miała dobry powód, żeby mi powiedzieć? Może Bóg wybrał mnie, żebym ocalił Paula przed wiecznym potępieniem?

W tamtym tygodniu robiliśmy w szkole transparenty na powitanie papieża i wtedy wszystko złożyło mi się w całość. Zrozumiałem, że Bóg powierzył mi prawdziwą misję! Zacząłem męczyć mamę, żeby się dowiedziała, czy na pewno będzie śpiewać dla papieża, a jeśli tak, to kiedy. W czasie mszy czy przed nią? Czy na pewno ma się z nim osobiście spotkać? Czy może go poprosić, żeby pobłogosławił wodę święconą? I czy naprawdę wierzy w moc papieskiego błogosławieństwa? To było bardzo

ważne. Udzielała wymijających odpowiedzi, bo nie mogła zdradzić żadnych szczegółów. Plan, który miała ułożony na ten dzień, był ściśle tajny i miał zostać potwierdzony dopiero w ostatniej chwili, bo papież, jako głowa państwa, musiał mieć zapewnioną odpowiednią ochronę, a to była skomplikowana sprawa. Mama załatwiła nam i tacie bilety z dobrymi miejscami. Msza odbywała się w parku Phoenix i miał w niej uczestniczyć jeden z trzech milionów naszych rodaków plus goście z całego świata, którzy zapowiedzieli przyjazd do Irlandii specjalnie, żeby zobaczyć Jana Pawła II. We wszystkich oknach wywieszono papieskie flagi, a większość ulic przyozdobiono biało-żółtymi chorągiewkami i wstążkami. Ludzie posprząтали ogródki od frontu i zamietli chodniki prowadzące do drzwi domów, żeby papież sobie nie pomyślał, że jesteśmy brudasami. Księża i zakonnice uczyli dzieci w szkołach nowych modlitw i hymnów. Wtedy zgrzeszyłem pychą, bo pomyślałem, że reszta mojej klasy i sąsiadów nareszcie zacznie za mną nadażać w kwestii wiary. Poszedłem do spowiedzi, żeby o tym powiedzieć ojcu Martinowi, ale on stwierdził, że to nie grzech, a wiara jest powodem do dumy. Czasami trudno było pojąć te wszystkie zasady

Ponieważ byłem najbardziej religijnym chłopakiem w szkole, wybrano mnie jako delegata na specjalny podwieczorek z arcybiskupem, gdy przyjechał do szkoły z wizytacją, żeby sprawdzić, czy jesteśmy gotowi na przyjęcie papieża. Usadzili nas w jednej sali z ekscelencją i kilkoma księżmi, a zakonnice uwijały się wokół niego z herbatą i wymyślnymi słodyczami. Osobiście byłem za bardzo zestresowany i zdenerwowany, żeby cokolwiek przełknąć. Pod koniec podwieczorku, gdy arcybiskup już miał wychodzić, ojciec Martin zwrócił się bezpośrednio do niego:

– Wasza ekscelencja nie poznał jeszcze Luke’a Drumma, najlepszego chłopca w szkole. Bardzo możliwe, że ma autentyczne powołanie. Jest głęboko oddany wierze, zapewniam. Matka Luke’a będzie za tydzień śpiewać na mszy dla Jego Świątobliwości.

Arcybiskup był wysoki. Pochylił się i uściśnął mi rękę.

– A twoja matka to...? – spytał.

– Melissa Craig – powiedziałem. – Jest piosenkarką i aktorką.

Ekscelencja odwrócił się do ojca Martina i mruknął:

– Ta tancerka? – prychnął. – Zauważyłem, że nie przyjęła nazwiska swojego męża. Osobiście głosowałem przeciwko jej kandydaturze, ale jak widać jest popularna. – I wyszedł z sali na czele swojego czarnego stadka.

Nie polubiłem arcybiskupa, ale musiałem wyrzucić z głowy to uczucie i znaleźć w sercu miłość, bo miałem zadanie do wykonania.

W dniu mszy tata zrobił nam śniadanie już o piątej rano. Z podniecenia wcale nie spałem. Całą noc modliłem się na kolanach. Po mamę przyjechał samochód rządowy z papieskimi insygniami na drzwiach. Była ubrana tak, żeby się wydawało, że jest skromna: w białą suknię, żółty rozpinany sweterek i białe rękawiczki. Na szyi miała białą mantylkę, żeby móc zakryć głowę i włosy podczas mszy. Do jej torebki włożyłem buteleczkę ze święconą wodą. Kazałem mamie obiecać, że poprosi Papieża, żeby ją pobłogosławił i dała słowo, że to zrobi, jeżeli tylko będzie taka możliwość. Pomyślałem, że żeby woda nabrała cudownych właściwości, może wystarczy, jeśli buteleczka znajdzie się blisko papieża.

Cała okolica wyległa z domów, żeby pomachać mamie na do widzenia. Wszyscy byli w dobrych nastrojach, śmiali się i rozmawiali ponad murkami i płotami dzielącymi ogródki o tym, co przyniosą w piknikowych koszykach i gdzie zaklepalili sobie miejsca na wielkiej parkowej łące. Niektórzy nam zazdrościli, bo mieliśmy rezerwację blisko ołtarza. Pozostali musieli się tłoczyć w przypominających zagrody dla owiec sektorach, na które podzielony był cały park, naprzeciwko nowiutkiego papieskiego krzyża. Pokazywali to poprzedniego wieczoru w telewizji. Ale chociaż miejsca mieliśmy lepsze, to do parku musieliśmy dojechać tak samo jak cała reszta – autobusem, a one odjeżdżały bardzo wcześnie. O szóstej rano. Gdy szliśmy na przystanek, przez chodnik tuż przed nami przebiegł szczur i zniknął w studziencie kanalizacyjnej. Jakaś pani idąca za nami krzyknęła na jego widok. Wy tłumaczyłem sobie, że to jest znak, że wszystkie boskie stworzenia mają na ziemi swoje miejsce, i w milczeniu pomodliłem się za tego szczura. Kierowca autobusu był naburmuszony i co

chwila krzyczał na pasażerów, żeby usiedli albo przesunęli się do tyłu, bo następni się nie zmieszczą. Ustąpiłem miejsca starszemu panu, tata też wstał. Na następnym przystanku klepnął w nogę Willa i Briana, żeby i oni się podnieśli i dali usiąść starszym. Panował odświętny nastrój. Półka na bagaż aż się ugiwała od piknikowych koszyków, a po autobusie co chwila rozchodził się zapach kanapek z jajkiem. A może to były poranne bąki?

Wysiedliśmy na przystanku oddalonym o ponad półtora kilometra od parku – dalej trzeba było iść pieszo. Gdy mijaliśmy zoo, przyszło mi do głowy, że może zwierzęta też są podekscytowane, bo nawet tam było słycać gwar i śpiew. My również właściwie szliśmy stadami, jak zwierzęta, i strasznie długo to trwało. Handlarze poustawiali przy drodze stragany i wózki, z których sprzedawali czekoladę, chorągiewki, minerały, święte figurki, plakaty z papieżem i mnóstwo różnych pamiątek.

Zmierzające na mszę grupki śpiewały piosenki z akompaniamentem gitar, fletów i wszelkich innych instrumentów, które ludzie zabrali z domu. Nie było jeszcze ósmej rano. W pobliżu parku tłum zaczął się rozdzielać na kolejki do poszczególnych wejść. Tata kazał nam wszystkim zabrać kurtki i parasole, na wypadek gdyby pogoda się zmieniła. O świcie wcisnąłem się w przymałe białe szorty, w których rok wcześniej przyjmowałem pierwszą komunię – wcześniej należały do Briana, a przedtem do Willa, i były niewygodne – ale tata nalegał, żebym włożył długie spodnie: „Papież nie przyjeżdża na pokaz mody, Luke”. Przypiąłem do piersi rozetę z komunii, a do kieszeni wcisnąłem różaniec.

Wejście, które nam wskazano po sprawdzeniu biletów, było przeznaczone dla ludzi na wysokich stanowiskach i tata powiedział, że rozpoznaje wielu ministrów, sędziów i innych VIP-ów. Gdy prowadzono nas do wielkiego namiotu, William i Brian narzekali, że trzeba strasznie daleko iść. Chcieli od razu urządzać piknik, ale przecież nie wolno nam było jeść przed mszą. Byłem nawet przekonany, że powinniśmy wyjść bez śniadania, ale jeden ksiądz w telewizji stwierdził, że można, bo msza zaczyna się dopiero o jedenastej trzydzięci, a niektórzy będą musieli wstać już o drugiej w nocy, żeby na nią dojechać, więc udziela się specjalnej

dyspensy na spożycie śniadania przed przyjęciem komunii świętej. Ponieważ nie lubiłem, gdy raz ustalone zasady się zmieniają, usiadłem z nimi do stołu, ale ugryzłem tylko trochę suchego chleba z mlekiem, ignorując zapach bekonu i kielbasek, którymi ze smakiem obżerali się moi bracia.

Tata powiedział im, że mogą zjeść kanapki, ale ja łyknąłem jedynie trochę herbaty z termosu. Jeszcze tylko kilka godzin. W porównaniu do męki Jezusa, który niósł krzyż przez tyle kilometrów, to było nic. Staliśmy jakiś czas pośród dygnitarzy, aż wreszcie kazano nam zająć miejsca na zewnątrz namiotu. Ktoś zakomunikował, że papież już wylądował na lotnisku w Dublinie, gdzie wygłosił przemowę i spotkał się z naszym prezydentem. Teraz mieli go przywieźć helikopterem do parku Phoenix. Byłem tak podekscytowany wypatrywaniem helikoptera na niebie, że całkiem zapomniałem, że mama ma śpiewać na mszy. Niedługo potem milion ludzi stał z zadartymi głowami, wiwatując i klaszcząc, gdy helikopter zataczał kręgi nad parkiem, i nawet Will i Brian byli zachwyceni tym widokiem. Siedziałem u taty na barana, wystając ponad morze szczęśliwych ludzi, które rozlewało się całymi kilometrami wokół mnie. Miałem całkowitą pewność, że tego dnia wydarzą się cuda.

Ciocia Judy i wujek Dan nie mogli przyjść na mszę papieską, bo byli z Paulem w szpitalu. A moim obowiązkiem tego dnia, 29 września 1979 roku, było zebrać całą świętość, jaką miałem w sobie, i promieniować miłością na wszystko wokół, żeby Paul na pewno poszedł do nieba.

Gdy msza się zaczęła, wszyscy uklękliśmy. Ignorując ukłucia głodu, nie spuszczałem z oczu majaczącej w oddali, malutkiej białej kropczki – papieża Jana Pawła II. Próbowałem mówić do niego w myślach. Kiedy dwa razy spojrział w moją stronę, byłem pewien, że szuka mnie w tłumie i że patrzy właśnie na mnie. Miałem pewność, że on wszystko wie. Wtedy z boku weszła na scenę mama. Przyklękła, zwracając się do krzyża, potem jeszcze raz – do papieża. Ach, jaki byłem z niej dumny! Nigdy nie śpiewała tak pięknie jak tamtego dnia i – jeśli takie słowa nie są bluźnierstwem – wyglądała jak bogini: była piękna i pełna mocy, a zarazem miała w sobie

coś ze szlachetnej damy. Popatrzyłem na tatę i braci – oni też byli dumni z tego, jak godnie mama się prezentuje. Gdy skończyła śpiewać, wykonała teatralny ukłon, po czym stanęła niepewnie, mało nie umarłem ze wstydu, bo wiedziałem, że oczekuje braw. To przecież była msza, a na nich się nie klaszcze. Z zapartym tchem patrzyłem, czy papież zejdzie do niej i ją pobłogosławi. Nie zrobił tego. Podszedł jakiś ksiądz i wyprowadził ją ze sceny. Tata ścisnął moje ramię pocieszającym gestem. „Mama pięknie wyglądała, prawda?” – szepnął. Bardzo pięknie. Klębiło się we mnie pełno emocji, których nie umiałem nazwać. Rozkojarzyłem się i jakimś cudem przestałem myśleć o papieżu.

Obudziłem się w bezwładnym półzwisie na barana u taty wśród wiwatów i braw. Przespałem całą mszę! Papież jechał już przez tłum swoim papamobile. O zgrozo! Co za szok! „Dlaczego mnie nie obudziłeś?!” – wrzasnąłem do taty i zacząłem okładać jego głowę pięściami. Zgramoliłem się na ziemię i rzuciłem się biegiem tam, gdzie tłum był najgłośniejszy, wiedząc, że papież będzie w miejscu, skąd dobiega aplauz. Pędziłem tak, jakby zależało od tego zbawienie duszy Paula. Bo przecież zależało! Przepychałem się między ludźmi, przeciskałem pod drucianymi płotami skakałem przez barierki i ogrodowe leżaki. Musiałem przeprosić papieża, że zasnąłem. Musiałem go ubłagać, żeby się za to nie mścił na Paulu. Gdy złapali mnie ochroniarze, zacząłem na nich krzyczeć, biłem ich i kopałem, aż jeden usiadł mi na nogach. Przyszpilony do ziemi słyszałem wiwaty tłumu, a potem ryk startującego helikoptera i wiedziałem, że papież odlatuje, a Paul umrze i być może na zawsze utknie w czyścicu. Nie umiałem opanować histerycznego płaczu. Zaniesiono mnie do namiotu dla zaginionych dzieci, w którym godzinę później znalazł mnie tata. Wtedy już nie płakałem, ale nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa. Nie mogłem nikomu powiedzieć o moim układzie z Bogiem. To była sprawa tylko między mną a Nim.

W autobusie do domu tata pocieszał mnie, że mama mogła się spotkać z papieżem za kulisami, i chociaż wiedziałem, że to raczej mało prawdopodobne, poczułem promyk nadziei, że może jednak buteleczka ze

święconą wodą w jej torebce została pobłogosławiona. Mama wróciła do domu dużo później, bo uczestniczyła w przyjęciu dla VIP-ów biorących udział w mszy. Byłem zrozpaczony, że nie mieliśmy z nią żadnego kontaktu i nie mogliśmy się dowiedzieć co i jak.

W chwili gdy dotarliśmy do domu, zadzwonił telefon. Tata poszedł odebrać. Miałem właśnie wejść do kuchni, kiedy usłyszałem, jak mówi: „O nie, Dan, tak mi przykro...”. Jego głos się załamał i już wiedziałem, że Paul umarł. William i Brian gapili się na niego oszołomieni. Brian zaczął buczeć, a potem zwymiotował na podłogę w salonie.

– Mogłem go uratować! – wrzasnąłem na tatę. – Dlaczego mnie nie obudziłeś przez całą mszę?! Mogłem ocalić jego duszę! – Wtedy William walnął mnie pięścią w brzuch i wyszedł z domu. Przez długą chwilę nie mogłem złapać oddechu. Patrzyłem przez okno, jak mój najstarszy brat stoi przy płocie i żeby powstrzymać łzy, tak mocno ściska drut ogrodzenia, że aż bieleją mu kostki. Tata rzucił się do ogarniania chaosu. Założył gumowe rękawice i zaczął zbierać rzygi Briana do miski, ale obaj płakali, a Brian dostał spazmów, dyszał histerycznie i cały dygotał. Później tata powiedział, że Brian doznał szoku.

Ale mnie ta wiadomość nie zszokowała. Wiedziałem, że Paul jest bardzo chory. Miałem świadomość, że umrze. Potem wróciła mama. Spodziewała się owacji, ale przywitał ją żałobny smutek. Myślę, że w głębi duszy ona też była zdruzgotana.

– Mamo, ale czy na pewno próbowałaś poprosić papieża, żeby ci pobłogosławił tę święconą wodę?

– Tak, Luke – odpowiedziała. – Ale Paul i tak by umarł, choćby nie wiem co się stało. Nie mogłeś go uratować.

Nikt mnie nie rozumiał! Przecież wiedziałem, że nie uratuję Paulowi życia. Próbowałem ocalić jego duszę.

Następnego dnia w „Irish Press” wydrukowali na pierwszej stronie zdjęcie, na którym mama stała obok papieża. Wypiłem tę święconą wodę z buteleczki, ale potem do mnie dotarło, jakie to samolubne: powinienem był ją zachować dla chorych i umierających.

2010

Rok 2010 był dla mnie całkiem udany aż do tego pogrzebu. Brałem leki i chodziłem na umówione spotkania z terapeutą. Wciąż jeszcze trochę imprezowałem i odrobinę za dużo piłem, bo co wieczór pękała butelka, ale raczej wina niż wódki. Nadal nie wiodłem uporządkowanego życia, lecz teraz było w nim mniej chaosu. Nie pamiętam, na czym mijały mi dni. Na pewno dużo spałem. Oscylowałem pomiędzy fazami maniakalnej fascynacji muzyką a kompletną apatią, w której nie obchodziło mnie żadne życie towarzyskie ani jakiegokolwiek działanie.

Brian dzwonił regularnie. Przypominał mi o różnych sprawach, jak urodziny mamy, egzamin gimnazjalny Daisy, propozycje koncertów i tym podobne. Jakiś dokumentalista chciał, żebym wystąpił w odcinku telewizyjnego cyklu pod tytułem „Gdzie oni są?”, o ludziach, którzy byli kiedyś sławni, ale popadli w zapomnienie. Nie miałem ochoty w to wchodzić, ale Brian nalegał. Stwierdził, że może nam załatwić dobre warunki. Wiedziałem, że telewizja chce zrobić ze mnie błazna i na pewno wywleką wszystkie brudy, które już się ukazywały w brukowcach. Ściąłem się z bratem na ten temat, ale wcale mnie nie słuchał. Powiedział tylko, że spróbuje wynegocjować lepszą gażę. Zanim się rozłączył, wspomniał mimochodem, że następnego dnia idzie na pogrzeb ojca swojego kumpla Cilliana Gogana.

Dźwięk tego nazwiska zmroził mi krew w żyłach.

– Czy mama wie, że on nie żyje?

– Nie wiem. Właśnie miałem do niej dzwonić.

– Nie musisz, wpadnę do niej. Powiem jej.

– Tak? Ale zrób to subtelnie, okej? Zdaje się, że ona i tata byli bardzo blisko z Goganami, jeszcze gdy tata żył. Tylko nie idź do niej na bani.

– Dobrze.

– Przekaż jej, że przyjadę po nią jutro o wpół do dziesiątej, akurat zdążymy na pogrzeb.

– Nie trzeba, sam ją zawiozę.

– Co?

– Pojadę z nią na ten pogrzeb. Nie jestem kompletnym imbecylem Brian, mogę zawieźć własną matkę do kościoła.

– Też chcesz tam iść? Dlaczego?

– Ze względu na nią.

Wyczułem wahanie z jego strony. Chciał się kłócić, ale odpuścił.

– No dobra, jak chcesz. Widzimy się jutro rano. Tylko bądź trzeźwy, tak?

– Tak.

Gdy się rozłączyłem, wypilem kieliszek wina i wrzuciłem na siebie to, co zwykle: bluzę z kapturem, džinsy i bejsbolówkę. Miałem długie włosy i brodę. Mama nie akceptowała mojego wyglądu, ale tego dnia to nie miało znaczenia. Dziś miałem powiedzieć, że jej gwałciciel nie żyje i wreszcie będzie mogła być szczęśliwa.

Rzadko widywałem się z mamą sam na sam. Zdawałem sobie sprawę, że w moim towarzystwie czuła się niezręcznie. Bała się moich wybuchów i nieprzewidywalnych zmian nastroju. Wiem, że byłem dla niej wielkim rozczarowaniem. Od samego początku miała co do mnie rację. Ale to ja znałem jej sekrety. Nikomu innemu nie powiedziała o gwałcie i byłem pewny, że wciąż się z tym zмага. To ja musiałem ją zawiadomić o śmierci Jacka. Tylko ja mogłem jej teraz przynieść ulgę. Nie lubiliśmy się za bardzo, ale – ze względu na okoliczności – było mi jej żal i pomyślałem, że może teraz będzie mogła okazać mi więcej ciepła. Miała sześćdziesiąt trzy lata, a od dwudziestu czterech była wdową i dopiero teraz uderzyła mnie myśl, że odejście taty zaledwie dwa lata po tamtej napaści musiało być dla niej trudne. Dziewczyna, z którą widywałem się rok wcześniej, pracowała

kiedyś w Centrum Pomocy Ofiarom Gwałtu. Opowiedziała mi niejedną wstrząsającą historię wykorzystywanych mężczyzn i kobiet; po skandalach od dwudziestu lat wstrząsających Kościołem lawinowo rosła liczba ludzi, którzy przyznawali się do swoich doświadczeń i zdawali z nich relację. Nigdy nie mówiłem jej o tym, co spotkało moją matkę ani dlaczego postanowiła to wyjawić właśnie mnie, trzynastoletniemu chłopcu.

Kiedy już byłem ubrany, nalałem sobie kolejny kieliszek wina, dla kurażu, bo spodziewałem się, że to będzie trudna rozmowa.

– Cześć, Luke. Co ty tu robisz? – spytała mama, otwierając drzwi. Znad mojego ramienia rozejrzała się po ulicy.

– No... przyszedłem cię odwiedzić. Dawno się nie widzieliśmy.

– Aha. Oczywiście. Pora obiadowa, to pewnie jesteś głodny.

– Tak? – Nie nosiłem zegarka ani telefonu. Według mamy to była taka moja poza.

– Wejdz. Ja właśnie jadłam, ale jeśli chcesz, mogę ci zrobić kanapkę – zaproponowała niechętnie.

– Nie trzeba, jestem po obiedzie – skłamałem.

W domu grał telewizor. Przerwałem jej oglądanie odcinka EastEnders.

– Tylko dokończę, dobrze? Idź, wstaw wodę na herbatę – zarządziła. Na stole, obok otwartej butelki wina, stał wypełniony do połowy kieliszek. Spojrzałem pytająco na mamę. – Proszę, przynieś sobie szkło z kuchni.

Gdy wróciłem, telewizor grał jeszcze głośniej. Postacie na ekranie były ponure i samotne, a z ich umalowanych krzykliwą szminką ust wylewały się rozdziawione samogłoski cockneyu. Odcinek kończył się nieuniknioną bijatyką w pubie, ale kamera podążyła za młodą dziewczyną o zatroskanej twarzy, która zdołała wymknąć się na zewnątrz pośród padających ciosów, zanim pojawiły się napisy. Napełniłem oba kieliszki po brzegi.

Mama podniosła pilota i przyciszyła dźwięk.

– No, co nowego?

Powiedziałem jej o filmie dokumentalnym, w którym nie chciałem wystąpić, i o naciskach Briana, bym jednak to zrobił. Ulżyło mi, bo stanęła

po mojej stronie:

– Wybij to sobie z głowy. Wciągną mnie w tę historię i zrobią ze mnie jakąś skamielinę. Sama porozmawiam z Brianem – oświadczyła. Jej kariera ostatnio znów rozkwitła dzięki angażowi do jakiegoś przedstawienia i mama nie chciała, żebym jej zepsuł dobrą passę.

– Dzięki, mammo.

– Czy ty się kiedyś ostrzyżesz. I ogolisz? – Wzruszyłem ramionami. – A może nawet znajdziesz jakąś pracę? Ciotka Peggy wciąż mnie o to pyta i mówiąc szczerze, już mi wstyd powtarzać, że całymi dniami nic nie robisz.

– Nie przejmuj się tym, mammo.

– Życie sobie marnujesz...

Przerwałem jej:

– Jack Gogan nie żyje. – Znieruchomiała na sofie. – Mammo? Słyszysz mnie?

– Oczywiście, że słyszę. Pisali o tym w porannej gazecie.

– Zastanawiałem się, jak się z tym czujesz, to wszystko.

Zaczęła przewracać kartki w magazynie leżącym przed nią na stole.

– No wiesz, całe lata go nie widziałam, ostatni raz jeszcze za życia twojego ojca. Współczuję Ursuli i chłopakom. Na pewno im przykro.

– Mammo, ale ja wiem.

– Co wiesz?

– Nie pamiętasz? Powiedziałaś mi. O tym, co ci zrobił Jack Gogan.

Wstała szybko, podeszła do barku i wyjęła kolejną butelkę czerwonego wina. Pomyślałem, że to dobrze, bo ta rozmowa była trudniejsza, niż się spodziewałem. Z zaskakującą zaciekłością wbiła korkociąg w korek.

– O czym ty mówisz?

– Zgwałcił cię. Powiedziałaś mi o tym.

– Nie.

– Mammo...

– Masz bujną wyobraźnię. Zawsze plotłeś bzdury. Nie wiem, skąd ci to przyszło to głowy. Takich rzeczy po prostu się nie mówi...

– Pamiętam każde twoje słowo. To się stało na koncercie Boba Dylana na zamku Slane. Poszliście tam wszyscy czworo.

– A skąd ty możesz wiedzieć, co się stało w Slane? Ciebie tam nawet nie było!

– Wiem, bo mi powiedziałaś. Nie wymyśliłem sobie tego.

– Dostyć! Przestań! – Znowu wstała, wzburzona. – To są jakieś brednie! Myślę, że powinieneś już iść.

– Mamo! Przecież ja cię nie atakuję. Pomyślałem tylko, że jego śmierć może przywołać twoje złe wspomnienia. Chciałem ci powiedzieć, że nigdy nie jest za późno na terapię. Znam kobietę, którą która mogłaby ci pomóc. I nie musisz iść jutro na ten pogrzeb...

– Co? Nie wybieram się na żaden pogrzeb!

– Brian się spodziewa, że będziesz chciała pójść, bo ty i tata byliście tak blisko z Jackiem i Ursulą, a on przyjaźni się z Cillianem.

Zacisnęła sobie dłonie na szyi.

– Nie mogę pójść na ten pogrzeb!

– Wiem, mamo. Rozumiem. Ale Brian chciał cię zabrać.

– Nigdzie nie idę. – Ponownie usiadła i oparła głowę na rękach.

– Nie musisz. – Nalałem sobie drugą lampkę wina i dopełniłem jej kieliszek. Wyrwała mi go z ręki, rozlewając merlota na czystyutki beżowy dywan.

– Zamknij się wreszcie! Nic nie wiesz! Wynoś się! Wynoś się z tego domu ty... ty próżniaku!

Popchnęła mnie, a gdy zbyt wolno wstawałem z sofy, zderzyła mnie otwartą dłonią w głowę.

– Mamo, proszę cię, ja chciałem tylko...

– Chciałeś tylko wyprowadzić mnie z równowagi i nażłopać się mojego wina. Nie jesteś w tym domu mile widziany. Rozumiesz? Zabieraj swoje

obleśne kłamstwa i już cię tu nie ma!

Pojechałem do pubu i nawaliłem się prawie do utraty przytomności. W końcu do mnie dotarło, że sam mogę być owocem gwałtu. Czy mógł istnieć inny powód, dla którego mama tak bardzo mnie nienawidziła? Kto był moim ojcem? Ona nigdy mi tego nie powie. Nie miałem jak się dowiedzieć, ale nagle wszystko połączyło się w spójną całość. Czy inaczej powiedziałaaby trzynastoletniemu chłopcu o tym, co ją spotkało? Dziecko od jakiegoś czasu biegło mi w górę i na dół po ramionach, bo kłótnia i agresja rozbudziły je i sprawiły mu uciechę. Tańczyło przede mną na stoliku, przysiadało na krawędzi szklanki. Powiedziało, że tak, oczywiście mam rację! Jack Gogan zgwałcił moją matkę i możliwe, że to się stało nie jeden raz, ale miało już miejsce wcześniej, przed zamkiem Slane. Nie umiałem sobie zracjonalizować, skąd się wzięło to przekonanie, ale byłem pewien, że to moja wina. Żeby je zagłuszyć, przyspieszyłem tempo picia.

Gdy zamykali pub, kupiłem wóde na wynos, ominąłem samochód i wróciłem do domu pieszo. Na miejscu zadzwoniłem do starego znajomego, który pojawił się po dziesięciu minutach. Pokręcił się u mnie chwilę, zobaczył, że nie mam nic wartościowego, co mógłby zwędzić, za prochy, które przyniósł, policzył dwukrotność rynkowej stawki i poszedł. Dziecko unosiło się na granicy mojego pola widzenia. Wzniosło pięść w powietrze w geście triumfu i zagrało na złotej anielskiej trąbce – jak złośliwa postać z kreskówki, ale dla mnie przerażająco rzeczywista, chociaż sam wiedziałem, rozumiałem i słyszałem od ludzi, że tak naprawdę nie może go tu być. Po drugiej pigułce dziecko zniknęło, ale wtedy już kompletnie odleciałem. Zrzuciłem ubranie i zacząłem tańczyć. Nudzając się w połowie jednego numeru i przypominając sobie następny, puszczałem utwór na iPodzie i jednocześnie kompletnie inny z płyty, objąłem się o meble, przewracałem półki...

Ocknąłem się na podłodze w łazience. Przetarłem oczy i popatrzyłam na ręce. Była na nich krew. We włosach chyba też. Zegar wskazywał 9.15 rano. Dziecko, siedząc wygodnie na brzegu wanny, powiedziało, że muszę iść na

pogrzeb Jacka Gogana, żeby mieć pewność, że skurwiel na pewno trafi do piachu. Wziąłem ostatnią tabletkę.

Zebrałem ubranie z podłogi i włożyłem je z powrotem, nieświadomy jego zapachu. Wyszedłem na ulicę. Nie mogłem znaleźć samochodu, więc uznałem, że znów go ukradli. Brawo, chłopaki, przyjemnych wrażeń z jazdy dziesięcioletnim fiatem panda. Dziękuję mnie od kościoła trzy kilometry z małym hakiem przeszedłem pieszo, trochę biegłem, po pewnym czasie zatrzymałem się, próbując zidentyfikować uczucie, które pojawiło się w brzuchu. Głód. Przecinając park St Stephen's Green, wyrwałem chleb dla kaczek z ręki jakimś dzieciakom. Rodzice podbiegli i zabrali je szybko, bojąc się konfrontacji ze mną. Ostatni odcinek dzielący mnie od kościoła pokonałem pewnym krokiem, z poczuciem mocy i pełnej koncentracji, gotów dokonać zemsty.

Przepychając się do drzwi kościoła pośród gromadzących się pod nim żałobników, poczułem, że ktoś ciągnie mnie za ramię. To był Brian.

– Jezu Chryste, Luke, co ci się stało? Masz krew na twarzy! I gdzie jest mama? Zrobiłeś jej krzywdę?

Ironia tych słów tak mnie zaskoczyła, że aż się roześmiałem. Czy mogło być coś bardziej zabawnego niż myśl, że to ja mógłbym skrzywdzić moją matkę, przychodząc do kościoła, w którym właśnie mieli oddawać cześć jej gwałcicielowi?

– On ją zgwałcił – wrzasnąłem z całych sił. – Jack Gogan zgwałcił moją matkę!

Brian chwycił mnie za gardło, ale strząsnąłem jego rękę i zacząłem torować sobie drogę do kościoła przez tłum, składający się głównie ze starszych ludzi. Brian rzucił się za mną w pogoń, ale został w tyle, bo nie był tak bezwzględny wobec żałobników. Trumna stała już na katafalku przed ołtarzem, a ksiądz stukał palcem w mikrofon. Popędziłem do ołtarza i odepchnąłem klechę łokciem.

– Wszyscy będziecie nawijać, jaki fantastyczny był z niego facet, ale to nieprawda. Był człowiekiem podłym i odrażającym i trzeba go zdemaskować, zanim pójdzie się smażyć w piekło!

Zobaczyłem Briana wybiegającego z przejścia między ławkami. Rzucił się na mnie i powalił na ziemię, uderzając głową w żebra. Wokół nas rozległy się krzyki gniewu i zaskoczenia, ktoś zaczął zawodzić, potem przyskoczyło do mnie kilku mężczyzn i wywlekli mnie z kościoła. Chyba byli wśród nich karawaniarze, którzy mieli nieść trumnę, i to też mnie rozbawiło. Kondukt żałobny wynosi z kościoła żywego zamiast trupa. Ciekawe! Może się nie zatrzymają i ja też trafię dziś do grobu?

Położyli mnie na bruku przed kościołem i przytrzymali, ktoś wzywał policję. Brian przykucnął obok mnie.

– Teraz naprawdę cię zamkną, rozumiesz? Nie będę mógł ci pomóc. Dlaczego ty zawsze musisz pogarszać sprawę? I co to za brednie z tym gwałtem? Ojciec Cilliana, naszą matkę!? Miałeś ją przywieźć na pogrzeb!

– To prawda! Sam ją spytaj! – zdążyłem wrzasnąć, zanim wpakowali mnie na tylne siedzenie radiowozu. Potem już milczałem, słuchając, jak Brian opowiada gliniarzom o moich problemach psychicznych. Tabletki powoli przestawały działać i zaczęło mi się zbierać na mdłości.

Większości z tych wydarzeń nie pamiętam, przedstawiam je na podstawie wspomnień, którymi podzielili się ze mną inni. Przypominam sobie, że kiedy dwa tygodnie później wyszedłem z oddziału psychiatrycznego, nikt już nigdy nie wspomniał o pogrzebie Jacka Gogana. Zmuszono mnie tylko, żebym napisał do wdowy po nim list ze sprostowaniem, że to, co mówiłem w kościele, było nieprawdą. Mama zaprzeczyła jakoby doszło do gwałtu, mimo że William prywatnie przyznał mi i Brianowi, że cały czas o nim wiedział. Stwierdził, że to dlatego mama nie chciała zagrać w tamtej sztuce o ofierze gwałtu. Ale teraz negocjowała wszystko. Moi bracia oświadczyli, że powinniśmy pozwolić jej uporać się z tym po swojemu. Na wniosek matki otrzymałem sądowy zakaz zbliżania się do niej, więc wtedy przy winie rozmawiałem z nią po raz ostatni.

Nie pamiętam adresu nory, w której się wtedy gnieździłem. Była w dzielnicy Rathmines albo w Ranelagh, a może mieszkałem i tu i tam? Niewykluczone. Wróciłem na jakiś czas do Dublina. Wydaje mi się, że oba te mieszkania to musiały być squaty, bo pamiętam, że do jednego wchodziłem przez okno od podwórka i nie było tam ciepłej wody. Drugie zajmowało kilku innych typów, regularnych lumpów, którym przynosiłem alkohol i papierosy, więc mnie tolerowali. Ale mieszkałem tam tymczasowo. W moim życiu panował wtedy chaos. Po Nowym Jorku na chwilę się ustabilizowałem, ale przez leki nie mogłem pisać nowej muzyki. Dlatego, gdy znów poczułem się lepiej, ograniczyłem je, nie mówiąc o tym mojej nowej psychiatrze. Na spotkaniach bezustannie sugerowała, że jako dziecko byłem wykorzystywany seksualnie, najprawdopodobniej przez matkę. Według niej działo się to w tak wczesnym dzieciństwie, że nie mogłem tego pamiętać. Przestałem do niej chodzić.

A potem całkiem zrezygnowałem z brania leków. Mieszkałem kątem u różnych „przyjaciół i przyjaciółek”, dopóki nie kazali mi zacząć się myć, zrzucić na rachunki, nie palić u siebie w domu albo dopóki po prostu mnie nie wyrzucali.

Wciąż miałem jakieś tam dochody. Brian załatwił sprawy z Irish Music Rights Organisation^[2], więc za odtworzenia mojej muzyki w mediach dostawałem tantiemy, które spływały mi na konto co kilka miesięcy, chociaż tę kasę szybko przepuszczałem. Wytwórnia płaciła mi też procent od sprzedanych płyt, jednak i te kwoty prędko malały.

W kwestii pieniędzy nie byłem samolubny. Raz zabrałem jednego bezdomnego do sklepu Brown Thomas i kupiłem mu płaszcz za osiemset euro, ale on zamiast płaszcza wolał dostać pieniądze. Od słowa do słowa wywiązała się kłótnia i obu nas wyrzucili ze sklepu. Ludzie zaczęli wytykać mnie palcami: „To Luke Drumm!”, ale miałem ich gdzieś. Naprawdę chciałem gościowi pomóc. Na zewnątrz panowało zimno, a płaszcz był z kaszmiru, ale byłem tak zrobiony, że nawet nie pamiętam, co się z nim stało.

Mama nie wpuściła mnie do domu, bo kilka miesięcy wcześniej podpaliłem jej garderobę. Na mój widok zaryglowała drzwi na wszystkie spusty. Krzyczałem do niej przez otwór na listy, pytałem, czy molestowała mnie w dzieciństwie. Słyszałem, jak wrzeszczy ze środka, żebym się wynosił, więc się wyniosłem, ale najpierw rzuciłem cegłą w okno w salonie. Wiedziałem, że szkło rozprysnie się na fotel, w którym zwykle oglądała telewizję.

Choroba psychiczna ma swoje plusy. Nie żeby mnie to wtedy jakoś specjalnie cieszyło, ale kiedy ludzie myślą, że jesteś wariatem, to możesz robić wszystko, co chcesz, kiedy chcesz, a oni i tak przypiszą to twoim problemom umysłowym. Ale wiedziałem, że nawet w chwilach normalności i jasnego myślenia skandaliczne zachowanie ujdzie mi płazem, bo ludzie się go po mnie spodziewali. W czasie psychicznych odjazdów czułem się wolny tak jak nigdy w okresach klarowności umysłu. Nie było wtedy żadnych granic. Mogłem obrażać ludzi prosto w twarz, zamiast udawać, że ich lubię. Brakuje mi tego.

Ci dziennikarze, którym bardziej zależało na wywlekaniu brudów, zaczęli za mną łązić, zwłaszcza w Londynie, dokąd poleciałem na wymaginowane spotkanie z wytwórcami płytowymi, bo w którymś momencie ubzdurałem sobie, że EMI chce, żebym nagrał duet z Frankiem Sinatrą. Albo mi się to przyśniło, albo Brian kiedyś zasugerował, że powinienem coś takiego zrobić. Zapomniałem, że Sinatra już od pięciu lat nie żyje.

Pojawiłem się w pluszowej siedzibie EMI przy Manchester Square w Londynie. Nerwowy chłopak w recepcji zirytował mnie, pytając, jak się nazywam.

– Jestem Luke, kurwa, Drumm – warknąłem.

Chciał wiedzieć, z kim mam umówione spotkanie. Wyjaśniłem, że zamierzam nagrywać singla z Frankiem Sinatrą. Obrzucił mnie zdezorientowanym spojrzeniem i zaczął dopytywać, kto mnie na to spotkanie umówił, czy mam e-mail z potwierdzeniem, z którym producentem się kontaktowałem, i tak dalej. Gdy wyrzuciłem z siebie całą listę nazwisk ludzi, których znałem w show-biznesie, chłopak wreszcie powiedział, żebym usiadł, a on pójdzie wszystko sprawdzić.

– Nawet kawy mi nie zaproponujesz?! – krzyknąłem w stronę jego oddalających się pleców.

Po chwili zjawiło się dwóch napakowanych ochroniarzy, którzy zażądali, żebym opuścił budynek. Zacząłem protestować i kopnąłem kilka krzesel. Wtedy się na mnie rzucili. W momencie gdy wylatywałem z ich pomocą z budynku, przed wejściem było już kilku paparazzich, którzy zaczęli kłapać na mnie migawkami aparatów jak wściekłe krokodyle w wojskowych kurtkach. To wtedy po raz pierwszy spędziłem noc na policyjnym dołku.

Następnego dnia przyleciał Brian i wyciągnął mnie za kaucją. Przywiózł wystarczająco dużo środków uspokajających, żeby móc bez problemu wsadzić mnie do powrotnego samolotu. Kilka dni później obudziłem się u niego w domu. Kiedyś ten dom należał do mnie. Briana nie było, ale pochował mi buty, żebym nigdzie nie mógł wyjść. A może to ja je zgubiłem... Zaryglował zamki, lecz wybiłem szybę w łazience i piechotą ruszyłem do centrum miasta. Byłem boso i stopy mi krwawiły, bo wdepnąłem w potłuczone szkło. Miałem na sobie to samo ubranie, w którym spałem, ale chociaż zdecydowanie była zima, chłód mi wcale nie przeszkadzał. Ludzie zerkali na mnie i szybko odwracali wzrok, żeby nie ściągać na siebie uwagi wariata, bojąc się napotkać moje spojrzenie. Nic dziwnego.

Na Grafton Street zatrzymałem się, żeby posłuchać ulicznych grajków. Szczególnie zaciekała mnie ładna dziewczyna w szkolnym mundurku. Śpiewała moją piosenkę. Podeszedłem i stanąłem obok. Zaniepokoiła się, ale nie przestała grać, więc zbliżyłem się jeszcze bardziej i zacząłem śpiewać razem z nią. Skończyła pierwszy obrót całości, wróciła do początku i uśmiechnęła się, rozpoznając, kim jestem. Niedługo zebrał się spory tłumek, ludzie zaczęli robić zdjęcia cyfrowymi aparatami. Po kilku kolejnych numerach przestała grać i mi podziękowała, ale futerał od gitary był wypełniony pieniędzmi, więc uznałem, że należy mi się dola. Właściwie to pomyślałem, że wezmę wszystko, bo nie miałem przy sobie portfela. Napełniłem kieszenie drobnymi i zaprosiłem ją do pubu. Kazała mi oddać kasę, więc jej powiedziałem, żeby nie skamlała jak mała suka, co ją rozsierdziło i zaczęła się ciskać. Odwróciłem się, żeby odejść, bo nie uznaję przemocy. Wtedy skoczyła mi na plecy. Gwałtownie strząsnąłem ją na ziemię i wtedy dobiegł mnie trzask jej głowy uderzającej o bruk. Odwróciłem się. Dziewczyna leżała w rosnącej kałuży krwi, ludzie zaczęli krzyczeć, więc uciekłem. Ukryłem się za rogiem, ale przyjechał jakiś wóz na sygnale i przestraszyłem się, że to policja i mnie zamkną.

Poszedłem do pubu po drugiej stronie miasta. To było takie miejsce, którego obsługi nie obchodziło, czy mam buty, o ile tylko miałem kasę, żeby zapłacić za alkohol, więc zadekowałem się tam ze szklanką taniego cydru, ale w pewnej chwili ekran zawieszony w rogu salki telewizora wypełniła moja twarz. Pokazywali ją w wiadomościach. Policja szukała mnie w związku z „incydentem”, do którego doszło wcześniej tego popołudnia na Grafton Street. Wskazałem na telewizor i powiedziałem czterem starym pijakom przy barze, że ktoś próbuje mnie zrobić. Żeby kupić ich milczenie, postawiłem im po kuflu piwa za ostatnie drobniaki, ale przynajmniej jeden z nich był kapusiem, bo po dwudziestu minutach do pubu wtoczyło się dwóch gliniarzy, każdy z nich położył mi dłoń na ramieniu i mnie wyprowadzili. Owca

Nie zrobiłem awantury, opór raczej nie miał sensu. Jeden z policjantów poprosił mnie o autograf dla swojej siostry. Byli uprzejmi. Wiedzieli

dokładnie, co zaszło. Jak sędzę, nie brakowało świadków. Powiedzieli, że wiozą mnie do szpitala, bo mój brat już tam jest. Spytałem, czy on też upadł na głowę, czy może rodzi, zaśmiali się uprzejmie. Nie miałem wątpliwości, co jest grane, ale doceniałem fakt, że pozwalają mi udawać niewiniątko. Wszyscy wiedzieliśmy, że wiozą mnie do czubków.

W szpitalu Świętego Jana od Boga spotkałem się z Brianem, który kazał mi poprosić w recepcji o przyjęcie na oddział. Ponieważ miałem dobry humor i nie chciałem go psuć innym, a przy tym byłem już zmęczony i wiedziałem, że na oddziale dostanę herbatę i grzanki – a był to luksus, którego naprawdę całym sobą pragnąłem – no i dopadły mnie wyrzuty sumienia z powodu tamtej dziewczyny, zgodziłem się.

Moje malutkie dziecko też się zgodziło. Na tamtym etapie rozmawiałem z nim na głos, ale wiedziałem, że poza mną nikt go nie widzi. Udało mi się też ustalić, że jest chłopcem. On wydawał mi polecenia, a ja je wykonywałem. Robiłem, co się dało, żeby był grzeczny, jednak często pakował mnie w kłopoty. Nie umiałem stwierdzić, czy jest moim przyjacielem, czy wrogiem, aniołem, czy demonem. Mieszkał w zagłębieniu mojej szyi, pod jabłkiem Adama. Gnieździł się w tej pustej przestrzeni, ani trochę nie rósł, ale czasami przejmował kontrolę nad moim głosem. Gdy od czasu do czasu trafiałem na oddział do Świętego Jana, robił sobie wolne i wtedy mogłem trochę odpocząć.

Tamta dziewczyna – grajek z ulicy, próbowała mi wytoczyć sprawę o fizyczną napaść. Spędziła tydzień w szpitalu z powodu pęknięcia czaszki. Chociaż wszyscy świadkowie zgodnie twierdzili, że ona napadła na mnie, to zeznali również, że ukradłem jej pieniądze. Brian zawyrokował, że będzie najlepiej, jeśli jej zapłacę, więc przez następnych kilka lat on pokrywał mój czynsz i rachunki za małe mieszkanko oraz dawał kieszonkowe, wystarczające na przeżycie do czasu, aż spłacę to, co byłem winien dziewczynie. Mój chłopczyk jej nienawidził. Chciał, żebym ją wytropił i rozwalil jej czaszkę, tym razem jak należy, ale wtedy poznałem Kate i się w niej zakochałem, a chłopczyk zniknął. Przyszło mi na myśl, że

jeśli będziemy mieć z Kate własne dziecko, to moje dziecko duch zniknie na zawsze.

2000

Gdy pewnej nocy zjawiłem się późno pod domem Seana, ten zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Myślałem, że mam w nim jedyne przyjaciela, ale kiedy szczy z wytwórni zerwały ze mną kontrakt, nazwałem jego żonę dziwką – bo stwierdziła, że jestem za trudny, żeby się ze mną użerać – a potem dodałem jeszcze, że od lat pierdolę się z jego siostrą. Byłem wściekły. Nie powinienem tego mówić. Odciął się ode mnie, jak się odcina pętlę na szyi. Wtedy już kręcił swoje własne lody, menedżerując znacznie poważniejszym artystom ode mnie. Wyglądało na to, że moja kariera zdechła. Ale wtedy Brian stanął na wysokości zadania, oferując, że zostanie moim menedżerem, i przez jakiś czas to było świetne, bo widziałem, że on ode mnie nie ucieknie.

W styczniu 2000 roku dowiedziałem się, że mam pisać autobiografię. Chociaż to nie do końca prawda, jednak książka powstawała, a na okładce miały być moja twarz i nazwisko. Brian jakimś sposobem wynegocjował z wydawnictwem, żeby moją historię spisał ghostwriter. Niespecjalnie mi pasowało, żeby nazywać to autobiografią, ale Brian kazał mi udawać, że wszystko napisałem sam i siedzieć cicho w kwestii innego autora tekstu. A właściwie autorki. Miała na imię Kim, była poważną, wysoką blondynką po pięćdziesiątce. Przez trzy miesiące odwiedzała mnie regularnie w domu, przynosząc najróżniejsze wywiady nagrane na wideo albo wycięte z gazet artykuły o moim dzieciństwie, pierwszych koncertach, podpisaniu kontraktu z wytwórnią płytową i tak dalej. Pytała mnie, czy wszystko, co tam piszą, jest prawdą, albo czy chciałbym coś dodać. Prosiła, żebym opowiadał jej te historie własnymi słowami, tak jak sam ich doświadczyłem. Wypytywała o ludzi, którzy pojawiali się w teledyskach,

byłych przyjaciół i członków zespołu. Czy wciąż mieliśmy ze sobą kontakt? Czy nadal się przyjaźniliśmy? Odpowiedź prawie zawsze brzmiała: nie. Byli tam też ludzie i zdarzenia, których zupełnie nie pamiętałem. Widać udzielałem tych wywiadów w czasie kompletnego odlotu albo innej psychojazdy. Wiłem się z zażenowania, słuchając, jak wygaduję bzdury na tematy, o których nie miałem pojęcia.

Przy okazji kolejnych spotkań zadawała coraz więcej osobistych pytań o moje dzieciństwo, relacje z rodzicami, o to, jak zawaliła się moja kariera, o rozliczne pobyty w zakładach dla umysłowo chorych i tym podobne sprawy.

Wydawało mi się, że w czasie prac nad książką jestem stabilny psychicznie. Wtedy jeszcze mieszkałem w swoim wielkim domu kupionym za gotówkę, a tantiemy wystarczały na pokrycie rachunków, chociaż nie zostawało mi dużo pieniędzy na tak wystawne życie, jakie wiodłem wcześniej. Było wtedy znacznie mniej imprez i dziewczyn, a wieczory spędzałem przy kilku lampkach wina, choć częściej kończyło się na całej butelce. Czasami z hakiem. Czułem jednak, że panuję nad sytuacją. Cała rodzina ze mną rozmawiała, co było dobrym znakiem. Ba! Na wpół regularnie chodziłem nawet do mamy na niedzielne obiady. Prześladowujące mnie duchy i wizje nie znikły, ale w większości przeniosły się do snów i prawie nie nękały mnie na jawie. Odkryłem też, że tabletki nasenne na receptę pomagają całkowicie się ich pozbyć, chociaż miałem świadomość, że bez tych prochów wcale nie mogę spać, co mnie z lekka niepokoiło.

Chodziłem na cotygodniowe spotkania z psychoterapeutą i byłem wystarczająco normalny, żeby mówić mu to, co mi się wydawało, że chce usłyszeć, a mianowicie, że winę za wszystko ponosi moja matka, ale jestem już dorosły i powinienem skończyć z zabieganiem o jej aprobatę. Zresztą naprawdę czułem, że to jest prawda. Zawarliśmy z mamą coś w rodzaju rozejmu. Ponieważ byłem bezrobotną gwiazdą popu, idealnie wpisywałem się w rolę nieudacznika, w której mnie obsadzała, i to nam obojgu pasowało.

Rozmawiałem o tym z Kim – moją ghostwriterką. Nie byłem pewien, jak wiele z tych spraw powinno trafić do książki, ale zapewniła mnie, że będę mógł autoryzować ostateczny tekst. Pisała już „autobiografie” gwiazd sportu i polityków. Miała dobrą reputację i czułem, że mogę bezpiecznie powierzyć jej wszystkie sekrety. Prawie wszystkie. Nie czułem potrzeby, by wspominać o dziecku zjawie.

Stała się dla mnie prawie jak druga terapeutka, jednak ona nie musiała komentować, oceniać mnie ani stawiać diagnoz. Czułem, że zaangażowała się emocjonalnie w moją historię i ogromnie współczuła mi wszystkich trudów i przeżyć, nawet gdy opowiadałem jej o akcjach, które odstawiałem w dzieciństwie pod wpływem fanatycznej wiary, od których włos jeżył się na głowie.

Na początku kwietnia przyniosła mi wstępny szkic pierwszej połowy książki. Brian i wydawca też dostali po egzemplarzu. Przeczytałem całość w jeden weekend. To, co jej opowiedziałem, zmroziło mi krew w żyłach i napełniło mnie odrazą. Z moich „przygód” wynikało, że jestem totalnie popierdolony. Byłem chodzącą zenadą. Żalonym mazgajem bez przyjaciół. A nawet nie opowiedziałem jej najgorszego.

Zadzwoiłem do niej od razu. Przyjechała, usiedliśmy i wspólnymi siłami usunęliśmy albo złagodzyliśmy dużą część tekstu. Kilka rozdziałów wyleciało, a inne dopisaliśmy: o pozytywnym wpływie mojego taty, o budujących spotkaniach z innymi sławami i o wszystkim, co mogło przedstawić mnie w trochę normalniejszym świetle. Poprosiłem Kim, żeby wstrzymała się z dalszym pisaniem. Potrzebowałem czasu i przestrzeni, żeby odpocząć od historii własnego życia. Tego wieczoru wypilem dwie butelki wina i usnąłem, płacząc.

Zadzwoiła Susan, żeby zaprosić mnie na szóste urodziny Daisy. Razem z Willem urządzali jej imprezę na pełnym wypasie. Miało nie zabraknąć nawet dmuchanego zamku do skakania. Później zadzwonił Will i zakazał mi się pokazywać pod wpływem. „Ciekawe – pomyślałem – czy wszyscy mają mnie za pijaka”. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może jestem alkoholikiem. Postanowiłem przestać pić. Oddałem czternaście

butelek wina menelom, których widywałem w alejce za domem. Następnego dnia jeden z nich zapukał do moich drzwi z pytaniem, czy znajdzie się więcej. Châteauneuf-du-Pape już nie miałem, ale oddałem im pół butelki ginu, schowanego na sytuacje awaryjne. Przez dzień albo dwa czułem się dobrze, jak wzór cnót, choć wszystko mnie irytowało i byłem podenerwowany. Ale postanowiłem, że będę dla Daisy dobrym wujkiem.

Słodki był z niej dzieciak. Pomyślałem, że może powinienem spędzać z nią więcej czasu. Lubiłem ją, chociaż zawsze wołała Briana niż mnie. On umiał rozmawiać z dziećmi. Trochę mu tego zazdrościłem.

Zadzwoiłem do Susan, żeby spytać, jakie zabawki i postacie z kreskówek Daisy lubi najbardziej. Od Briana dostała mnóstwo płyt DVD z filmami Disneya, a jej ulubieńcem był Kaczor Donald. Zadałem sobie mnóstwo trudu, żeby wypożyczyć na imprezę kostium Donalda.

Gdy pojawiłem się w ich domu, Daisy podbiegła i przytuliła się do mnie – takiej reakcji oczekiwałem. Przyjemnie było poczuć uścisk małego, niewinnego dzieciaka, a przy tym być trzeźwym i panować nad sobą. Susan poprowadziła mnie korytarzem do wielkiego atrium, usłyszałem pomruk licznych dorosłych głosów. Daisy wyprzedziła mnie, wybiegła do ogrodu i wskoczyła na dmuchany zamek, zderzając się przy tym z mniejszym berbeciem, który rozdarł się w niebogłosy, choć wcale mocno nie dostał. Z domu wypadła zaniepokojona matka i wszyscy zaczęli się gapić... na mnie. Nie miałem pojęcia, że to będzie taka wielka impreza. Wiedziałem, że mają przyjść inne dzieci, ale nie spodziewałem się, że rodzice też będą zaproszeni. Aktorzy, reżyserzy, rugbiści, twarze znane z telewizji, facet z irlandzkiej Rady Sztuki, dziennikarze, artyści, projektanci mody. Poczulem się idiotycznie w kostiumie Kaczora Donalda, więc czym prędzej zdjąłem należącą do niego wielką głowę. Kilka osób parsknęło śmiechem i przywitało się ze mną przyjaźnie.

– Luke! No bez dwóch zdań, idealnie wczułeś się w okazję!

– Gdzie jest Will? – spytałem Susan, która wydała mi się trochę udręczona sytuacją.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała szeptem. – Rano pojechał na spotkanie z jakimiś ludźmi z Nowego Jorku, ale dwie godziny temu miał tu być. Jestem na niego megawkurwiona. Większość gości to jego znajomi. Mogę cię prosić, żebyś zaniósł sałatki na stół? A nawiasem: sto punktów za staranie. Świetnie wyglądasz.

Gdy szedłem do jadalni, dźwigając półmiski, co chwila zatrzymywali mnie jacyś ludzie. Ten chciał pogadać, inny pytał, kiedy wydaję następną płytę, ktoś przypominał, że poznaliśmy się na jakiejś ceremonii albo na koncercie za kulisami albo że w szkole chodziłem do jednej klasy z jego bratem. Zdążyłem się już mocno spocić w ciężkim kostiumie i czułem się strasznie niekomfortowo. Z zazdrością gapilem się na wino, które popijali. Jakiś gość, chyba miał na imię Tony, zauważył to, przyniósł mi kieliszek i napełnił. Wypiłem całość jednym haustem i ruszyłem na poszukiwanie pełnej butelki, ale Brian zatrzymał mnie i wyjął mi kieliszek z ręki.

– Rany boskie, Luke, nie dzisiaj! Zaczekaj przynajmniej, aż dzieci sobie pójdą. Will nie daje znaku życia. Miał być w domu przed południem. Musimy pomóc Susan z lunchem. A! Później chcę z tobą pogadać o książce. Myślę, że będzie świetna!

U jego boku pojawiła się Daisy. Pokazała mnie ręką, a potem podniosła wzrok, zobaczyła moją twarz zamiast głowy Kaczora Donalda i wpadła w histerię. Brian wziął ją na ręce i próbował uspokajać, jednocześnie besztając mnie szeptem:

– Idź, zdejmij ten kostium! Nie widzisz, że ją denerwujesz? Ja ją uspokoję, a ty pomóż Susan nosić jedzenie.

Poszedłem do łazienki na górze, żeby zdjąć pozostałe części kostiumu, ale dzinsy, które miałem pod spodem, nie były za czyste, a ponieważ spociłem się obficie, pod pachami i na plecach miałem na koszulce wielkie mokre plamy. Zdjęty paniką pobiegłem do sypialni Willa w nadziei, że znajdę tam czysty T-shirt. Na łóżku siedziała Susan. Próbowwała dodzwonić się do Willa. Na telefon komórkowy. On zawsze miał najnowsze gadżety. Gdy mnie zobaczyła, odłożyła słuchawkę.

– Nie odbiera – powiedziała i zaczęła szlochać.

– Ojej, przykro mi – bąknąłem, kierując się do drzwi, bo kobiecy płacz był dla mnie nie do zniesienia, i poczułem, że wpadam w jeszcze większą panikę.

– Twój brat jest dupkiem! – wycedziła Susan, ocierając oczy i wygładzając sukienkę. Po chwili dotarło do mnie, że mówi o bracie, który jest jej mężem, o tym, którego nie było na imprezie.

– A dokąd poszedł dziś rano? – spytałem.

– Powiedział, że idzie na spotkanie z jakimiś prawnikami z Nowego Jorku, i obiecał, że to nie zajmie więcej niż godzinę. Wracając, miał odebrać tort. Nie odezwał się słowem. Mam nadzieję, że jest w szpitalu, bo żadnej innej wymówki nie przyjmę do wiadomości. – W gniewie jej amerykański akcent robił się wyraźniejszy.

– Chcesz, żebym pojechał po tort? – Pragnąłem się stamtąd wynieść i już nie wracać.

– Nie trzeba, Brian go przywiózł, ale mógłbyś mi pomóc z innymi rzeczami? Z jedzeniem, podawaniem i sprzątaniami? Na dole jest dwadzieścioro dorosłych i dziewiętnastka dzieciaków, sama nie dam rady.

– No dobra, ale mogę najpierw wziąć prysznic i włożyć czysty T-shirt? – odpowiedziałem niechętnie.

Popatrzyła na mnie i westchnęła głęboko.

– Okej, Luke, o nic nie prosiłam. Wszystko kręci się wokół ciebie, prawda? Czyste ręczniki są na półce za drzwiami. – Machnęła ręką ponad ramieniem, wskazując drzwi do garderoby.

– Ale Susan, przecież przebrałem się w kostium Donalda dla Daisy. Skąd miałem wiedzieć, że zaprosiliście pół...

– Nieważne. – Wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Co za sucz. Chciałem zrobić coś dobrego. Kto wie, może Will faktycznie posuwał jakąś stażystkę na biurku w swoim gabinecie, ale to nie była moja wina.

Wziąłem długi prysznic i obciąłem paznokcie u nóg na ich łóżku. Ogoliłem się maszynką brata i ochlapałem przyjemnie pachnącą wodą

kolońską. Z należącej do Willa części garderoby wybrałem nowiutką parę lewisów, jeszcze ze sklepową metką, i gładki T-shirt Dolce & Gabbana, prawie identyczny jak mój, marki Penneys, który wrzuciłem do ich kosza, tylko ten nowy był czysty.

Gdy zszedłem na dół, z jadalni dobiegł mnie gwar – była tam większość dorosłych. Dzieci biegały po domu jak w amoku. Ruszyłem prosto do kuchni. Dziewczyna, której nie rozpoznałem, wyciągała właśnie korek z butelki.

– Daj, mogę to zrobić – zaoferowałem się z pomocą. – Jestem Luke, brat Willa. – Napełniłem jej kieliszek i znalazłem drugi dla siebie.

– Cześć. Tak, ale miałam zanieść to wino do jadalni – powiedziała. Popatrzyłem na nią badawczo. A może jednak się znaliśmy? Może kiedyś się z nią przespałem? Spojrzała na mnie nieufnie i uciekła z kuchni.

Wszedł Brian, niosąc na wpół pełne miski z sałatką ziemniaczaną. Ukryłem kieliszek na półce za sobą.

– Jezu, Luke, miałeś pomagać! Will zaginął. Zabiję go. Masz, weź płaskie talerze i papierowe talerzyki dla dzieci. Nie wiem, gdzie trzymają miseczki na desery, więc talerze muszą wystarczyć. I zawołaj wszystkie dzieciaki, będziemy wjeżdżać z tortem. Masz ogień, żeby zapalić świece? – Brian był bardzo asertywny. Najwyraźniej lubił być panem tego domu.

Gdy tylko odwrócił się plecami, opróżniłem kieliszek, nalałem sobie kolejny z innej butelki i wyszedłem do ogrodu, żeby zawołać dzieci. Większość z nich popatrzyła na mnie niepewnie, ale dwoje dorosłych nadzorujących zabawę w ogrodzie zagoniło je do środka. Poszedłem za nimi. Brian znalazł mnie w kuchni.

– Prosiłem o talerze, gdzie one są? Masz ten ogień? – Powiedziałem, że mam i sięgnąłem po stos talerzy na kuchennym blacie. – Luke! – wydarł się Brian. – Te są brudne. Nie widzisz, co robisz? Weź tamte! – Wskazał na stos papierowych talerzyków z Pełzakami. Wziąłem je i poszedłem za nim do jadalni.

Panował tam straszny tłok i hałas. Na środku stołu stał już tort, też z Pełzakami. Daisy siedziała na kolanach u swojej matki, gotowa pomyśleć

życzenie i zdmuchnąć świeczki.

– Daj ognia, Luke – powiedział Brian.

Zacząłem oklepywać kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki i przypomniałem sobie, że jest w moich brudnych dżinsach, które zostawiłem na podłodze w łazience na piętrze. Susan zmroziła mnie spojrzeniem, ale zaraz znalazł się jakiś rycerski palacz, który wręczył Brianowi swoje zippo takim gestem, jakby to był co najmniej Święty Graal.

Jakaś hałaśliwa babka krzyknęła podekscytowanym głosem:

– A może Luke zaśpiewa Sto lat? No w końcu jest piosenkarzem! – Ktoś zaklaskał i wtedy poczułem, że przed oczami tańczy mi moje dziecko zjawa. Znowu oblałem się potem.

– Nie – sprzeciwiła się ostro Susan. – Niech dzieci zaśpiewają. Luke jest zmęczony, bo strasznie się napracował. – I posłała mi słodki uśmiech, który jednak nie sięgnął jej oczu.

Gdy dzieci odśpiewały sto lat, a Daisy zdmuchnęła świeczki, wymknąłem się do kuchni i rozbroiłem kolejną butelkę. Potem i tu zaczęli pojawiać się ludzie. Szukali swoich ubrań, dzieci albo toalety. Uśmiechałem się i rozmawiałem z nimi o pierdołach, jak umiałem najlepiej, jednocześnie wlewając w siebie tyle wina, ile się dało.

Później zapadła cisza i do kuchni wszedł Will, a za nim Susan, która dosłownie wypchnęła go do ogrodu. Dobięły nas ich podniesione głosy. Po tej scenie goście szybko się wynieśli. Brian odwracał uwagę Daisy koniem na biegunach, którego jej przyniósł. Nie wiem, czy nie była za duża na taki prezent. Wtedy do mnie dotarło, że sam nic jej nie dałem. Susan wparowała do kuchni jak burza, Will z czerwoną z wściekłości twarzą został na zewnątrz.

– Wszystko w porządku? – spytałem bez sensu.

– Idź już do domu, Luke, i zabierz Kaczora Donalda. – Ominęła mnie, a po chwili na górze trzasnęły drzwi. Chwyciłem butelkę wina i wyszedłem na ulicę. Za mną wytoczył się Brian.

– Jezu, jak on ją traktuje. Palant. – Zobaczył wino, które trzymałem w ręce. – Oddaj kluczyki do wozu, matole.

One też zostały w dzinsach w łazience Susan.

– Obaj jesteście żałośni, wiesz? – zauważył Brian. – Absolutnie ża-ło-śni. – Wyczułem, że jest zadowolony z siebie i mówi to z wyższością. Cieszyło go, że on jeden nie okrył się hańbą. – Daisy nawet nie zauważyła, że tatusia nie ma na urodzinach. To wystarczy za cały opis ich sytuacji – dodał. Ależ był zadufany w sobie. – Odwiozę cię do domu, a samochód odbierzesz rano. Zresztą i tak muszę z tobą pogadać o książce.

Gdy znaleźliśmy się u mnie, kazał mi usiąść.

– Właśnie przeczytałem pierwszą część i jest świetna. Oczywiście musimy wyrzucić fragmenty o mamie, bo wiesz, nie możesz jej tego zrobić, to by nie było fair. Ale wydawca też jest zachwycony. Ty to od dziecka byłeś pierdolnięty, nie wiem, dlaczego znacznie wcześniej nie trafiłeś do psychiatrii. A cała ta historia z religią, pierwszą komunią i stygmatami na Halloween? Wyborna!

– Akurat to wywalam.

– Co?

– No usuwam te fragmenty z książki. Przeredagowaliśmy tekst z Kim. To by było... za mocne. Nie chcę wywlekać tych brudów. Są zbyt osobiste.

– Ale wydawnictwu właśnie na nich zależy, za to ci płacą.

– Mam to gdzieś. Wywalam je.

– Słuchaj, twoja historia jest świetna, to jak z zaburzonego dzieciaka robi się megasławny gwiazdor popu, te wszystkie dragi i odwyki. No czyste złoto, brachu!

– Nie i koniec.

– Czy ty nic nie rozumiesz? Przecież ta historia dobrze się kończy. Jesteś zdrowy i czysty. Całe gówno masz już za sobą.

Przelałem resztkę wina do kieliszka i po raz pierwszy wypowiedziałem te słowa:

– Tak myślisz, Brian? Jestem alkoholikiem. A moja normalność wisi na włosku.

Nie chciał mnie słuchać. Wygłosił przemowę o stu pięćdziesięciu tysiącach funtów zaliczki, które dostałem od brytyjskiego wydawnictwa, i o tym, że jeśli nie spłodzimy autobiografii, to będzie trzeba tę kasę oddać.

– Dostaną swoją książkę – mruknąłem. – Ale bez upiornych szczegółów.

– Nie rozumiesz, palancie, że oni właśnie chcą tych szczegółów?! Przecież nie płacą takiej góry szmalu za niewinne bajeczki o przebrzmiałym gwiazdorzynie, prawda? Sprzedałem im ten pomysł, bo się połaskili na twoje wysoki i upadki. Oni chcą brudu, bo brud jest najlepszy!

– Mówimy o moim życiu.

– Tak? A może wreszcie do ciebie dotrze, że to ja wynegocjowałem tę umowę i też muszę zgarnąć swój procent?

– Brian, naprawdę nie mogę tego zrobić.

– Słuchaj, nie chciałem o tym mówić, ale właśnie dostałem kredyt na podstawie mojego udziału z książki. Błagam cię, Luke, nie spierdol mi tego. To mój pierwszy dom. Ty sobie kupiłeś ten, jak miałeś ile, dwadzieścia lat? Jak nie zarobisz dla nas tych pieniędzy, to nie będę miał domu.

– Przykro mi.

– Będzie trzeba zapłacić Kim za dotychczasową pracę. Wydawcy pewnie zrzucą ten koszt na ciebie.

– Więc jej zapłacę.

Prosił, przekonywał i przymilał się przez następną godzinę, na przemian wychwalając mnie za odwagę w opowiadaniu mojej historii, piejąc, jak bardzo mogłaby pomóc innym, i grożąc, że powie mamie, że nazywałem ją czarownicą. Znów byliśmy dziećmi.

Wyszedł nawet, żeby kupić mi kolejną butelkę wina. Osuszając ją do ostatniej kropli, pozwoliłem mu wygłaszać te tyrady, aż od tego picia całkiem wytrzeźwiałem. Ale zdania nie zmieniłem. Brian utwierdził mnie

tylko w przekonaniu, że książka nie może się ukazać, i to w żadnej formie. W końcu wyszedł.

Następnego ranka dopadły mnie nudności. Chciało mi się rzygać od przepicia, ale też ze wstydu i poczucia winy. Gdy wreszcie wyszedłem z domu, dwa dni później, skierowałem się prosto na mityng Anonimowych Alkoholików w miejscowej parafii.

2016

Do 2016 roku całkiem wydobrzałem. Dwa lata wcześniej zacząłem poważnie podchodzić do odwyku i stopniowo wróciłem do trzeźwości. Przedtem nie udawało mi się wytrzymać w grupie AA dłużej niż miesiąc. Tak naprawdę dotarło to do mnie pewnego dnia, gdy otworzyłem lodówkę i stwierdziłem, że są w niej wszystkie składniki potrzebne do zrobienia normalnego posiłku. Poszedłem wcześniej do supermarketu, a z takich wypraw zwykle przywlekałem do domu siaty przypadkowych produktów, które walały się potem po całej kuchni. Zawsze miałem tendencję do zatrucia pokarmowych, bo zapominałem, że trzeba napełnić lodówkę jedzeniem albo sprawdzać daty ważności na opakowaniach. Zamiast puszki fasoli kupowałem na przykład puszkę pomidorów, ale robiłem się tak głody, że i tak je zjadałem. Tego jednak konkretnego dnia miałem w lodówce świeże mleko, chleb, ziemniaki, kawałek steku i mrożony groszek. A jeszcze bardziej zaskakujące było to, że wiedziałem, jak z tych rzeczy przyrządzić normalną kolację i śniadanie na następny dzień!

Czułem spokój. Nie byłem pobudzony, niespokojny, w euforii ani w depresji. W poprzednich latach też zdarzały mi się dni klarowności umysłu, ale teraz było inaczej. Mówiąc o depresji, ludzie porównują ją do czarnego psa, który wszędzie za nimi chodzi, jednak mnie prześladowała cała menażeria gadów, owadów, wygłodniałych lwów i niedźwiedzi. A teraz zniknęły. Znowu poczułem smak jedzenia. Po raz pierwszy od wielu lat moje kubki smakowe znowu działały.

Jedyną znaczącą zmianą w moim życiu było to, że późnym latem 2014 zmarła moja matka. Ostatni raz widziałem ją cztery lata przed śmiercią. Bała się mnie, lecz chyba dałem jej po temu powody. Ale podejmowałem też

próby naprawienia naszej relacji. Wysyłałem jej kwiaty na urodziny i kupowałem drogie prezenty, na które ledwie było mnie stać, jednak ona w żaden sposób nie odniosła się do tych gestów.

Pogrzeb mamy był zwyczajny. Pojawiło się tylko kilkoro jej starych znajomych z show-biznesu, których dni w światłach estrady też już przeminęły. Rodzeństwo, którego tak się wstydziła, też przyszło w komplecie. Nie rozumiałem tej ich lojalności wobec niej. Brian przyniósł mi garnitur i stał nade mną, pilnując, żebym się ogolił. Ostrzegł, że mam się stawić trzeźwy, żebym nie urządził sceny ani innej żenującej akcji, ale wcale nie miałem takiej potrzeby. Może powinienem był płakać? Czułem jednak wyłącznie ulgę. Co mnie zaskoczyło, Will szlochał przez całą ceremonię. Nie poprosili mnie o udział w przygotowaniach, więc nie musiałem też wygłaszać mowy, chociaż wszyscy trzej bez protestów nieśliśmy trumnę wraz z grabarzami. Tego dnia na moich barkach spoczywał tylko taki ciężar. Miałem irracjonalne poczucie spokoju, bez upojenia ani sztucznego haju.

Była żona Willa, Susan, przyszła z Daisy, ich córką, która musiała mieć wtedy dwadzieścia lat. Wyglądało na to, że nie rozmawia z żadnym z rodziców. Siedziała w ostatniej ławce, żuła gumę i bez przerwy gapiała się w telefon. Jak zwykle Brian był jedyną osobą, której okazała odrobinę ciepła. W nosie i łukach brwiowych miała kolczyki. Oczy i usta pomalowała sobie na czarno. Zwykle unikała mnie na rodzinnych spotkaniach, jednak tym razem, w czasie popołudniowego poczęstunku po pogrzebie, podeszła do mnie i spytała, czy mam kokainę. Rzuciłem kokę po przedawkowaniu i trzymałem się od niej z daleka nawet w chwilach chaosu, który mnie czasem dopadał. Nie chciała słyszeć o odmowie. Zażądała numeru telefonu do mojego dilera. Powiedziałem jej cicho, żeby spierdalała, na co splunęła mi pod nogi i odeszła.

W następnych tygodniach po śmierci matki czułem się coraz lepiej. Szalone jazdy nie zniknęły z dnia na dzień, ale tego konkretnego jesienno-wieczoru, gdy sam przygotowałem sobie kolację, zjadłem ją i popiłem szklanką wody, dotarło do mnie, że coś w mojej psychice

zmieniło się na dobre. Posprzątałem mieszkanie, zaniósłem rzeczy do pralni, ustawiłem książki na półkach, powkładałem płyty CD i winyle do pudełek i obwolot. Zmieniłem pościel na łóżku, które dotąd było barłogiem. Wziąłem długi, gorący prysznic, splukałem ze skóry tygodniową warstwę brudu, umyłem włosy i się ogoliłem. Wyszedłem kupić gazetę, a wszystko, co w niej było napisane, stanowiło dla mnie prawdziwą nowość, bo od tak dawna żyłem zamknięty we własnej bańce, że nie miałem pojęcia o otaczającym mnie świecie, jeśli wykraczał poza granice moich ramion.

W następnych dniach zapisałem się do miejscowej biblioteki, zacząłem wypożyczać książki, o których mówili w radiu, i chodziłem do knajpek na dobrą kawę. Rozkoszowałem się nowo odnalezionym poczuciem normalności, choć nie opuszczał mnie niepokój, że i teraz, jak za każdym poprzednim razem, okaże się ono tymczasowe.

Przez ostatnie dziesięć lat wszystkie historie o mojej chorobie, pojebanym dzieciństwie i wariackich epizodach regularnie trafiały do brytyjskich brukowców. Nie wiem, którzy z moich przyjaciół, sąsiadów czy byłych kolegów z klasy je sprzedawali, ale moje życie przypominające jedną wielką katastrofę było powszechnym tematem rozmów. Stanowiłem albo dyżurny przedmiot żartów, albo flagowy przykład zepsucia wśród medialnych piewców cnót. Większość życia upłynęła mi w strachu.

W Boże Narodzenie 2014 roku stwierdziłem, że dziecko zjawa nie towarzyszy mi już od jedenastu tygodni. W tamtym czasie wróciłem do spotkań z jedynym psychiatrą, któremu mogłem powierzyć sekret o moim nieodłącznym towarzysz. Dobrał mi odpowiednie leki. Przepisał niską dawkę jakichś psychotropów, które postanowiłem przyjmować z prawdziwie religijną gorliwością. Nie tykałem alkoholu, rzuciłem palenie i wszystkie inne dragi, które wcześniej brałem, nawet zioło, choć paliłem je tak często, że właściwie przestałem je uważać za narkotyki. Wróciłem na spotkania Anonimowych Alkoholików. Przez pierwsze cztery tygodnie siadałem z tyłu i nie odzywałem się słowem, aż pewnego dnia jedna starsza kobieta poprosiła, żebym się przedstawił. Chociaż to nie była moja

pierwsza grupa AA, tym razem wyglądało to inaczej – teraz czułem się z nimi jak z rodziną. Pewnie powinienem był też pójść na mityng Anonimowych Narkomanów, ale mimo że wcześniej ćpałem na potęgę, narkotyki nigdy nie były mi aż tak potrzebne jak alkohol.

Zainteresowały mnie inne zioła. Zacząłem ubierać się ciepło i kopać w ogródku na tyłach mieszkania, które wynajmowałem. Wypielilem grządki i zasadziłem krzewy sezonowe. Poszedłem do pobliskiego parku, żeby zasięgnąć fachowej rady u ogrodników. Jeden z nich mnie rozpoznał. W jego oczach dostrzegłem nieufność, a nawet strach. Moje przygody z policją i odsiadki w domach wariatów obszernie opisywano w prasie i mediach społecznościowych. Były to incydenty mocno wstydliwie, ale teraz stałem się innym, lepszym człowiekiem. Jeden ze starszych ogrodników wziął mnie pod swoje skrzydła, a ja, w zamian za porady, grabiłem z nim liście, przekopywałem rabaty i pomagałem mu w innych, mozolnych pracach, gdy jego młodszy koleś szli na obiad.

Odnowił nam się kontakt z braćmi. Powiedziałem im, że mam się dobrze, przynajmniej na razie. Zaproponowałem, że pomogę w pracach ogrodowych. Susan była w tamtym czasie zabiegana, więc jej ogrodem również się zająłem. Wspierałem ją też w kampanii na rzecz równości małżeńskiej.

Pod koniec lata 2015 roku poprosiłem Briana, żeby mi zwrócił kontrolę nad moimi finansami. Zareagował bardzo niechętnie, ale Will ujął się za mną, sugerując, że jeśli Brian będzie stawiał opór, mogę go pozwać. Wtedy Brian ustąpił, a ja szybko odkryłem, że inkasował z moich tantiem pokaźną gażę menedżerską, sięgającą pięćdziesięciu procent wpływów. Poza tym oczywiście to on posiadał teraz wielki dom kupiony przeze mnie w wieku dwudziestu lat i sprzedany mu jakieś dziesięć lat wcześniej z powodu, który wyleciał mi z pamięci. Gdy się z nim skonfrontowałem, ani myślał przeproszać.

– Jestem twoim menedżerem, agentem, księgowym i w ogóle opiekuję się całą twoją karierą. To ja rzucałem wszystko, żeby cię ratować, ilekroć cię zamykali, przedawkowałeś albo groziłeś, że skoczysz z okna. A kto wie,

czy to się nie powtórzy! Każdy grosz zarobiłem uczciwie, należy mi się. Dom również. Bezmyślnie przepuszczałeś pieniądze, a ja położyłem kres temu marnotrawstwu.

– Napychając własne kieszenie?

– Ratowałem cię. Niejednokrotnie.

Faktycznie, miał trochę racji. Przychodził mi z pomocą wiele razy, ale teraz do mnie dotarło, że robił to, by móc usprawiedliwić fakt, że bierze ode mnie kasę. Nie z miłości ani potrzeby otoczenia mnie opieką. To była jego praca.

Wszyscy trzej byliśmy teraz samotni. Małżeństwo Willa i Susan dawno się rozpadło, choć on wciąż był przystojny, odnosił sukcesy i mógł podobać się kobietom. Brian miał jakieś dziewczyny, które jednak pojawiały się i znikwały, i żaden z tych związków nie trwał dłużej niż kilka miesięcy. Spróbowałem ponownie nawiązać kontakt z Kate. Znalazłem ją na Facebooku. Była szczęśliwą mężatką z dwojgiem dzieci i mieszkała we Włoszech, pod Rzymem. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego ode mnie odeszła i czemu nie mogliśmy sobie wzajemnie pomóc po jej poronieniu. Odpowiedziała, że nie chce wracać do przeszłości, i zdawkowo życzyła mi wszystkiego dobrego. Myśl o nowej relacji napawała mnie lękiem. Nie widziałem się w roli głowy rodziny. Zresztą, kto ryzykowałby związek z gnieźdzącym się w wynajętym mieszkaniu byłym gwiazdorem popu bez pracy i perspektyw, którego życiorys naznaczony był psychotycznymi epizodami i nadużywaniem narkotyków? W dodatku bez gwarancji, że znowu nie stoczę się w otchłań choroby psychicznej.

Przychody z tantiem nie były złe, zwłaszcza że teraz, gdy pozbyłem się Briana, wszystko wpływało na moje konto. Moje burzliwe i niestety powszechnie znane dzieje sprawiały, że żaden bank nie chciał mi dać kredytu na dom, zwłaszcza po recesji, choć nie musiałem pracować, żeby odpędzić widmo głodu i biedy. Potrzebowałem jednak jakiegoś zajęcia, którym mógłbym wypełnić dni. Chciałem być przydatny. Spytałem Willa, czy znalazłoby się coś dla mnie w jego firmie. Nie marzyła mi się

oczywiście posada chłopca na posyłki, ale pomyślałem, że mogę się wyszkolić na kamerzystę albo dźwiękowca.

– Jezu, Luke, ty chyba wcale nie masz pojęcia o tym, co robi producent, prawda? Zbieram ekipę tylko wtedy, gdy jej potrzebuję, do zdjęć. Pracują na kontrakcie. Nie przyjmuję ich na etat ani nie szkolę. To wszystko są zawodowcy, a jeśli już zatrudniam stażystów, to raczej przed dwudziestką niż po czterdziestce. Tylko byś sobie wstydu narobił.

Chociaż od lat nie grałem, kupiłem sobie gitarę akustyczną. Pobrzdąkałem na niej kilka dni, ale dotarło do mnie, że muzyka to już nie jest moja bajka. Cała ta kariera to był jeden wielki, katastrofalny przypadek. Zastanawiałem się, czy mógłbym siedzieć za biurkiem i sprzedawać ubezpieczenia, a może pracować w bibliotece? Rozważyłem powrót na uczelnię i dokończenie studiów inżynierskich, ale odkąd je rzuciłem, minęło ponad dwadzieścia lat. Musiałbym zaczynać od początku, wraz z bandą nastolatków. Co może zrobić ze swoim życiem facet w średnim wieku, który ma w CV tylko jeden wpis: były gwiazdor popu?

Rozniosło się, że wytrzeźwiałem i przestała mi odbijać szajba. Zaoferowano mi kilka fuch. Czy mam chęć wystąpić w Big Brotherze dla Celebrytów? A może w reality show kręconym w dżungli? Oferowali taką kasę, że aż mi oczy wyszły z orbit, ale zależało mi na pracy, która ma jakieś znaczenie, a nie na błyskawicznym powrocie na świecznik w jego najtandetniejszym wydaniu. Zdaniem Briana tylko wariat mógł odrzucić takie propozycje. Will stwierdził oschłym tonem, że narobiłem już rodzinie wystarczająco dużo wstydu i nie muszę tego jeszcze powtarzać w telewizji.

Pewnego dnia wpadłem na gościa, którego poznałem znacznie wcześniej na spotkaniach AA. Był wtedy dziennikarzem muzycznym. Swego czasu napisał artykuł, w którym określił moją twórczość mianem infantylnego gówna, ale później, na jakiejś premierze filmowej, nawaliliśmy się razem jak bombowce, a rano znalazłem go na podłodze w mojej kuchni. Leżał w kałuży wymiotów. Zupełnie mi to wypadło z głowy. Przypomniał mi o tym podczas przerwy na herbatę. Wybuchnąłem śmiechem i powiedziałem, że jednak mógł sobie darować.

Miał na imię Kevin i był teraz redaktorem jakiejś gazety internetowej. Gdy spytał, co robię, ze wstydem przyznałem, że większość czasu upływa mi na oglądaniu filmów w kinie albo z płyt DVD. Spytał, czy chciałbym pisać recenzje tych filmów. O pieniądzach, które oferował, nie warto wspominać, nie byłem też pewien, czy umiem pisać, ale zdecydowanie nie brakowało mi refleksji na temat filmów.

– Koniecznie musisz spróbować! – stwierdził. – Przyślij mi teksty o najlepszym i najgorszym filmie, jakie widziałeś, i zobaczymy, czy się nadajesz. Najlepiej, jeśli będą osobiste i subiektywne, ale dobrze by było, gdybyś wcześniej dowiedział się trochę o historii kina i przemysłu filmowego.

Zapowiadało się ciekawie! To znaczy nie byłem pewien, czy chcę pisać recenzje, ale zdecydowanie interesowała mnie gra aktorska i proces produkcji filmowej. Obejrzałem mnóstwo filmów dokumentalnych o historii kina. Wypożyczyłem z biblioteki tonę fachowej literatury. Potem poszedłem do Pulse College i zapisałem się na kurs produkcji filmowej dla początkujących. Jeden z przedmiotów prowadziła niejaka Mary Cullen. Wydała mi się znajoma. Po pierwszych zajęciach wdaliśmy się w rozmowę. Przypomniała mi, że kiedyś pracowała w firmie Willa jako menedżerka do spraw rozwoju. Teraz miała własną wytwórnię. Chociaż nie mówiła zbyt dużo o moim bracie, odniosłem dość jednoznaczne wrażenie, że go nie lubi. Zaprosiłem ją na kawę, żeby wypytać o kadrowanie i pracę ze światłem na planie. Podała mi listę tytułów do obejrzenia, które miały być przykładami udanej roboty filmowej.

W ciągu kilku następnych miesięcy zaprzyjaźniliśmy się z Mary. Była ładna, a przy tym dość bezpośrednia. To mi się w niej podobało. Spytała o moje zdrowie psychiczne i od jak dawna jestem na prostej. Zauważyła, dość uszczypliwie, że rodzina była dla mnie wielkim wsparciem. Wyjaśniłem, że spaliłem za sobą mosty jeśli chodzi o moich bliskich i nie mogę ich wciąż prosić o pomoc. Opowiedziała mi, jak po 11 września Will z Brianem pojechali do Nowego Jorku, żeby sprowadzić mnie do domu. Ledwo pamiętałem tamten okres, ale zawstydziłem się, słysząc tę historię

od niej, i to ze szczegółami. Jak przez mgłę przypominałem sobie relację telewizyjną z upadku dwóch wież, którą oglądałem wiele razy na telewizorze wystawionym w sklepowej witrynie w Nowym Jorku. Tego, że Brian i Will przyjechali tam po mnie, ani powrotu do Irlandii nie pamiętałem wcale.

Straciłem wiele lat życia. Moja przeszłość była jak puzzle, w których brakuje wielu elementów. Nie chciałem ich szukać z obawy, że mogą kryć zapomniane okropności. Gdy powiedziałem o tym Mary, zmartwiła się. Próbując poprawić mi samopoczucie, wyznała, że też ma swoje demony. Oboje byliśmy członkami AA, ale spotykaliśmy się w innych grupach. Ona była trzeźwa od czterech lat. Zaczęliśmy razem chodzić do kina, ale nie było w tym nic z romantycznych randek. Anonimowi Alkoholicy nie mają żelaznych reguł dotyczących związków czy umawiania się z innymi alkoholikami, ale większość z nas łączyła przeszłość pełna nieudanych, destruktywnych relacji. Seksu też niespecjalnie mi brakowało. Gdy byłem gwiazdą, przespałem się z setkami kobiet, a wszystko, co przychodzi w nadmiarze, może się znudzić. Serio. Gdy powiedziałem o tym Kevinowi, wybuchnął śmiechem. Ale to prawda. Cieszyło mnie życie w celibacie, studiowanie i nauka przynosiły mi radość, byłem szczęśliwy, że w Mary i Kevinie mam dwoje dobrych, wspierających przyjaciół.

Pewnego dnia wpadłem przypadkiem na Willa. Był na spacerze ze starą psiną należącą do Daisy. Wspominałem, że przyjaźnię się z jego dawną asystentką Mary.

– Z tą suką? – Skrzywił się. – Konkuruje ze mną o źródła finansowania. To ja dałem jej pierwszą robotę w branży, a teraz ona robi, co może, żeby mnie wydymać.

– Daj spokój, Will. W Dublinie jest co najmniej pięć innych firm, które robią wiele projektów naraz tak jak twoja. Nigdy nie słyszałem, żebyś narzekał na pozostałe.

– Bo tamci ludzie to moi koledzy. Wszyscy kiedyś współpracowaliśmy przy projektach. Pomagaliśmy sobie. Zawdzięczamy sobie wzajemnie obecną pozycję.

– Serio? No to zupełnie tak jak Mary. Najpierw pracowała u ciebie, potem poszła do Eda i Rebeki, a teraz robi na swoim. Nie jesteś dumny, że twoja protegowana dobrze sobie radzi?

– Mary to chodzący problem. Szybko się o tym przekonasz.

– Póki co przyjaźnimy się. Jest trzeźwa. – Wzruszył ramionami. – Zrobiła ci coś? Skąd w tobie ta niechęć?

– Powinna nadal robić kawę i zamawiać kwiaty dla żony swojego szefa.

– Dlatego że jest kobietą?

– Weź się już odpierdol, Luke. I nie wyjeżdżaj mi z gender głównem. Wszyscy wciąż tylko o tym! Feminizm jest w porządku jak babom pasuje, ale gdy trzeba skosić trawnik, wystawić kontener ze śmieciami, kupić bukiet albo je zabrać do pierdolonego Paryża, oczekują, że zrobi to facet.

Miałem świadomość, że historia moich relacji z kobietami nie była powodem do dumy. Prawdopodobnie niejedną babkę źle potraktowałem, ale nigdy nie twierdziłem, że jestem od nich lepszy ani że kobiety są od nas mniej ważne. Zakochałem się tylko jeden jedyny raz, w Kate, która sprawiła, że stałem się lepszym człowiekiem. Ale może ten związek i tak by się nie udał? Poronienie go zabiło. Kate nie chciała pomocy psychologa i odmawiała wszelkich rozmów na ten temat. Nie wiem, jak mogła ot tak zgasić miłość jak światło, bo że mnie kochała, nie miałem najmniejszych wątpliwości. Ja też ją z całą pewnością kochałem, ale co mi to dało? Gdy tylko ją straciłem, znów pochłonęło mnie moje osobiste piekło. Czy warto kogoś kochać, skoro nie można go zatrzymać?

Dla Willa kobiety były albo obiektami seksualnymi, albo zawaładrogami. Chociaż czasami zdarzało mu się wydawać razem z Susan wspólny obiad bożonarodzeniowy, to nigdy nie mówił o niej z uczuciem, przeważnie krytykował sposób, w jaki wychowała Daisy, i wypominał, że nie kontrolowała jej wagi. Napomykałem wówczas, że on też jest rodzicem Daisy, ale wtedy się wściekał i musiałem odpuszczać. Dawniej córka przynosiła mu dumę i radość, ale teraz prowadziła bezcelowe życie, kilka razy zmieniała kierunek studiów, wyszła z szafy, potem znów do niej weszła, dryfowała od jednej pracy do następnej i było jasne – przynajmniej

dla mnie – że regularnie zażywa narkotyki. Swój rozpozna swego. A potem, w 2015 roku, nagle się odnalazła i zamieszkała u Briana. Zajął się rozkręcaniem jej kariery medialnej. Will mocno się z nim pożył z tego powodu. Chciał, żebym poszedł do Daisy i jej wytłumaczył – na własnym przykładzie – że kariera w mediach to kiepski pomysł. Nie chciałem się w to mieszać. Ale gnębiło mnie, że Brian i Will ze sobą nie rozmawiają. Teraz, gdy wreszcie odnalazłem normalność, pragnąłem też odzyskać rodzinę. Ciekawiło mnie, jak bracia pamiętają nasze dzieciństwo. I czy tak samo wyraźnie jak ja widzieli, że nasza matka źle mnie traktuje? Nigdy nie wspominałem im o wątpliwościach co do tego, czy tata naprawdę był moim ojcem. Chciałem rodzinnego zawieszenia broni, ale ich wojny o Daisy zawsze spychały mnie na dalszy plan.

Postanowiłem żyć własnym życiem. Na przekór wszelkim zamierzeniom, żeby unikać publicznych występów, coraz bardziej ciągnęło mnie do aktorstwa. W pewien weekend Will zupełnie nieoczekiwanie zachlał na potęgę w jakimś hotelu w Wexford. Zadzwoił do mnie z płaczem. Nigdy wcześniej nie prosił mnie o pomoc, ale pojechałem tam, pozbierałem go do kupy, przywiozłem do domu i powiedziałem, że może się u mnie zatrzymać. Myślałem, że może teraz uda mi się wykorzystać jego wdzięczność. W końcu przecież ocaliłem jego karierę od potencjalnie zabójczej wpadki. Spytałem, czy może mi dać małą rolę w serialu telewizyjnym, który mieli kręcić, ale mnie wyśmiał. Wkurwiło mnie to. To była tylko drugoplanowa rola ojca głównej bohaterki. Z łatwością bym sobie z nią poradził.

Zapisałem się na kurs aktorski dla dorosłych. Nie informowałem o tym nikogo ze znajomych ani rodziny. Kilkoro studentów wiedziało, kim jestem, i znało moją przeszłość, ale większość młodzieży nawet o mnie nie słyszała, więc miałem poczucie, że to prawdziwie nowy początek. Obawa, że się zblażnię jako najstarszy w grupie, minęła, gdy zaczęły się zabawy aktorskie i improwizacje. W pierwszym tygodniu wcieliłem się w rolę małej dziewczynki ze skakanką i kierownika sklepu spożywczego, który załatwia skargę zirytowanej klientki. Wszyscy dość szybko zżyliśmy się ze

sobą, bo na początku dawali nam dużo zabaw na budowanie wzajemnego zaufania. Nigdy tak naprawdę nie brakowało mi zaufania do ludzi. Być może jednym z wielu moich problemów był jego nadmiar.

Gdy zaczęliśmy pracować z tekstami Ibsena, Carr, Millera, Friela i Czechowa, stwierdziłem, że wejście w postać przychodzi mi z taką łatwością, jakbym wkładał parę wygodnych, dobrze rozchodzonych butów. Kwestie napisane przez gigantów teatru po wielokroć sprawdzono w boju i wypowiedanie ich stanowiło przyjemność. To doświadczenie było diametralnie różne od śpiewania piosenek na stadionie pełnym nastolatek wrzeszczących moje imię. Nie do wiary, że i jedno, i drugie nazywa się występowaniem, bo są to dwie zupełnie różne bestie. Moje aktorstwo polegało na uważnym słuchaniu pozostałych postaci, bacznym obserwowaniu znaków i sygnałów, odnajdowaniu w tekście nowych znaczeń i zaskakiwaniu siebie samego i małej, najwyżej kilkunastoosobowej publiczności składającej się z pozostałych studentów i wykładowców.

Pewnego wieczoru poszliśmy z Kevinem i Mary na kolację i powiedziałem im o kursie. Kevin się zaniepokoił, że grając w teatrze, znowu przyciągnę uwagę mediów, a to może być niebezpieczne. Mary stwierdziła, że granie byłoby dla mnie formą terapii. Miałem już wtedy na koncie ponad dwa lata trzeźwości. Byłem stabilny psychicznie. Kilka tygodni później Mary przysłała mi scenariusz filmu Kobiety z gwiazd z prośbą, żebym odesłał jej filmik z sobą we fragmencie roli doktora. Scenariusz napisała kobieta, pół Francuzka, pół Algierka. Był naprawdę bardzo dobry. Opowiadał historię kobiety w średnim wieku, którą mąż, apodyktyczny potwór, przez dwadzieścia lat trzymał w zamknięciu. Akcja toczyła się po jego aresztowaniu, gdy bohaterka odzyskuje wolność, i przedstawiała jej losy w nowym, nieznanym świecie oraz poszukiwanie dzieci, które urodziła w niewoli. Miałem się starać o rolę jej psychiatry.

– Mary, naprawdę?

– Wiesz, jeśli ktoś się zna na psychiatrach, to chyba właśnie ty – odparła. Według niej, jeżeli zależało mi na zawodowym aktorstwie, to ta rola mogła

być dla mnie dobra na początek. Powiedziała, że prześle moje nagranie reżyserowi castingu. Wysłałem jej filmik e-mailem, w nadziei, że mnie obsadzą. Następnego ranka Mary odezwała się z wiadomością, że dwaj reżyserzy, castingu i główny, chcą się ze mną spotkać. Powiało optymizmem. Wszedłem do pustego biura z kamerą i światłami. Kręciło się tam mnóstwo młodych ludzi z notesami. Ian Foster, angielski reżyser w starszym wieku, uścisnął mi rękę i zapytał o ulubione kino. Chciał też wiedzieć, gdzie się uczyłem fachu i tym podobne. Dopiero gdy nas sobie przedstawiono, zorientowałem się, że to on reżyserował moje dwa ulubione filmy z ostatnich lat. Wdaliśmy się w pełną emocji rozmowę o wątkach i psychologii postaci. Przerwał nam dopiero Niamh, reżyser castingu. Okazało się, że to są zdjęcia próbne. Ian był staromodnym reżyserem. Większość jego kolegów po fachu zadowalała się filmikami nagrywanymi samodzielnie przez aktorów, ale Ian chciał osobiście poznać ludzi, z którymi miał pracować.

Poczułem ucisk za oczami. Skoczyło mi ciśnienie. Skóra pokryła się warstewką potu. Głową i sercem znalazłem się z powrotem w tamtym studenckim pubie, gdzie śpiewałem swój pierwszy koncert.

Poprosili, żebym przeczytał fragmenty kilku różnych ról. Ian opisał mi te postacie w kilku słowach. Patrząc mu w oczy, słuchałem z pełną uwagą, przerażony, że moje dziecko zaraz wróci i zacznie mi szeptać do ucha coś bardzo złego, i sączyć swój jad. Stałem przed kamerą i dałem z siebie wszystko, choć może trochę za bardzo podnosiłem głos. Wszedłem przekonany, że zawałiłem to przesłuchanie. Poczułem pustkę pod jabłkiem Adama, ale na szczęście nic stamtąd nie wylazło.

Tego wieczoru na spotkaniu AA opowiedziałem grupie o castingu. Szczegóły związane z dzieckiem zachowałem dla siebie, wyjawilem po prostu, że totalnie dałem ciała. Zapewnili mnie, że te uczucia, pot i nerwy były całkowicie normalne.

– Każdy się tak czuje na rozmowie o pracę – stwierdziła Margaret, a zgromadzeni pokiwali twierdząco głowami. – Po prostu wyrzuć to z siebie. Nie masz nad tym kontroli. Pamiętaj: zaakceptuj to, czego nie

możesz zmienić. Nie da się zapanować nad nerwami. Ważne, że po wszystkim nie uległeś pokusie i się nie napiłeś ani nie wziąłeś nic innego. To naprawdę świetnie, Luke.

Po mityngu zadzwoniła do mnie Mary. Powiedziała, że chce do mnie wpaść. Gdy się zjawiała, nie była w stanie ukryć podniecenia.

– Dostałeś ją!

– Serio? Byłem przekonany, że z nerwów położyłem sprawę.

– Nie, Luke! Masz dużą rolę! Nie główną oczywiście, ale grasz męża!

– Co? Niemożliwe!

– Tak! To znacznie większa rola! Pojawiasz się we wszystkich retrospekcjach i współczesnych scenach w więzieniu. – Wyciągnęła z torebki butelkę wody mineralnej z dzikim bzem. – Bez bąbelków się nie obejdzie! Szampan to to nie jest, ale też z gazem. Nawywijałeś swoje, więc będziesz musiał przejść badania, ale to nie problem, przecież od prawie trzech lat jesteś wzorem zdrowia. Luke! Będziemy razem kręcić film!

– Czekaj, jak to? Nie, Boże, sam nie wiem. Ja tylko chciałem zagrać tamten epizod. Sławy mam już dosyć, jest okropna. Co jeśli cała ta kołomyja zacznie się na nowo? Co jeśli ono wróci?

– Co? Kto taki? Luke, przecież teraz jesteś zupełnie innym człowiekiem, poradzisz sobie. A ja to będę produkować. Razem damy radę.

Ujęła moją twarz w dłonie i pocałowała mnie. A ja odwzajemniłem ten pocałunek. Po kilku minutach zdzieraliśmy z siebie ubrania. Zaprowadziłem ją do swojej spartańskiej sypialni i delikatnie położyłem na łóżku.

– Jesteś tego pewna? – zapytałem.

– A ty? – odpowiedziała.

Zachichotaliśmy jak nastolatki. Przyciągnąłem ją do siebie, przytuliłem mocno i tonąc w zapachu jej włosów, zacząłem całować szyję i kark.

– Jak widać, jesteśmy pewni – powiedziałem, gdy się do mnie odwróciła. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie, jakbyśmy dopiero teraz zobaczyli się po raz pierwszy. Wtedy zrozumiałem, że ją kocham. Nigdy nie pojmem,

dlaczego dostrzegłem to tak późno. – Mary, ale pamiętaj, że całe moje życie to wariacka jazda. W każdej chwili może mi znowu odbić, a wtedy stanę się dla ciebie cholernym ciężarem. Proszę, bądź ostrożna. Nie daj się skrzywdzić.

Podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

– Nie jestem lekiem na całe zło, Luke. Oboje to wiemy. Ale będę przy tobie, myślę, że już zawsze. Po prostu żyjmy dzień po dniu, okej?

– Okej. – Nigdy wcześniej nie ogarnęły mnie taka euforia ani takie przerażenie. I nigdy, przenigdy nie chciałem jej stracić.

Dwa dni po pogrzebie zadzwonili do mnie z krematorium z informacją, że prochy są gotowe do odbioru. Musieliśmy tam pojechać i wybrać urnę.

Przez chwilę ogarnęła mnie panika, że odbierając jego prochy, sprawię, że on sam wróci i oskarży mnie o morderstwo. Pchany poczuciem winy wybrałem droższą urnę z oferty zakładu pogrzebowego, metalizowaną wersję wazy z okresu dynastii Ming. Nie odważyłem się otworzyć wieka.

Pokłóciliśmy się z bratem o to, co zrobić z prochami. Urna stała przez tydzień u mnie na kominku tylko po to, żeby goście mogli ją zobaczyć i złożyć kondolencje, ale sam nie chciałem jej mieć w zasięgu wzroku. Nie rozegrała się u nas scena jak ta z duchem Banka w Makbecie, jednak urna i tak działała mi na nerwy. Przeniosłem ją do barku i zasłoniłem butelkami. Potem zadzwoniłem do brata i poprosiłem, żeby ją zabrał. Odmówił. „Może wywal ją do kosza?” – zaproponował, ale nie wiem, czy mówił serio. Nie umiałem jej po prostu wyrzucić. Bo chyba najpierw trzeba rozsypać prochy?

Spotkaliśmy się, żeby uzgodnić, gdzie je rozsypujemy. Próbowaliśmy sobie przypomnieć jakieś miejsce, które nasz brat szczególnie lubił, ale okazało się, że aż tak dobrze go nie znaliśmy. Ta rozmowa uświadomiła mi też, że z żyjącym bratem znamy się równie słabo. Wyjechaliśmy za miasto. Droga zaprowadziła nas do malowniczego punktu niedaleko Glendalough, dawnej osady klasztornej, gdzie wszyscy bywaliśmy w dzieciństwie i później też. Tam rozsypaliśmy prochy. Jeśli jakieś miejsce było odpowiednie, to właśnie to.

Noc upłynęła nam na rozmowach o wspólnym dzieciństwie, rodzicach i nieobecny bracie. Obyło się bez łez.

Rozmawialiśmy też o Daisy i o tym, co możemy zrobić, żeby jej pomóc. Doszliśmy do porozumienia, że będziemy próbować. Doszliśmy do porozumienia.

Brian

1978

Kiedy mama pracowała, gotowaniem w naszym domu przeważnie zajmował się tata. Gdy wracaliśmy ze szkoły – przy czym Will szedł jak najdalej od nas, udając, że nie zna mnie ani Luke’a – w domu czekała na nas ciocia Peggy z garnkiem zupy albo, jeśli Paul czuł się dobrze, szliśmy do cioci Judy, ale tata zawsze przygotowywał kolację na punkt szóstą. Niektóre chłopaki z mojej klasy uważały, że to jest śmieszne, i nazywały go pipą. Nie do końca wiedziałem, co to takiego ta „pipa”, ale miałem świadomość, że to raczej nie pochwała. Jeśli mama akurat nie była w pracy, to ona robiła dla nas obiad, a sama jadła później, z tatą, gdy wracał do domu.

Myślę, że gotowanie sprawiało tacie przyjemność. Ale na sprawiedliwość przy naszym stole nie można było liczyć i nie zmieniało się to niezależnie od moich protestów i narzekań.

Przede wszystkim, Luke upierał się, że przed kolacją mamy zmawiać modlitwę, żeby podziękować Bogu za posiłek. Więcej sensu miałyby dziękowanie mamie albo tacie, ale nie, i tak musieliśmy czekać, aż Luke skończy swoje sążniste modły, zanim mogliśmy zacząć jeść. Tata mu na to pozwalał. Mama nie.

Kiedy gotowała mama, to Will zawsze dostawał większe porcje ode mnie, a Luke’owi zawsze nakładała najmniej. Cieszę się, że nie byłem Lukiem, ale wydaje mi się, że on nie zwracał na to uwagi i mu to nie przeszkadzało. Mama mówiła, że Will jest większy i ma większe potrzeby. Nie przewyższał mnie nawet o centymetr. Za to Luke, owszem, był ode mnie niższy o pięć centymetrów. Z tymi porcjami było w porządku przy brokułach i kalafiorze, ale gdy dostawał więcej lodów, to płakałem

i protestowałem, a wtedy mama groziła, że zabierze mi talerz i zostanie z niczym.

Tata dawał nam tyle jedzenia, ile mu się nabrało, jakby nie dbał o to, kto ile czego dostanie. Wielkość porcji, które nakładał, była losowa, ale gdy zostawał wolny kawałek ciasta, to zawsze faworyzował Luke'a, a mnie i Willowi mówił:

– Wasz brat jest mniejszy, dajcie mu szansę. – Niby na co? Był ode mnie młodszy tylko o jedenaście miesięcy. A ja od Willa o czternaście. – Musi was dogonić, prawda? – No dobrze, może Luke naprawdę nie był taki silny jak ja czy Will, ale ta niesprawiedliwość doprowadzała mnie do furii.

Pewnego dnia policzyłem ziarnka groszku, które tata nałożył nam na talerze. Will miał trzynaście, Luke dziewiętnaście, a ja dziesięć.

– Tato!

– Co?

– Oni dostali więcej groszku ode mnie.

– Och, Brian, ty znowu swoje!

– Schabowy Luke'a też jest większy od mojego.

Tu wtrącił się Will:

– To ja powinienem dostać największego kotleta. Mama powiedziała, że chłopaki potrzebują mięsa, żeby byli silniejsi.

– Wszyscy jesteśmy chłopakami, debilu – warknąłem.

Luke wziął swój kotlet w rękę i przeniósł go na talerz Willa.

– Mnie wszystko jedno, zjedzcie go sobie.

– Ble! Teraz ma na sobie zarazki z twoich łap!

Wbiłem widelec w schabowy i zabrałem go na swój talerz.

– Dobra, ja go zjem.

William się wkurzył i zaczął przeciągać kotlet do siebie.

– Chłopcy! – krzyknął tata, co bardzo rzadko mu się zdarzało. – Zamknijcie się i zaczynajcie jeść albo zabiorę wam wszystko i nie dam deseru! Czemu nie możecie być bardziej podobni do Luke'a? To wy

powinniście dawać przykład jemu, a nie na odwrót. Ogarnij się wreszcie jeden z drugim! – Luke uśmiechnął się do taty, a ten zmierzwił mu włosy.

Will puścił mój talerz. Jeszcze raz porównałem porcje. Każdy z nas miał po dwa kartofle. Tata odwrócił się, żeby nałożyć obiad sobie, a wtedy Will pochylił się nad moim talerzem i napluł mi na schabowego.

– Co ty...?! – Tak się wściekłem, że aż mi mowę odjęło. Wziąłem jego talerz i rzuciłem nim o ścianę. Tata odwrócił się gwałtownie, podniósł mnie z krzesła i zaczął nieść w stronę schodów.

– Ale Will mi napluł na kotleta! – wrzasnąłem. Tata nie odpowiedział. Wpadł do mojego pokoju, cisnął mnie na łóżko i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– I masz tam siedzieć, dopóki cię nie zawołam!

Cały się gotowałem w bezsilnej furii. Co za niesprawiedliwość!

Pół godziny później Luke zakradł się do naszego pokoju z serwetką, w której miał zawinięty swój mały kotlet i dwa ziemniaki.

– Pewnie ci burczy w brzuchu? – powiedział. – Bóg mówi, że powinniśmy nakarmić głodnych.

– A gdzie groszek?

Zmartwił się.

– Zjadłem go.

– Okej, dzięki.

Gdy szybko i łapczywie pożarłem wszystko, co mi przyniósł, z dołu zawołał mnie tata.

Wszedłem do kuchni.

– No i co masz do powiedzenia?

– Przepraszam.

– No dobrze, mamy to za sobą. Obiad jest w podgrzewaczu, ale zjadłem twoją porcję deseru.

Wyszedł do salonu i włączył telewizor.

Will parsknął śmiechem na mój widok.

– Debilu. Były kruche ciastka z truskawkami. Prze-py-szne. – Oblizał usta i wyszedł robić pracę domową.

Luke zobaczył, że jem drugi obiad.

– Brian, dasz mi jednego ziemniaka?

Oddałem mu najmniejszy. Gapił się na mnie jak wygłodniały pies, więc musiałem zjeść w pośpiechu, otaczając talerz ramieniem.

1993

Will dostaje wszystko, czego sobie zażyczy. Zawsze tak było. Ma tę wrodzoną pewność siebie i przeświadczenie, że jemu się należy. Ja nigdy tak nie czułem. Może dlatego, że od zawsze wiedział, kim chce zostać, kiedy dorośnie, a może dlatego, że był najstarszy? Odkąd w wieku ośmiu lat udało mu się wślizgnąć pod płaszczem taty na Szczęki do kina Forum, miał obsesję na punkcie kina. Ani trochę nie wątpilem, że Will zostanie wielką szychą i reżyserem, bo jak wspomniałem, zawsze dostawał to, czego chciał.

Luke, delikatnie mówiąc, bardzo się od niego różnił. Był dziwny. W dzieciństwie miał totalnego hopla na punkcie religii. Był samotnikiem, szkolnym gamoniem bez żadnych przyjaciół, choć miał głowę na karku i zbierał przyzwoite oceny. Pewnego dnia, dwa tygodnie przed jego egzaminami końcowymi, zastałem go przy budowaniu czegoś z zestawu Meccano i skomentowałem, ot tak, że powinien pójść na politechnikę. Podchwycił to. Zaczął intensywnie zakuwać i poprawił oceny z prawie wszystkich przedmiotów na same czwórki i piątki. Ale nikt – absolutnie nikt – kto znał go w dzieciństwie, nie mógł się spodziewać, że w wieku dwudziestu jeden lat mój młodszy brachol będzie już międzynarodową gwiazdą popu z własnym wielkim domem.

Obu im zazdrościłem. Luke był sławny, bogaty i odnosił sukcesy, a Will miał Susan.

Susan i ja byliśmy tylko kolegami z księgarni, w której pracowałem, ale miałem wrażenie, że się jej podobam. Do tamtego czasu nie chodziłem na poważnie z żadną dziewczyną, miałem za sobą wiele przygód na jedną noc z laskami, które mnie tak naprawdę nie interesowały, ale – żeby było jasne

– one też nie bardzo interesowały się mną. Najczęściej poznawaliśmy się po pijaku. Mieszkałem wtedy w wynajętym domu z Cillianem Goganem i Nickym Sharpem, kumplami ze studiów, i przyprowadzanie tam dziewczyny zawsze niosło ze sobą ryzyko. Żaden z nas nie miał w sobie genu porządnicia, a czynsz za wynajem domu też nie bez powodu był niski. Właściwie to mieszkaliśmy w ruderze. Ciepła woda w kranie pojawiała się, kiedy chciała. Ściany w kuchni do połowy pokrywał grzyb, dywan na dole rozpadał się na strzępy, bo prawie całkiem pożarły go mole. Co za tym idzie, nie darzyliśmy naszej kwatery specjalnym szacunkiem. Ponadto całymi miesiącami potrafiliśmy nie kupować pasty do zębów ani nie używać odkurzacza. Nicky trzymał w łazienkowej umywalce złote rybki, chociaż często pod powierzchnią wody pływały martwe sztuki, bo ich hodowca nie bardzo wierzył w sens zmieniania wody, więc jechało tam rybim gównem oraz gównem Cilliana, który często cierpiał na sraczkę. Dlatego też łazienka stanowiła wyzwanie dla odwiedzających nas dziewcząt. A! Grzybami, takimi leśnymi, obrośnięty był również stary fotel w ogródku przed domem.

Tworzyliśmy dość chaotyczne trio. Nicky pracował w tygodniu jako księgowy, ale w weekendy był DJ-em na imprezach i spożywał ogromne ilości farmaceutyków. Cillian, tak jak ja, tułał się z miejsca na miejsce. To znaczy ja byłem nauczycielem angielskiego, niestety niezbyt dobrym, a na pewno niespecjalnie zaangażowanym w pracę. Chłopaki o martwym spojrzeniu uczęszczające do szkoły Braci w Chrystusie dołowały mnie tak samo, jak ja dołowałem ich. Miałem tam część etatu, a w pozostałe dni tygodnia pracowałem w księgarni w centrum. Cillian dorabiał jako nocny recepcjonista w trzygwiazdkowym hotelu w szemranej części miasta. Gdy byliśmy dziećmi, jego rodzice przyjaźnili się z moimi, ale wydaje mi się, że po śmierci taty mamie urwał się z nimi kontakt. Raz przyszli z wizytą do naszej rudery, ale uciekli przerażeni i już nigdy tam nie wrócili. Moja mama, dzięki Bogu, nigdy nas nie odwiedziła.

Tak więc dziewczyny przyprowadzaliśmy do domu wyłącznie nocą, a potem trzeba było je wyrzucać, zanim wytrzeźwiały, bo gdyby zastał je

tam świt, to przerażające okoliczności, w których się znalazły, ukazałyby się im w pełnej krasie.

Potem poznałem w pracy Susan. O pomoc przy cięższych pudłach nigdy nie prosiła innych facetów, tylko zawsze mnie, co łechtało moje ego, bo bez wątpienia byłem od nich silniejszy i bardziej wysportowany. Później zaczęliśmy razem chodzić na przerwy na lunch. Kombinowaliśmy tak, żeby zawsze wpisywali nas razem w grafiku. Nasza znajomość była czysto platoniczna. W rozmowach z ludźmi mówiła o mnie per „mój przyjaciel”, ale gdy gadała ze mną, zdarzało jej się puścić do mnie oko i położyć mi rękę na ramieniu w sposób dający do zrozumienia, że interesuje ją coś więcej. A ten jej amerykański akcent był taki niezwykle w Dublinie! Wyglądała i brzmiała jak jakaś aktorka z telewizji.

Po kilku tygodniach naszej „przyjaźni”, przy lunchu, popatrzyła na mnie, zmrużyła oczy i powiedziała:

– Masz na nosie piankę z kawy. – Myślałem, że się zapadnę pod ziemię. Wytarłem nos chustką i starając się potraktować ten komentarz na luzie, bąknąłem:

– Tak, wiem, że mam dziwaczny nochal.

Widząc moje zawstydzenie, obejrzała mój nos badawczo i parsknęła śmiechem.

– O mój Boże! Wcale nie jest zły ani brzydki, daj spokój! Już kilka miesięcy ze sobą pracujemy i chodzimy jeść, i dopiero teraz go zauważyłam. Naprawdę się go wstydzisz?

Tak, naprawdę się wstydziłem. Szczególnie, że mama i Will bardzo często mi go wypominali. Gros moich szczenięcych lat spędziłem, zasłaniając twarz ręką. Trudno mi było uwierzyć, że Susan dopiero teraz zauważyła ten mój kinol, ale pomyślałem, że może po prostu starała się być miła, bo inaczej nie patrzyłaby mi w twarz tak często, jak ja patrzyłem na nią. Miała bladą skórę o mlecznym odcieniu, jej oczy pełne figlarnych iskier potrafiły tak wiele wyrażać, a usta... aż się prosiły, żeby je pocałować. Była drobna, szczupła i niezwykle atrakcyjna. Nosila się jak pankowa:

miała krótkie włosy postawione w kolce i malowała się szkarłatną szminką. Dziewczyna na okładkę płyty.

Susan miała znajomego, który pracował w kasie Abbey Theatre, i czasami zapraszała mnie na koszmarne przedstawienia. Siedząc obok niej w ciemnościach, tak bardzo chciałem wziąć ją za rękę, ale umierałem ze strachu, że może sobie tego nie życzyć. I wtedy postanowiłem, że zaproszę ją do mamy na obiad. Nasz dom rodzinny był większy od pozostałych w okolicy i robił znacznie lepsze wrażenie od tego, w którym mieszkałem z chłopakami, dokąd wstydziłem się ją zaprosić. Wiedziałem, że mama będzie kręcić nosem, więc po prostu nie poinformowałem jej z wyprzedzeniem, że przyjdę z Susan. Nie umiałem przewidzieć, jak zachowają się wobec niej Will i Luke. Modliłem się tylko, żeby nie chlapnęli jakiegoś żenującego komentarza, który przedstawi mnie w niekorzystnym świetle albo ją urazi.

Gdy się pojawiliśmy, Will z Irene, jego dziewczyną, i Luke ze swoim perkusistą byli już na miejscu. Irene dosłownie wisała na Willu, a on ją prawie zupełnie ignorował. Zgadywałem, że zdążył się nią znudzić.

Przy obiedzie Susan powiedziała, że nie mieli w domu telewizora, co zafascynowało mamę.

– A co robiliście wieczorami, dla rozrywki? – spytała.

– No najczęściej czytaliśmy, graliśmy w karty i planszówki albo rozmawialiśmy o aktualnych sprawach, spieraliśmy się o politykę. Moja rodzina to byli kiedyś zatwardziali republikanie, ale ostatnimi czasy Detroit zeszło na psy. To już nie jest dawne Motor City. W zeszłym roku obie z mamą głosowałyśmy na Billa Clintona. Gdyby tata o tym wiedział, to by się w grobie przewrócił.

Do rozmowy włączył się Will:

– Ale nie czułaś się pominięta, kiedy ludzie rozmawiali o programach w telewizji?

– Wtedy nie. Co tydzień chodziliśmy do kina. Orientowaliśmy się, kim są znani aktorzy i aktorki. Dopiero kiedy się wyprowadziłam i zaczęłam

mieszkać ze współlokatorami, musiałam się przyzwycząić do telewizora z malutkim ekranem. Długo to trwało...

Rozmowa schodziła na niebezpieczne tematy, ponieważ Will potrafił bez końca gadać o filmach, a poza tym zauważyłem, że Susan mu się podoba.

– William będzie reżyserem filmowym – oświadczyła Irene, na co on prychnął i ją poprawił:

– Nie reżyserem, tylko producentem. Reżyser to najemny parobek. Prawdziwa potęga jest w produkcji. I pieniądze też.

Zapadła niezręczna cisza, ale poczułem satysfakcję, bo mój brat zrobił z siebie kretyna. Reszta popołudnia upłynęła w dość przyjemnej atmosferze. Wcześniej Susan była ze mną na jednym z koncertów Luke'a, więc już się znali. On i jego bębniarz byli tak ewidentnie ujarani, że mama postanowiła ich ignorować. Wyszli wcześniej, żeby się spotkać w studiu nagraniowym Windmill Lane z jakimś francuskim aranżerem, który właśnie odwiedzał Dublin.

Odprowadziłem Susan na przystanek autobusowy. Gdy nadjechał autobus, pocałowała mnie w policzek. Pomyślałem, że niedługo będę mógł wykonać swój ruch. Podobała mi się, ja jej chyba też. No i polubiła moją rodzinę. Nie zamierzałem dłużej czekać.

W następnym tygodniu pracowałem w szkole przez cały tydzień, bo zastępowałem geografkę na chorobowym, więc zobaczyłem się z Susan dopiero w niedzielę. Zrobiła ciasto. W przerwie poszliśmy do parku St Stephen's Green. A potem, jakąś godzinę po otwarciu do księgarni wparował Will. Zdziwiłem się na jego widok, ale on nie marnował czasu.

– Jest Susan?

– A bo co?

– Zerwałem z Irene, a Susan mi się podoba.

– Kurwa, Will, nie można sobie ot tak podrywać dziewczyn, a potem je rzucać jak śmieci.

– Chyba ty nie możesz.

– Susan jest moją przyjaciółką.

– Wiem, ale przecież nie jest twoją dziewczyną, co nie?

Całkiem mnie zatkało. Byłem wściekły. Znalazł ją na literaturze dziecięcej, a później, gdy już się zmył, ona podeszła do mnie cała w uśmiechach i pąsach.

– Twój brat właśnie zaprosił mnie na kolację, czyli chyba na randkę!

Gapiałem się na nią zastrzelony.

– I co ty na to?

– No... Zgodziłam się. A co? Jest jakimś potworem? Powinnam odmówić? Opowiedz mi o nim, chcę wiedzieć wszystko!

Najbardziej bolesne było to, że nawet nie zauważyła, jak cholernie mnie to zraniło. Wymówiłem się jakąś bzdurą ze wspólnego lunchu i resztę dnia przepracowałem sam w dziale edukacyjnym.

Spodziewałem się, że Will pospotyka się z nią przez kilka tygodni, a potem ją rzuci, ale płynęły miesiące, a oni zbliżali się do siebie. Susan opóźniła swój wyjazd z Irlandii. Moje marzenia o leczeniu jej złamanego serca i zbieraniu do kupy po tym, jak Will z nią zerwie, rozwiały się. Zostali parą na dobre i na złe. Próbowałem podtrzymywać naszą przyjaźń, ale Susan ciągle gadała o Willu, mamie i Luke’u i często dowiadywałem się od niej takich rzeczy o mojej własnej rodzinie, o których wcześniej nie miałem pojęcia. Z coraz większym trudem znosiłem jej towarzystwo, ale jeszcze gorzej było mi bez niej. Czasami chodziliśmy we trójkę do pubu, lecz widok ich splecionych dłoni i jej głowy wtulonej w jego ramię wbijał mi nóż w serce.

Czy William miał świadomość, że ją kocham? Naprawdę nie wiem. I czy by się tym przejął, gdyby się dowiedział? Ostatecznie Susan wybrała jego. Gdyby była zainteresowana mną, odmówiłaby, kiedy zaproponował jej pierwsze spotkanie, ale czy tak wyszło tylko dlatego, że nie wyczułem dobrego momentu? W końcu nie była moją własnością. Przeczytałem Kobięcego eunucha Germaine Greer. Rozmawiałem o tej książce z Susan.

Miała prawo robić, co chciała. Stwierdziła, że dobry ze mnie feminista. Ale mnie się to nie podobało. Ani trochę.

Latem 1993 roku występ Luke'a miał stanowić główną atrakcję największego festiwalu muzycznego w Irlandii. To była dla niego ważna sprawa i bardzo się denerwował. W kolumnach plotkarskich wspominali o jego dziwnym zachowaniu, ale gdy go o to spytałem, obrócił wszystko w żart. Za granicą odniósł wielki sukces, jednak krajowa publiczność była trudniejsza i bardziej skłonna, żeby się z niego nabijać. Teraz miał zagrać dla pięćdziesięciu tysięcy ludzi, więc Sean, jego menedżer, każdego ranka odbierał go spod domu i wiozł na siłownię, a potem na próby choreografii.

Ku ogólnemu zaskoczeniu Luke naprawdę umiał się poruszać. Mama powiedziała, że ma to po niej. Wydaje mi się, że była to jedyna rzecz, którą zdaniem mamy po niej odziedziczył. Tańczył bardzo oryginalnie. Potrafił elegancko przemieszczać się po deskach sceny, prawie jak baletmistrz, z chłopięcym urokiem, którego poza estradą nie miał za grosz. Nie był aż tak dobry jak Michael Jackson, ale lepszy od George'a Michaela. Mieli cholernie dobrego choreografa. Balet Luke'a składał się z dwunastu oszałamiająco pięknych dziewczyn, które tańczyły z nim, wokół niego, a czasami na nim. Część układów wydawała się trochę nieprzyzwoita, zwłaszcza biorąc pod uwagę średni wiek jego fanów. Do emitowanej na żywo audycji radiowej Liveline dzwonili rodzice ze skargami. Matki oskarżały go o deprawowanie dzieci. Jego teledyski leciały non stop w MTV Europe. Ale wydaje mi się, że te dzieciaki tak bezkrytycznie go kupowały ze względu na jego supermłodzieńczy wygląd. Niezależnie od tego, co wyczyniał w tańcu, i tak wyglądał bardziej na dzieciaka niż na dorosłego, a jego atrakcyjność polegała na tym, że wydawał się asekualny, a przez to niestanowiący zagrożenia dla dorastających dziewczynek.

Luke załatwił Willowi, Susan i mnie przepustki do zakulisowych stref festiwalu. Ponieważ zaczęły się letnie wakacje, pracowałem w pełnym wymiarze godzin w księgarni, unikając Susan i zarazem szaleńczo za nią tęskniąc. Postanowiłem, że muszę znaleźć dziewczynę, którą zabiorę ze sobą na koncert, żeby nie plątać się Willowi i Susan pod nogami jak

przyzwoitka, ale im bardziej zbliżał się festiwal, tym bardziej pochłaniała mnie myśl, że będę mógł spędzić cały dzień w towarzystwie Susan, więc nie chciałem marnować ani chwili z tego czasu na kogoś innego. Potem gruchnęła najlepsza wiadomość z możliwych: otóż Will dostał finansowanie na film krótkometrażowy, który miał produkować, i musiał polecieć do Londynu, żeby przekonać jakiegoś francuskiego aktora, by w nim zagrał. Zaprosił Susan, ale ona wolała zobaczyć koncert Luke'a, a ja wziąłem to za znak, że może jednak wcale nie jest tak całkiem przekonana do Willa. No bo kto przy zdrowych zmysłach rezygnowałby z weekendu w Londynie po to, żeby iść na koncert irlandzkiej gwiazdki dla podfruwajek odbywający się w szczerym polu? Ona jednak stwierdziła, że chce wspierać Luke'a i reprezentować Willa. W programie było jeszcze kilka znanych kapel, a skądinąd wiedziałem, że Susan lubi The Sugarbombs. Może dlatego została? Bo na pewno nie ze względu na mnie.

Wieczorem w dniu koncertu w przyczepie garderobie Luke'a Sean próbował go uspokajać jakimiś chuju-muju mantrami. My też byliśmy przy nim i zapewnialiśmy go, że da fantastyczne show. Gdy Sean się ulotnił, Luke wyciągnął z kieszeni torebkę pełną jakichś pigulek, przegryzł jedną na pół i położył sobie na języku.

– Co to takiego?

– Całkowita nowość. Daje przyjemny odlot i sprawia, że czujesz się jak mistrz świata we wszystkim. Chcecie spróbować?

– Nie! – zaoponowałem. – Nie możesz wystąpić przed tym całym tłumem na haju! Zwariowałaś, Luke?!

– A ja spróbuję – oświadczyła Susan. Natychmiast poczułem się jak nudziarz i zgred, który tatusiuje bratu i psuje wszystkim zabawę. Luke wyjął pigułkę z plastikowej torebki i włożył ją Susan do ust. Wyszczrzyła się do mnie w uśmiechu. – Daj spokój, Brian, trzeba się trochę wyluzować! – Luke wybuchnął śmiechem i mnie też podał pigułkę. Połknąłem ją i popiłem ciepłym piwem z butelki.

– Dość mocno kopia. Wziąłem tylko pół, bo muszę tam wyjść, ale gwarantuję, że wy dwoje będziecie się odłotowo bawić. – Luke wyszedł

i zostaliśmy sami w przyczepie.

– Czasami zdarza nam się z Willem wziąć kilka proszków, to nic takiego, Brian.

– Pewnie – bąknąłem, wcale nie czując się pewnie. Panicznie szukałem w głowie sposobu, żeby odzyskać trochę luzu. – Wszyscy czasem coś łykamy, ale Luke chyba nie jest na tyle stabilny, żeby brać dragi. Przecież nawet nie wiemy, co to jest.

– No wiesz, może wcale nie zadziała, czyli nie mamy nic do stracenia.

– A może wszyscy wylądujemy w pierdłu albo w szpitalu.

– Brian, ale z ciebie słodziak – skwitowała, jednak ten jej „słodziak” był amerykański i nie oznaczał słodkiego faceta, tylko zabawnego króliczka.

Dziesięć minut później staliśmy pod sceną, czekając na wielkie wejście Luke’a. Poczulem ciepło rozchodzące się na zewnątrz od żołądka, a wraz z nim aż po koniuszki palców zalały mnie zadowolenie i satysfakcja. Zrozumiałem, że wszystko będzie dobrze.

Luke właśnie wypadł na scenę otoczony wirującym jak derwisz wianuszkami tancerek w skąpych kosmicznych skafandrach. Podrygiwał do wtóru uderzeń perkusji, które wybuchały w powietrzu jak fajerwerki. Biła od niego elektryzująca energia. Susan stała obok mnie i piszczała z zachwytu jak mała dziewczynka, a ja miałem ochotę klaskać razem z nią. Chwyciłem ją za rękę i wszystko wydało nam się tak totalnie szalone, że jednocześnie wybuchliśmy śmiechem.

– Nie jesteśmy już w Kansas, Dorotko! – wrzasnęła. – Czujesz to?

Poczulem, że napelniam się wdzięcznością, miłością, akceptacją, radością, pozytywnością i w ogóle wszystkim, co dobre. Przytuliliśmy się i żadne z nas nie próbowało wyswobodzić się z tego uścisku. Staliśmy połączeni – ja za nią, obejmując ją w tali ramionami, ona oparła mi głowę na ramieniu – i chłonęliśmy czary, które na scenie odprawiał mój młodszy braciszek. Boże, jak bardzo, mimo wszystko, kochałem tego dziwnego chłopczykę! Nawet starsza publiczność, która pewnie przyszła posłuchać

supportów, dała się ponieść jego energii i cały tłum zaczął gęstą falą napływać pod scenę.

Gdy oboje poruszaliśmy się rytmicznie z pulsem muzyki, ręka Susan otarła się o moje udo – to była najbardziej erotyczna rzecz, jaką kiedykolwiek przeżyłem. Pochyliłem głowę i pocałowałem ją w kark. Nie powstrzymała mnie. Przysunęła się bliżej i wcisnęła pupę w moje krocze. Teraz już byłem pewien, że ona też tego chce. Bez słowa wymknęliśmy się spod sceny i ruszyliśmy, prawie biegnąc, do przyczepy Luke'a, pijani śmiechem i niecierpliwością. W środku zarygłowałem drzwi. Całując się zachłannie, w pośpiechu zdzieraliśmy z siebie wzajem ubrania.

Po wszystkim siedzieliśmy nago, wodząc dłońmi po swoich ciałach, prześcigając się w zapewnieniach o tym, jak bardzo jesteście dla siebie ważni, jak wspaniale się razem czujemy, a potem, pochłonięci żądzą znów rzuciliśmy się na siebie, upojeni swoim smakiem i dotykiem, zatracając się we wspólnej ekstazie.

Po jakimś czasie ktoś mi powiedział, że tak się właśnie nazywa ten narkotyk. Ecstasy. W późniejszych latach chyba wszyscy go brali, ale ja miałem wrażenie, jakbyśmy my byli pierwsi. Bardzo rzadko zdarzało mi się zażywać narkotyki, więc być może ten zadziałał na mnie mocniej niż na innych, ale tamtej nocy namiętność Susan dorównywała mojej, a gdy później musieliśmy się rozdzielić, miałem wrażenie, że nasz piękny sen rozpada się na kawałki. Do Dublina wracaliśmy z koncertu autobusem, którym ekipa Luke'a jeździła w trasy. Po drodze trzymaliśmy się pod stolikiem za ręce, podczas gdy wszyscy wokół świętowali, racząc się dragami i alkoholem. Luke ponownie zaproponował nam swoje proszki, ale chyba wtedy już do nas dotarło, że przekroczyliśmy granicę i przyjdzie nam zapłacić za tę chwilę zapomnienia. Byłem wystarczająco trzeźwy, żeby nie zapraszać Susan do paskudnego domu, w którym mieszkałem. Kiedy jednak autobus dojechał do końca trasy, miałem nadzieję, że Susan zaprosi mnie do siebie, ale cmoknęła mnie tylko niewinnie w policzek, podziękowała Luke'owi za fantastyczny koncert i powiedziała, że

w tygodniu zobaczymy się w pracy. Luke, zatopiony w swoim samolubnym świecie, niczego nie zauważył.

Następnego ranka obudził mnie strach. Cały poprzedni dzień tonął we mgle. Czy naprawdę planowaliśmy, żeby uciec razem nad morze i założyć tam księgarnię? Czy faktycznie powiedziałem jej, że ją kocham od chwili, gdy ją po raz pierwszy zobaczyłem? Czy wspomnieliśmy chociaż słowem o Willu? Na pewno mówiliśmy, że czujemy emocjonalną więź. A jednak w zimnym świetle dnia dotarło do mnie, że wszystkie te słowa były puste. Nawet jeśli wtedy wypowiadaliśmy je szczerze, to naprawdę stanowiły fałsz, wytwór narkotyku, fantazję. Jej ciało było niesamowite, a seks lepszy niż z kimkolwiek innym, ale może to też był efekt działania ecstazy? A może połowę tych wszystkich uniesień sobie wymyśliłem? Co, jeśli to była tylko moja narkotyczna jazda?

Przez jakiś czas unikaliśmy się z Susan w księgarni. Szef spytał, czy się posprzeczailiśmy, a gdy zmusił nas do wspólnego rozpakowywania pudeł, naprawdę się pokłóciliśmy. Susan powiedziała, że nie powinienem być jej uwodzić. Stałem jak wryty. Przecież uwiedliśmy się wzajemnie! Przyznała, że owszem, to przez ecstazy, ale stanowczym tonem dodała, że nic do mnie nie czuje i chce o wszystkim zapomnieć.

Poczułem się odtrącony i odezwało się we mnie coś wstrętnego.

– Więc jednak nie chcesz ze mną uciekać?

Cała się spłoniła.

– Nie możesz o tym powiedzieć Willowi. To by go zabiło. Poszukam pracy gdzie indziej. Nie powinniśmy dalej razem pracować, Brian, to jest meganiezręczne.

Byłem strasznie nieszczęśliwy. We wrześniu wróciłem do uczenia na pełnym etacie. Nienawidziłem tego. Nie umiałem znaleźć sobie miejsca. Ale przynajmniej dzięki stabilniejszym zarobkom mogłem wynająć małą, jednopokojową kawalerkę w dzielnicy Ranelagh. Całymi miesiącami siedziałem na tyłku w oczekiwaniu, że Will porzuci Susan albo że ona odkryje, że on ją zdradza, albo że on się nią znudzi i znajdzie sobie inną, ale na niedzielnych obiadach wydawali się być ze sobą coraz bliżej.

A potem, pod koniec października, Will oświadczył, że ma trzy dobre wiadomości. Po pierwsze zdecydowali z Susan przenieść się do wspólnego domu. Serce mi stanęło. Po drugie zaplanowali ślub. Gapiłem się na nią jak w transie, a tymczasem Will zabrał się za otwieranie szampana. Serce zaczęło mi bić gwałtownie. Napełnił kieliszki i rozdał wszystkim. Nie byłem w stanie pić.

– A trzecia i najlepsza wiadomość jest taka, że niedługo ktoś będzie miał wnuka! – Mama rzuciła się, żeby ich ścisnąć, choć jednocześnie oświadczyła, że nie pozwoli nazywać się babcią. Nie należała do rodziców, którzy ganią dzieci za przedmałżeński seks. Ale myślę, że tata byłby przerażony.

– Chłopiec czy dziewczynka? – spytała. – I który to tydzień?

Susan odwróciła się do mamy, a Will położył jej rękę na głowie tak, jakby była jego własnością.

– Wydaje nam się, że około czternastego, w każdym razie niebezpieczny czas już minął. Postanowiliśmy, że płęć do końca będzie niespodzianką.

– Samo dziecko jest chyba wystarczającą niespodzianką? – spytałem. – Przecież go nie planowaliście, prawda? – Staralem się, by w moim głosie nie zabrzmiała uraza.

Susan nie spojrzała na mnie, ale się zaśmiała, kwitując:

– No cóż, zostanie więcej szampana dla ciebie! – Luke chwycił butelkę i napełnił swój kieliszek po brzegi.

– Dziecko? Naprawdę? – mruknął.

Will popatrzył na niego wilkiem.

– O co ci chodzi?

– O nic – odburknął Luke i atmosfera jeszcze bardziej się zagęściła.

Luke sposepniał i wypił chyba wszystko, co było w domu, w końcu mama powiedziała, że powinien już iść. Zauważyła, że jestem bardzo milczący.

– Mam górę prac domowych do sprawdzenia – wyjaśniłem, po cichu dokonując w głowie obliczeń. „Okolo czternastego tygodnia”. Okolo. Gdyby

to było szesnaście tygodni, to mogło być moje dziecko. Ciągle próbowałem podchwycić spojrzenie Susan, ale patrzyła wszędzie, tylko nie na mnie.

Podziwiając skromny pierścionek zaręczynowy z diamentem, mama zaczęła omawiać z nimi możliwe daty ślubu.

– Oczywiście musicie się pobrać, zanim dziecko przyjdzie na świat!

Gdy wychodziłem, Will stwierdził:

– Brian, tylko ty nam jeszcze nie pogratulowałeś.

– Naprawdę? Przepraszam. Cieszę się waszym szczęściem. – Spróbowałem ściągnąć na siebie uwagę Susan. – Będziesz cudowną mamą.

– Tak? A ja to niby co? – wtrącił się Will. – Ja też będę cudownym tatą. – Biły od niego szczęście, duma i podniecenie.

– Tak – mruknąłem – cudownym. Gratulacje.

Żałowałem, że moim bratem, zamiast Luke'a czy Williama, nie jest Paul. Nasze urodziny dzieliło tylko kilka tygodni i byliśmy kuzynami pierwszego stopnia, bo nasi ojcowie byli braćmi. Nawet wyglądaliśmy podobnie, chociaż on miał całkiem normalny nos. Paul był blondynem, tak jak ja, a moi rodzeni bracia mieli ciemniejsze włosy. Chodziliśmy z Paułem do tej samej klasy w szkole i siedzieliśmy obok siebie. On mieszkał za rogiem.

Paul i ja wymienialiśmy się komiksami, słodyczami i katapultami, w przeciwieństwie do Williama, który niczym się ze mną nie dzielił, i Luke'a, który po prostu oddawał mi wszystko, czego sobie zażyczyłem, bo Bóg mu tak kazał. Słyszałem, jak mama mówiła, że ciocia Judy rozpieszcza Paula, ale wcale tak nie było. Dostawał takie same rzeczy jak my – po prostu nie musiał się nimi z nikim dzielić. Chyba że dzielił się ze mną.

Dom wujka Dana był znacznie mniejszy od naszego, ale oni nie potrzebowali tyle miejsca, co my. Kiedy nocowałem u Paula, fajnie było spać na materacu rozkładanym na podłodze przy jego łóżku. Mogliśmy sobie urządzać uczyty do północy i bawić się żołnierzami i dinozaurami, zamiast leżeć w łóżkach, tak jak nam kazali. W naszym domu to było nie do pomyślenia. Luke zawsze się bał, że wszystko jest grzechem. Gdy gasły światła, zamykał oczy i krzyżował ręce na piersi. „Na wypadek, gdyby Pan chciał mnie zabrać we śnie” – wyjaśniał.

Paul uratował mi kiedyś życie. Rodzice urządzili w jego domu wspólne przyjęcie z okazji naszych ósmych urodzin. U nas ich nigdy nie robili. Byłem podekscytowany. Jego mama, ciocia Judy, upiekła dwa ciasta: jedno z komiksowym Dennisem Rozrabiaką, a drugie z jego psem Gnasherem. Obaj byliśmy wielkimi fanami magazynu „Beano”. Żeby nie było

wątpliwości, mieliśmy nawet znaczki z jego logo. To był październik i sam obchodziłem urodziny dopiero w następnym miesiącu, ale urodziny Paula przypadały trzy tygodnie wcześniej. Chociaż na zewnątrz padało, wujek Dan kupił zestaw do swingballa i wszyscy na zmianę nawalaliśmy w piłkę, aż Will uderzył ją zbyt mocno i zerwała się ze sznurka. Na imprezę byli zaproszeni moi bracia i nasi koledzy ze szkoły. Will zgrywał ważniaka, przypominając wszystkim, że jest najstarszy. Luke obwiesił się cudownymi medalikami i podarował Paulowi książkę o Świętym Pawle, którą kupił za własne pieniądze.

Gdy zrobiło się za zimno na swingball, weszliśmy do środka i wujek Dan powiedział, że możemy się pobawić w chowanego. Znalezienie tam kogokolwiek nie zajęłoby zbyt dużo czasu, ale ja znałem dom Paula lepiej niż wszyscy i dobrze wiedziałem, gdzie się ukryć. W szafce do podsuszania bielizny była podłoga, którą dało się podnieść. Wydaje mi się, że Paul i ja byliśmy jedynymi osobami, które zdawały sobie z tego sprawę. Odkryliśmy to przypadkiem i nie wyjawiliśmy jej istnienia rodzicom, bo trzymaliśmy pod nią nasz tajny skarb: korkowce, których nie wolno nam było mieć, staromodne pieniądze ukradzione z pudełka wujka Dana, kaburę na broń, którą znaleźliśmy na śmietniku – a przynajmniej uznaliśmy, że to jest kabura na broń, choć może była to tylko zepsuta skórzana saszetka. Pomyślałem, że jeśli się skulę w kucki, to zmieszczę się cały pod podłogą. Tak też zrobiłem, nasunąłem płytę na miejsce, tak że zupełnie nie było mnie widać. W zamkniętej przestrzeni szybko zrobiło się duszno, a ja zupełnie opadłem z sił i nie mogąc się wyprostować, nie byłem w stanie otworzyć pokrywy. Potem dopadły mnie zawroty głowy i mdłości. Szukał mnie wtedy jeden z naszych kolegów ze szkoły, mogło minąć jakieś dziesięć minut, zanim wszyscy się zorientowali, że nadal nie zostałem odnaleziony. Do tego czasu zdążyłem zemdleć, ale Paul wpadł na to, gdzie się ukryłem. Znalazł mnie sinego i nieruchomego i podniósł alarm.

Nie bardzo pamiętam, jak to było, gdy mnie wyciągali, ale przypominam sobie, że przybiegł sąsiad Paula z domu obok, doktor Hallinan, i mocno walnął mnie w klatkę piersiową, a potem płakałem.

Następnego dnia czułem się zupełnie dobrze, ale Paul bez wątpienia uratował mi życie. Jego tata zabił później tę podłogę gwoździami i na zawsze zabroniono nam zabawy w chowanego. Okazało się, że to niebezpieczne. Rok później, na innej imprezie przy naszej ulicy, mała dziewczynka utknęła w ciasnej przestrzeni między dwiema szybami oddalonymi od siebie o trzydzieści centymetrów i trzeba było rozbić okno, żeby ją uwolnić. Jeśli uwielbiałem Paula przed tamtymi urodzinami, to później byłem jeszcze bardziej niezachwiany w swojej lojalności wobec niego. Cały czas spędzaliśmy razem – u mnie albo u niego w domu. Raz nacięliśmy sobie kciuki ostrymi nożami, aż zaczęły krwawić, i przysięgliśmy sobie, że będziemy braćmi krwi.

Po śmierci Paula zastanawiałem się, czy to nacinanie mogło zatruć jego krew i spowodować chorobę, która go zabiła. Choroba narastała tak stopniowo, że wydawało się, że to coś całkiem zwykłego. Przed imprezą Paul skarżył się, że bolą go nogi, a mama powiedziała, że to muszą być bóle wzrostowe, ale ja nie miałem żadnych bólów wzrostowych. Najpierw przez kilka dni siedział w domu z powodu grypy albo innego przeziębienia, potem musiał iść do szpitala na badania, później było jeszcze więcej badań, a potem wypadły mu włosy, ale to było nawet fajne, bo obaj uwielbialiśmy Kojaka, więc przynosiłem mu lizaki, bo to super pasowało. Nie biegał już zbyt wiele, ale wciąż mieliśmy radochę, gadając o ulubionych postaciach z komiksów. A potem mama Paula dała mu zestaw małego magika, chociaż to wcale nie były jego urodziny, i nauczyliśmy się robić wszystkie sztuczki.

Brakowało mi go w szkole, ale przy każdej okazji chodziłem go odwiedzać – czy był w szpitalu, czy w domu, z wyjątkiem czwartków, bo wtedy miałem judo. Czasami przychodziłem do niego, gdy spał i nie wolno mu było przeszkadzać, ale wtedy zostawiałem Paulowi karteczki z zabawnymi tekstami, na przykład o wąsach pana Gallaghery czy o fioletowych skarpetkach, które ojciec Matthew założył do sandałów.

Nawet przez sekundę nie przeszło mi przez głowę, że może umrzeć. Nie wiem, czy rozumiałem wtedy, czym jest śmierć, chociaż Luke bez przerwy mówił o umieraniu, ukrzyżowaniu i zmartwychwstaniu, ale gdy dotarło do

mnie, że nigdy więcej nie zobaczę Paula, że już nigdy nie będziemy się bawić w ministerstwo głupich kroków ani wymyślać tajnych kodów, po prostu nie umiałem sobie z tym poradzić.

Paul zmarł tego dnia, kiedy pojechaliśmy zobaczyć papieża. Nic z tego spędu nie pamiętam – poza tym, że Luke'owi na mszy odpierdzieliło i zwał, i potem całymi godzinami go szukaliśmy. Później, gdy wróciliśmy do domu i dowiedzieliśmy się, że Paul nie żyje, Luke wpadł w histerię i krzyczał, że to jego wina, a mnie dopadł paraliżujący strach. Jak mój przyjaciel, mój brat krwi mógł umrzeć?! Pamiętam, że rzygałem i wszyscy byli zdenerwowani. Nawet Will wyszedł do ogrodu i siedział tam sam przez całą godzinę. Tata próbował uspokajać Luke'a i okazało się, że mój młodszy brat przez cały czas wiedział, że Paul umiera, bo mama mu to wyjawiała. Paul uratował mi życie, a mama powiedziała, że nie mogę nic dla niego zrobić.

Dni, które nastąpiły po jego śmierci, były bezbarwne i bezsensowne. Rozwieszane wszędzie żółto-białe papieskie chorągiewki i flagi wydawały mi się takie nie na miejscu. Przecież nie było powodu do świętowania. Czulem, że byłoby lepiej, gdybym ja też umarł. Na pogrzebie chłopaki z naszej klasy wystawili wartę honorową przed trumną. Przyszli również nauczyciele. Rozdawali chusteczki, których potrzebowały nawet największe łobuzy i twardziele z naszej szkoły. Rodzice nie puścili Luke'a na pogrzeb, bo wszyscy się bali, że robi scenę. Nigdy wcześniej nie widziałem tylu płaczących ludzi. Nawet śpiewakom w chórze w połowie hymnów załamywał się głos i musieli zaczynać od początku. Wujek Dan otwarcie szlochał. Ciocia Judy ledwo stała na nogach. Wtedy zdałem sobie sprawę, że przecież oni nie mają innych dzieci. Mieli tylko Paula, a teraz go stracili. Mama wypłakiwała oczy, a tata starał się być silny, ale co chwila wyrywał mu się taki dziwny, zdławiony odgłos, gdy próbował powstrzymać wybuch emocji. Jeden z facetów, którzy nieśli trumnę, potknął się w przejściu między ławkami i prawie ją upuścili, a ja miałem cichą nadzieję, że trumna faktycznie upadnie i się otworzy, i będę mógł po raz ostatni zobaczyć mojego przyjaciela. Pozbieram go z podłogi, zabiorę

w bezpieczne miejsce i znajdę sposób, żeby go naprawić. To był najgorszy dzień w moim życiu. Postanowiłem, że już nigdy nie pójde na żaden pogrzeb.

To jedno z moich najwcześniejszych wspomnień. Wszyscy byliśmy mali, mieliśmy tylko pięć, sześć i siedem lat. Ja – średni z rodzeństwa – odróżniałem się od braci blond włosami i krzywym nosem. Bawiliśmy się w ogrodzie na tyłach domu, tłukąc się nawzajem. W tamtych czasach nie byliśmy na tyle duzi ani silni, by zrobić sobie prawdziwą krzywdę. Zabawa i bijatyka to było jedno i to samo. Za otwartymi dwuskrzydłowymi drzwiami w salonie mama prasowała ubrania, słuchając radia. Obawiała się oparzeń słonecznych, więc zawsze byliśmy dokładnie wysmarowani kremami. O ile pamiętam, do tamtego dnia wszystkich nas otaczała jednakową opieką.

Każdy z nas miał w ręku po długim patyku, ale mój, szczęśliwym trafem, był największy. William – najstarszy z nas – usiłował wyrwać mi go z ręki, a ja próbowałem nim walnąć Luke'a, który dźgał mnie swoim patykiem jak pirat walczący rapierem, ale ponieważ ja od jakiegoś czasu pomagałem rodzicom nosić zakupy, więc byłem silniejszy i miałem mocniejszy uścisk. Z całej siły smagnąłem Williama przez środek pleców. Zszokowany poczerwieniał jak burak i wydał z siebie skowyt skargi na tę niesprawiedliwość, jaka go spotkała. Mama postukała w szybę i zawołała, żebym zostawił Williama w spokoju. Odkrzyknąłem, że nic mu nie zrobiłem, chociaż to nie była prawda. Wtedy dobiegło nas ciche powarkiwanie. Wszyscy trzej się odwróciliśmy.

Na bocznej ścieżce, pod ścianą domu czaił się owczarek niemiecki. Miał zjeżoną sierść, szczyrzył zęby i warczał, gotowy do skoku. Niczego nieświadoma mama wciąż jeszcze krzyczała do mnie, że „William nie kłamie!”, ale my zamarliśmy z przerażenia. Pamiętam to uczucie, które

przychodzi, gdy wiesz, że zaraz wydarzy się coś złego, a nawet skrajnie koszmarnego, ale nie możesz zrobić nic, żeby temu zapobiec.

Pies wyskoczył w powietrze, runął między nas i obalił wszystkich na ziemię jak kręgle. Z salonu, przewracając deskę do prasowania, wytoczyła się mama uzbrojona w ciężką lampę stołową. To była pierwsza rzecz, która wpadła jej w ręce. Zamachnęła się na psa, wolną ręką odciągnęła mnie i Williama i pobiegła z nami w stronę domu. Luke został sam, osaczony przez zaślinionego potwora. Darł się histerycznie, próbując sięgnąć po jeden z porzuconych patyków, ale szczęki zwierzęcia już zacisnęły się na jego kostce i bydlę zaczęło potrząsać głową, jakby chciało oderwać mu stopę od reszty nogi. Przeraziło mnie to, więc się odwróciłem, żeby nie patrzeć, i wtedy zauważyłem, że William spod przymrużonych powiek obserwuje rozgrywającą się scenę z zainteresowaniem, jakby działo się coś ciekawego, o czym potem będzie warto porozmawiać.

Spojrzałem na mamę, która też śledziła to wszystko pustymi oczami. „Zabierz Luke’a!” – wrzasnąłem. Znów wypadła na zewnątrz, zatraskując za sobą drzwi, żeby nas chronić, ale tym razem miała w ręku rurę od odkurzacza. Rąbnęła psa prosto w łeb, ten puścił nogę Luke’a i uciekł ścieżką wzdłuż ściany domu. Nigdy więcej się nie pojawił.

Mama pobiegła zamknąć za nim furtkę, a potem wróciła do Luke’a, który siedział na ziemi z totalnie zakrwawioną nogą. Już nie płakał, ale był blady i się trząsł. „Dlaczego mnie zostawiłaś?!” – zawył.

Spojrzeliliśmy z Williamem po sobie. Nie znajdowaliśmy słów, żeby wyrazić to, co od zawsze czuliśmy, a od tamtego dnia – wiedzieliśmy. Że my jesteśmy kochani bardziej.

Z biegiem miesięcy albo i lat z tej historii powstała rodzinna legenda. Mama się śmiała i mówiła, że tamtego dnia przydałyby się jej trzy ręce. Kłamała, że wyniosła stamtąd Williama i mnie, trzymając każdego w ramionach. W jej opowiadaniach pies rósł i coraz to zmieniał rasę. Najpierw stał się dobermanem, potem wysłuchiwaliliśmy o rottweilerach. Jego kły wydłużały się i stawały coraz ostrzejsze, a Luke właściwie cudem uniknął amputacji nogi, chociaż w rzeczywistości jego rany były tylko

powierzchowne. William zmyślał, że już wybieraliśmy dla niego wózek inwalidzki. Tata stwierdził, że nigdy wcześniej nie słyszał o tygrysie szablozębnym grasującym na przedmieściach Dublina. Mama powiedziała, że do całej sytuacji by nie doszło, gdyby tata naprawił zamek w bocznej furtce. Tata drażnił się z Williamem i ze mną, nazywając nas maminsynkami, ale my wiedzieliśmy swoje. Lepiej trzymać się we dwóch, niż być samemu.

Gdy któreś z nas znów wyciągało tę historię, nawet po wielu latach, Luke nigdy nic nie mówił. Wszyscy wiedzieliśmy, że to doświadczenie zostawiło w nim głębokie blizny, ale ta historyjka była jednym z naszych małych rodzinnych okrucieństw, niewinnych zbrodni, do których często wracaliśmy.

To był mój ostatni rok studiów humanistycznych. Miałem dwie specjalizacje: francuski i filozofię, ale zupełnie nie wiedziałem, co chcę robić po ich ukończeniu. Przez trzy wieczory w tygodniu kelnerowałem w pseudofrancuskiej knajpie, która jedyną francuską rzecz miała w nazwie: restaurant.

Romanistykę nawet lubiłem, ale filozofia w większości mnie przerastała, nie potrafiłem dłużej zgłębiać wynurzeń Kierkegaarda, Konfucjusza czy Arystotelesa, nie nabawiając się przy tym bólu głowy. Francuski, kultura i historia wchodziły mi całkiem dobrze, ale przy filozofii ograniczałem się do zakuwania z podręczników i wypluwania tej wiedzy na egzaminach tylko po to, żeby je zdać i zapomnieć. Miałem nawet mgliste przypuszczenie, że egzaminatorzy wcale nie czytają naszych prac. Inni ludzie z mojego roku podchodzili do studiów bardzo poważnie. Potrafili siedzieć i spierać się o nihilizm i mroczne kino holenderskie. Myślałem, że w ich towarzystwie umrę z nudów. Znacznie więcej życia było na lektoracie z francuskiego.

Luke przestał się pojawiać na wykładach z inżynierii i zaczął śpiewać w zespole. Mama stwierdziła, że zawsze był skazany na porażkę, ale o kapeli Luke'a mówiło się na całym kampusie. Wszyscy twierdzili, że są kolejnym U2. Podczepiałem się trochę pod ten ich sukces. Chociaż wszyscy trzej studiowaliśmy na jednej uczelni, to rzadko widywałem któregoś z moich braci. Will obronił się rok wcześniej i dostał fuchę jako stażysta w filmie *The Courier*. Tak opowiadał o swojej pracy na planie, jakby osobiście reżyserował, jednak wyraźnie to uwielbiał i było widać, że znalazł swoją ścieżkę kariery, chociaż wydaje mi się, że jego zadanie tak naprawdę

polegało na przynoszeniu kawy reszcie ekipy. Sam dreptałem w miejscu, kombinując, że później zdecyduję, co chcę robić. Zakładałem, że pomysł na życie spadnie na mnie jak grom z jasnego nieba albo że taka czy inna praca stopniowo mnie do siebie przyciągnie, ale jeszcze wtedy nie miałem pojęcia jaka.

Luke i Will pukali tyle lasek, ile weszło, na lewo i na prawo. Will uprawiał seks już od szesnastego roku życia. Mnie też zdarzyło się kilka przygód, ale nadal, ku swojemu zażenowaniu, byłem prawiczkim. Zmieniło się to dopiero, gdy poznałem Sandrę.

Chodziła ze mną na wykłady z francuskiego. Zawsze się spóźniała albo była nieobecna, a czasami mogłem przysiąc, że narzuciła ciuchy wprost na koszulę nocną, żeby zdążyć na wykłady. Jechało on niej alkoholem i fajkami, co by mnie zniechęciło, gdyby nie była przezabawna. Wiodła chaotyczne życie z rodziną składającą się z jedenaściorga rodzeństwa i licznych zwierząt o ludzkich imionach, jak Emily czy Stephen, więc gdy opowiadała jakąś historyjkę o tym, co się zdarzyło w jej domu, nigdy nie było wiadomo, czy mówi o swoim psie, czy o bracie. W studenckim barze często znajdowała się w centrum uwagi i chociaż wszyscy byliśmy dość splekani, staraliśmy się jednak wyskrobać jakąś kasę na dodatkowy kufel piwa dla niej, jeśli dzięki temu miała nas zabawić przez następne pół godziny. Bezwstydnie mówiła o seksie, kochankach i masturbacji (a więc dziewczyny się masturbują – kto by pomyślał?), dlatego większość facetów oczywiście myślała, że mają u niej szanse. Nie wydawała się specjalnie ładna ani szczupła, ale była atrakcyjna w najlepszy z możliwych sposobów. Każdy chciał należeć do kręgu jej znajomych. Ponieważ robiłem obszerne notatki na wykładach i kserowałem je dla niej, gdy była nieobecna, sam jak najbardziej do niego należałem.

Luke miał grać koncert w Olympii. Jak na jego zespół, The Wombstones, to była wielka sala, a ja, tak jak wszyscy, chciałem się przespać z Sandrą. Pomyślałem, że mógłbym ją skusić biletami na występ Luke'a. Jedyna wada tego rozwiązania była taka, że musieliśmy dzielić łóżę z mamą, ciocią Peggy, Willem i jego gościem, kimkolwiek by był. Sandra była zachwycona,

gdy zaprosiłem ją na randkę, chociaż opadły mi ręce, gdy stwierdziła, że Luke jest „totalnym ciachem do wydymania”. To zadziwiające, jak dziewczyny tracą rozum dla przeciętnie wyglądających facetów, którzy potrafią trochę pośpiewać. Na uczelni jednak wszyscy mieli bootlegowe kasety z koncertów Luke’a, a Sandra знаła na pamięć teksty wszystkich jego piosenek.

Zaprosiłem ją, żeby przed koncertem przyszła do nas na kolację. Luke miał grać o północy, co strasznie wkurzało mamę. „Koncert, który zaczyna się o północy? To jakaś kpina!” Prawda była taka, że o dwunastej zamykano już wszystkie puby w mieście, ale Olympia miała licencję na sprzedaż alkoholu do późniejszej godziny. Piło się tam legalnie do drugiej nad ranem. Wolałem nie mówić mamie, że publika będzie w większości pijana.

Will zgodził się przyjechać po nas o jedenastej trzydzieści, a ciocia Peggy miała już czekać na miejscu. Sandra pojawiła się na kolacji z półgodzinnym spóźnieniem, ale dokładnie tego się spodziewałem. Poinformowałem ją wcześniej, że kolacja będzie o ósmej, a mamę poprosiłem, żeby przygotowała ją na ósmą trzydzieści. Mama prychnęła, żebym się nie spodziewał Bóg wie jakich frykasów – poda gęstą zupę i kupi bochenek chrupiącego chleba, to wszystko. Strasznie narzekała, że musi długo czekać i pić hektolitry kawy, żeby nie zasnąć. Sandra wpadła do nas do domu jak granat do okopu i z miejsca zaczęła się jej podlizywać:

– Ta pani rola w Cichym ogrodzie w teatrze Eblana była fantastyczna! – oświadczyła. – Poszliśmy na to całą rodziną. Zajęliśmy chyba z pół widowni! – Pochlebstwa natychmiast wprawiły mamę w łaskawy nastrój. Dostrzegła w Sandrze prawdziwą fankę i zignorowała nawet fakt, że ta była ubrana jak Madonna w teledysku Like a Virgin, czyli od lat niemodnie, a przy tym tanio i tandetnie. Ramiączka stanika wystawały jej spod bluzki, miała miniówkę z przecierkami i fatalnie ufarbowane włosy, z jednej strony leżące płasko jak słoma udeptana przez bydło, a z drugiej zaczesane dziko do tyłu jak stóg siana.

Już po chwili radośnie gawędziły z mamą i – jak to zwykle bywa na spotkaniach towarzyskich w Irlandii – szybko znalazły wspólnych

znajomych. Okazało się, że ciotka Sandry pracowała jako wizazystka w RTÉ, gdy mama grała w kręconej tam telenoweli, a sąsiadka Sandry była położną, która odbierała porody całej naszej trójki. Mama skrzywiła się i zbladła.

– O porodach wolałabym nie rozmawiać, dobrze?

Mama zmieniła temat i zaczęła znów narzekać na późną godzinę koncertu Luke'a.

– Przecież nie musisz jechać – zauważyłem całkiem do rzeczy, choć wiedziałem, że Luke się ucieszy, gdy ją tam zobaczy.

– Ależ oczywiście, że twoja mama chce pójść – wcięła się Sandra. – To bardzo ważny wieczór dla Luke'a i Melissa na pewno nie chce go przegapić, prawda?

Mama uśmiechnęła się blado.

– Oczywiście, że nie.

Wreszcie zjawił się Will, żeby nas zabrać. Zlustrował Sandrę od stóp do głów, po czym spojrzał na mnie pytająco. Gdy wsiadaliśmy do samochodu, mruknął:

– Skąd wytrzasnąłeś to coś?

– Co?

– No ją... Jezu, jak ona wygląda. Brian, błagam, powiedz mi, że nie kręcisz z nią na poważnie. To chodząca żenada.

Poczułem, jak krew napływa mi do twarzy. Will wcale jej nie znał, ale sam wygląd wystarczył mu, żeby ją oceniać. Nie słyszał, jak Sandra się śmieje, opowiada zabawne historie albo śpiewa sprośne piosenki.

– Odpieprz się, Will. To superfajna laska, a ty jesteś płytki jak kałuża. – Prychnął tylko z lekceważeniem.

Byłem wściekły. Wpakowaliśmy się wszyscy do samochodu. Pomyślałem, że może Will przekona się do Sandry, bo w drodze do centrum miasta, uraczyła nas zabawną opowieścią o spaniu z rodzeństwem na łóżkach piętrowych w skromnym trzypokojowym domu, w którym dorastali. Will jednak milczał. Mama ryczała ze śmiechu.

Ja, chociaż już tę historię słyszałem, również zmusiłem się do chichotu, żeby zrównoważyć chamskie zachowanie brata. Gdy tylko zaparkowaliśmy, William wystrzelił do przodu, dając jasno do zrozumienia, że nie chce być widziany w jej towarzystwie. Sam nie przyprowadził żadnej osoby towarzyszącej na ten wieczór. Dzięki wrodzonej pewności siebie zwykle miał na podorędziu jakąś zachwycającą blondynkę, ale teraz sygnalizował jednoznacznie, że ten koncert jest mu okropnie nie na rękę, i oboje z mamą prześcigali się w narzekaniach, jaki to samolubny musi być Luke, żeby organizować występy o tej porze. Był to oczywiście nonsens, bo Luke nie wybierał terminu ani godziny koncertu. Miał szczęście, że mu go zaproponowali. To był dla niego przełom. Ciocia Peggy czekała na nas przy drzwiach za kulisy, roztrzęsiona scenami rozgrywającymi się w zaułku pełnym półnagich nastolatek, wączaczy kleju i ulicznych obszcymurów. Portier wpuścił nas do środka i zaprowadził do łoży, a mama potraktowała faceta protekcyjnie, wciskając mu napiwek, którego ten ani się nie spodziewał, ani go nie oczekiwał.

Na początku grał support. Kapela była tak fatalna, że po prostu musieliśmy uciec z łoży na korytarz, żeby przeczekać ich jazgot. Will zaproponował, że pójdzie do baru po drinki. Mama, ciocia Peggy, Sandra i ja zostaliśmy pod łożą, rozmawiając, ale Will nie śpieszył się za bardzo. Kiedy nareszcie wrócił, pierwsze szarpidruły, dzięki Bogu, skończyły grać. Wróciliśmy do łoży i zajęliśmy miejsca. Było około wpół do pierwszej w nocy.

Mama co chwila ziewała, a Will spoglądał na zegarek, mamrocząc „kurwa, ja pierdołę”. Potem na scenę weszli The Wombstones. Luke wyglądał kompletnie obciachowo w pożyczonej od mamy różowej marynarce z cekinami, którą założył na T-shirt z misiami z kreskówki. Mama wyjęła z torebki lornetkę teatralną i skierowała ją na scenę. Sandra wstała i zaczęła wiwatować. Dołączyliśmy do niej z ciocią Peggy. Na widowni było niewiele ludzi. Tłum nie zdążył wrócić z baru po tym, jak support zszedł ze sceny. Z dołu dochodziły do nas odgłosy rozmów, piski, śmiechy i mgła papierosowego dymu. Publika nie przyjęła zespołu Luke’a

entuzjastycznie. Ludzie co najwyżej zauważyli, że nowa kapela weszła na scenę.

Próbowałem nawiązać z Lukiem kontakt wzrokowy, ale skupiał się na występie. Kroczył na sztywnych nogach jak samotna papuga, podczas gdy zespół uwijał się za nim, rozpaczliwe starając się wygenerować trochę energii. To było żenujące. Koncertując na uczelni, Luke dawał znacznie większego czadu. Wtedy pokazywał, że naprawdę żyje! Mama siedziała daleko ode mnie, ale zauważyłem, jak Luke kilka razy spogląda w jej stronę. Gdy się odwróciłem, żeby zobaczyć jej reakcję, zdrapywała lakier z paznokci. W ogóle nie patrzyła na scenę. Ciocia Peggy szturchnęła ją, zagwizdała i zaczęła wiwatować, ale mama pozostała niewzruszona. Ostentacyjnie ignorowała koncert. Kiedy nadeszła przerwa, stwierdziła, że jest zbyt zmęczona, żeby zostać dłużej, i zażądała, by Will odwiózł ją do domu.

Zawsze miałem świadomość, że mama woli Willa i mnie od Luke'a, ale myślę, że jednak na swój sposób musiała go kochać. Wściekała się i była sfrustrowana, gdy Luke wpadał w złe nastroje albo gdy w dzieciństwie odwał szalone akcje, ale to dlatego, że przynosił jej wstyd. Pamiętam, jak raz, może dwa razy, mówiła o nim coś miłego, ale nigdy nie mówiła miłych rzeczy jemu. Luke zdecydowanie czuł się przez nią niekochany. Trzymał się bliżej z tatą. Ale tata zachowywał się tak samo wobec nas wszystkich. Tak po prostu było i już, więc tego nie kwestionowałem.

Will odwiózł do domu ciocię Peggy i mamę swoim zdezelowanym nissanem micrą, a Sandra i ja zostaliśmy sami w pustej łoży ze szkłem pełnym niedokończonego piwa i wina. Objąłem ją ręką w talii – to wystarczyło. Zareagowała namiętnie i na podłodze w łoży teatru Olympia przestałem być prawiczkiem. Drugiej połowy koncertu Luke'a nie widzieliśmy, ale za to bardzo dobrze ją słyszeliśmy. Zespół przekuł porażkę w sukces. Tłum tupał w dzikim uwielbieniu, ale my byliśmy zbyt zajęci sobą, by oglądać koncert. Nie orientowałem się, czy Sandra jest dobrą kochanką, bo nie miałem nikogo, z kim mógłbym ją porównać, ale z pewnością była bardzo hojna w swoich uniesieniach i lubię myśleć, że ja

też ją zadowolilem. Właściwie to wiem, że tak było, bo dyszała dziko i kwiczała jak zarzynane prosię, ale na szczęście odgłosy jej pożądania utonęły w nawałnicy dźwięku płynącej ku nam ze sceny i z widowni.

Na niedzielnym obiedzie Will bez końca nawijał, że Sandra jest brzydka, że lepiej mi będzie bez niej, że jej towarzystwo na wczorajszym koncercie to jedna wielka żenada. Kazałem mu się odpieprzyć, bo Sandra nie jest moją dziewczyną, tylko kumpelą, więc wszystko jedno.

– No mam nadzieję, bo jak cię ludzie z nią zobaczą, to pomyślą, że jesteś jeszcze gorszym frajerem niż bez niej. – Potem przesiadł się na Luke’a. Powiedział mu, że nie umie śpiewać, ma zespół do dupy i niech lepiej wraca na studia. Żeby odwrócić uwagę od siebie, w tym ostatnim punkcie zgodziłem z Willem.

– Luke, serio, zmierzasz donikąd. Jeden koncert w Olympii nie zrobi z ciebie gwiazdy.

– Żadne z was nie widziało drugiej części – zaproponował Luke płaczkliwie.
– Daliśmy czadu! Znowu będziemy tam grać, na ich zaproszenie. W styczniu i lutym mamy zaklepane dwa koncerty w tygodniu!

W tamtej chwili weszła mama. Słowem nie wspomniała o koncercie Luke’a, oświadczyła jedynie, że chce odzyskać swoją marynarkę i że Luke ma więcej nie brać rzeczy z jej garderoby.

W następnym tygodniu wpadłem na Sandrę na uczelni. Zaczęła już kręcić z Fintanem, co jednak nie powstrzymało jej przed poczęstowaniem bywalców studenckiego baru opowieścią o naszym bzykanku na podłodze łoża teatru Olympia. Wszyscy uznali ten wyskok za bezczelny i zabawny, a ja zyskałem kilka punktów popularności. Nie żywiłem do Sandry żadnych specjalnych uczuć, ale okrutne słowa Willa na jej temat nie chciały wywietrzeć mi z głowy. Powoli oddalałem się z jej kręgu, co przychodziło mi o tyle łatwiej, że w następnych miesiącach rzadko widywaliśmy się poza salą wykładową. Raczej nie zauważyła, że z mojej strony było to celowe działanie, jednak zawsze będę jej wdzięczny za pozbawienie mnie nieszczęsnego dziewictwa w megaekscytujący sposób i za to, że potem się

tego nie wstydziła ani się z tym nie kryła. Pewnego dnia, pod koniec ostatniego semestru, zobaczyła mnie na korytarzu i odciągnęła na bok.

– Brian, nie żałujesz, prawda? Chyba nie myślałeś, że będzie z tego związek, co?

Zarumieniłem się.

– Nie, no pewnie, że nie.

– To dobrze, bo dla mnie ta noc na zawsze pozostanie jedną z najniegrzeczniejszych – zaśmiała się.

Jedną z najniegrzeczniejszych.

– Swoją drogą, nie chciałam wtedy o tym wspominać, ale twój brat to gnojek. Nie Luke, Will. Wtedy na koncercie, gdy siedziałam między wami, próbował mnie obmacywać. Bez słowa, na bezczela. Co za palant.

Miała całkowitą rację.

1995

Mieszkałem wtedy w Paryżu. Uczyłem angielskiego w prywatnej szkole, Institut Charles Sorel, mieszczącej się w dużej kamienicy. To była szósta dzielnica, niedaleko Sorbony. Dostałem tam też kwaterę – małą i skromną, ale funkcjonalną klitkę na ostatnim, piątym, piętrze, bez windy.

W wieku dwudziestu pięciu lat, w trosce o własne zdrowie psychiczne, musiałem opuścić Dublin, a Paryż wydawał się miejscem, w którym mógłbym o wszystkim zapomnieć i zacząć od nowa. Zaliczyłem kilka rozmów kwalifikacyjnych, żeby dostać tę pracę, bo szkoła była bardzo ekskluzywna. Ściemniłem w CV, że dzieci ambasadora Francji w Dublinie chodziły do mnie na lekcje angielskiego. Podrobiłem nawet list polecający, a ponieważ mój francuski był dobry, przestudiowałem szkolne założenia dydaktyczne i wymyśliłem własny plan zajęć, co zrobiło wrażenie na dyrekcji. Dostałem umowę na czas nieokreślony.

Pomyślałem, że uczenie angielskiego młodych Francuzów może być zajęciem nieco bardziej znaczącym od wciskania wiedzy dzieciakom, które myślą, że skoro tym językiem mówią, to czytać w nim już nie muszą. Rzeczywistość mnie jednak rozczarowała. Nastolatki na całym świecie są takie same. Okazanie zainteresowania tematem było równoznaczne z okazaniem słabości. Na zajęciach panowała apatia. Do klasy chodziło dwoje bystrych uczniów: dziewczyna imieniem Arabelle i chłopak Sasza. Tylko oni uważali i brali udział w lekcjach. Skończyło się na tym, że wszystkie zajęcia układałem pod nich, a resztę miałem tak głęboko jak oni mnie. Zdawałem sobie sprawę, że nie jestem dobrym nauczycielem – wpadłem w tę koleinę po studiach, choć wcale nie zależało mi na tym, żeby

zostać belfrem. Chyba wtedy jeszcze nie wiedziałem, kim chcę zostać, kiedy dorosnę.

Po miesiącu pracy w szkole jeden ze starszych nauczycieli przeszedł na emeryturę i cała kadra została zaproszona na obiad do La Saucisserie, popularnej i drogiej restauracji, która szczyła się opinią ekscentrycznej, chociaż serwowane tam jedzenie wcale nie było nadzwyczajne. Sery, wędliny, sałatki, quiche'e i wszechobecna francuska zupa cebulowa. Ludzie odwiedzali ją dla atmosfery i wystroju wnętrza. Dania podawano na talerzach z różnych kompletów, a wino – w dużych filiżankach do kawy. Funkcję krzeseł pełniły odnowione ławki ze starych kościołów. Ściany były obwieszane lusterkami do golenia i powycinanymi z czasopism na wpół pornograficznymi zdjęciami w drogich, ozdobnych, złożonych ramkach.

Conrad przyciągnął mój wzrok, gdy tylko wszedłem do restauracji. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, kim jest. Myślałem, że przyszedł na obiad tak jak my, ale stopniowo dotarło do mnie, że tam pracuje, bo zajął stolik przy wejściu i zliczał paragony na kalkulatorze.

Od śmierci mojego kuzyna Paula upłynęło szesnaście lat. Byliśmy wtedy dziećmi, ale gdy później o nim myślałem, co zdarzało mi się często, zawsze wyobrażałem go sobie w moim wieku. Conrad ze swoimi wielkimi oczami i włosami w kolorze piasku był wykapanym dorosłym Paulem z mojej wyobraźni. Wyglądał dokładnie tak jak on, choć może był trochę starszy. Facet średniego wzrostu, o szerokich ramionach i dużych kwadratowych dłoniach. Sprawiał wrażenie silnego fizycznie. Przyglądałem mu się zafascynowany, wyobrażając sobie, że reinkarnacja jednak istnieje i oto widzę drugie wcielenie mojego przyjaciela z dzieciństwa. Wszystkich obecnych przy naszym stoliku ignorowałem. W pewnym momencie Conrad podniósł wzrok, zauważył moje przeciągłe spojrzenie i uśmiechnął się kurtuazyjnie. Był to zwykły uprzejmy uśmiech, jakim właściciel knajpy może obdarzyć klienta, nic więcej, ale ja już wtedy rozpaczliwie pragnąłem z nim porozmawiać, usłyszeć, jak mógłby zabrzmieć głos Paula po mutacji, zobaczyć, czy podobnie się zachowuje. Podobno każdy ma gdzieś na świecie swojego sobowtóra, ale bardzo niewielu osobom zdarza się go

spotkać. Jednak myśl, że po śmierci Paula ktoś, kto wygląda jak on, może nadal żyć, zupełnie wytrąciła mnie z równowagi.

Po skończonym obiedzie podszedłem do faceta i przepaszając, że się gapiłem, moją naznaczoną irlandzkim akcentem francuszczyzną wyjaśniłem, że wygląda jak mój kuzyn, że są prawie identyczni. Roześmiał się i odpowiedział po angielsku:

– Więc rozumiem, że facet jest przystojny, tak? – Zabrzmiał zupełnie jak Paul i zrobił tę samą zadziorną minę. To było niesamowite.

– No tak, z tym że mój kuzyn nie żyje.

W jego oczach pojawił się smutek.

– Bardzo mi przykro to słyszeć.

Zacząłem się plątać w wyjaśnieniach, że to było dawno temu, że Paul umarł w dzieciństwie i że sobie wyobrażałem, że gdyby żył, to mógłby wyrosnąć na kogoś podobnego do niego.

Nie jestem do końca pewien, czy facet rozumiał, co mówię, ale jeśli nie, to może i lepiej, bo cała ta historia zabrzmiała jak rojenia wariata. Tak czy inaczej, wyciągnął rękę i przedstawił się. Zaprosił mnie do stolika i zaoferował kieliszek pastis. Potem uniósł swój:

– A Paul. Je suis vraiment désolé. ^[3]

Wcześniej nie wznosiłem toastów za Paula. Nigdy o tym nie pomyślałem, ale teraz ten gest wydał mi się szlachetny i właściwy. Uśmiechnąłem się do Conrada.

– Merci.

Potem rozmowa zeszła na luźniejsze tematy. Powiedział mi, że wcześniej mieszkał trochę w Nowym Jorku w dzielnicy West Village, a właścicielem La Saucisserie jest od roku. Prowadzi ją z André, partnerem, który daje mu wolną rękę w zarządzaniu restauracją, bo sam jest bankierem inwestycyjnym. Od razu skojarzyłem, że nie tylko są partnerami biznesowymi, lecz także łączy ich uczucie.

– A pan? – spytał. – Ma pan żonę? Kochankę?

Jak miałem wytłumaczyć nieznannej osobie, że jedyną kobietą, którą w życiu kochałem, jest nowa żona mojego brata? A jednak ta bliskość, która łączyła mnie z Paulem, wydawała się działać i tutaj, więc opowiedziałem – zupełnie obcemu facetowi – o swojej miłości do Susan.

– Tak być nie może! – zagrzemiał, stukając papierosem o srebrną papierośnicę. – Paris pęka w szwach od pięknych kobiet. Musisz sobie jakąś znaleźć, et vite^[4]!

Zaśmiałem się.

– To nie takie proste, bo trzeba dorównać Francuzom. Dobrze wiesz, że macie swoją reputację.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wyszedłem, obiecując, że jeszcze wrócę. Restauracja była otwarta przez cały dzień. W każdej chwili mogłem tam wpaść na kawę. Wkrótce zostałem stałym bywalcem. Conrad i ja zaprzyjaźniliśmy się i chociaż nie mógł mi zastąpić Paula, to polubiliśmy się na tyle, że nie przeszkadzały mi nawet komentarze francuskich kolegów, że Conrad jest gejem i mogę stać się obiektem plotek. Dorastałem w domu, który kręcił się wokół piosenkarki i aktorki, więc towarzystwo gejów i lesbijek nie było dla mnie niczym dziwnym ani niezwykłym.

Przebimbałem w lycée ponad rok, latem dawałem prywatne lekcje. Gdybym był lepszym nauczycielem, pewnie przewidziałbym problem, ale w Irlandii dziewczęta chodziły przeważnie do żeńskich szkół, w których uczyły zakonnice albo inne kobiety, a chłopcy uczęszczali do szkół dla chłopców i ich kształceniem zajmowali się księża i inni mężczyźni. Sam przed wyjazdem do Paryża nigdy nie uczyłem w klasie mieszanej. Muszę przyznać, że polityka seksualna prowadzona wśród francuskich nastolatków mnie zafascynowała. Dziewczyny wydawały się znacznie dojrzałe od chłopców. Przeważnie po prostu oganiały się od nich jak od much. Były zadbane i miały drogie rzeczy. W wieku czternastu lat zachowywały się jak młode kobiety, a chłopcy aż do końca szkoły nie przestawali być dziećmi. A może i dłużej. Mówię z własnego doświadczenia.

Arabelle Grasse wyglądała tak jak reszta dziewcząt. Chociaż jej ciało już rozkwitło i pozowała na trzydziestoletnią, znudzoną życiem rozwódkę, to jeszcze nie przestała być dzieckiem. Często zostawała po lekcjach, żeby dopytać o przerabiane teksty albo prace domowe. Powiedziała mi, że uwielbia angielski i jeszcze przed maturą złoży papiery na studia w Cambridge. Ładna piętnastolatka o nieskazitelnej skórze, doskonałych zębach i długich miodowobrazowych włosach, które opadały jej do pasa. Nie znałem się za bardzo na dziewczęcej modzie, ale chociaż w szkole obowiązywały dość zwyczajne mundurki: niebieska marynarka, biała koszula i niebieska spódnica, to wszystkie dziewczęta podwijają spódnice powyżej kolan, wiążą koszule nad pępkiem i rozpinają guziki, żeby odsłonić dekolt – jeśli miały co odsłaniać. Chłopcy natychmiast się rozprasali, ale ja widziałem w swoich uczennicach tylko dzieci.

Niestety Arabelle nie widziała we mnie nauczyciela. Stanowiłem dla niej obiekt źle ulokowanego uczucia. To było takie nastoletnie zadurzenie. Całkowicie irracjonalne, jak to miłości, bo ani nie można mnie było uznać za przystojnego, ani nie odniosłem żadnych sukcesów, ani nie byłem bogaty. Nie miałem samochodu ani nawet eleganckiej lnianej marynarki. Żebym chociaż palił papierosy! Gdy we wrześniu przyniosła list od matki z prośbą o korepetycje, szczerze się ucieszyłem z możliwości zarobienia pieniędzy górką i zignorowałem fakt, że Arabelle nie potrzebuje dodatkowych zajęć. Znacznie przewyższała wiedzą swoich rówieśników.

Ustaliliśmy, że wieczorami, dwa razy w tygodniu będę przychodzić do jej eleganckiego mieszkania przy Boulevard Saint-Germain i czytać z nią Szekspira, siostry Brontë i Thomasa Hardy'ego. Dało się wyczuć, że to nie jest najszcześniejszy dom. Ojciec Arabelle pracował w Lyonie. Przypuszczałem, że jej rodzice są w separacji. Matka cierpiała na uporczywe migreny. Widziałem ją tylko kilka razy, ale zawsze pokazywała się rozczochrana i w szlafroku. Stawała przy kuchennym zlewie i łykała prochy przeciwbólowe, popijając wodą ze szklanki. Arabelle miała też brata, który wyjechał na uniwersytet do Nowego Jorku. Najwyraźniej dzieci

nie chciały mieszkać w rodzinnym domu, a studia były dla nich okazją do ucieczki.

Gdy przyszedłem na korepetycje po raz pierwszy, drzwi otworzyła madame Grasse. Zaprowadziła mnie do pokoju Arabelle i oznajmiła, że musi iść się położyć. Ponieważ wszystkie okna były zasłonięte, w półmroku majaczyły zarysy starych ciemnych mebli, a na kredensach tu i ówdzie połyskiwały wielkie srebrne kandelabry. Pokój mojej uczennicy był większy od mieszkanka, które zajmowałem w szkole. Arabelle upiekła ciasto i uparła się, że powinienem go spróbować, zanim zaczniemy lekcję. Musiałem ją kilka razy zapewnić, że mi smakuje. Nalegała, żebym później zabrał resztę ze sobą. Miałem gotowy plan zajęć na nasze spotkania, ale poprosiła, żebyśmy każde spotkanie zaczynali od konwersacji po angielsku, bo dzięki temu będzie miała właściwe nastawienie, gdy już dojdziemy do pracy z tekstem. Zgodziłem się na kwadrans konwersacji i trzymałem się banalnych tematów. Gdzie spędziła wakacje? Co lubiła oglądać w telewizji? Kto był jej ulubionym muzykiem? To pytanie miało być podchwytliwe. Nikomu nie mówiłem, że moim bratem jest Luke Drumm, ale we Francji był sławny. Arabelle podała nazwę jakiegoś francuskiego zespołu, o którym nigdy nie słyszałem. Potem sama zasypała mnie pytaniami. Jak jest w Irlandii? Czy bardziej podoba mi się tam, czy we Francji? Co najbardziej lubię jeść? Wskazując na moją dłoń, spytała, czy jestem żonaty i czy Irlandczycy noszą obrączki. To powinien być pierwszy dzwonek alarmowy, ale go nie usłyszałem.

Na drugą wizytę przygotowała moje ulubione danie, chociaż to wcale nie była pora kolacji. Miała na sobie obcisłą spódnicę z rozcięciem na boku, przez które było widać nagą, błyszczącą skórę nóg. Tego dnia z jakiegoś powodu czułem się mniej swobodnie. Zamiast obok niej, tak jak poprzednio, usiadłem po drugiej stronie stołu. Patrzyła na mnie znacznie częściej, niż zaglądała do książki. Tym razem ograniczyłem konwersację do pięciu minut i sam zadawałem pytania, dbając o to, żeby były nieciekawe i ogólne.

Po kilku tygodniach korepetycji zaczęła się ze mną spoufalać w szkole. Zwracała się do mnie po imieniu przy innych uczniach, chociaż nigdy jej nie mówiłem, jak mam na imię, wcześniej zawsze zwracała się do mnie per monsieur. Idąc za jej przykładem, pozostali też zaczęli mi brianować, jednak wypowiadali moje imię złośliwie kokieteryjnym, dziewczęcym głosem. Niektórzy chłopcy cmokali głośno za moimi plecami. Dotarło do mnie, że – cokolwiek im powiedziała – straciłem w tej klasie resztki szacunku.

Napisałem do jej matki listek z prośbą o przeniesienie naszych lekcji do szkolnej biblioteki, która była otwarta do dziewiętnastej. W szkole dopadła mnie zapłakana Arabelle, pytając, dlaczego nie chcę już przychodzić do niej do domu. Zełgałem, że dorabiam w restauracji blisko szkoły, skąd miałbym do niej za daleko. Oczywiście chciała wiedzieć, w której restauracji, więc w przeblysku geniuszu znów skłamałem, że w La Saucisserie.

Musiała tam czatować całymi dniami, bo gdy następnym razem wybrałem się do restauracji, jakiś tydzień później, przeszła za oknem i pomachała mi. Po chwili weszła do środka i nieproszona usiadła obok mnie w swoim szkolnym mundurku.

– Witaj, Brian! Jak się masz? Ja też zamówię kawę. Chcesz jeszcze jedną? Może moglibyśmy tutaj kontynuować nasze lekcje? W bibliotece jest tak duszno, a tu tak wygodnie, nieprawdaż? Czyżbyś czekał na swoją zmianę?
– W miarę jak przewalała się ta fala pytań, zadawanych bezbłędnym angielskim, robiłem się coraz bardziej czerwony ze wstydu, wiedząc, że smarkula przyłapała mnie na kłamstwie, a na dodatek stawia mnie w potencjalnie niebezpiecznej sytuacji.

– Arabelle, mimo że nie jesteśmy w szkole, musisz zwracać się do mnie per monsieur, a poza tym to nie jest odpowiednie miejsce na lekcje.

– To moja ulubiona restauracja. Pracujesz tu w weekendy czy tylko wieczorami?

Zgadywałem, że nigdy wcześniej tu nie była.

Obok mnie wyrósł zaskoczony Conrad.

– Brian, kim jest twoja bardzo młoda znajoma? – spytał.

– To Arabelle, moja uczennica. – Położyłem nacisk na ostatnie słowo. Próbowałem nawiązać kontakt wzrokowy z Conradem, ale on już patrzył na nią z dezaprobatą. – Conrad, może powinienem zacząć swoją zmianę? Arabelle, musisz już iść. Właściciel nie lubi, gdy w czasie pracy rozmawiam z gośćmi. – Conrad uniósł brew, ale kiwnął głową i nic nie powiedział. Nie wydał mnie, ale też nie zamierzał przykładać się do mojego kłamstwa.

Arabelle wyszła, zdążyła jednak posłać mi całusa na odległość i krzyknąć: „Do jutra!”.

Tym razem po francusku, Conrad wyraził swoje niezadowolenie:

– Wiem, mówiłem ci, że w Paryżu roi się od pięknych kobiet, ale ile ona ma lat? Szesnaście? Nie można zachęcać nieletnich. Dlaczego jej powiedziałaś, że tu pracujesz?

– Wiem. Naprawdę do niczego jej nie zachęcałem. Skłamałem, że tu pracuję, żeby się wykręcić od prywatnych lekcji u niej w domu, bo tam też się zrobiło niezręcznie. A tu przyszła z własnej inicjatywy. Nie wiem, co mam z tym zrobić.

– To bardzo niedobrze! – skwitował. Widziałem, że mi wierzy. – Musisz ją zniechęcić. I poinformuj szkołę. Przerwij to.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Większość uczniów miała mnie w głębokim poważaniu, a w opinii kadry nauczycielskiej byłem dziwakiem i odludkiem. Nie spędzałem z nimi wiele czasu na gruncie towarzyskim. Gdybym nagle stwierdził, że jedna z uczennic się we mnie podkochuje, czy by mi uwierzyli? Wśród nauczycieli było kilku innych facetów, znacznie przystojniejszych i bardziej popularnych ode mnie. Może właśnie dlatego Arabelle wybrała mnie? Bo o moją uwagę nie trzeba było z nikim konkurować? Bo rzeczywiście inne dziewczęta traktowały mnie tak samo jak swoich nastoletnich kolegów.

Powinienem był działać od razu. Podjąć jakieś kroki. Ale tego samego wieczoru zadzwonił Luke z wiadomością, że w maju przyjeżdża do Paryża na kilka koncertów, a zaraz po nich będzie miał parę wolnych dni. Zepchnąłem myśli o Arabelle na dalszy plan. Przypomniałem sobie o niej dopiero później, gdy wszedłem do klasy i otoczył mnie tłumek dziewczyn,

które zaczęły wypytywać o Luke'a. Przed koncertami we Francji dał wywiad do młodzieżowego magazynu „Jeune et Jolie”, w którym wspomniał, że ma nadzieję spędzić trochę czasu ze swoim bratem, Brianem, nauczycielem w paryskim liceum. „Czy to pan, monsieur? Czy to pan?” Zamiast zaprzeczać, pomyślałem, że może tym razem – wyznając prawdę – mam szansę odzyskać trochę uznania. W tłumku zawrzało i rozległy się wiwaty. Wszyscy zaczęli się domagać biletów i spotkania z moim bratem. Powiedziałem, że zobaczę, co da się zrobić. Moja popularność wśród uczennic nagle poszybowała w górę!

Załatwienie dwudziestu darmowych wejściówek nie stanowiło problemu. Arena Omnisports, na której odbywał się koncert, była ogromna. Postanowiłem, że urządzę loterię z biletami, ale ich nie rozdaję, tylko sprzedam za pół ceny, bo potrzebowałem dodatkowej gotówki. Uczniowie i tak myśleli, że robię im przysługę. Chętnych, głównie dziewcząt, w trzech klasach, które uczyłem, było znacznie więcej niż dwadzieścioro. Celowo nie wyciągnąłem z kapelusza karteczki z imieniem Arabelle. Po losowaniu przyszła do mnie zła. „Ale przecież jesteśmy przyjaciółmi! Nie możesz mnie zabrać jako swojego gościa?” Rozłożyłem ręce z obojętną miną i skłamałem, że tym razem miała pecha. Powinienem być sprostować, że wcale nie jesteśmy przyjaciółmi, ale bałem się łez i oskarżeń. Mimo wszystko nie chciałem zranić jej uczuć.

Arabelle była jednak zaradna. Znalazła sposób, by pójść na koncert. Pojawiła się na widowni, machając koszmarnie drogim biletym, który kupiła za własne pieniądze. Po występie zażądała, żebym przedstawił ją Luke'owi wraz z pozostałymi uczniami. Wcześniej załatwiłem im piętnastominutowe spotkanie z moim bratem, na którym miał się z nimi zapoznać i rozdać autografy. Luke uprzejmie pozował do zdjęć z „moimi” dziećmi i ich rodzicami, którzy przyszli odebrać pociechy z koncertu. Szczęśliwa młodzież w końcu się rozeszła, ale Arabelle została. Gdy wsiadałem do limuzyny Luke'a, którą mieliśmy wrócić do hotelu Lutetia, smarkuła wpakowała się do środka zaraz za mną.

Jej tupet i arogancja mnie wnerwiły. „Arabelle, musisz wracać do domu. Chcę spędzić trochę czasu z bratem, na osobności”. Luke był dla niej miły. Podarował jej swój plakat i kilka płyt CD. Ale ja warknąłem, że młoda ma sobie iść. Nadała się, ale w końcu wysiadła z wozu.

Luke myślał, że to jego fanka. Nie chciało mi się wyjaśniać, jaka jest prawda. Pojechaliśmy do hotelu i tam się upiłem. Luke pozostał przy fance, ale zjadł kilka francuskich ciastek. Kilkakrotnie wspominał o Willu, ale za każdym razem zmieniałem temat. Łatwo było odwrócić jego uwagę.

Następnego dnia w szkole zostałem po lekcjach wezwany na dywanik do dyrektora. Z miejsca się zorientowałem, że będę miał kłopoty. Poczucie paranoi potęgował jeszcze kac po wczorajszym.

– Co się dzieje pomiędzy panem a Arabelle Grasse?! – zbulgotał wściekle. Stał za biurkiem, kurczowo ściskając oparcie fotela. Zacząłem się wiercić na krześle.

– Absolutnie nic, monsieur le proviseur^[5], to znaczy myślę, że ona się we mnie podkochuje. Ale w żaden sposób jej do tego nie zachęcałem.

– Rozumiem, że ma pan brata, który jest gwiazdą popu? – stwierdził zniesmaczony. – I że wczoraj zabrał pan ją oraz dwadzieścioro innych uczniów na jego koncert, w dzień powszedni?

– No... tak. Załatwiłem im bilety, bo uczniowie bardzo chcieli pójść. Ale urządziłem loterię i Arabelle nic nie wylosowała. Zadbąłem o to. Rodzice o wszystkim wiedzieli, monsieur, otrzymałem od nich zgodę na piśmie.

– O tak, rodzice o wszystkim wiedzą. Jeden z nich zatelefonował do mnie rano z informacją, że widziano, jak Arabelle Grasse wsiada z panem i pańskim bratem do limuzyny.

– Próbowła, ale kazałem jej wysiąść.

– Rozumiem też, że udziela jej pan prywatnych lekcji, chociaż jest jedną z najlepszych uczennic w szkole? – Spuściłem wzrok. – Zorganizował pan to wszystko bez konsultacji ze mną ani z madame la proviseur adjoint^[6]? Czy pan wie, że Arabelle opowiada kolegom, że jest pan jej chłopakiem?

– Co? Nie! To jakaś kpina...

– Czy w jakikolwiek sposób dawał jej pan do zrozumienia, że żywi wobec niej jakieś uczucia?

– Nie! Przecież ona jest dzieckiem. Oczywiście, że nie.

Usiadł. Ale czy mi uwierzył?

– To dowodzi, że niewłaściwie ocenił pan sytuację. Przykro mi, ale konieczne jest przeprowadzenie natychmiastowego dochodzenia w tej sprawie. Będziemy rozmawiać z Arabelle i jej matką, jak również... – Przeszył mnie ciężkim spojrzeniem. – ...zweryfikujemy pańskie referencje. Już wcześniej powinniśmy byli to zrobić. W czasie dochodzenia proszę nie pojawiać się w szkole. I, na Boga, niech się pan trzyma z daleka od Arabelle!

– Słucham?! Ale ja nic złego nie zrobiłem. Przecież tu mieszkam! – Poczuję, jak mi skacze ciśnienie. Zawsze byłem dość krewki, ale przeważnie umiałem trzymać nerwy na wodzy.

– Au contraire^[7], zachował się pan bardzo nieodpowiednio. Sugeruję, by poszukał pan innego mieszkania, przynajmniej tymczasowo.

Wstałem, dygocąc z wściekłości.

– Wal się pan! Słowo tej małej suki, tej manipulantki jest dla was bardziej wiarygodne od mojego? Sugerujesz, kurwa, że jestem pedofilem?! Wiesz, jaki to ma wpływ na reputację nauczyciela? – Pochyliłem się nad biurkiem i chwyciłem go za kołnierz. – Chcesz mnie zniszczyć?!

Zaczął wzywać pomocy, co jeszcze bardziej mnie rozsierdziło, bo nawet nie miałem zamiaru go uderzyć, ale do gabinetu wpadła sekretarka, źle oceniła sytuację i ona też podniosła krzyk.

Po kilku chwilach leżałem na ziemi powalony przez woźnego i geografa, którzy wyprowadzili mnie z gabinetu dyrektora. Konsekwencje były druzgocące. Wieczorem ktoś wsunął przez szparę pod moimi drzwiami list od prezesa zarządu szkoły informujący o moim natychmiastowym zwolnieniu i nakazujący opuszczenie kwatery w ciągu dwudziestu czterech godzin – pod groźbą zawiadomienia la police.

Przez ten wybuch spieprzyłem sobie życie w Paryżu, co wcale nie stłumiło mojej wściekłości. Byłem kłębkiem nerwów. Spakowałem do walizki swój nieliczny dobytek, poszedłem do Ogrodu Luksemburskiego i usiadłem na ławce, żeby się zastanowić, jak to możliwe, że tak cholernie przesrałem sprawę.

Luke jeszcze przez kilka dni miał być w hotelu Lutetia, ale nie mogłem mu o tym powiedzieć. Teraz był stabilny, ale Bóg wie, co i komu nagada, gdy dopadnie go jeden z jego epizodów.

Postanowiłem szukać pomocy u swojego jedyne przyjaciela – Conrada. Przed naszą rozmową zdążyłem ochłonąć. Było mi głupio, czułem się upokorzony i winny. To wszystko moja wina. Przecież Conrad mnie ostrzegał. Arabelle była jeszcze dzieckiem. Nie mogłem jej winić za to, co się stało.

Zjawiłem się w restauracji bliski łez. Conrad darował sobie cierpkie „a nie mówiłem”. Dał mi kieliszek pastis i zaproponował, że na tydzień lub dwa mogę się zatrzymać u niego, w małym pokoju. Oznajmił też, że ma dla mnie pracę w restauracji polegającą na krojeniu warzyw i obsłudze zmywarki. Moim bezpośrednim i jedynym przełożonym miał być szef kuchni. Ponieważ robota na zmywaku wydawała mi się wyjątkowo uwłaczająca, powiedziałem mu, że na studiach w Dublinie dorabiałem sobie jako kelner w knajpach.

– Brian – westchnął – we Francji kelner to szanowany zawód, a nie dorywcza fucha, którą się łapie w oczekiwaniu na coś lepszego. Wszyscy moi pracownicy mają co najmniej trzy lata doświadczenia. Gdybym cię zatrudnił jako kelnera, to byłaby dla nich zniewaga, a nie chcę ich obrażać. Nie nadajesz się do pracy w restauracji, ale możesz tu zostać, dopóki nie wymyślisz, co zamierzasz dalej robić.

Zaliczyłem haniebny upadek, ale oferta Conrada była szczodra. Miał ogromne, elegancko urządzone mieszkanie, pełne światła, złocen i kryształów, dobrze zlokalizowane przy Place de l'Estrapade. Poznałem jego chłopaka – bankiera inwestycyjnego. Zmierzył mnie spojrzeniem pełnym zazdrości, która przeszła w zaciekawienie.

André był znacznie starszy od Conrada. To zdecydowanie on finansował restaurację i mieszkanie. Poznali się w Nowym Jorku. Byli stabilną parą, chociaż zauważyłem, że André poczuł ulgę, gdy się dowiedział, że nie jestem gejem. Słyszałem przez ścianę, jak mówił: „Dobrze, tydzień, ale nie więcej. Nic o nim nie wiemy. A co, jeśli jednak skrzywdził tę dziewczynę?”. Siedziałem w sypialni cały w nerwach, zastanawiając się, czy ta plotka będzie mi towarzyszyć przez resztę życia i czy jest jakiś sposób, żeby z tym walczyć. Conrad poradził mi później: „Cokolwiek zrobisz, to tylko pogorszy sprawę”.

Wyjawił mi, że Arabelle przez kilka dni kręciła się w pobliżu restauracji, stała na rogu, być może w nadziei, że na mnie wpadnie, ale kuchnia, w której pracowałem, znajdowała się w piwnicy niewidocznej dla klientów i personelu. Conrad wyszedł do niej i powiedział, że wróciłem do Irlandii i że nie ma po co się tu kręcić. Rozpląkała się i uciekła. Ulżyło mi. Do tego czasu ochłonałem na tyle, żeby zacząć jej współczuć. Biedna smarkula musiała mieć bardzo popaprane życie.

Żeby podziękować Conradowi, zaprosiłem Luke'a z całą jego świtą na kolację do restauracji pod koniec jego ośmiodniowej wizyty w Paryżu. Na ten wieczór Conrad dał mi wolne od zmywaka, ale wcześniej zadzwonił do mediów. Nie powstrzymałem go. Jeśli mogłem załatwić bezpłatną reklamę jego restauracji, by okazać mu swoją wdzięczność, to przynajmniej tyle byłem mu winien. Tymczasem zastanawiałem się, co do cholery mam zrobić ze swoim życiem.

Tej nocy wróciliśmy z Lukiem do hotelu. Powiedział, że mogę wziąć z jego garderoby, co tylko zechcę, ale wyczułem w tej propozycji protekcyjny ton. Miał szafy pełne nowiutkich, drogich ubrań, niektóre były wciąż opatrzone sklepowymi metkami, więc wziąłem tyle, ile mogłem unieść.

Następnego rana spotkaliśmy się z Lukiem w drogiej kawiarni, na którą nie było mnie stać. Okulary przeciwsłoneczne i czapka z daszkiem zakrywały jego twarz wystarczająco skutecznie, żeby nie oblegali nas fani. Spytał, dlaczego nie mam normalnej pracy, i zaproponował, że zwolni

kogoś z personelu sprzedającego gadżety i na to miejsce zatrudni mnie. Potrzebowałem tej fuchy, ale myśl, że miałbym pracować dla młodszego brata, była upokarzająca. Mogłem sobie tylko wyobrazić, co powie Will. Zapewniłem Luke'a, że dobrze sobie radzę. „Naprawdę?” – spytał tonem pełnym litości. Poczulem, że zaraz trafi mnie szlag, i wyszedłem, żeby nie wybuchnąć. W La Saucisserie odbębniłem ośmiogodzinną zmianę, podczas której stereotypowy sadystyczny szef kuchni pastwił się nade mną, bo kostka, w którą pokroiłem cholerną marchewkę była o trzy milimetry za gruba. Wieczorem przygnębiony wróciłem z Conradem do jego domu. André nie było, wyjechał w interesach. Conrad nalał nam brandy i spytał, czy mam już jakieś plany na przyszłość. W ten mało subtelny sposób dał mi do zrozumienia, że muszę sobie znaleźć inne mieszkanie. Byłem zmuszony ponownie rozważyć ofertę Luke'a.

W środku nocy obudził mnie brzęczyk domofonu. Mało zawału nie dostałem. Nikt nie wiedział, że tu jestem. Pomyślałem, że może nawiedził nas jakiś znajomy Conrada, ale to był Luke. Przyszedł cały rozchełstany i na bani. Conrad – powstrzymując złość, z uwagi na rozgłos, jakiego Luke przysporzył jego restauracji – wrócił do łóżka. Mój brat dowiedział się, gdzie mieszkam, od kogoś z personelu. Rozejrzał się po ociekającym bogactwem mieszkaniu i od razu doszedł do wniosku, że coś mnie łączy z Conradem. Byłem tak zmęczony, że nie miałem siły się z nim spierać. Tym razem nie musiał mnie długo namawiać. Spakowałem się, wyniosłem od Conrada i pojechałem w trasę z Lukiem.

Prawie przez dwa lata unikałem kontaktów z rodziną. Nie chciałem ich widzieć ani o nich słyszeć, bo wtedy zawsze myślałem o Susan – i o dziecku, które dałbym głowę, że jest moje.

Byłem bratem nieudacznikiem. Luke – mimo swojego szaleństwa – zdobył w życiu sławę. Fakt, że udało mu się też okryć niesławą. Will odniósł ogromny sukces jako producent filmowy. A kim byłem ja? Menedżerem swojego brata, którego kariera leciała na łeb, nauczycielem na pół etatu, bez osiągnięć ani uznania w środowisku. Zapraszano mnie na imprezy tylko dlatego, że Will albo Luke wpisywali mnie na listę gości. Gdy robiono zdjęcia do gazet, fotografowie kazali mi się usuwać na bok, żeby było miejsce dla moich braci i ich sławnych znajomych. Obu im zazdrościłem.

Niezmiennie kochałem Susan, nawet wtedy, gdy mnie okłamywała, że ma szczęśliwe małżeństwo, i nawet kiedy przysięgała, że Will jest idealnym mężem. Oboje wiedzieliśmy, że od lat ją zdradza, ale ona desperacko trzymała się tej gry pozorów. Próbowałem zdać się na sentencję: „Jeśli kogoś kochasz, pozwól mu odejść” i dałem im spokój.

Gdy po narodzinach Daisy w 1994 roku, Will poprosił, żebym został jej ojcem chrzestnym, wybuchła we mnie emocjonalna bomba. Daisy przyszła na świat dwa tygodnie przed terminem, dokładnie tak, jak się spodziewałem. Will twierdził, że była dzieckiem z wpadki, bo ani on nie używał prezerwatyw, ani Susan nie brała pigułek. Miał absolutną pewność, że po prostu którejś nocy byli nieostrożni. Istniało wielkie prawdopodobieństwo, że Daisy jest moim dzieckiem, ale gdy rozmawiałem o tym z Susan w noc poprzedzającą ich ślub – a miała wtedy wielki brzuch, bo była w piątym miesiącu ciąży – zaprzeczyła, patrząc mi prosto w twarz. Błagałem ją, żeby nie brała ślubu, mówiłem, że ją kocham. Byłem gotów wyjechać z nią do Detroit i zapewnić nam obojgu nowe życie. Wiedziałem, że tęskni za swoją mamą i siostrą Lynn. Odparła, że

zwariowałem, że chce, żebym wyjechał z kraju i dał jej, Willowi i dziecku żyć w spokoju. Miesiąc po ich ślubie poleciałem do Paryża. Nie wróciłem do kraju na chrzciny, ale i tak, zaocznie, zrobili mnie ojcem chrzestnym Daisy.

Po jakimś czasie jednak, ponad dziesięć lat później, wróciłem do Irlandii, próbując uchronić karierę Luke'a przed rynsztokiem, do którego się staczała. Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebowałem swojego procentu z jego zysków, tymczasem mój brat bujał się od jednego kryzysu do następnego. Will jak zwykle się łajdaczył, ale postanowiłem to ignorować i utrzymywałem kontakt z Susan w każdej formie, na jaką się godziła. Wykorzystywałem w tym celu Daisy – dzięki niej mogłem się często widywać z jej matką.

Z młodą trzymaliśmy się blisko. Była świetnym dzieciakiem. Miała mnóstwo energii i fajną zadziorność. Opowiadała mi o rzeczach, o których nie mówiła rodzicom. To były niewinne głupoty, ale zachowywałem je w tajemnicy, bo możliwe, że była moją córką, no i cieszyło mnie, że łączy nas coś, czego nie dzieliła z rodzicami. Wyglądała jak wierna kopia Susan. Nie miała w sobie nic z Willa. Ani ze mnie. Nic nie wskazywało na żadnego z nas. Długo biłem się z myślami, czy nie zrobić testu DNA – bez problemu mogłem wziąć kosmyk jej włosów ze szczotki – ale potem dopadły mnie wątpliwości. Co, jeśli nie jest moją córką? Czy to by zmieniło moje uczucia do niej albo do Susan? Dopóki nie miałem pewności, naszą trójkę łączyła w mojej głowie nierozzerwalna więź.

W 2004 roku Luke poznał dziewczynę z bogatej rodziny z klasy średniej – ładną, zabawną i bystrą. Była dla niego o wiele za młoda, ale pomyślałem, że taki związek zapewni dobrą reklamę. Osobiście przekazałem tę historię brukowcom, tak jak wcześniej kilka innych, do czego byłem zmuszony, bo Luke nie dał mi zarobić na swojej autobiografii. Brytyjskie brukowce dobrze płaciły za takie rewelacje. Dziennikarze „znanymi sobie sposobami” zdobyli nazwiska uczestników imprezy halloweenowej w 1983 roku, na której Luke odstawił numer ze stygmatami Jezusa, „przeprowadzili z nimi wywiady”, więc nikt nie mógł powiązać tych historii ze mną.

Wiem, że ilekroć ukazywały się takie artykuły, Luke dostawał paranoi i tracił zaufanie do wszystkich otaczających go ludzi. Czułem się z tego powodu winny, tym bardziej, że wcześniej, podczas jednego z jego wariackich epizodów, namówiłem go, żeby przepisał swój dom na mnie, ale musiałem wziąć pod jego zastaw niewielki kredyt na pokrycie kosztów utrzymania i z czegoś trzeba go było spłacać. Muzykę Luke'a coraz rzadziej grano w mediach, a tantiemy za emisje wypłacano marne. Jako jego agent, menedżer i księgowy oficjalnie pobierałem dwadzieścia pięć procent udziału w zyskach, ale nie było tej kasy wiele i musiałem kombinować, żeby dorobić. Brukowce stanowiły oczywiste rozwiązanie.

Tymczasem okazało się, że ta dziewczyna, Kate, ma na niego dobry wpływ. Luke się ustabilizował, odstawił narkotyki, ograniczył picie – to chyba ono stanowiło jego największy problem – i zaczął regularnie przyjmować leki. Całkiem znormalniał. Oświadczył mi, że robi to dla niej.

– Luke – powiedziałem, bo nie jestem kompletnym draniem – może lepiej zrób to dla siebie?

Na co on stwierdził:

– Ona jest tego warta, a ja nie. – To była najsmutniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Ubóstwiał tę dziewczynę. Powiedział, że ją kocha. Nigdy wcześniej nie mówił tak o kimkolwiek innym, i bardzo mnie to ucieszyło, jednak wiedziałem, że uzależniam własne samopoczucie od ich związku, a to już nie było zbyt rozsądne.

Gdy Will zdradził mi, że miał romans z Kate, myślałem, że szlag mnie trafi. Wściekłem się z kilku powodów. Po pierwsze: ze względu na Kate. Przecież ona była tylko dzieciakiem wykorzystanym przez starszego, żonatego mężczyznę. Po drugie: ze względu na Susan. Znowu ją zdradził! Ale przede wszystkim do furii doprowadzało mnie to, że zrobił Luke'owi to samo co mnie: ukradł mu miłość jego życia. Kiedy Luke powiedział mi, że Kate jest w ciąży, wiedziałem, że czas działać. To ja zorganizowałem przyjęcie, na którym rozpadło się małżeństwo Willa. Nigdy nie zasługiwał na Susan i ona musiała to wreszcie zrozumieć. Kate mnie nie obchodziła,

choć żałowałem tego, jak się sprawy potoczyły, bo niewykluczone, że naprawdę kochała Luke'a, jednak Susan była ważniejsza. Gdy Kate i Will w tym samym czasie odeszli od stołu, pod błahym pretekstem wysłałem Susan za Willem, wiedząc, że usłyszy coś, co złamie jej serce.

Przyszło mi do głowy, że może potem Susan będzie potrzebować pocieszenia i poszuka go u mnie. Nie było mowy, żeby zaakceptowała Kate jako członka rodziny, wiedząc, że Will z nią sypiał. Spodziewałem się, całkiem słusznie, że dla ich małżeństwa to będzie gwóźdź do trumny. Czułem, że moje działanie jest całkowicie usprawiedliwione. Ale wtedy Susan zwróciła się przeciwko mnie, bo choć o wszystkim wiedziałem, to nie puściłem pary z ust. Ten zarzut był całkowicie bezsensowny! Miałem nadzieję, że z czasem zaakceptuje moje tłumaczenie, że pragnąłem ją chronić. Chciałem zaszkodzić Willowi. Jak na ironię, gdy wyrzuciła go z domu, spytał, czy może sprowadzić się do mnie i zamieszkać w wolnym pokoju, dopóki czegoś nie wynajmie. Ani razu nie pomyślałem, jak przyjmie to Daisy. Żałuję. Za kasę wyłożoną z poczucia winy przez Willa zabrałem ją na weekend do Disneylandu. Próbowałem odwracać jej uwagę atrakcjami Paryża, ale młoda była bystra i wiedziała, że coś się dzieje w jej domu. Trwałem przy niej, gdy Will i Susan poinformowali ją, że zamierzają się rozstać, choć oczywiście wciąż ją kochają. Znalazłem się tam zresztą na ich prośbę. Kiedy jej twarzyczka zmarszczyła się z żalu, mocno małą przytuliłem. Ciałem Daisy wstrząsnął szloch. Powinienem być to lepiej przemysleć.

Tydzień później Kate poroniła. Być może pod wpływem tej traumy zwątpiła w swój związek z Lukiem i dotarło do niej, jak wpłynie on na małżeństwo Willa? Luke wiedział, że Will i Susan się rozeszli, ale nie znał powodów. Jestem pewien, że Kate przeciwnie. Po poronieniu zerwała z Lukiem i zostawiła go ze złamanym sercem, na pastwę kolejnego załamania, które oczywiście zaraz go dopadło. Luke ponownie wprowadził się do mnie, zaraz po wyprowadzce Willa. W ten sposób mogłem mieć na niego oko. Musiałem zadbać, by wrócił do normalnego funkcjonowania i był gotowy do pracy. Nie dawałem rady strzec go dwadzieścia cztery

godziny na dobę, ale jeśli musiałem wyjść, to przynajmniej często dzwoniłem do domu, żeby sprawdzić, czy u niego wszystko w porządku. Znalazł się w bardzo mrocznym miejscu. Trzeba go było zmuszać do zażywania leków. Przesiadywał w pokoju, prawie nic nie jadł i nie mówił, rzadko brał prysznic.

Mama, która nie miała pojęcia o okolicznościach rozstania Willa i Susan, oświadczyła, że nigdy nie lubiła synowej, zawsze uważała ją za białego śmiecia, i orzekła, że pozbawianie biednej Daisy ojca jest okrutne. Bóg jeden wie, jaką bajeczkę wcisnął jej Will. Usłyszawszy, że Luke załamał się po poronieniu i rozstaniu z Kate, mama stwierdziła, że to typowo egoistyczne zachowanie ze strony Luke'a, który myśli tylko o sobie, zamiast wspierać Willa w jego kryzysie. Tak mocno ugryzłem się w język, że poczułem w ustach krew.

W tym czasie było ciężko z kasą. Agencja wprawdzie działała, ale na wszystko brakowało. W Irlandii powstał w tamtym roku tylko jeden film pełnometrażowy, a moi klienci zagrali w nim dwie małe rólki. Mama nie czuła się dobrze i chociaż dostawała propozycje ról w teatrze, to z powodu nawracających infekcji musiała siedzieć w domu.

Luke znów trafił do szpitala psychiatrycznego i mimo że kasa z tantiem wciąż do niego sphywała, to nic ponadto nie zarabiał. Całe jego dochody szły na pokrycie kosztów leczenia. Miałem teraz trzydzieścioro dwoje klientów, przeważnie aktorów. Trojgu załatwiłem role w operze mydlanej, dwojgu innym – w filmach telewizyjnych, ale większość nie miała pracy albo grała w przedstawieniach teatralnych z gażą zależną od zysku z biletów, a te spektakle nigdy nie przynosiły zysków. Wydzwaniali do mnie bez przerwy, pytając o przesłuchania, ale nie mogłem ich załatwić, bo nie było żadnych castingów.

Will przerzucił się na szybką produkcję tanich dokumentów z materiałów archiwalnych, które mógł sprzedać do projekcji w innych krajach albo liniom lotniczym wyświetlającym je w samolotach.

Tak więc sytuacja finansowa była okropna. Jednak moje życie uczuciowe się poprawiło. W którymś momencie w ciągu ostatnich kilku lat przestałem fantazjować o wspólnej przyszłości z Susan. Była sama, odkąd sześć lat wcześniej rozstali się z Willem. Nie ukrywałem, że jestem na każde jej zawołanie, ale ani razu nie dała znaku, że się mną interesuje. Nadal widywałem ją regularnie przy okazji wyjść z Daisy. Na początku wypytywałem Daisy o życie uczuciowe jej matki. Jeśli się umie

odpowiednio formułować pytania, dzieciaki odpowiadają na nie znacznie szczerzej niż dorośli.

– Mówisz, że w zeszły czwartek mama wychodziła gdzieś w tej ładnej sukience? Dobrze się bawiła?

– Tak, ale wróciła do domu z koleżanką i Sarah zwymiotowała na kanapę. Mama była na nią zła.

Daisy miała siedemnaście lat, prawie nie rozmawiała z mieszkającymi osobno rodzicami i miałem wrażenie, że non stop siedzi w mediach społecznościowych. Składałem to na karb nastoletniego buntu. Raz przyprowadziła do domu czarnoskórego chłopaka. Wydawało mi się, że średnio go lubi, ale posługuje się nim, żeby sprowokować rodziców, co samo w sobie było bardziej rasistowskie niż ewentualna reakcja, której mogła się spodziewać. Nie skomentowali tej sytuacji ani słowem i byli dla chłopaka wyjątkowo mili, co sprawiło, że dość szybko go sobie odpuściła. Ponieważ w ten sposób nie udało jej się zwrócić ich uwagi, oświadczyła, że jest biseksualna, i zaczęła się spotykać z koleżanką z klasy.

Wciąż jednak pozwalała mi być częścią swojego życia. Oczywiście nie dzieliła się ze mną wszystkim. Nie chciała na przykład rozmawiać o swojej dziewczynie, która miała na nią zły wpływ i traktowała Daisy jak szmatę – to była wspólna opinia Willa i Susan, którzy rzadko zgadzali się w jakiegokolwiek kwestii. Jako jej wujek (a może i ojciec) cieszyłem się, że mogę patrzeć na to zachowanie obiektywnie. Bez przerwy skarżyła mi się na rodziców.

Ale gdy zabierałem ją do pizzerii, na premierę kinową albo do teatru, lubiła być traktowana jak dorosła. Dzięki Bogu nie musiałem wydawać na nią milionów. Wygłaszała bardzo wyraźne opinie na temat sztuk teatralnych. Przeważnie jej się nie podobały, ale przedstawień nie omijała. Pochlebiał mi fakt, że nadal chce spędzać ze mną czas, aż pewnego dnia spytała: „Nie czujesz się samotny, Brian?”. Już nie „wujku”, tylko „Brian”. „Bez dziewczyny i dzieci? Jakoś tak mi ciebie żal”. To był dla mnie dzwonek alarmowy. Siedemnastolatka powiedziała mi, że jestem żaloszny.

Wcale nie żyłem jak zakonnik. Miałem na koncie wiele numerków na jedną noc i kilka krótkich romansów, ale żaden nie przetrwał dłużej niż osiem miesięcy. Kobiety w moim wieku miały przeważnie rozpaczliwą potrzebę posiadania dzieci, a chociaż znałem niejedną naprawdę fantastyczną babkę, to nie mogłem wziąć na siebie takiego ciężaru finansowego, choćbym nie wiem jak ją uwielbiał. Niektóre kobiety oczekiwały, że będę płacić za kolację na każdej randce. Próbowałem umawiać się z takimi, które dobrze zarabiały albo miały bogatych byłych mężów i dobre alimenty, ale przedstawicielki tej grupy rzadko się mną interesowały.

Po tym, jak Daisy powiedziała, że jest jej mnie żal, stwierdziłem, że może faktycznie powinienem znaleźć sobie życiową partnerkę. Dorastaliśmy w dziwnej rodzinie. Will trzymał się blisko z mamą, Luke z tatą, a ja nie byłem blisko ani daleko z żadnym z rodziców. Kiedyś wydawało mi się, że to zdrowy układ, ale teraz zacząłem się zastanawiać, czy może jednak coś było nie tak, jeśli chodzi o nas wszystkich i nasze relacje z kobietami. Myślałem o moich braciach, którym też nie bardzo się układało w związkach, chociaż Will miał szansę na dobrą relację, ale ją spał. Czy byłem samotny? Nawet kota nie miałem... Przywołałem w głowie listę moich byłych i wyszukałem je na Facebooku. Znaczna większość miała zdjęcia z dziećmi i mężami, ale znalazłem też profil Gillian, a w nim informację, że jest wolna.

Przed ponad dziesięciu laty chodziłem z nią przez kilka miesięcy. O ile pamiętam, rzuciła mnie, ale tylko dlatego, że dostała pracę w Galway. Jednak z jej obecnych postów zdecydowanie wynikało, że wróciła do Dublina. Wyglądała świetnie, może nawet lepiej niż przed dekadą, no ale przecież mało kto publikuje zdjęcia, na których wygląda źle. Wysłałem jej zaproszenie do znajomych, które natychmiast przyjęła. Teraz mogłem zobaczyć całą zawartość jej profilu. Okazało się, że jest prawniczką po aplikacji, zatrudnioną w dużej firmie. Gdy się spotykaliśmy, pracowała w irlandzkiej skarbowce. Ze zdjęć wynikało, że mieszka w przyzwoitym domu w dzielnicy Goatstown na przedmieściach, chociaż trudno było

stwierdzić, czy jest jego właścicielką, czy najemcą. Miała pieska (więc chyba jednak dom należał do niej, bo wynajmujący nie lubią lokatorów ze zwierzętami) i oglądała dużo programów typu reality show. Często wychodziła na babskie wieczory i kilka razy była druhną na ślubie, choć nigdy panną młodą.

Wysłałem jej wiadomość z pytaniem, co słysząc, i z miejsca nawiązała się między nami konwersacja z zalotnymi podtekstami, którą prowadziliśmy do czasu, aż zaproponowałem spotkanie. Zgodziła się, ale wcześniej przez chwilę milczała. Wymieniliśmy się numerami telefonów. To milczenie z jej strony trochę mnie dotknęło. Dlaczego się zawahała? Przecież zawsze się dogadywaliśmy.

W następnym tygodniu spotkaliśmy się w kawiarni niedaleko jej biura. Od razu złapaliśmy kontakt jak dawniej, żarty sypały się jak z rękawa, gadaliśmy udawanym cockneyem, energicznie kiwając głowami i jednocześnie przecząc temu, co powiedziało drugie. Całkiem zapomniałem, że można z nią mieć taki ubaw. Zgodnie z oczekiwaniem nie była aż tak olśniewająco atrakcyjna jak na zdjęciach, ale wyglądała dobrze i wydawała się szczęśliwa. Pod koniec naszej randki przy kawie, która przeszła w obiad (na mój koszt), zaproponowała kolejne spotkanie za kilka dni. Byłem na tak.

Tym razem poszliśmy na drinka. Po kilku głębszych wylądowaliśmy u niej w domu, będącym – jak się dowiedziałem – jej własnością, a przy tym wartym niezłą sumę i ładnie urządzonego. Zaprowadziła mnie do sypialni. Przez ostatnie dziesięć lat nauczyła się w tej sferze znacznie więcej niż ja. Po kilku dniach zaprosiłem ją do siebie na kolację. Dom zrobił na niej wrażenie. Nie opowiadałem w szczegółach, jak wszedłem w jego posiadanie, nie rozwiewając jej przekonania, że po prostu na niego zarobiłem. Moje gotowanie już tak bardzo jej nie zaimponowało. Szczerze mówiąc, nic sam nie ugotowałem. Poszedłem do Marksa i Spencera i kupiłem gotowe danie z makaronem, trzy porcje w cenie dwóch. Zaśmiałem się i powiedziałem, że w takim razie powinna mnie nauczyć

gotowania. Na co ona stwierdziła, że wcale się nie zmieniłem, ale nie byłem pewien, czy to miał być komplement.

Po jeszcze kilku randkach i wspólnych wyjściach, gdy przypomniałem, że teraz jej kolej, żeby zapłacić, zarzuciła mi, że jestem sknerą. Wcale nie! Po prostu od zawsze wydaję pieniądze rozważnie i nie lubię nimi szastać. Atmosfera się zepsuła i wróciliśmy do domów oddzielnie. W weekend odbierałem Daisy z treningu hokeja i odwoziłem do domu. Susan zrobiła mi kawę, trochę pogadaliśmy, wreszcie spytałem, czy ona też uważa, że jestem sknerą.

– I to jakim!

– Co?!

– Brian, przy tobie Ebenezer Scrooge wygląda na filantropa. Jesteś skąpiec i dusigrosz.

– Chyba kpisz! To prawda, że nie szastam kasą jak Will, ale on uwielbia pokazywać, że ją ma. Wydaje mu się, że dzięki temu wygląda jak wielkie panisko.

– Tak? Gdyby mierzyć wielkość hojnością, wyszłoby, że sam jesteś malutki. Kto cię wreszcie przejrzał?

– Bardzo zabawne, że akurat ty o tym wspominasz. Od lat nie musisz pracować!

– Co ty wygadujesz?! Gdy Will rozkręcał wytwórnę, harowałam w księgarni jak niewolnica. Wróciłam tam po urodzeniu Daisy. Potem urabiałam sobie ręce na studiach, zrobiłam magisterkę, a teraz jestem aktywistką społeczną. To prawda, że nie zarabiam dużo, a Will pomaga mi trochę finansowo z poczucia winy, ale gdyby przestał, choćby jutro, świetnie dałabym sobie radę sama. A ty masz czelność mówić, że nie pracuję?!

Musiałem spuścić z tonu i powiedzieć jej o Gillian. Susan wyśmiała moje kolacje z gotowych dań i stwierdziła, że wypominanie tego, kto za co płacił na każdej randce, jest oburzające.

– Jak to oburzające? – spytałem. – Przecież tobie chyba też zależy na równości?

– Cholera, Brian, jest różnica między równością a księgowością. Jeśli wychodzisz gdzieś z Daisy, na przykład do teatru, to dlatego, że dostałeś darmowe bilety. A na premierę filmową, bo jesteś na liście gości. Tak naprawdę nie wydajesz na nią żadnych pieniędzy.

– Jesteś niesprawiedliwa! Parę tygodni temu zabrałem ją na pizzę.

– Tak, ale powiedziałeś, że to jest jej prezent urodzinowy i żadnego innego jej nie kupiłeś, a na Boże Narodzenie dostała od ciebie płyty CD muzyków, których reprezentujesz. Nie zauważyłeś, że ona słucha muzyki na iPodzie? A ty jej wciskasz płyty CD, w dodatku takie, które masz za darmo.

– Myślałem, że jej się spodobają, rozpowie o nich w szkole i trochę wypromuje młode zespoły.

– Co?! Pograżasz się! Nie dość, że nie wydałeś grosza, żeby jej kupić coś, co by naprawdę chciała dostać, to jeszcze wykorzystałeś ją do reklamowania swoich klientów?

Ta rozmowa schodziła na bardzo złe tory.

– Kupiłem jej fantastycznego konia na biegunach.

Aż ją zatkało z oburzenia.

– Na szóste urodziny! Jedenaście lat temu! I to nie nowego. Wiem, że dałeś jej używanego, bo pod siodłem był pomazany kredkami. – No to się wydało. Kupiłem go w sklepie z używanym badziewiem, za dwadzieścia funtów. – Brian, mówię to jako twoja przyjaciółka, okej? Jeśli chcesz utrzymać przy sobie dziewczynę, to musisz przed nią otworzyć i portfel, i serce. Pieniądze masz. Wiemy o tym. Być może nie zarabiasz za dużo, ale masz niesamowity dom za pół darmo i nie wydajesz na nic ani centa. Na co odkładasz te pieniądze? Nie rozumiem?

– Ale ona chyba zarabia więcej ode mnie.

– Co z tego? Przecież sam masz odłożone grube tysiące. Wydadź trochę z tej kasy. To przyjemne, zobaczysz. Serio, zabierz dziewczynę na weekend

do, nie wiem, Madrytu? Zaskocz ją. I nie przyprowadzaj już żadnych babek na niedzielne obiady u waszej matki, udając, że to randka. Za każdym razem wstydzę się za ciebie w ich imieniu.

– Zrobiłem to tylko kilka razy.

– To żadna randka.

– Chryste...

– Szczerze? Odkąd cię znam, chciałam o tym z tobą porozmawiać. Kiedy pracowaliśmy razem w księgarni, zawsze porównywałeś nasze wydatki na kawę, a gdy była twoja kolej, żeby zapłacić za wspólny lunch, przynosiłeś kanapki.

– Myślałem, że lubisz chodzić do parku.

– Kurwa, nie w lutym.

– Ale to nie były randki.

– Nie?

Zawahałem się.

– A według ciebie były?

– No... sama nie wiem. Nie miałam pewności. Nigdy nie wykonałeś żadnego ruchu...

– Mam rozumieć, że gdybym płacił za lunch, to mogłabyś wybrać mnie zamiast Willa? Taka jesteś wyrachowana?

Najeżyła się i podniosła głos:

– Wiesz co? Może i jestem. Ale gdybyś płacił, to może wydałbyś mi się atrakcyjniejszy. Will też wtedy nie zarabiał, ale umiał sprawić, że czułam się wyjątkowa. Nawet jeśli zapraszał mnie na randkę do mieszkania i zamawiał pizzę, to zawsze miał butelkę drogiego wina. Pokazywał mi, że mnie ceni.

– No i zobacz, co z tego wyszło!

– Wal się!

Te ostatnie słowa wykrzyczeliśmy. Nie mogłem uwierzyć, że Susan mówi mi takie rzeczy. Wyparowałem na ulicę, trzaskając drzwiami.

Parę dni później napisałem do niej SMS: „Bardzo Cię przepraszam, strasznie krzywo to wyszło. Chcesz pojechać do Madrytu w przyszłym tygodniu?”.

Odpowiedziała po pięciu minutach: „Tak, chcę. Nikomu nie mów”.

Ten weekend kosztował mnie dwa tysiące euro. Najlepiej wydane pieniądze w moim życiu.

Zadzwonili do mnie z Abbey Theatre z pytaniem, czy mama chciałaby wziąć udział w castingu do nowej sztuki. Wcześniej przekonałem ją, żeby zwolniła swojego agenta, więc swoją menedżerską opieką obejmowałem teraz karierę Luke'a i mamy. Dlaczego miałyby zarabiać na nich jakaś obca baba, skoro kasa mogła płynąć do mnie? Dzięki kontaktom i prywatnym relacjom z dziennikarzami zapewniłem moim klientom rozgłos w zamian za zakulisowe historie. Kilkoro znajomych mamy rzuciło dla mnie swoich menedżerów. Byłem teraz oficjalnym agentem artystycznym i choć reprezentowałem zaledwie dwanaścioro piosenkarzy i aktorów, to wreszcie zarabiałem godnie na życie i mogłem zrezygnować z nauczania.

Dzięki Luke'owi nawiązałem wystarczająco dużo kontaktów w telewizji i radiu. Poznałem też wielu producentów muzycznych. Sam nie wiem, które z tych dwojga – Luke czy mama – było trudniejsze w obsłudze, ale gdy w którymś momencie zaoferowano im wielkie pieniądze za udział w filmie dokumentalnym na ich temat, oboje byli przerażeni na samą myśl o takim projekcie. Ledwo się tolerowali.

Udało mi się załatwić mamie dużo zleceń lektorskich i sporo ról w słuchowiskach radiowych, które pozwoliły jej nieźle zarobić, ale przez cały rok 2007 prawie wcale nie pracowała. Na szczęście niezawodnie wypłacali jej emeryturę po tacie, więc nie musiała sama zarabiać, żeby się wyżywić. Muzyka, którą przez pół życia śpiewała z objazdowym zespołem, całkowicie wyszła z mody, a ona sama – choćby nie wiem jak bardzo się odchudzała, smarowała samoopalaczami czy malowała – nie mogła już ukryć faktu, że zbliżał się dla niej siódmy krzyżyk. Dawniej miała silny głos, ale teraz zaczęła go tracić. Im mniej pracowała, tym bardziej jej

możliwości wokalne się pogarszały, ale głównie dlatego, że zarzuciła codzienne ćwiczenia przy fortepianie, które na zawsze pozostaną ścieżką dźwiękową naszego dzieciństwa. Spotykała się dość regularnie ze znajomymi aktorami i wspólnie narzekali na tych, którzy wciąż dostawali pracę. Jeśli angaż trafiał się któremuś z nich, to on też automatycznie stawał się obiektem utyskiwań. Mama wiedziała, że koledzy i koleżanki nie widzą w niej prawdziwej aktorki, bo nazwisko wyrobiła sobie jako piosenkarka. Nie było też wielu propozycji ról dla starszych kobiet, a całe to towarzystwo dzieliły zaciekle rywalizacja i zazdrość.

Kiedy zadzwonił telefon w sprawie przesłuchań, mama wybuchła świętym oburzeniem, że komuś z tak ogromnym doświadczeniem i umiejętnościami proponuje się casting. „Przecież wszyscy mnie znają!” – oświadczyła. Przekonałem ją, że angielski reżyser niekoniecznie musi orientować się w jej dorobku, więc powinna pójść i dać z siebie wszystko. Nie powiedziała o zaproszeniu nikomu ze swoich znajomych, bo upokorzenie w razie niedostania roli byłoby nie do zniesienia, ale gdy zjawiała się w teatrze, jej koledzy po fachu już tam byli. Wszyscy starali się o tę samą rolę.

Zgodnie z opisem mamy postać była trochę po siedemdziesiątce. Mama miała sześćdziesiąt jeden lat. Czyniło ją to najmłodszą kandydatką na przesłuchaniach, co – według niej – stanowiło jednocześnie błogosławieństwo i wadę. Przewagę nad konkurencją dawała jej energia, której pozostali nie mogli już z siebie wykrzesać, ale z drugiej strony bała się, że jeśli zagra heterę, to do końca życia czeka ją szuflada. Już zawsze będą ją obsadzać w takich rolach. Sześćdziesiąt jeden lat to jeszcze nie starość. Zakładałem, że nie dostanie tej roli właśnie ze względu na świetną kondycję i zdrowie. Nie wziąłem jednak pod uwagę rozpaczliwego pragnienia mamy, by wrócić na scenę i znów usłyszeć oklaski.

Zadzwoniła do mnie później i powiedziała, że przesłuchanie poszło dobrze i z optymizmem oczekuje wyników. Zawsze podchodziła do pracy pozytywnie, bo uważała, że zasługuje na więcej niż wszyscy inni, a potem czekało ją gorzkie rozczarowanie, gdy nie dostawała angażu.

Tym razem jednak jej się udało. Od dawna nie widziałem jej tak szczęśliwej i podekscytowanej. Okazało się, że to główna rola w nowej sztuce znanego dramaturga. Mama czytała tylko część scenariusza, bo wciąż jeszcze się pisał, ale uparła się, że zabierze nas wszystkich na kolację do Trocadero, żeby to uczcić. Zaprosiła nawet Luke'a, którego w ostatnim czasie, oględnie mówiąc, ignorowała. Robert, szef sali, przywitał nas wszystkich po imieniu. Pamiętał nawet imię taty i przypomniał, że jadaliśmy tam razem, gdy byliśmy nastolatkami. Mama była zachwycona tą atencją. Poczuliśmy, że w końcu wróciła na scenę.

Will przybył ze swoją dwudziestoparoletnią dziewczyną, Hilary, aspirującą, choć – jak dotąd – bezrobotną aktorką. Luke się spóźnił. Był pijany i przygnębiony. Spędził wieczór, składając serwetkę w coraz to mniejsze kwadraciki. Nie przeszkadzało mu to chlać na potęgę.

Jak dotąd Will obsadził mamę w dwóch swoich filmach, ale chociaż grała drugorzędne rólki, to na planie zawsze traktowano ją jak szlachciankę. Ludzie z ekipy przymilali się do niej, ponieważ była matką producenta. Nawiązując do swojej nowej roli w sztuce, stwierdziła, że Will musi zamówić scenariusz o kobiecie w średnim wieku, bo najwyraźniej ten temat był teraz modny. Dowodem miała być nie tylko sztuka w teatrze Abbey, lecz także Oscar dla Helen Mirren za rolę w Królowej. Will obiecał, że się zastanowi, a wtedy Hilary zepsuła wszystko, mówiąc, że mogłaby zagrać wnuczkę mamy. Will chyba kopnął ją pod stołem, bo aż jęknęła. Luke się roześmiał.

– Albo... – wybełkotał – mogłabyś zagrać moją kochającą matkę, ale żeby udźwignąć tę rolę, potrzeba wielu lat prób, prawda, mamó? – Na chwilę zapadła cisza.

– Jesteś pijany – warknęła na niego. – Nie wiem, po co zawracałeś sobie głowę, żeby tu przychodzić.

– No, myślałem, że to rodzinny obiad. Czyżbym się pomylił? Może tak naprawdę nie jestem członkiem tej rodziny? To by wam wszystkim pasowało, co nie?

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Luke, wyluzuj. Jest dobrze, nikt cię nie atakuje. Świątujemy sukces mamy, to wszystko. Okej?

Wciąż jeszcze byłem menedżerem Luke'a. Jakiś amerykański raper zrobił z jednego z wcześniejszych przebojów napisanych osobiście przez Luke'a remiks, który odniósł w USA ogromny sukces. Znowu zaczęły płynąć tantiemy, a Luke znów zaczął się pojawiać w talk-show w Wielkiej Brytanii i Irlandii. Miał też ostrożne propozycje nagrań ze studiów w Stanach. Wspominanie przed kamerami czasów swojej świetności dobrze mu szło, o ile tylko udawało mi się powstrzymać go przed piciem w trakcie wywiadu. Luke i mama byli do siebie bardziej podobni, niż którekolwiek z nich byłoby gotowe przyznać. Dwoje przebrzmiałych celebrytów, kurczowo chwytających się resztek swoich dawnych sukcesów.

Hilary spąsowiała z zażenowania. Will nie zrobił nic, żeby ją wesprzeć albo uspokoić. Odsunął tylko butelkę wina od kieliszka naszego brata. Luke już miał zareagować, kiedy do stolika podeszły dwie kobiety z pytaniem, czy mogą sobie z nim zrobić zdjęcie. Natychmiast przemienił się w gwiazdę popu i wyszedł z łoża pozować fankom. Mama powstrzymała wybuch zazdrości. W sumie ten wieczór był porażką. Luke już nie wrócił do stołu.

Dwa miesiące później przyszedł do mnie gotowy scenariusz dla mamy. Z notatki na okładce wyczytałem, że wprowadzili znaczące zmiany w wątkach i motywacjach postaci. W ostatecznej wersji miało wystąpić troje aktorów, z czego dwoje wcielało się w kilka różnych ról, ale mama nie schodziła ze sceny przez cały spektakl. Na szczęście była to jednoaktówka. Przewidywano, że potrwa dziewięćdziesiąt minut, ale i tak rola była bardzo wymagająca. Wyjaśniło się, dlaczego wybrali najmłodszą kandydatkę. Przejrzałem kilka pierwszych stron. Postać niosła z sobą lekkość, humor i czar. Rola w sam raz na warunki mamy. Próby miały się rozpocząć następnego dnia. Wieczorem zadzwonił telefon. To była mama.

– Nie chcę grać w tej sztuce. Musisz mnie z tego wymanewrować.

Byłem w szoku. Główna rola na scenie teatru narodowego to szczytowe osiągnięcie w karierze większości aktorów.

- Co? Dlaczego?
- Bo... Nie przepadam za tym reżyserem.
- Poznałaś go w dniu castingu. Wtedy mówiłaś, że jest miły. Spotkaliście się ponownie? Powiedział ci coś?
- Nie. Chodzi o to, że... Nie wiem, po prostu nie chcę z nim pracować.
- Mamo, nie znasz faceta. Jak możesz go oceniać po jednym spotkaniu?
- Nie chodzi tylko o to. Nie lubię tych aktorów. Są młodszy ode mnie, będą się zachowywać protekcjonalnie, podsuwać mi krzesła i biegać po kawę, jakbym sama sobie nie mogła kupić.
- Jestem pewien, że z radością pozwolą ci samodzielnie chodzić po kawę.
- Zresztą ten cały Abbey... nie trawię atmosfery w tym teatrze. Mam wrażenie, że straszą tam duchy martwych aktorów i mnie oceniają.
- Co takiego?! – To wydawało się bardzo dziwne. Wcześniej była podekscytowana, że zagra tę rolę, a przed chwilą wymyśliła trzy bezsensowne powody, żeby się z niej wykręcić. – Poważnie? Mam zadzwonić do teatru i powiedzieć, że już nie chcesz tej roli? Przecież jutro zaczynają się próby. Podpisaliśmy kontrakt, chcesz go zerwać? Zdajesz sobie sprawę, że to zawodowe samobójstwo? Wiesz, że nie zdołamy tego wyciszyć?
- Na pewno coś wymyślisz. Może mam raka?
- Mamo!
- Liczę na ciebie.
- Masz tremę?
- Oczywiście, że nie. Występuję, odkąd miałam szesnaście lat.
- Posłuchaj. Jeżeli się wycofasz, ludzie pomyślą, że poważnie chorujesz. Będziesz się musiała ukrywać przez trzy miesiące, jesteś na to gotowa? Co się dzieje? Przecież robiłaś wszystko, żeby to zagrać.
- Wiem – odpowiedziała cichym, prawie dziecięcym głosem. – Ale czytałaś ten scenariusz?

- Początek. Rola wydaje się fajna.
- Wcale nie. To straszna postać. Przydarzają jej się same okropności.
- No dobra, ale przecież jesteś aktorką, tak? To twoja praca, zgadza się?
- O Boże, ja chyba muszę to zagrać, prawda?

Cholernie potrzebowałem swoich osiemnastu procent z jej gaży. Wynegocjowałem dla niej większe pieniądze, obiecałem komu trzeba, że przyciągnie uwagę mediów i napelni widownię po brzegi. Nie wiem, na czym polegał jej problem z tą sztuką, ale musiała go przezwyciężyć.

- Tak, mam. Nie masz wyjścia.

Martwiłem się, że celowo będzie kiepsko grać albo źle się zachowywać wobec obsady i zespołu, żeby ją zwolnili, ale wieloletni profesjonalizm nie pozwolił jej na to. Tydzień później zadzwoniłem do mojego znajomego w Abbey, żeby – niby tak od niechcienia – zapytać, jak się mają sprawy, i usłyszałem, że wszyscy ją uwielbiają, gra arcymistrzowsko i jest genialna na próbach. Uspokoilo mnie to. Cokolwiek się z nią działo, minęło. Może to faktycznie były nerwy albo strach przed starością?

Gdy na czas prób odwołała niedzielne obiady, zadzwonił do mnie Will:

- Czy z mamą wszystko w porządku?

Nie chciałem mu mówić, że dopadł ją kryzys pewności siebie ani że ją zmusiłem do zagrania w tej sztuce. Will nie mógł znieść faktu, że jestem agentem mamy i Luke'a, nieustannie wyjeżdżał z aluzjami, jak to wykorzystuję własną rodzinę do zarabiania na życie, i zawsze nazywał mój dom domem Luke'a. Przecież byłem jego właścicielem już prawie siedem lat i pozwoliłem Willowi u siebie zamieszkać, gdy Susan wywaliła go na bruk!

- Tak, nic jej nie jest. Czemu pytasz?
- Zabroniła mi przychodzić na przedstawienie.
- Co?
- Powiedziała, że jest w tej roli okropna i nie chce, żeby ktokolwiek z nas to oglądał.

– No faktycznie trochę wydziwia, ale w teatrze ją wychwalają. Rozmawiałem z nimi w zeszłym tygodniu.

– Faktycznie to nie jest zadowolona, a ty jesteś jej agentem. Załatw to. – I odłożył słuchawkę.

Will zawsze był synkiem mamusi. Trzymali się blisko. Nic, co robił, nie budziło jej zastrzeżeń. Ubóstwiała go. A on myślał, że jest idealną matką. Dla niego taka była.

Wyciągnąłem scenariusz z biurka i uważnie przeczytałem całość. Tak... Sztuka przybierała mroczny obrót mniej więcej po pół godzinie, gdy postać mamy zostaje zgwałcona przez czarującego chłopaka jej córki. Jednak gwałt nie miał być przedstawiany, a tylko wspomniany o nim w dialogu po scenie burzy przed wiejskim domem. Mama nie musiała grać gwałtu. No i sprawa miała rozwiązanie: główna bohaterka zabijała gwałciciela, a potem, wraz z córką, zakopywały ciało, więc sprawiedliwość – fakt, że brutalna – w końcu zwyciężała. To była znakomita rola i zaskakująco dobrze napisana sztuka. Demaskowała utarte poglądy na temat seksu, macierzyństwa i starzenia się w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Pomyślałem, że byłoby wspaniale, gdyby kariera mamy była już zawsze postrzegana przez pryzmat tej roli. Przyszło mi na myśl, że Will mógłby zrobić z tego film. Wysłałem mu scenariusz z sugestią, że to może być świetne kino z mamą w roli głównej.

Po kilku dniach odpowiedział mailowo, że ten scenariusz go nie interesuje, i sarkastycznie pogratulował mi kolejnej próby wyduszenia kilku funtów z naszej matki.

Chociaż mama nas nie zapraszała, poszliśmy z Willem na premierę, bo mój starszy brat jako producent filmowy dostał zaproszenie automatycznie. Być może autor scenariusza miał podobne zdanie jak ja w kwestii ekranizacji? Luke stwierdził, że ma inne plany. Mało prawdopodobne. Nigdy tej sztuki nie zobaczył.

Mama była porażająco dobra. Jej śpiewanie w zespole objazdowym i role w złych operach mydlanych przyprawiały mnie wcześniej o lekkie zażenowanie, a od występów w pantomimach wywracały mi się flaki, ale

w tej sztuce zobaczyłem moją matkę taką, jakiej dotąd nie znałem. Tak totalnie wcieliła się w tę postać, że zapomniałem, kim dla mnie jest. Sceny, które następowały po gwałcie, były druzgocące. Ze łzami w oczach patrzyłem, jak pogodna wdówka zmienia się w istotę zrujnowaną i cierpiącą, a potem odradza jako wściekła, żądna zemsty wojowniczką. Pozostała dwójka aktorów też była świetna, ale ta sztuka należała do mojej matki. Wszystko kręciło się tam wokół jej postaci. Gdy zgasły światła po ostatniej scenie, cała sala wstała jak jeden mąż i zgotowała im pięciominutowe owacje na stojąco. Łzy wdzięczności w oczach mamy były wzruszającym widokiem. Pomyślałem sobie, że ta rola może całkiem odmienić jej karierę. Teraz Will z pewnością dostrzeże jej potencjał, prawda? Tymczasem on milczał. Wyszliśmy razem do bufetu.

– Ale dała czadu, co nie? – powiedziałem głosem nadal trzęsącym się od emocji.

– Mhm. Słuchaj, głowa mnie boli i średnio się czuję, chyba już pójdę do domu...

– Zaraz! Nie poczekasz, żeby jej pogratulować? No kurwa, Will, przecież ona właśnie zagrała rolę życia, musisz jej to powiedzieć!

Ale on już szedł do wyjścia.

– Zakazała mi przychodzić, więc nie wie, że tu byłem. Jutro do niej zadzwonię – rzucił i zbiegł po schodach.

Pozostała dwójka aktorów wyszła z za kulis. Rozległy się brawa i wiwaty. Jednak mama się nie pojawiała. Zwykle na premierach pierwsza wychodziła do ludzi, łąsa na podziw tłumów i szampana, ale tego wieczoru, mimo że tak bardzo na jedno i drugie zasłużyła, nie wyszła spotkać się z ludźmi. Portier powiedział mi, że pojechała do domu taksówką.

Założyłem, że pewnie jest przytłoczona nadmiarem wrażeń i wyczerpana, ale nie mogłem sobie darować, musiałem jeszcze dziś jej powiedzieć, jaka była niesamowita. Złapałem taksówkę i pojechałem do niej.

Zapukałem w nasz umówiony rodzinny sposób, potem otworzyłem sobie drzwi kluczem. Gdy wszedłem do salonu, mama siedziała na fotelu,

sącząc brandy z dużej szklanki.

– Mamo! Wszystko w porządku? Byłaś wspaniała! Dlaczego nie zostałam po spektaklu? Wszyscy oszaleli na twoim punkcie! Byłaś niesamowita. – Prawie ją przytuliłem, ale ona nie uśmiechnęła się, nie zaśmiała ani nie przyjęła gratulacji.

– Przez całe życie grałam, pozowałam na kogoś innego, zabawiałam ludzi, a teraz wiem, że nie było w tym krzty autentyczności. To wszystko nie miało żadnego znaczenia. Odkrycie, że przez czterdzieści pięć lat było się oszustką, potrafi dać w kość. – Łzy popłynęły jej po policzkach.

– Nigdy nie jest za późno – powiedziałem, biorąc ją za rękę, i poczułem, że cała drży.

– Nie wiem, czy dam radę codziennie to robić. – Zgodnie z kontraktem sztuka miała być wystawiana przez sześć tygodni.

– Oczywiście, że dasz. Jesteś twardzielką. Tata zawsze to powtarzał. – Sam nie wiem, dlaczego o nim wspomniałem, bo nigdy o nim nie rozmawialiśmy.

– Tak bardzo mi go brakuje – powiedziała.

– Więc graj dla niego. Byłby z ciebie dumny.

Tę noc spędziłem w swoim dawnym pokoju. Mama grała przez sześć tygodni. Wszystkie media ją wychwalały. Potem sztuka ruszyła w tournée po całej Irlandii, w następnym roku wróciła na deski Abbey, a później przez sześć miesięcy grali ją na londyńskim West Endzie. To wtedy mama odmówiła dalszych występów, mimo że już proponowano jej przenosiny na Broadway. Błagałem, żeby się zastanowiła, ale miała dość. Sztuka w końcu trafiła do Nowego Jorku, ale z inną aktorką w roli głównej. Wystawiali ją w małych teatrach i zbierała przeciętne recenzje, a w drugim miesiącu spektakli spadła z afisza.

Ale ja i tak dobrze na tym wyszedłem. Przypisując mi zasługi za reanimację kariery mojej matki, aktorzy zaczęli odchodzić od swoich agentów pod moje skrzydła. Nie wyjaśniałem im, że matka zawdzięcza ten

zwrot w karierze jakimś stażyscie zatrudnionemu przy castingu w Abbey. To on dostrzegł jej potencjał.

Dowiedziawszy się, że studia telewizyjne i wytwórnie filmowe zabiegają o mamę, proponując jej duże role, Will oczywiście skapitulował i kazał ją obsadzić w nowym serialu i w dwóch fabułach. Nie zdziwiłem się wcale, choć trafił mnie szlag, gdy mama przekazała mi, że próbował nakłonić księgowego produkcji do wyłączenia mnie z umowy i negocjowania bezpośrednio z nią. Kazała Willowi uwzględnić w umowie mój procent.

A potem przyszła recesja i dwa z tych projektów zostały odwołane. Will stwierdził, że nikt nie zechce ryzykować inwestowania w irlandzką produkcję. Chociaż dla mnie zaczęły się chude czasy, a mama miała mniej pracy, to przyglądanie się, jak Will obrywa po kieszeni, sprawiało mi dużo radości. Sam miałem dom już prawie wolny od kredytu i żadnej rodziny na utrzymaniu, a Will tracił na idiotycznie wielkich inwestycjach w nieruchomości i udziały. Musiał zwolnić kilku pracowników. Płacił też Susan alimenty na Daisy. Między innymi z tego powodu nigdy nie zdecydowałem się zrobić testu na ojcostwo. Owszem, kochałem Daisy, ale pasowało mi, że nie muszę ponosić kosztów jej utrzymania.

Susan nalegała, żebym nikomu nie mówił o naszym związku – o ile można było to tak nazwać. Jeśli chciałem uczestniczyć w jej życiu, musiałem zaakceptować jej warunki. Ale i tak trzymała mnie na dystans. Próbowałem ją przekonać, że powinniśmy się ujawnić, ale twierdziła, że od razu trafilibyśmy do brukowców, co przeraziłoby jej umierającą mamę i zaburzyło spokój Daisy.

Daisy już i tak była zaburzona. Gorzko narzekała na rodziców i na to, że nie pochwalają wszystkich jej życiowych wyborów. Wiele razy wyprowadzała się na trochę z domu Susan, po czym wracała jak bumerang, gdy samodzielność okazywała się zbyt trudna. Luke powiedział mi, że jest narkomanką. Próbowałem z nią o tym rozmawiać, ale wszystkiego się wyparła. Odkryłem też, że się okalecza – miała blizny na ramionach. Susan potwierdziła to podejrzenie. A przy tym Daisy na potęgę tyła.

Przesiadywała w swoim pokoju, grając na gitarze. Pisała piosenki o samobójcach albo narkomanach, którzy zaćpali się na śmierć. Miała słodki głos, ale treści, jakie wyśpiewywała, były mroczne i przygnębiające. Chodziła do wielu terapeutów. Kiedyś Susan – zupełnie jakbym słyszał własną matkę! – stwierdziła: „Bez wątpienia ma to po waszej rodzinie”. Stąd było już blisko do kwestii ojcostwa Daisy. Susan przyznała, że nie wie, kto ją spłodził, Will czy ja. Zgadaliśmy się jednak co do tego, że prawda nie przyniesie Daisy nic dobrego, nawet gdyby się okazało, że Will nie jest jej ojcem. Przystałem na to, by nie robić testu DNA, nie uświadamiając Susan, że postanowiłem o tym już wiele lat wcześniej.

Susan i ja poruszaliśmy się w naszej relacji ostrożnie, jak po polu minowym. Na wspólne weekendy lataliśmy oddzielnymi samolotami,

w różne dni. Ja zostawałem u niej w domu tylko wtedy, gdy nie było Daisy, a jeśli Susan przyjeżdżała do mnie, to parkowała dwie ulice dalej i wchodziła tylną furtką. Wszystkie spotkania planowaliśmy z wyprzedzeniem. Pragnąłem Susan dla niej samej, nie po to, żeby zrobić na złość Willowi. Nie była lekarstwem na samotność – zawsze radziłem sobie sam. A ją... kochałem. Po prostu. Przy niej stawałem się lepszym człowiekiem. Nauczyła mnie hojności, a chociaż nadmierna rozrzutność wywoływała u mnie dyskomfort, to dostrzegłem płynące z niej korzyści. Zaakceptowałem swoją rolę w życiu Susan. Zrozumiałem, że to nieważne, czy ktoś jeszcze wie o naszym związku. Wystarczyło, że my o nim wiedzieliśmy.

Susan ukończyła wtedy studia magisterskie, została specjalistką od równości płci i prowadziła kampanię na rzecz legalizacji związków jedнопłciowych.

W maju 2015 roku w Irlandii miało się odbyć referendum w sprawie zawierania pełnoprawnych małżeństw przez osoby homoseksualne. Pomogłem jej, prosząc Luke'a i bardziej znanych aktorów z mojej agencji, by publicznie poparli tę kampanię. Ona i ja niejeden wieczór spędziliśmy na chodzeniu po domach, pakowaniu do pudeł znaczków „TAK”, zamawianiu hurtowych ilości T-shirtów i malowaniu transparentów ze sloganami.

Czasami do tych działań włączała się Daisy. Teraz twierdziła, że jest biseksualna. Dla nas mogła podawać się nawet za szympansa, byle tylko czuła się szczęśliwa. W weekendy dom Susan stawał się sztabem ruchu „TAK”. Wspaniale było patrzeć, jak Daisy nareszcie czymś się interesuje. Napisała nawet hymn kampanii, ale wykonała go tylko raz, na wiecu, pod moją nieobecność. Na szczęście Susan nagrała ją na telefonie. Numer brzmiał naprawdę świetnie. Daisy chciała go opublikować na Facebooku, na stronie kampanii, ale Susan się nie zgodziła. Powiedziała młodej, że jeśli ten przebój trafi do internetu, to na pewno ukradnie go inny piosenkarz. W sekrecie zdradziła mi, że Will martwił się o hejterskie komentarze. Body shaming. Trolle zwyzywałyby ją od grubasek, paskud,

a może jeszcze gorzej. Lektura komentarzy w mediach społecznościowych, nawet pod zdjęciami najpiękniejszych dziewczyn, sprawiła, że byłem skłonny się z nim zgodzić.

Luke też przychodził pomagać w te weekendy. Od długiego czasu nie miał psychotycznych epizodów. Można powiedzieć, że stał się kimś w rodzaju kinomana. Brał leki, chodził na spotkania AA, ale – co mnie irytowało – zaczął zadawać pytania o moje menedżerskie praktyki związane z jego karierą, domagał się przedstawienia rachunków za ostatnią dekadę, sugerując, że wytwórnice płytowe na pewno zdzierają z niego kasę. Zapewniłem go, że nic takiego nie ma miejsca. Zresztą łatwo było przypisać spadek przychodów z muzyki wejściu na rynek platform streamingowych. To w dużej części prawda. Tantiemy za odtworzenia w mediach wciąż napływały, ale sprzedaż płyt CD i utworów w iTunes spadła na łeb, na szyję, bo wszystko udostępniano na YouTube albo Spotify.

Zaplanowałem dla Susan niespodziankę i bardzo chciałem zobaczyć jej reakcję, gdy już wszystko będzie dopięte na ostatni guzik. Wprawdzie nie reprezentowałem Saoirse Ronan ani żadnych innych oscarowych supergwiazd, ale miałem pod skrzydłami kilku obiecujących absolwentów szkoły aktorskiej, którzy stopniowo wyrabiali sobie nazwiska i byli zauważani, więc interes szedł dobrze. Tym niemniej znałem ludzi, którzy znali Saoirse. Uruchomiłem swoje kontakty i zgodziła się nagrać spot, w którym popiera równość małżeńską. Czułem, że taki materiał rozejdzie się w mediach głośnym echem i Susan będzie zachwycona. Nawiasem mówiąc, to Will powinien był to zorganizować. Wielokrotnie spotykał się z Saoirse. Nic go nie kosztowało, żeby ją poprosić, ale on nie wykazywał żadnego zainteresowania kampanią. Współpracował wtedy z jednym reżyserem, Geraldem, i w irytujący sposób się do niego upodobił, a przy tym potrafił powiedzieć: „Nie mogę być homofobem, skoro mój partner w interesach jest gejem”. Takie kwiatki rozwścieczały Susan, co mnie cieszyło.

Daisy znowu się wyprowadziła, tym razem do mieszkania w centrum, więc w środę, wczesnym rankiem, pomyślałem, że mogę podjechać do

Susan. Kupiłem kilka bajgli i jej ulubioną, absurdalnie drogą kawę. To była świetna okazja, żeby spędzić razem kilka chwil przed pracą. Drzwi otworzył Will. W T-shircie, bokserkach i szlafroku Susan. Zamurowało mnie.

– Co ty tu robisz? – spytał, jakby jego obecność była oczywista.

– Kto to? – Usłyszałem z góry głos Susan.

– Brian. Przyniósł kawę. – Wyjął oba kubki z moich rąk. – Właż – powiedział.

– Znaczy ty... wy... z Susan...?

– No wiesz, jak jest. Zdarza nam się spotkać na numerkę, przez wzgląd na stare, dobre czasy. Tylko nie mów Daisy. To by jej namieszało w głowie. Biedaczka i tak ma ostatnio pod górkę.

Zaprowadził mnie do wielkiej, otwartej kuchni. Usiadłem na sofie, na której w poprzedni weekend kochałem się z Susan. Po chwili ona też zeszła na dół. Była porażona. No oczywiście.

– Brian? Co ty tu robisz? – jej głos podniósł się o oktawę.

– Kawę przyniósł. Aaa, ta chyba jest twoja. Masz. – Oddał mi kubek i podszedł do ekspresu, żeby zrobić nespreso dla siebie.

Nigdy nie mieszkał w tym domu, ale najwyraźniej czuł się tu swobodnie. Wiedział, gdzie co jest, i zachowywał się jak pan na włościach. Odjęło mi mowę. Gapiłem się tylko na Susan. Odpowiedziała wyzywającym spojrzeniem.

– Brian? Hej! Wszystko okej? – huknął Will, pstrykając mi palcami przed twarzą.

– Co? Tak.

– O, fajnie! Przyniosłeś bajgle! Podzielimy się, dwa na nas troje wystarczą. – To nie było pytanie. Will zawsze brał to, na co miał ochotę. – Przyłazłeś popychać waszą homokampanijkę? – W zwykłych okolicznościach za tę kpinę dostałby od Susan po łapach. Ale teraz gadał dalej, nieświadomy mojego szoku ani jej zawstydzenia. – Że niby Daisy jest bi? To tylko taka faza. Wyrośnie. Młodziaki grzeją się teraz na wszystko

przez ten cały internet. Oglądają, co leci, nakręcają się. Za miesiąc zmieni śpiewkę. Znajdzie porządnego chłopaka i się naprostuje. – Kiwnąłem głową i kilka razy odchrząknąłem. Susan zajęła się wycieraniem nieskazitelnie czystego blatu. Normalnie za taką gadkę odgryzłaby mi głowę. Ja też. Ale nie tego dnia.

– No dobra – powiedział Will – idę wziąć prysznic, a potem muszę lecieć do biura. Możecie zaczynać spotkanie waszego, he, he, „sztabu”. – Żadne z nas nie odpowiedziało. Po chwili trzasnęły drzwi sypialni.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę... Po tym wszystkim, co... Po tylu latach... Przecież mi mówiłaś, że nim gardzisz. Susan, co ty, kurwa, wyprawiasz?!

– Przepraszam... To nic nie znaczy, to był tylko jeden raz...

– Nie kłam. Pogarszasz sprawę! Przed chwilą powiedział, że zdarza się wam spotkać na numerek!

– Brian, proszę cię... Porozmawiamy później, kiedy go nie będzie, dobrze? Trudno to wytłumaczyć... – Nie chciałem słuchać wyjaśnień. Przestraszyłem się, że jeśli w tej chwili nie wyjdę, to ją uderzę, a jego zabiję. Albo zamorduję ich oboje. Wybiegłem do samochodu i wciskając pedał do podłogi, wróciłem do miasta, do domu. Na biuro nawet nie spojrzałem. Poszedłem na górę, położyłem się na łóżku i wbiłem wzrok w sufit.

Następnego ranka odpowiedź przyszła do mnie sama. Zemsta. Daisy. Obojgu im na niej zależało. Mnie również, ale musiałem jedno i drugie zranić, a wiedziałem, że mogę odebrać im córkę. Miałem film z jej piosenką Say Yes to Love. Opublikowałem go anonimowo na YouTube i zamieściłem linki na wszystkich możliwych stronach odwiedzanych przez homofobów. Nie trzeba było długo czekać na odzew.

Po kilku godzinach w stronę Daisy płynął strumień dzikiego, bezwzględного jadu. Tknęło mnie, że może posunąłem się za daleko. Młoda niedługo się dowie, że została wzięta na cel. Zadzwoiłem do niej.

– Daisy?

W jej głosie było słychać łzy.

– Brian, ktoś wrzucił mój filmik...

– Wiem, kochanie. Zaraz cię stamtąd zabiorę. Nie wychodź, już jadę.

Pojechałem prosto do mieszkania Daisy i przywiozłem ją do siebie. Pozwoliłem jej zapalić jointa. Trzymała go w drżącej dłoni, siedząc na mojej kanapie, zapłakana i bliska paranoi.

– Załatwię to, Daisy. Nie martw się. Wszystko naprawię.

Wstawiłem link do filmiku na wszystkich facebookowych stronach promujących równe prawa mniejszości seksualnych. Na wielu ludzi już wcześniej go umieścili. Pojawiły się tysiące wspierających komentarzy:

„Daisy Drumm ma piękny głos i piękną duszę”.

„We <3 Daisy!^[8]”

„Olej hejterów i gnojów, jedynka na liście przebojów!”

„Skond można sciagnac tom extra piosenke?”

– Hej, młoda, wrzuciłaś ją już na Spotify?

– Nawet nie wiem, jak.

Złote jajo potoczyło się do moich stóp. Mogłem na tym zrobić kasę! I uszczęśliwić Daisy. Za jednym zamachem byłem w stanie zrobić z niej celebrytkę i odebrać ją Willowi i Susan.

Ja miałem konto na Spotify. Powiedziałem Daisy, żeby poczytała sobie pozytywne komentarze na stronach promujących równość, a sam w tym czasie założyłem jej kanał na YouTube i przesłałem piosenkę do iTunes z opcją pobierania za dziewięćdziesiąt dziewięć pensów i obietnicą, że zgromadzone środki pójną na kampanię promocyjną równości małżeńskiej.

– Daisy? Chcesz, żebym został twoim menedżerem?

– Jakim znowu menedżerem?

– Wygląda, że rośniesz na gwiazdę mediów społecznościowych, ale chcę, żeby to się działo w kontrolowany sposób, tak, żebyś się czuła komfortowo. Chyba nie pozwolimy hejterom wygrać tej bitwy, co?

Zerwała się z sofy i mnie uściskała. Od lat tego nie robiła.

W ciągu godziny przygotowałem wszystkie umowy i dałem jej do podpisania. Następnego rana wysłałem je kurierem do prawnika.

– Będę musiała występować w telewizji?

– Do referendum pewnie nie, ale to już w najbliższy piątek, musimy działać szybko.

– Ale ja nie jestem gotowa...

– Daj spokój, Daisy! To właśnie ten przełom, którego potrzebujesz. Od kilku lat nie możesz się odnaleźć. A przecież piszesz świetne piosenki...

– Ale tata mówi, że jestem gruba...

– Jesteś piękna, Daisy! I bardzo odważna, bo walczysz o swoje prawa i o prawa swoich przyjaciół! A może zawalcz też o swoją sylwetkę? Przestań się ukrywać. Załatwię ci stylistkę i wizażystę.

– A znajdziesz mi trenera osobistego?

Mało się przez nią nie popłakałem. Być może kierowały mną inne, pokręcone pobudki, ale naprawdę chciałem jej pomóc dostrzec, jaka jest wspaniała. Nie potrzebowała żadnego trenera, tylko afirmacji, konkretnego celu i powodu, by co rano wstawać z łóżka. Wieczorem zabrałem wszystkie rzeczy z jej mieszkania. Zgodziła się wprowadzić do mnie na kilka miesięcy, żebyśmy razem wytyczyli ścieżkę jej kariery. Pozwoliłem jej zadzwonić do rodziców z tą nowiną, bo oboje przez cały dzień ignorowaliśmy telefony od nich.

Gdy przekazała mi słuchawkę, usłyszałem wściekły głos Willa:

– Namówiłeś ją na podpisanie kontraktu bez konsultacji ze mną ani z Susan? Teraz jesteś jej „menedżerem”, tak? Jaja sobie robisz, Brian? Bo ja się na to nie zgadzam!

– Przecież właśnie z nią rozmawiałeś. Bardzo się cieszy. I nie potrzebuje twojej zgody. Ma dwadzieścia jeden lat.

– Jadę ją zabrać z mieszkania. To jakaś kpina! Nie życzę sobie, żeby moja córka była twarzą gejowskiej kampanii!

– Serio, Will? Straszny z ciebie homofob.

– Nie zgrywaj świętoszka. Po prostu nie chcę, żeby obrzucali ją gównem w internecie. Wiesz, że jest wrażliwa.

– Myślisz, że robię to dla kasy, wiem. Ale ja też ją Kocham jak własną córkę. – Nie wychwylił aluzji. – Nikomu nie dam jej skrzywdzić.

– Zadbaj o to, Brian. To moje dziecko i nie pozwolę, żeby spotkało ją coś złego.

To chyba wtedy podjąłem decyzję.

Susan była trudniejsza do spacyfikowania.

– Co ty wyprawiasz? To ma być zemsta za wczoraj?

– Między nami skończone, Susan. Tobie było ze mną po prostu wygodnie, ale wiesz, że dla mnie nasz związek był całym światem. Nie umiem sprawić, żebyś mnie pokochała. Wtedy nie umiałem i teraz też nie potrafię. To koniec.

Wcale jej to nie obeszło.

– Ale dlaczego wciążasz w to Daisy?

– W nic jej nie wciążam. Jakiś idiota zdobył filmik Daisy, wrzucił go na YouTube i wysłał link na strony prawicowych homofobów. Ja zamieniłem najgorszy koszmar Daisy w piękny sen. Masz z tym problem?

– Dlaczego się do ciebie wprowadziła? Czemu nie może zostać we własnym mieszkaniu albo wrócić do mnie?

– Bo muszę pilnować, żeby wszyscy dobrze ją traktowali. U mnie jest bezpieczna.

– I to wszystko dzieje się przypadkiem, tak? Zastajesz u mnie Willa, a w następnej minucie instalujesz moją córkę u siebie w domu.

– Nie zapominaj, że może też być moją córką.

– Ty dupku!

– Już mnie nie obchodzi, co myślisz, Susan. Czekałem na ciebie dwadzieścia lat, ale nawet teraz byłem dla ciebie tylko małym, brudnym sekretem. Ta rodzina ma wiele takich małych, brudnych sekretów, prawda? Kochałem cię...

– Ale ja nigdy nie kochałam ciebie. Jeśli ją skrzywdzisz... – Odłożyłem słuchawkę.

Daisy wpadła do pokoju.

– Jestem na trzecim miejscu listy przebojów na Spotify!

Świetnie. To oznaczało kasę z reklam na YouTube.

Na kilka dni przed referendum wysłałem Daisy na intensywne szkolenie medialne ze znajomą z branży. Na szczęście młodej się spodobało. Inwestowanie w nią stanowiło ryzyko, bo gdyby równościowcy przegrali, to nie byłoby na Daisy dużego popytu, ale obserwowałem sondaże, z których wynikało, że „nasi” mają niewielką przewagę i jednak wygrają.

Tymczasem piątek 22 maja okazał się lepszy, niż mogliśmy się spodziewać. Wygraliśmy sześćdziesięcioma dwoma procentami głosów! Uroczystości urządzone następnego dnia były szalone i barwne – można się było tego spodziewać. Pojechałem z Daisy do Zamku Dublińskiego, gdzie ogłoszono oficjalne wyniki. Mnóstwo ludzi w tłumie ją rozpoznało. Zaczęli skandować jej imię i prosić, żeby zaśpiewała. Przeciskając się przez gapiów, popchnąłem ją w stronę prowizorycznej sceny. Organizatorzy zobaczyli Daisy, poprosili, by wystąpiła. Ochroniarze przenieśli ją nad barierkami razem z gitarą (zadbałem, żeby wzięła ją z domu) i zaprowadzili do mikrofonu. Przez minutę stała ze spuszczoną głową, nic nie mówiąc, a potem zaczęła grać. W oddali zobaczyłem Susan. Wpatrywała się w córkę z głębokim niepokojem.

Wystarczyło, że Daisy zaśpiewała lekko drżącym głosem pierwsze takty, a tłum przyłączył się do niej. Cały górny dziedziniec zamku nucił piosenkę Daisy, wszyscy wyjęli telefony i kręcili ten historyczny moment. Sam taoiseach^[9] podszedł i ją uściskał. Potem ludzie zaczęli ją nosić na rękach. Stała się ich maskotką i symbolem, a radość na jej twarzy była czymś fantastycznym. Zobaczyłem Susan. Zbliżyła się, rozpychając oszalały tłum.

Rzuciła tylko jedno słowo: „Dziękuję”, ale nawet nie odpowiedziałem. To był dopiero początek mojego planu. Wysłałem do prasy notatkę

z informacją, że Daisy chętnie udzieli wywiadów na temat równości i body shamingu oraz przyjmie zaproszenia na koncerty i występy w telewizji.

Po pierwszym tygodniu wywiadów i koncertów Daisy była podniecona i wyczerpana zarazem. Tamten improwizowany występ dodał jej pewności siebie, której tak bardzo potrzebowała. Susan i Will wydzwaniali do mnie, ale nie odbierałem. Daisy wyznała mi, że według nich bierze na siebie zbyt dużo, wszystko dzieje się za wcześnie. Na polecenie Willa przyszedł do nas Luke i powiedział, że Daisy jest za młoda, żeby unieść taką sławę, i że powinienem wyciągnąć wnioski z jego błędów. Próbowałem go rozbroić, proponując, żeby wraz ze mną został jej menedżerem. Przecież lepiej niż ktokolwiek inny znał pułapki sławy czyhające na młode gwiazdki. „Sam nie wiem, Brian. Teraz jest inaczej. Wszyscy wszystko filmują i wrzucają do sieci. Ten świat jest znacznie okrutniejszy niż za moich czasów. Nie zdołasz jej ochronić przed tym całym gównem”.

A jednak próbowałem. Namówiłem ją na regularne sesje terapeutyczne dwa razy w tygodniu. Pozwoliłem jej palić marihuanę w domu pod warunkiem, że będzie to robić w towarzystwie znajomych, a nie sama. Jej dziewczyna nie była z gruntu zła, ale zazdrościła Daisy sukcesu. A Daisy miała teraz wystarczająco dużo sił, żeby ją rzucić. Monitorowałem jej picie. Traktowałem ją jak córkę, a ona zachowywała się, jakby naprawdę nią była. Powiedziała, że lubi ze mną mieszkać. Odparłem, że cieszę się, że tu jest. Wróciliśmy do bliskiej relacji, takiej, jaką mieliśmy, gdy była dzieckiem. Przytulała mnie na dobranoc, a ja obdarzałem ją niepodzielną uwagą.

Zgodziłem się z nią, gdy stwierdziła, że rodzice ją nękają. Przemyciłem sugestię, że Willowi zdarzają się okrutne komentarze na temat jej wagi (bo się zdarzały), ale że wygłasza je tylko dlatego, że się o nią troszczy. Zasugerowałem, że Susan może się nie podobać, że Daisy jest już niezależną kobietą z własnymi pieniędzmi i karierą, bo sama nudzi się po zakończeniu kampanii i potrzebuje zająć się córką.

Podkopywałem zaufanie Daisy do Susan i Willa na najróżniejsze sposoby. Nie musiałem się przy tym wysilać.

Dwa tygodnie później Will i Susan zjawili się u mnie, żądając, by Daisy spakowała walizki i natychmiast wróciła do domu Susan. Usiadłem i pozwoliłem, żeby młoda sama stoczyła z nimi tę bitwę. Susan zaczęła od szpili, że jej córka powinna sprawdzić, ile na niej zarabiam. Daisy odparła, że wcześniej nie zarabiała nic, a dzięki mojej hojności może tu mieszkać za darmo. Will popełnił fatalny błąd, mówiąc głośno, że Daisy przytyła. Na to ona odpowiedziała oskarżeniem, że ojciec poddaje ją fat shamingowi, a ona od lat nienawidzi siebie za to, że nie umie sprostać jego niemożliwym standardom.

– Co ty robisz, Brian? Co tobą kieruje? Ona nie chce być gwiazdą mediów. Jest za młoda. Dobrze wiesz, co sława zrobiła z Lukiem. Jak możesz? – natarła na mnie Susan.

Daisy wrzasnęła na matkę:

– Przestań za mnie decydować! Jestem dorosła, Brian to jedyna osoba, która kiedykolwiek się o mnie troszczyła. Zostaw mnie w spokoju! Teraz naprawdę mogę zmienić życie wielu ludzi. Oboje jesteście po prostu zazdrośni. Nie wiem, czy chcę zostać gwiazdą, ale warto spróbować być kimś i walczyć o prawa takich jak ja. – Rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Susan nie potrafiła spojrzeć mi w oczy. Myślę, że wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi. Will zgotował mi piekło.

– Jest różnica między ojcem a ojcem chrzestnym, Brian! Przegiąłeś. Mama pewnie przewraca się w grobie.

– Nasz biedny Will, synek mamusi. – Nie mogłem się powstrzymać od tego komentarza.

Złapał mnie za ramię i wywiązała się żenująca szamotanina dwóch łamag. Udało mi się rąbnąć go pięścią w nos. Susan aż zasłoniła twarz dłonią. Pewnie bała się krzyknąć, żeby Daisy nie usłyszała nas z góry. Will zatamował krew lnianą chustką.

– Kutas – mruknął głosem stłumionym przez materiał i wymaszerował z pokoju. Susan wyszła za nim.

Tego wieczoru zdjęłem kosmyk włosów wraz z cebulkami z grzebienia zostawionego przez Daisy w głównej łazience. Potem zrobiłem wymaz śliny z własnych ust, zebrałem kosmyk swoich włosów i wysłałem wszystko do laboratorium genetycznego w Anglii.

CZĘŚĆ DRUGA

Obcy

William

Na festiwalu filmowym w Galway wpadłem przypadkiem na Grace Kennedy, znajomą dziennikarkę, autorkę felietonów w weekendowym dodatku do jednej z gazet. Zawsze opisywała pochlebnie moje działania, a w zamian za to ja stawiałem jej drinki i załatwiałem wywiady jeden na jeden z gwiazdami naszych filmów, ale to ona miała większy dług wdzięczności u mnie niż ja u niej. Na przestrzeni lat raz lub dwa razy zdarzyło nam się wylądować w łóżku, lecz było to przed moją diagnozą. Lekarz zapewnił mnie, że spokojnie mogę wrócić do normalnego seksu, i to nawet bez prezerwatywy, bo ładunek wirusowy w moim organizmie spadł do znikomego poziomu. W następnym roku flirtowałem z kilkoma kobietami, ale szok po diagnozie wciąż się utrzymywał i czasami potrzebowałem viagry, żeby móc przystąpić do działania. Usłyszałem mnóstwo zapewnień, że będę mógł prowadzić pełne i zdrowe życie, o ile tylko nie odstawię tabletek. Przyjmowałem je codziennie i trzymałem w buteleczce po witaminach na szafce nocnej, więc nawet sprzątaczką nie mogła niczego podejrzewać.

W piątkowy wieczór siedziałem przy barze w Radissonie. Grace przysiadła się i szturchnęła mnie łokciem.

– Zamówisz mi margaritę? Mamy do pogadania.

– Jasne. Z jakąś konkretną tequilą?

Wyszczrzyła się i wskazała na stolik na zewnętrznym patio dla palaczy. Posłusznie zamówiłem drinki i poszedłem za nią, ciekawy, co ma mi do

powiedzenia. Napisała już świetną recenzję mojego nowego filmu *Bezwstydne dusze* i zrobiła wywiady z trzema czołowymi gwiazdami.

– Chodzi o twojego brata. – Założyłem, że ma na myśli Luke’a.

Mary Cullen, którą kiedyś zatrudniałem i wyszkoliłem, wyprodukowała film fabularny *Kobieta z gwiazd* z Lukiem w jednej z głównych ról. Słyszając to, wybuchłem śmiechem. Luke nie miał żadnego doświadczenia, a szanse, że w ogóle pojawi się na planie, były tak marne, że nigdy nie dostaną ubezpieczenia koniecznego, żeby go obsadzić. Jednak z dobrze poinformowanych źródeł nie tylko usłyszałem, że film jest dobry, lecz także że mój brat był w nim świetny. Wcielał się w rolę psychopatycznego męża kobiety granej przez aktorkę zgarniającą wielomilionowe gaże. Film został dobrze przyjęty na międzynarodowych festiwalach, zdobywał coraz większe uznanie krytyków i miał mieć premierę właśnie tutaj, na Galway Film Fleadh.

Moje *Bezwstydne dusze* opowiadały o maratończykach i byłem przekonany, że świetnie wpisują się w ducha czasów i podpasują współczesnym fanatykom sportowego trybu życia. Kluby fitness otwierały się w podobnym tempie, w jakim plajtowały puby, a studenci – wcześniej chlający na potęgę – teraz spędzali więcej czasu na siłowniach i innych zumbach niż w barze. Pokolenie instagramowych milenialsów. Moje *Dusze* pokazywano na festiwalu mniej więcej w tym samym czasie co *Kobietę z gwiazd* i oba filmy cieszyły się podobnym zainteresowaniem.

Chodziły słuchy, że jeden i drugi mają szanse na Oscara. Jako stary wyjadacz wiedziałem, że takie plotki są bez znaczenia, co najwyżej przekładają się na szerszą dystrybucję w dużych kinach. Mary i Luke nie mieli mojego doświadczenia i nadmiernie ekscytowali się perspektywą sukcesu. A ja czekałem spokojnie, aż ich mydlana bańka pęknie. Irlandzkie media rozdmuchały wiadomość o zacieklej rywalizacji dwóch braci Drummów i o tym, że trzeci, Brian, jest menedżerem większości młodych irlandzkich artystów. A czarnym koniem w jego stajni, składającej się z muzyków, aktorów i aktywistów, była moja córka Daisy.

Między mną i Lukiem nie było żadnej zawodowej rywalizacji. Rozmawialiśmy ze sobą, od czasu do czasu się spotykaliśmy – najczęściej przy okazji różnych wydarzeń branżowych. Chociaż przesłał mi screener swojego filmu i zapraszał na projekcje, to wykręcałem się i nigdy na żadną nie przyszedłem. Wiem, że rozpaczliwie starał się mnie skłonić, żebym to jego dzieło obejrzał i pochwalił, a przynajmniej dostrzegł jego rolę, ale chyba jednak rywalizacja między rodzeństwem nigdy całkiem nie znika. Kiedy za młodu ja i Susan z małą Daisy ledwo wiązaliśmy koniec z końcem, on był już gwiazdą, lecz mi nie pomógł, więc dlaczego ja miałbym mu teraz gratulować? No oczywiście to bardzo dobrze, że odzyskał psychiczną stabilność. Jeśli gazety o nim teraz pisały, to zazwyczaj w optymistycznym tonie. Próbowałem się z tego cieszyć. Starałem się też ignorować fakt, że on i Mary najwyraźniej są parą.

– Co znowu nawywijał? – westchnąłem ciężko, w obawie, że mógł znów wpaść w jeden ze swoich emocjonalnych dołów.

– Powierzyłeś mu opiekę nad swoją córką?

– Co? On z nią nie ma nic wspólnego.

– Ale jest jej menedżerem?

– Aaa! Mówisz o Brianie?

– Tak.

Można powiedzieć, że Brian przejął kontrolę nad Daisy. Miałem świadomość, że moja córka jest wrażliwa i łatwo ulega wpływom, ale musiałem też przyjąć do wiadomości, że ma dwadzieścia trzy lata i jest dorosła, więc może sama o sobie decydować. Luke stwierdził, że młoda do mnie wróci, ale na razie nie widzieliśmy się od siedmiu miesięcy, a Susan miała z nią tylko urywany kontakt. Wydawało mi się, że chce pozwolić, żeby emocje opadły. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie jest tak wściekła na Briana jak ja. Z nim również nie rozmawiałem od miesięcy.

– Co się dzieje?

– Okej, wiem, że sprawa jest delikatna, bo ma związek z rodziną, ale kilka tygodni temu byłam w Paryżu, zbierałam materiały do artykułu

o tym, dlaczego irlandzka muzyka, z wyjątkiem U2 i twojego brata, a i to dawno, nie przebiła się na kontynencie. Przeprowadziłam wiele wywiadów, między innymi z byłą uczennicą Briana. Sprzed jakichś... dwudziestu lat. I wiesz co...?

– Sorry, ale co to ma wspólnego z czymkolwiek? Ktoś wspominał o Brianie? Jakim cudem? Przecież on nie jest znany.

– Ta dziewczyna, gdy chodziła do szkoły, była fanką Luke’a. Powiedziałam jej, że znam ciebie i jego, a ona na to, że Brian zabrał wszystkich uczniów na koncert Luke’a na jakiejś arenie...

– No i?

Gdy Grace mówiła, dym wypływający z jej ust unosił się niewinnie nad Lough Atalia, a ja słuchałem, patrząc, jak jeżą mi się włoski na przedramieniu.

– No i... wiesz, to może nie być nic takiego, ale... powiedziała, że Briana zwolnili ze szkoły za utrzymywanie niestosownych relacji z uczennicą z jej klasy. Dziewczyna miała piętnaście lat, a on dwadzieścia pięć, więc aż tak wielkiej różnicy między nimi nie było, ale jednak ona była dzieckiem, więc to nielegalne, no i ciekawiło mnie, czy coś o tym wiedziałeś albo czy zadziało się tam coś, o czym powinienesz być wiedzieć? Zwłaszcza teraz, kiedy twoja córka... no, wiesz... mieszka u niego. Spokojnie, nie napiszę o tym, ale gdyby ta historia wpadła w łapska komuś z „Maila”, to nie będę mogła wam pomóc... – Grace była freelancerką, pisała teksty do prawie wszystkich dzienników, ale nie to mnie martwiło.

– Bo wiesz, zwykle Brian przychodził do nas ze wszystkimi brudami na temat Luke’a...

– Co takiego?!

– Oj weź, Will, nie mów mi, że nie wiesz, skąd czerpaliśmy całą wiedzę o jego „przygodach”? Brian całymi latami sprzedawał nam najciekawsze historie o waszym bracie. Z dzieciństwa, o załamaniach, odsiadkach w domach bez klamek... Zawsze podawał nam też nazwisko jakiegoś znajomego albo sąsiada, który, odpowiednio zmotywowany, mógł

potwierdzić jego rewelacje. Więc teraz chciałam cię uprzedzić, bo, no wiesz, nie mogę zagwarantować, że to nie trafi do gazet. Rozumiesz?

Nie pamiętam, co mówiła dalej. W wyobraźni wróciły do mnie wszystkie momenty, w których Daisy obściskowała Briana, od dzieciństwa aż do całkiem niedawna, kiedy już nie przytulała się do mnie ani do Susan. Zawsze okazywał jej fizyczną czułość. Gdy oglądali telewizję, często kładła mu nogi na kolanach. Ze mną nigdy tak nie robiła. Przypomniały mi się wszystkie te chwile z jej dzieciństwa, kiedy wracałem do domu, a Brian był u nas i się z nią „bawił”. Od niego się dowiedziałem, że zaczęła nosić stanik. Czy to możliwe, że on...?

Czy to normalne, żeby facet pod pięćdziesiątkę nigdy nie był w dłuższym związku z dorosłą kobietą? Czyżby przysposabiał sobie moją Daisy? Czy on był z nią... w związku?! Czy przypadkiem Daisy po wprowadzeniu się do Briana nie zerwała ze swoją dziewczyną? Czyżby coś się między nimi działo, odkąd była nastolatką?

Wysiedziałem do końca projekcji naszego filmu, potem wygłosiłem mowę na autopilocie. Po seansie podjąłem kilka bezskutecznych prób namówienia taksówkarzy, żeby zawieźli mnie do Dublina, ale dla nich to była pięciogodzinna podróż w obie strony, więc żaden się nie zgodził. Wieczorem się upiłem i spędziłem bezsenną noc w hotelu, a wczesnym rankiem wrzuciłem walizkę na tylne siedzenie samochodu i łamiąc wszystkie ograniczenia prędkości, wróciłem do Dublina. Zaparkowałem przed domem Briana – to znaczy przed domem Luke’a – i zacząłem się w oczekiwaniu. Po godzinie do bramy podeszła Daisy w towarzystwie dwóch androgynicznych indywiduów w jej wieku.

– Daisy? – zawołałem, opuszczając szybę.

– Tata! – Wyglądało na to, że moja obecność ją zaskoczyła, ale nie zirytowała. – Co ty tutaj robisz? Nie powinieneś być w Galway?

Byle tylko zachować spokój. Ale ucieszyło mnie, że pamięta, co się u mnie dzieje.

– Umówiłem się na obiad z twoją mamą. Może też wpadniesz? Dawno się nie widzieliśmy.

Dała znajomym klucz, żeby sobie otworzyli drzwi, i włożyła głowę do samochodu.

– Miło cię widzieć, ale wiesz... – Wskazała na dwójkę znikającą właśnie w drzwiach do piwnicy. – Mam już plany, z nimi.

– Od dawna się nie widzieliśmy, Daisy.

Westchnęła.

– Tęsknię za tobą, naprawdę, ale musisz zaakceptować moje wybory życiowe i to, że jestem tu szczęśliwa z Brianem. On się o mnie troszczy. I mnie nie ocenia.

– My też się o ciebie zatroszczymy. Proszę, wróć ze mną do domu. Oboje za tobą tęsknimy.

Zjężyła się.

– Więc powinnam w tej chwili odwołać swoje plany, bo ty sobie tego życzysz? Właśnie w tym tkwi problem, tato. Brian nie ma takich oczekiwań.

Mocniej zacisnąłem ręce na kierownicy i uśmiechnąłem się na siłę.

– Więc może obiad jutro?

– Okej. Czy Brian też jest zaproszony?

– Nie zapędzajmy się, dobrze, słoneczko?

– Tato! Na litość boską! Nie nazywaj mnie słoneczkiem! Jestem dorosłą kobietą!

– Jasne. Wybacz, przepraszam. Ale przyjdiesz jutro na obiad?

– Do ciebie czy do mamy?

Dobrze wiedziałem, że to jest wyzwanie z gatunku „dowiedź, że nie jesteś szowinistyczną świnią”. Gotowanie rodzinnych obiadów zawsze zostawiałem Susan. Według Daisy byłem chodzącym przykładem patriarchy.

– Do mnie. Ugotuję coś. A nawet pozmywam.

Zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– A co ugotujesz?

– Upiekę kurczaka. – To była jej ulubiona potrawa.

– Okej. O której?

– O wpół do pierwszej. Tylko bądź sama, bez Briana.

– No już dobrze – zgodziła się niechętnie, przewracając oczami, jakby robiła mi przysługę, i odeszła w stronę domu.

Może jednak myliłem się co do niej? Daisy była „przebudzona”, jak to się mówi. Nie było szans, żeby pozwoliła się wykorzystać swojemu wujkowi. Wyglądała, jakby wreszcie zaczęła się dobrze czuć we własnej skórze, i chociaż wciąż miała wyraźną nadwagę, to zboląta i cierpiąca mina na dobre zniknęła z jej twarzy. Brian wysyłał nam wcześniej maile o wszystkich terapiach, na które ją zapisywał, ale byliśmy na niego tak wściekli, że na żaden nie odpowiedzieliśmy. Tymczasem wyglądało na to, że Daisy może spokojnie przyprowadzać do domu znajomych, i wszystko wydawało się w porządku. Ale do czego doszło w tamtej szkole we Francji? Co mówiła Grace o koncercie Luke’a w Paryżu, kiedy Brian był tam nauczycielem? Musiałem z nim porozmawiać.

Luke był podekscytowany świetnymi recenzjami swojego filmu, zwłaszcza tymi, w których pisano, że zagrał oscarową rolę. Stronił jednak od wszelkich rautów z dziennikarzami i – jeśli nie musiał – nie bywał na żadnych festiwalach. Z determinacją unikał wszelkiego rozgłosu, a Mary też chroniła go przed mediami, jak umiała.

Zadzwoiłem do niego.

– Luke?

– Hej, Will! Jesteś w Galway? Oglądałeś mój film? Mary mówiła, że cię widziała...

– Ja nie w tej sprawie. Mogę wpaść? Mamy do pogadania.

– No... tak... ale co się stało?

– To nie jest rozmowa na telefon.

– Brzmi poważnie. Masz jakieś kłopoty? – Potem jego głos zabrzmiał znacznie wyżej. – Czy chodzi o mnie?

Przez całe życie wydawało mu się, że świat się kręci wokół niego. Miałem tego serdecznie dość.

– Nie... Słuchaj, będę u ciebie za dwadzieścia minut, okej?

– No dobrze, ale mieszkam gdzie indziej.

– Co?

– Dwa tygodnie temu przeprowadziłem się do Mary. Chciałem ci powiedzieć.

Westchnąłem.

– W porządku. Jaki adres?

Okazało się, że było to mieszkanie z widokiem na port Dun Laoghaire. Ładnie umeblowane, dobrze urządzone, ale zdecydowanie należące do kobiety. Poza samym Lukiem, żaden detal nie wskazywał na to, że mieszka tam mężczyzna.

Wyglądał elegancko. Linia włosów w kolorze pieprzu z solą tylko nieznacznie cofnęła mu się na czole, podczas gdy moja łysina zbliżała się już do uszu. Z jego zachowania i ruchów emanował spokój. Trzy lata stabilności, bez psychotycznych epizodów, to był dla niego rekordowy wynik. Ta passa musiała się skończyć. Prawie zrobiło mi się żal Mary, chociaż nigdy jej nie wybaczyłem rozpieprzenia mojej relacji z Daisy. Po tamtym weekendzie na festiwalu filmowym w Cannes, tyle lat temu, młoda już nigdy nie patrzyła na mnie tak jak wcześniej, a ja byłem na tyle głupi, że pozwoliłem Brianowi zastąpić się w roli jej ojca. Powinienem być bardziej się starać.

– Słuchaj, dawno temu, będzie ze dwadzieścia lat, miałeś tournée po Europie i grałeś w Paryżu. Brian wtedy tam mieszkał...

– Aha?

– Byłeś wtedy na prostej? Przypominasz sobie tamten okres?

Zrobił urażoną minę.

– Tak, William, byłem „na prostej”.

– Wybacz. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Ale sprawa jest taka, że... jedna dziennikarka naopowiadała mi różnych dziwnych rzeczy

o Brianie, więc się zastanawiam, czy też coś z tego pamiętasz?

– A, to o to chodzi? Tak, pamiętam. Faktycznie, akcja była dziwaczna, ale wszystkiemu zaprzeczył.

– Czyli wiedziałeś?! No nie do wiary!

– Tak, ale nie mnie go osądzać. Może tylko eksperymentował? Byliśmy bardzo młodzi, Will. A co? Jakiś brukowiec chce to wywlekać? Żalotne!

Jego niefrasobliwe podejście mnie zaniepokoiło.

– On nie był aż tak młody jak tamta dziewczyna.

– Jaka znów dziewczyna?

– No ta uczennica!

– Co?

Wyglądało na to, że każdy z nas mówi o czymś innym. Po kolejnych dziesięciu minutach krążenia wokół tematu zrozumiałem, że według Luke'a nasz brat Brian był w homoseksualnym związku z właścicielem jakiejś restauracji.

– Słuchaj, nie mam stuprocentowej pewności, ale na to wyglądało. Brian mieszkał z nim w wypasionym apartamencie w bogatej dzielnicy, na który na pewno nie byłoby go stać z pensji pomywacza.

– Jak to pomywacza? Myślałem, że uczył w szkole.

– Tak. Nie pamiętam szczegółów, ale w tym tygodniu, gdy koncertowałem w Paryżu, zmienił pracę. Facet, z którym mieszkał, był właścicielem tej restauracji. Zaprosili mnie na kolację. Wydaje mi się, że Briana z tej szkoły zwolnili.

– Dlaczego?

– Nie pamięć...

– Więc sobie przypomnij! To ważne. Dlaczego stracił posadę nauczyciela?

– Naprawdę nie wiem. Ale to miało związek z jakimś uczniem.

– Coś jej zrobił? Tej uczennicy?

– Co? O Boże, nie! To znaczy: nie wiem. Nie powiedział mi. Myślałem, że uderzył ucznia, chłopaka. Sam wiesz, że był kiedyś porywczyni. Ale żadnych szczegółów mi nie zdradził. Zaraz potem pojechał ze mną w trasę. Pamiętasz? Sprzedawał moje płyty i inne gadżety.

– Mhm. I miał świetny dostęp do nastoletnich fanek.

– Co ty wygadujesz? To nie porządku, Will.

– Nie w porządku, Luke, jest to, że Brian całymi latami sprzedawał historyjki z twojego życia mediom. Pamiętasz, ile razy się skarżyłeś, że nikomu nie możesz zaufać? To właśnie Brian żerował na twoim zaufaniu. Zarabiał na tobie kasę, nie tylko jako twój agent, lecz także jako źródło pomysłów na twój temat. Sprzedawał twoją historię.

Luke zerwał się z krzesła.

– Nie! Nie zrobiłby tego. To niemożliwe! Wiadomo, że zawsze był na bakier z kasą, ale do tego by się nie posunął!

– Mówiąc szczerze, w tej chwili mam to w dupie. Natomiast potrzebuję się dowiedzieć, czy jest lub był w związku z moją córką. Ta cała gejowska przygoda wygląda mi na zasłonę dymną. On lubi nieletnie dziewczęta i przeraża mnie myśl, że Daisy jest jedną z jego ofiar.

Luke złapał się za głowę i zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju.

– O mój Boże! A to dupek!

– Weź się, kurwa, uspokój! – warknąłem na niego. – Spróbuj sobie przypomnieć wszystko, co wiesz o nim i tamtej uczennicy z Paryża. Która to była szkoła, jak się nazywała ta restauracja i jej właściciel. Możliwe, że to wszystko fałszywy alarm.

– Ale że sprzedawał mnie brukowcom? Na pewno to wiesz?

– Faktycznie, Luke, tutaj chodzi wyłącznie o ciebie.

Potem pojechałem do Susan. Gdy dotarłem tam po piątej, otworzyła mi drzwi w szlafroku. Wyglądała jak siedem nieszczęść. Aż mnie zatkało.

– Chora jesteś? – spytałem, idąc za nią do kuchni. Ociągała się chwilę z odpowiedzią.

– To menopauza. Czuję się, jakbym wpadła pod pociąg. Wszystko mnie boli.

– To mi bardziej wygląda na grypę.

Zatrzymała się i wbiła we mnie wściekle spojrzenie.

– Tak, Will, bo oczywiście ty jesteś ekspertem od menopauzy. – Sarkazm jej nie opuścił.

– Chcę pogadać o Daisy.

– Czy to nie może poczekać?

– Nie. Przychodzi do mnie jutro na obiad i chcę, żebyś też tam była. Musimy się z nią skonfrontować.

– W jakiej sprawie?

– Boże, nawet nie wiem, od czego zacząć. Martwię się, że jest w jakimś dziwnym związku z Brianem.

Dotąd Susan pólleżała na sofie, ale teraz usiadła sztywno i odsunęła tłusty kosmyk włosów za ucho.

– O czym ty mówisz?

– Oni są ze sobą za blisko. Zawsze byli. To, jak on się przy niej zachowuje. Przecież wiesz. Przytulają się do siebie. Niby dlaczego ją przekabacił, żeby u niego zamieszkała? To jest dziwaczne. On jest jak Michael Jackson.

– Boże wszechmogący, co ci się roi w tej twojej głowie? Z zazdrości wymyślasz niestworzone historie? Tak samo jak ty jestem wkurwiona, że ma ją w garści, ale takie oskarżenia są po prostu niesmaczne. I niebezpieczne.

Zaskoczyło mnie, że go broni. Ale nie słyszała jeszcze wszystkiego.

– Zwolnili go z tamtej szkoły w Paryżu za niestosowne zachowanie wobec piętnastolatki. Zaraz będzie o tym głośno w mediach. Jedna dziennikarka mi powiedziała.

– Tam do niczego nie doszło. Dziewczyna dostała obsesji na jego punkcie. On jej nawet nie dotknął. Został w tej sprawie wezwany na

dywanik i uderzył dyrektora szkoły pięścią w twarz. Dlatego go zwolnili.

– Co? A ty skąd o tym wiesz?

– Kilka lat temu byłam z Brianem w Paryżu. Spotkaliśmy się z jego starym znajomym, Conradem, właścicielem restauracji. Byłam przy ich rozmowie.

Pomyślałem, że czegoś nie rozumiem.

– Słucham? Ale co ty robiłaś z Brianem w Paryżu?!

Znowu pociągnęła się za włosy, robiła to zawsze, gdy czuła się nieswojo.

– Trzeba to było wyjaśnić, więc postanowiliśmy pojechać.

– A dlaczego ja o tym nie słyszałem?

– Bo to nie był twój zakichany interes.

– O mój Boże, on cię urabiał, żeby móc się zbliżyć do Daisy!

– Nic takiego się nie działo! Co ci strzeliło do głowy, żeby robić z własnego brata pedofila?

– Bo on się zawsze za bardzo z nią spoufalał. Wtedy myślałem, że po prostu jest świetnym ojcem chrzestnym, ale, Jezu Chryste, on ją co tydzień zabierał na basen! Pamiętasz? Kiedy między nami się nie układało, chodziła do niego nocować. Czy to nie wydaje ci się dziwne? Dlaczego dorosły mężczyzna miałby chcieć spędzać czas z dzieckiem albo nastolatką?

Na czole Susan pojawiły się kropelki potu.

– Dlatego, że jest jej ojcem.

Z początku myślałem, że może to ta menopauza rzuciła jej się na głowę, ale Susan zanosła się płaczem i w potokach łez wyjawiała mi prawdę. Ona i Brian kombinowali ze sobą za moimi plecami.

– To był tylko jeden raz, na koncercie Luke'a, długo przed naszym ślubem.

– No oczywiście, że przed ślubem – wybuchnąłem. – Gdyby nie ciąża, to bym się z tobą nie ożenił. – To było kłamstwo.

– Tak? Bo niby jesteś taki honorowy?

Powiedziała, że ten ich jeden raz przytrafił się po prochach.

– Przecież on nigdy nie brał narkotyków!

– Ale wtedy wziął. Przysięgam. Sam go spytaj.

Potem oświadczyła, że do niedawna nie wiedziała, kto jest ojcem Daisy, ale wybrała mnie.

– Brian i ja... przez kilka lat byliśmy ze sobą...

– Co takiego?!

– Zawsze miał hopla na moim punkcie. Był przekonany, że gdyby on pierwszy zaprosił mnie na randkę, teraz byłabym jego żoną. Wiem, że to mrzonka, ale wszystko się zepsuło, kiedy przyszedł tu któregoś ranka i zastał ciebie w moim szlafroku. Robiłeś śniadanie. Wściekł się, że nadal ze sobą sypiamy...

– Ale to było ile?... dwa lata temu?

– Wiem. Chyba wtedy postanowił zrobić test na ojcostwo.

Zdjęła z kuchennej szafki teczkę z testem DNA i wyjęła kartkę z wynikiem. Brian był ojcem Daisy. Susan kazała mu przysiąc, że nigdy jej tego nie powie.

– A co ze mną? – spytałem. – Zawarliście jakiś pakt, żeby mi też nie mówić?!

– Tak – odpowiedziała. Po jej policzkach spływały łzy.

Musiałem stamtąd natychmiast wyjść. Próbowałem podejść do tego racjonalnie. Sam nie zawsze byłem wierny żonie, przyznaję. Jednak ona zdradziła mnie z moim rodzonym bratem, jeszcze zanim się pobraliśmy! Ale nasze małżeństwo rozpadło się przez moją niewierność, tak?! Zrobiła wszystko, żebym uwierzył, że Daisy jest moim dzieckiem, a Brian grał w tę grę. Jak teraz miałem rozmawiać z Daisy? I co do niej czuć? Za to bardzo dobrze wiedziałem, co czuję do Briana. Chciałem go zabić. Oszukany i zdradzony. Moja córka... nie była moją córką.

Opuściłem dom Susan, nie mogąc skupić na niczym myśli. Po części chciałem się skonfrontować z Brianem, ale też bałem się, że mogę mu zrobić coś strasznego. Wróciłem do siebie i całą noc przesiedziałem, nie

zmrużywszy oka. Po separacji Susan oddała mi albumy z rodzinnymi zdjęciami. Chyba nigdy ich nie przeglądałem, ale trzymałem je, bo takich rzeczy się nie wyrzuca. Teraz postanowiłem je obejrzeć. Daisy u mnie na kolanach, Daisy u mnie na barana, jej urodziny. Susan, Daisy i ja – pełna, szczęśliwa rodzina.

Na bardzo wielu zdjęciach dostrzymałem dowody wieloletniej zdrady. Brian – popycha Daisy na huśtawce. Brian – uczy Daisy wiązać sznurowadła. Brian i Daisy – leżą razem na sofie, czytają i łaskoczą się nawzajem. Na kilku fotografiach pojawiała się moja matka, zawsze blisko mnie, promieniejąca dumą. Co by powiedziała, gdyby mogła się o tym wszystkim dowiedzieć? Biedaczka... byłaby przerażona. Luke też się pojawiał, ale rzadko, zawsze w tle. Nie wiem, kto miał zdjęcia z naszego dzieciństwa, ale gdy dorośliśmy, rzadko bywał na rodzinnych imprezach, a jeśli już się pofatygował, to trzymał się na uboczu i chlał wino.

Piłem jedną kawę za drugą, żeby się nakręcić. Jeszcze raz przejrzałem zdjęcia ze mną i Susan. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się ponownie ożenić. Tak naprawdę nie chciałem się rozwodzić, ale to było lepsze rozwiązanie ze względów podatkowych. Nawet w okresach, gdy serdecznie nie znosiłem Susan, jakaś część mnie nadal ją kochała.

O, znalazły się – zdjęcia z dnia ślubu. Była wtedy w piątym miesiącu. Musieliśmy załatwić specjalne pozwolenie z parafii, żeby ominąć trzymiesięczny okres oczekiwania na ślub kościelny. A, właśnie! Przecież Brian wyjechał do Paryża miesiąc po naszym ślubie? Pamiętam kłótnię z Susan o to, czy ma być ojcem chrzestnym Daisy. Ona nie chciała, żeby nim został, a ja uważałem, że jej odbiło. Skoro jej siostra mogła być chrzestną, to dlaczego mój brat nie mógł zostać chrzestnym? Ale on, chociaż proponowałem, że kupię mu bilet na samolot, nie przyjechał do kraju na chrzciny. Przez całe życie Daisy musiał podejrzewać, że jest jej ojcem... Ale dlaczego tak długo zwlekał ze zrobieniem testu? Zgodnie z datą na formularzu zrobił to niedługo po tym, jak się do niego wprowadziła. Zaledwie dwa lata temu. Po naszej kłótni. Po tym, jak odkrył, że Susan zdradzała jego ze mną.

Obudziłem się skołowany i bez sił. Ktoś dzwonił domofonem.

– Tak?

– Tato? To ja, Daisy!

– Proszę, wejdź.

Susan nie przyszła. Nie było obiadu. Nie było pieczonego kurczaka. Ja nie byłem ojcem. A Daisy zasługiwała na to, by poznać prawdę.

Brian

Tego niedzielnego ranka Susan zadzwoniła, żeby mnie ostrzec, że Will wie. Grace Kennedy przekablowała mu zenującą plotkę, jakobym był pedofilem, i Susan uznała, że z dwojga złego będzie lepiej, jeśli mu powie, że jestem ojcem Daisy. Wpadłem w panikę. Nie miałem pojęcia, jak się zachować w związku z jedną i drugą sytuacją. Chciałem pójść zobaczyć się z Susan, ale stwierdziła, że jest chora. Powiedziała mi, że Daisy ma iść do Willa na obiad. Czy on jej powie? Na pewno nie.

Postanowiłem zadzwonić do Conrada w Paryżu. Od lat to traciliśmy, to wznawialiśmy kontakt ze sobą. Kilka razy zdarzyło im się z André przyjeżdżać do Dublina na weekendowe rozgrywki rugby albo na operę w Wexford. Gdy pojechaliśmy z Susan do Paryża, niedługo przed tym, jak odkryłem, że Will wciąż chodzi z nią do łóżka, poszliśmy na kolację do La Saucisserie. Conrad znał prawdę o mnie i Susan. Wiedział, że to właśnie z jej powodu po raz pierwszy przyjechałem do Paryża. Był też pierwszą osobą, której powiedziałem o wynikach testu DNA. Nalegał, żebym poinformował o nich Susan i pozostawił jej decyzję, czy wyznać wszystko Daisy.

Z piwnicy dobiegły mnie śmiechy. Daisy dobrze się bawiła ze znajomymi. Podniosłem telefon, żeby wybrać numer. Dwoje z nich zostało na noc. Dziwnie wyglądała ta młodzież, ale szybko się nauczyłem, żeby nie pytać Daisy, czy jej kolega to kolega, czy może koleżanka. Trzeba było mówić „oni” i tyle. Nie wtrącałem się do jej prywatnego życia. Piwnica należała do niej. Miała oddzielne wejście, duży pokój, pełniący równocześnie funkcję sypialni, małą łazienkę z prysznicem i kuchnię.

Wciąż jeszcze udawałem nieszkodliwego, pobłażliwego wujka, ale gdy odkryłem, że jestem jej ojcem, zacząłem bardziej chronić jej karierę i zdrowie psychiczne. Wydaje mi się, że w roli rodzica radziłem sobie lepiej od Susan i Willa. Mieszkając ze mną, Daisy była szczęśliwsza niż całymi latami przedtem. Nie chciałem, żeby cokolwiek to zepsuło.

Najpierw jednak musiałem zadziałać w obronie swojej reputacji. Moja agencja reprezentowała mnóstwo młodych ludzi. Wszelkie podejrzenia o niemoralne zachowanie złamałyby mi karierę.

W rozmowie z Conradem przechodziliśmy z angielskiego na francuski i z powrotem, bo obaj płynnie mówiliśmy w jednym i drugim języku. Powiedział, że wciąż zdarza mu się widywać Arabelle w pobliżu restauracji. Zwykle pojawiała się w towarzystwie przystojnego młodego mężczyzny i dwóch dziewczynek. Zasugerował, żebym ją znalazł w mediach społecznościowych i ostrzegł, że hieny z brukowców mogą ją nękać o brudy na nasz temat. Powinienem też spróbować nakłonić ją do przyznania, że w szkole się we mnie podkochiwała.

Powiedziałem mu o odkryciu przez Williama, że jestem ojcem Daisy. Gdy głośno wciągał powietrze, oczami wyobraźni zobaczyłem, jak po swojej stronie linii telefonicznej rozkłada ręce w geście „no to się zesrało”. „Rozumiem, że macie teraz rodzinny kryzys, tak?”

Gdy się rozłączyłem, zacząłem szukać Arabelle Grasse na Facebooku, Instagramie i Twitterze. Tych platform używałem do promowania działań mojej agencji. Po innych nie umiałem się poruszać. W mediach społecznościowych było wiele kobiet o tym nazwisku, ale żaden profil nie pasował do dziewczyny, którą pamiętałem. Albo nie zgadzał się wiek, albo narodowość, albo kolor skóry. Zdałem sobie sprawę, że jeśli ma gdzieś konto, to może pod nazwiskiem męża, zakładając, że ten przystojny facet, z którym widywał ją Conrad, był jej mężem. Próbowałem przywołać z pamięci chłopców z jej klasy. Przypomniał mi się Sasza Kippenberg, bystrzak, który siedział obok niej. Modliłem się, żeby to nie było popularne nazwisko. Wstukałem je w polu wyszukiwania na Facebooku, ale nic nie wyskoczyło. Spróbowałem na Twitterze. Bingo, znalazł się! Był teraz

redaktorem dziennika literackiego. Przejrzenie zdjęć profilowych dwunastu tysięcy osób obserwujących go na Twitterze zajęło mi wiele godzin, ale nareszcie ją znalazłem. Arabelle Beauchamps, femme et mère de deux anges^[10], mieszka w Paryżu. Wyglądało na to, że nigdzie nie pracuje. Zdjęcie nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Te same wysoko osadzone kości policzkowe i zadarty nos. Włosy miała teraz jaśniejsze niż wtedy, ale unosiły się tą samą falą nad czołem. Przejrzałem jej posty. Były to głównie zdjęcia domu, rodziny, psów, fotki z imprez, popołudniowych spacerów i słonecznych wakacji na nartach. Nieźle jej się wiodło. Dodałem ją do obserwowanych i wysłałem prośbę o przyjęcie ode mnie prywatnej wiadomości. Pozostało mi czekać.

I wtedy zdałem sobie sprawę, że Daisy zdążyła już wyjść na obiad do Willa. Zastanowiło mnie, jak zmieni się jego stosunek do niej? No oczywiście, że ją kochał, co do tego nie miałem wątpliwości. Na pewno nie zrobiłby nic, żeby ją skrzywdzić. W końcu był jej... wujkiem.

Całe popołudnie zeszło mi na odświeżaniu strony Arabelle na Twitterze, w nadziei na jej odpowiedź. Wcześniej udało mi się wysłać wiadomość do Saszy Kippenberga, w której prosiłem go, żeby ostrzegł Arabelle o możliwych podchodach ze strony dziennikarzy. Odpowiedział natychmiast, co podniosło mnie na duchu. Był z nią w stałym kontakcie. Okazało się, że w następnym roku po aferze ze mną wpadła w obsesję na punkcie kolejnego nauczyciela i wyrzucono ją ze szkoły. Większość kolegów z klasy wiedziała, że Arabelle jest kłamczuchą i lubi fantazjować. Sasza powiedział, że chętnie porozmawia z prasą, żeby oczyścić mnie z podejrzeń, i powiadomi Arabelle, co się dzieje. Dodał, że w dzieciństwie cierpiała na zaburzenia emocjonalne, ale wyszła szczęśliwie za mąż, ustatkowała się i jest totalnie zawstydzona swoimi miłostkami z czasów szkoły. Przypuszczał też, że nie będzie chciała rozmawiać z mediami.

Wtedy zadzwonił telefon. To była Susan, głos jej się trząsł. Daisy wróciła do rodzinnego domu, ale nie chciała z nią rozmawiać. Zamknęła się w swoim pokoju. Złapałem kluczyki do wozu i pojechałem prosto do Dalkey. Nie mogłem uwierzyć, że Will jej powiedział!

Gdy dojechałem na miejsce, pod domem stał już samochód Willa, który z impetem otworzył drzwi i rzucił się na mnie jak szarżujący byk. Podniosłem ręce do góry na znak, że się poddam.

– Will, miej wzgląd na Daisy, okej? Ona musi wiedzieć, że nic się nie zmieniło.

– Pierdoliłeś moją żonę! – ryknął.

– Precyzyjnie mówiąc: nie. Za pierwszym razem, kiedy została poczęta Daisy, byliście jeszcze przed ślubem, a pozostałe razy miały miejsce długo po rozpadzie waszego małżeństwa, więc nie pierdoliłem twojej żony. Owszem, pierdoliłem twoją dziewczynę, a potem twoją byłą żonę...

Zamachnął się pięścią, ale nie trafił, bo zrobiłem unik. Upadłem jednak plecami na żwir.

W drzwiach stanęła Susan. Wyglądała tak brzydko jak nigdy wcześniej. Schudła i miała ciemne kręgi pod oczami. Sianowate włosy opadały na szarą skórę.

– Przestańcie! – krzyknęła, ale głos miała słaby, a wysiłek sprawił, że zatoczyła się i zaczęła chwiać na nogach.

Jednak ten krzyk powstrzymał Willa i mnie od dalszych rękoczynów. Wstałem z ziemi, a on wrócił do drzwi i wprowadził Susan do domu. Utykając, podeszła do sofy, położyła się i wpadła w dygot.

– Nie mam teraz siły na awantury, okej? Możecie obaj wyjść? I byłabym wdzięczna, gdyby jeden z was zabrał ze sobą Daisy. Nie mogę się nią zająć.

Wypowiedziała te słowa prawie bez tchu. Zaniepokoiło mnie to.

– Co ci jest?

Odpowiedział mi Will:

– Mówi, że to menopauza.

Susan zaczęła szlochać.

– Na początku tak myślałam – powiedziała. – Od miesiąca prawie nie śpię, mam nocne poty. Sprawdzalam w internecie i pytałam siostry, wszyscy mówią, że to objawy menopauzy. Ale od kilku tygodni boli mnie

gardło, mam spuchniętą szyję i bez przerwy czuję się jak kupa gówna. We czwartek lekarz wysłał mnie na biopsję.

Słowo „biopsja” zabrzmiało strasznie.

– Pod jakim kątem?

– A jak myślisz? Raka.

Telefon zabrzączał irytująco w mojej kieszeni. Zignorowałem go.

– Lekarze zawsze przesadzają – stwierdził Will lekceważąco. – To może być zapalenie węzłów chłonnych, menopauza albo sto innych rzeczy. Konowały muszą kryć swoje tyłki, a poza tym nabijają rachunki, bo i tak ubezpieczalnia im płaci.

Susan na chwilę się rozpogodziła.

– Tak sądzisz?

Will miał rację. Ile to razy słyszałem o ludziach, którym stawiano fatalne diagnozy, a potem okazywało się, że mają coś całkiem niegroźnego. Niemniej zmartwiła mnie ta utrata wagi. Postanowiłem zachować się pragmatycznie.

– Susan, masz wszystko, czego ci potrzeba? Może przywiozę ci środki przeciwbólowe? Albo otworzę puszkę zupy?

Z góry dobiegło trzaśnięcie drzwiami. Na półpiętrze zawieszonym nad kuchnią pojawiła się Daisy. Była spokojna. Odezwała się melodyjnym głosem, tak jak kiedyś w dzieciństwie.

– Odstawiamy szczęśliwą rodzinę? Kłamcy i hipokryci. Ale teraz cały świat się dowie, jacy jesteście naprawdę.

– Co ty mówisz, dziecko? – spytała Susan. – Kochanie, proszę, uspokój się. Możemy o tym porozmawiać racjonalnie. Wszyscy cię kochamy, ale teraz jestem chora i nie mam na to siły. Błagam, zrozum mnie. – Powiedziała to tak cicho, że trudno było uwierzyć, że mówi poważnie.

– Ależ ja rozumiem – odparła Daisy. – Opisałam to wszystko na blogu i wrzuciłam do sieci. Nie bądźcie zdziwieni, jeśli zaczną się wami interesować prasa. Przyszłam tu tylko po swoje ubrania, a potem pójdę do ciebie, Brian, to znaczy: tato, po resztę. A przy okazji, zwalniam cię. Już nie

jesteś moim agentem. Wyprowadzam się do znajomych. Nie chcę widzieć żadnego z was, dopóki nie będę na to gotowa. To może nastąpić za tydzień albo nigdy. Brzydzę się wami wszystkimi. – Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Młoda zbiegła ciężko po schodach, z plecakiem na plecach i z walizką w każdej ręce.

Sprawdziła telefon.

– Taksówka już jest. Miłego życia, pasożyty. I pomyśleć, że to Luke zawsze wydawał mi się rodzinnym dziwolągiem. Wszyscy jesteście pojebani i nawet ze mnie zrobiliście pojeba.

Susan zaprotestowała słabym głosem. Will zaczął przeproszać. Ja wyszedłem za Daisy i spróbowałem jej pomóc włożyć bagaże do samochodu, ale odepchnęła mnie brutalnie. Drzwi taksówki się zatrzasnęły i koła zachrząściły po czyściutkim żwirze podjazdu, zostawiając dwie koleiny.

Gdy wróciłem do domu, Will trzymał w ramionach szlochającą Susan. Przecież to ja powinienem ją przytulać! I wtedy uderzyła mnie myśl: zawsze wydawało mi się, że to Will bierze sobie wszystko, co mu się spodoba, ale teraz zrozumiałem, że to Susan wybrała Willa. Nigdy nie byłem jej pierwszym wyborem. Dla niej Will od zawsze stał na pierwszym miejscu. Ja kochałem ją. A ona – jego.

Wyszedłem od Susan w nadziei, że jeszcze złapię Daisy u siebie, zanim zdąży zabrać swoje rzeczy. Jak mogła widzieć we mnie tego złego? Zawsze starałem się mieć na względzie jej dobro. Nie wiedziałem, co dokładnie powiedział jej Will, wygląd Susan tak mną wstrząsnął, że zapomniałem o to zapytać. Nie spytałem też o to, kiedy ma dostać wyniki biopsji.

Zatrzymałem się na stacji benzynowej. Telefon wibrował nieprzerwanie – napływały wiadomości od dziennikarzy, znajomych, klientów. Wszyscy wyrażali swoje współczucie, ale tak naprawdę chcieli wyciągnąć ode mnie komentarz. Wpis na blogu Daisy bił rekordy popularności.

Gdy się do mnie wprowadzała, ostrzegłem ją, żeby trzymała się z daleka od mediów społecznościowych, a ona – o ile wiem – zastosowała się do mojej przestrogi. Dzięki temu nie musiała czytać okrutnych, wrednych

komentarzy od anonimowych trolli, którzy nazywali ją, między innymi, grubą kurwą z parciem na szkło, ani oglądać przerobionych zdjęć z sobą tarzającą się w żarciu, ani ze swoją twarzą wklejoną w głowę słonia. Ta swoboda w wyrażaniu nienawiści była szokująca. Na szczęście jej terapeuta podzielał moje zdanie i on również ostrzegł ją przed mediami społecznościowymi. Założyła więc własny, niezależny od kont na wszelkich platformach blog lifestylowy pod nazwą FitandFat, który szybko zgromadził setki tysięcy fanów z całego świata. Ich komentarze były w większości serdeczne i wspierające. Pisała o pozytywnym podejściu do swojego ciała, dbaniu o zdrowie psychiczne, modzie XXL i miejscach, w których można ją kupić; o podróżach, książkach i jedzeniu. Towarzyszyłem jej w szalonych trasach po Ameryce i Kanadzie, gdzie prawie zakontraktowaliśmy jej własny talk-show na Netflixie. Program miał być kręcony w Irlandii, ale dostępny na całym świecie. Słowem: graliśmy o niezwykle wysokie stawki. Proponowano nam też kontrakty książkowe, ale nie zamierzałem poganiać Daisy ani bombardować jej koniecznością podejmowania zbyt wielu decyzji. Nie chciałem narażać jej na nadmierne kontakty ze światem biznesu. Krok po kroku, jedna rzecz na raz. Przecież dbałem o własną córkę. Siedząc w samochodzie na parkingu przy stacji benzynowej, otworzyłem stronę jej bloga.

Podczas gdy ja próbowałem namierzyć Arabelle, Daisy odmalowała całą naszą rodzinną gównoburzę. Jak to jej ojciec przez całe życie udawał wujka, jak ten sam facet, którego uważała za swojego ojca, pobił kiedyś przy niej obecną dziewczynę (Mary) jej drugiego wujka (Luke'a). Kwieciście opisała, jak to Will zawsze nazywał mnie przegrywem i pazerną hieną. Jak to jej wujek ożenił się z jej matką w przekonaniu, że jest ojcem swojego dziecka. Wyjawiała fanom, że oto jej drugi wujek, stały bywalec szpitali psychiatrycznych, jest najnormalniejszym członkiem naszej rodziny. Przedstawieni przez nią Drummowie wyglądali na postacie żywcem wyjęte z greckiej tragedii.

Poniekąd odczułem ulgę, bo chociaż nie wyszedłem w tej historii na przyjemną postać, to jednak dokumentnie przyćmiła ona wszystkie

ewentualne plotki o mojej pedofilii, a gdy sprawdziłem na Twitterze, czy Arabelle mi odpowiedziała, okazało się, że zostałem przez nią zablokowany. I dobrze. To był najlepszy możliwy obrót spraw. Grace Kennedy miała teraz na talerzu większą historię, internetowy szmatławiec TMZ również. No i rosła nam popularność na Twitterze.

Wróciłem do domu i zszedłem tylnymi schodami do piwnicy. Daisy z furią wciskała swoje rzeczy do czarnych plastikowych worków. Łzy płynęły jej po policzkach. Nie była już dzieckiem, tylko młodą kobietą w czarnej rozpacz. Pragnąłem jakoś ją pocieszyć, uśmierzyć jej ból. Kto tu tak naprawdę zawinił? Susan, bo będąc w ciąży, nie wyznała prawdy? Will, bo powiedział prawdę wczoraj? Czy ja, bo zrobiłem test na ojcostwo? Wszyscy byliśmy winni.

– Daisy, proszę cię... – Nawet na mnie nie spojrzała. – Mam pewność dopiero od dwóch lat.

– Nie chcę tego słuchać. Idź sobie. Za godzinę już mnie tu nie będzie. Jutro znajdę nowego agenta. Było wiele propozycji, ale wszystkie odrzucałam, bo byłam wobec ciebie lojalna.

– To nieważne. Zależy mi na tobie.

– Wcale nie! Tata... to znaczy Will... powiedział mi wczoraj o wszystkim. Manipulowałeś mną, żeby skłócić go z mamą. Nigdy ci na mnie nie zależało.

– To nieprawda! Przecież ty i ja zawsze byliśmy blisko, nie pamiętasz? Owszem, podejrzewałem prawdę. Przez te wszystkie lata rozpaczliwie pragnąłem, żebyś była moją córką, ale potem, jak zrobiłem ten test, przeraziłem się, że źle to przyjmiesz.

– Więc kiedy zamierzałeś mi powiedzieć?

– Nie wiem. Szczerze? Nigdy. Sama zobacz, jak cię to rozbiło. Mogliśmy po prostu normalnie żyć dalej.

– Jezu, Brian! To nie jest normalne życie. W tym wszystkim nie ma nic normalnego! Zostaw mnie w spokoju. Nie chcę na ciebie patrzeć.

– Mogę do ciebie zadzwonić? Może jutro?

Wrzasnęła z całych sił:

– Nie, nie możesz do mnie zadzwonić! Zostaw mnie w spokoju!

Will będzie się musiał gęsto tłumaczyć.

*

Gdy Daisy wyszła, pod frontowymi drzwiami stała już gromada fotoreporterów. Próbowałem odeprzeć natrętów, powtarzając w kółko:

– Bez komentarza!

Daisy zignorowała moje wysiłki i oświadczyła:

– A mój komentarz jest na blogu. Moja rodzina to śmiecie. To wszystko, co musicie wiedzieć. – Filmowało mnie w tym czasie pięć smartfonów.

Daisy znów odjechała, inną taksówką. Odwróciłem się od paparazzich i biegiem wróciłem do domu. Któryś z nich krzyknął przez otwór wlotowy w drzwiach:

– Panie Brianie, dlaczego dwadzieścia dwa lata temu zwolniono pana z pracy w szkole w Paryżu?

Kurrrwa.

Ponownie otworzyłem drzwi na oścież.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku uczyłem angielskiego w Institut Charles Sorel. Młoda uczennica, Arabelle Grasse, dostała obsesji na moim punkcie. Nie zrobiłem absolutnie nic, żeby ją do tego zachęcić, ale ona powiedziała koleżankom, że jestem jej chłopakiem. Gdy dyrektor zasugerował, że łączy mnie z nią niestosowna relacja, uderzyłem go i zostałem natychmiast zwolniony. To wszystko, co się wydarzyło, i nie znajdziecie żadnego dowodu na cokolwiek innego. Najmniejsza aluzja z waszej strony, że jestem pedofilem, a pozwę was i wasze gazety.

Odwróciłem się na pięcie i zamknąłem za sobą drzwi. Wtedy zdałem sobie sprawę, jak wielki popełniłem błąd. Było oczywiste, jak to przedstawia: „Brian Drumm zaprzecza, że jest pedofilem”. Powinienem być milczeć. Wiedziałem, że teraz mnie zniszczą. -

Dlaczego otworzyłem paszczę przed prasą? Przecież to można było załatwić na spokojnie i po cichu, ale ja wyjechałem z cholernym dementi. A wcześniej Will rozmawiał z pieprzoną dziennikarką.

Nie spałem do późna. Siedziałem na Twitterze, gdzie moje nazwisko już zaczęto wymieniać jednym tchem ze słowem „pederasta”. Użyty przez Daisy na jej blogu hasztag #RodzinnyCyrkDrummów już trafił do obiegu. Posypały się wściekłe e-maile od klientów z żądaniem natychmiastowego usunięcia ich z listy moich podopiecznych. Na żadne z tych wiadomości nie odpowiedziałem. Około północy rozległo się bezlitosne walenie do drzwi, którego nie mogłem zignorować. Na progu stał, a właściwie chwiał się jak źdźbło trawy na wietrze, Luke. Oczy uciekały mu w głąb czaszki. Był nawalony.

Wpuściłem go do środka. Zaczął na mnie bluzgać, zarzucając, że sprzedawałem historie z jego życia gazetom. Zaprzeczyłem.

– O czym ty mówisz? Kto ci to powiedział?

– Will!

– Luke, dlaczego jesteś pijany? To bardzo niedobrze. Nie wierz w nic, co ci mówi Will. On mnie nienawidzi, bo jestem ojcem Daisy.

– Co?

Najwyraźniej Luke był jedynym człowiekiem, który nie śledził gównoburzy obnażającej naszą rodzinę w mediach społecznościowych. Spłynął do mnie na fali trwającego dwadzieścia cztery godziny ochłaju po trzech latach trzeźwości.

– Mam zadzwonić po Mary?

Rozwalił się na sofie i zasnął. Chryste, to była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałem. Przecież moje dni niańczenia Luke’a się skończyły!

Zdjąłem mu buty i przykryłem go kocem. Zamknąłem cały alkohol na klucz w spiżarni, na stoliku kawowym postawiłem dwie szklanki wody i solpadeinę, a na podłodze obok sofy – dużą plastikową miskę. Zadzwoniłem do Mary.

– Brian! Co się dzieje, do cholery? Gdzie jest Luke? Właśnie wróciłam z Galway, widzę te wszystkie wiadomości, moje mieszkanie jest zdemolowane i nie mogę się dodzwonić do Luke’a. Zostawił telefon. Naprawdę jesteś ojcem Daisy? Co jest grane z tą waszą rodziną?

Nie wdawałem się zbytnio w szczegóły na temat spraw rodzinnych, ale ostrzegłem, że ma nie wierzyć w ani jedno słowo, gdyby ktoś insynuował, że molestowałem dzieci. Uspokoilem ją, że Luke przyszedł do mnie, ale jest roztrzęsiony. Nie chciałem jej mówić, że wrócił do picia, bo to by mogło zagrozić ich związkowi.

– Mogę z nim porozmawiać? Proszę?

– Rano do ciebie zadzwoni, okej? Miał ciężki dzień.

– Pił?

Moje zaprzeczenie nastąpiło po zbyt długiej chwili ciszy.

– Powiedz mu, że ma wytrzeźwieć i odczekać czterdzieści osiem godzin, wcześniej nie wpuszczę go do domu. I jak najszybciej zaprowadź go na meeting. Na przykład jutro o trzynastej w Blackrock. Zmusz go, żeby tam poszedł.

Oczywiście, do cholery, założyła, że to ja mam się troszczyć o Luke’a! Dawno przestałem być jego agentem. Nie byłem mu nic winien.

Pierdolony Will! W jeden dzień zrujnował mi opinię, karierę i relację z moją córką, zaś Luke’owi spieprzył trzy lata trzeźwości, a niewykluczone, że również związek z Mary.

Wyłączyłem telefon, wyjąłem baterię z dzwonka przy drzwiach i poszedłem do łóżka.

Rano zrobiłem mocną kawę, tost i zmusiłem Luke’a, żeby wziął prysznic. Potem, rozdygotany i we łzach, zasypał mnie pytaniami. Wyglądał na przerażonego.

– Brian, czy ty naprawdę sprzedawałeś mnie mediom? Jak mogłeś mi to zrobić?

– Posłuchaj, wszystko, co im mówiłem, było prawdą, a większość z tych rzeczy wydarzyła się w odległej przeszłości. Naprawdę potrzebowałem

pieniędzy. Pomyśl o tym tak: dzięki mnie świat się tobą interesował. W końcu nie ma czegoś takiego jak zły rozgłos, co nie?

– Znaczący: robiłeś to wszystko dla mnie? – To był ewidentny sarkazm.

– Nienawidziłem być nauczycielem, a ty nie chciałeś napisać autobiografii, pamiętasz? Nie było w tym złośliwości, przysięgam. Wybacz... po prostu... ta kasa była mi potrzebna.

– Jezu Chryste, tobie zawsze chodzi o pieniądze! Nie wiem, jak to się stało, że pozwoliłem ci przejąć mój dom, ale wykorzystałeś mnie, kiedy nie byłem przy zdrowych zmysłach.

– Tak? No to zobacz, co się stało wczoraj, kiedy „nie byłeś przy zdrowych zmysłach”. Mam nadzieję, że to było tylko jednorazowe wahnięcie. Nie możesz nawet tknąć alkoholu ani innych prochów, na których tu wczoraj spłynąłeś.

– Bo co, opowiesz o tym gazetom?

– Nie. Ostatnio gazety bardziej interesują się Daisy, Willem i mną niż tobą. To powinna być dla ciebie przyjemna odmiana, nie? Jeszcze wszystkiego nie wiesz.

Wiadomość, że jestem ojcem Daisy go zszokowała. Nie pamiętał, że mówiłem mu o tym poprzedniego wieczoru.

– Brian! Jak mogłeś zrobić coś takiego własnemu bratu?!

– On pierwszy mi to zrobił. Zresztą... – Przypomniało mi się. – ...tobie też. Pamiętasz Kate?

– Co ma do tego Kate?

– Zanim się poznaliście, Will miał z nią romans. Nie wydawało ci się dziwne, że cię rzuciła po zaręczynach?

– Nigdy mi o tym nie mówiła! Załamała się po poronieniu.

– Wiem. Susan odeszła od Willa, bo się dowiedziała o nim i Kate, a on rozpaczliwie chciał to małżeństwo ratować. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaszantażował Kate, żeby zniknęła, bo gdyby została członkiem rodziny, to nie miałby szans na powrót do Susan.

– Co?! Więc ty o tym wiedziałeś? Mój Boże, czy ja naprawdę nikomu nie mogę zaufać? Przecież chyba jesteśmy rodziną?!

Ale ja jeszcze nie skończyłem wbijać noża w plecy Willowi.

– A wiesz, że Will uderzył Mary? Wprawdzie było to dawno, kiedy u niego pracowała, ale jednak.

Luke pobladł.

– Mary? Moją dziewczynę?

– Tak.

– Nigdy mi o tym nie wspomniała.

– On traktuje kobiety jak śmieci. Owszem, zarobiłem na tobie kilka funtów, kiedy to było konieczne, ale to Will tak naprawdę cię zdradził. Czy kiedykolwiek zrobił coś, żeby pomóc twojej karierze? Gdy szukałeś pracy jako aktor, nie kiwnął palcem. Skieruj swój gniew we właściwą stronę, Luke.

Nic nie odpowiedział, tylko zaczął potrząsać głową, jakby do jej wnętrza wleciał trzmiel.

– Nie zniosę tego. Dłużej tego nie zniosę.

– Uspokój się, dla ciebie nic się nie zmieniło. Jesteś gwiazdą filmową, masz świetną dziewczynę i życie w trzeźwości, zgadza się? Wczoraj to była tylko wpadka. Odwiozę cię na meeting AA w Blackrock. Dziś tam przenocujesz, a jutro wrócisz do domu do Mary i o wszystko ją wypytasz, bo powinieneś wiedzieć, co się stało między nią a Willem. Z tego, co pamiętam, wykorzystywał ją i nią pomiatał, jak wszystkimi innymi. Pewnie za bardzo się wstydziła, żeby ci powiedzieć. Nie rozwał waszego związku. Popatrz, dokąd Mary zaprowadziła cię w życiu i w karierze. Nie spieprz tego. Ona za tobą szaleje.

Odwiołem Luke'a na meeting i zadzwoniłem do Susan. Przez cały weekend prawie o niej nie myślałem, ale nie mogłem znieść myśli, że to Will będzie ją pocieszał po całej tej traumie.

– Susan?

– Tak? – odpowiedziała słabym, ledwie słyszalnym głosem.

– Wszystko w porządku?

– Mam chłoniaka. To chłoniak Burkitta. Jestem w szpitalu St Vincent's. Pobrali mi krew i robią badania. Brian, boję się. Naprawdę się boję.

W głowie poczułem błyskawicę bólu.

– Co to takiego? Rak?

– Rak.

– Jesteś sama? Czy Will jest z tobą?

– Dzwoniłam do niego, ale nie odbierał.

Czemu do niego? Dlaczego to zawsze musi być on?

– Nie ruszaj się stamtąd. Jestem niedaleko, za pięć minut będę.

Siedziałem już z Susan, gdy lekarka poprosiła ją o rozmowę na osobności. Susan stwierdziła stanowczo, że mogą rozmawiać przy mnie. Doktor Shaw spytała, czy jesteśmy spokrewnieni, a gdy Susan odpowiedziała, że jestem jej szwagrem, lekarka ponowiła pytanie, czy na pewno Susan nie wolałaby odbyć tej rozmowy w cztery oczy.

Było jasne, że dzieje się coś poważnego. Z ostrego dyżuru od razu przyjęli Susan do izolatki, bo trzeba było natychmiast rozpocząć leczenie. Nie miała ze sobą żadnych rzeczy, torby z piżamą ani nawet szczoteczki do zębów.

Była blada jak ściana. Przycupnięta na brzegu łóżka wyglądała na ciężko chorą. Wziąłem ją za rękę, ale strząsnęła moją dłoń.

– Cokolwiek to jest, niech mi pani już powie! – jęknęła błagalnie do lekarki.

– Wróciły wyniki badania krwi i... no cóż, nie ma delikatniejszego sposobu, żeby to powiedzieć... jest pani seropozytywna.

Susan popatrzyła na mnie, potem oboje przenieśliśmy wzrok na doktor Shaw, jakby ta zwariowała.

– Niemożliwe. To pomyłka.

– Dla pewności powtórzyliśmy badanie.

– Ale to pomyłka.

– Obawiam się, że nie. To nie musi mieć wpływu na terapię chłoniaka, a HIV można teraz skutecznie leczyć i – przy braku chorób współwystępujących – naprawdę nie byłoby się czym martwić, ale ponieważ Burkitt to bardzo agresywna forma nowotworu, trzeba natychmiast zacząć chemioterapię i bardzo uważać na infekcje. Oczywiście od razu podamy też leki antyretrowirusowe... Czy ma pani jakieś pytania?

– Mam HIV-a? Od jak dawna?

– Niestety nie można tego stwierdzić. Jeżeli zdarzyło się pani korzystać ze wspólnej igły przy okazji...

– Pani chyba kpi!

– Proszę wybaczyć, rozumiem pani zdenerwowanie, ale skoro zarażenie nie miało miejsca przy transfuzji krwi, a żadne w historii pani choroby nie występują, to musimy przyjąć, że nastąpiło drogą płciową. Partner mógł nie wiedzieć, że ma wirusa...

Susan przeszła mnie spojrzeniem.

Następnego dnia zrobiłem test na HIV. Odbierając wynik, prawie się popłakałem z ulgi. Był negatywny. Susan stwierdziła, że skoro nie ja sprzedałem jej tego syfa, to musiał to być Will. Od dwóch lat nie sypiała z nikim innym, a dokładnie od tamtego ranka, gdy zastałem u niej Willa. Potem już nie była blisko z żadnym mężczyzną. W przeszłości zdarzali się różni, ale od sześciu lat nie miała nikogo poza Willem i mną.

Dwa miesiące później Susan zmarła na zapalenie płuc. Nie poradziła sobie z infekcją, bo chemioterapia osłabiła jej układ odpornościowy. Lekarze powiedzieli, że nie zabił jej ani HIV, ani AIDS, ale dla mnie to i tak Will był odpowiedzialny za jej śmierć.

Styczeń 2018

Luke

Dostałem role w dwóch innych filmach znanych reżyserów: jednego z Wielkiej Brytanii, drugiego ze Stanów. W październiku 2017 roku wyprowadziłem się tymczasowo do Los Angeles, bo tam mieszkał mój nowy agent, tam pracowałem i tam czekało życie jak marzenie. To miał być szczyt mojej kariery, ale wcale tak się nie czułem. Mary starała się okazywać wyrozumiałość wobec mojej depresji. Martwiła się, że przyjęcie dużej roli tak szybko po trudnych przejściach może mnie przerosnąć, ale granie tej postaci sprawiało mi przyjemność. Na planie było ciemno i ponuro, kręciliśmy prawie przy świecach. Był to pożądaný kontrast względem oślepiającego słońca kalifornijskich bulwarów. Reszta mojego życia się rozpadła, podobnie jak moja rodzina. Miałem wrażenie, że moi bracia są mi zupełnie obcy. Obaj zdradzili mnie na wszelkie możliwe sposoby i znowu czułem się jak odrzucone przez matkę dziecko. Mary trwała przy mnie, ale wiedziałem, że ciągnę ją w dół.

Susan umarła. Miała agresywnego raka w późnym stadium, ale zabiło ją zapalenie płuc. Raptem dwa miesiące po otrzymaniu diagnozy. Brian i Will szaleli z rozpaczý.

Lynn przyleciała do Irlandii i nie pozwoliła żadnemu z nas odwiedzić Susan. Przekazała nam tylko, że jej siostra jest bardzo słaba, ale i wściekła. Susan wiedziała, że niedługo umrze. Wykluczenie z jej życia u progu śmierci było dla moich braci druzgocącym ciosem.

Daisy na bieżąco opisywała tę historię na blogu. Nie umiała zatamować powodzi swojego cierpienia, i wylewała je dalej, na swojej stronie, otwierając rany przed czterystu tysiącami nieznajomych. „Czytelnicy i fani

są moim plemieniem, prawdziwą rodziną” – pisała. Nie mogliśmy jej powstrzymać. Najpierw zerwała kontakt z matką, a potem, złamana poczuciem winy, gdy się dowiedziała, że Susan jest śmiertelnie chora, nie opuszczała jej szpitalnego pokoju. Susan do samego końca nie uwolniła się od gniewu. Przeklinała dzień, w którym los zetknął ją z rodziną Drummów. I była wściekła na Daisy, że ta ją opuściła.

Zgodnie z ostatnim życzeniem Susan Lynn oświadczyła, że żaden z braci Drummów nie jest mile widziany na pogrzebie. Ale oglądałem zdjęcia w gazecie. Daisy wyjąca wniebogłosy, otoczona wianuszkiem ludzi zbyt młodych, by stwierdzić, którzy są jej przyjaciółmi, a którzy fanami.

Udało mi się namierzyć Kate. Przyznała, że Will zmusił ją do usunięcia dziecka i zerwania ze mną, grożąc, że rozpowie o ich romansie. Zostawiła mnie z troski o moje dobro. Rozłączyłem się.

Mary również wyjawiała mi prawdę o Willu. Jako młoda dziewczyna zadurzyła się w nim, gdy przyjął ją na staż. Pomiatał nią i ją wykorzystywał. Daisy – wtedy jeszcze dziecko – była świadkiem ich szarpaniny po pijaku. Will publicznie uderzył Mary na festiwalu w Cannes. Myślałem, że mnie szlag trafi. Kampania #MeToo szła właśnie pełną parą, a nagłówki w mediach krzyczały o Willu, z początku tylko ze względu na relację Daisy z tego, co widziała w Cannes, jednak szybko rozpruł się worek z kolejnymi okropnościami, bo wypłynęły historie piętnastu innych kobiet, nad którymi mój najstarszy brat się znęcał albo je molestował.

Brian opublikował w mediach wynik swojego testu na HIV. Daisy też pisała o tym na blogu. Will niezmiennie milczał. Jak wiele kobiet mógł zarazić? Czy im powiedział? Brian dowiódł swojej niewinności w sprawie z francuską uczennicą, ale ludzie i tak komentowali, że nie ma dymu bez ognia. Na Twitterze zbierały się tłumy żądne krwi braci Drummów – wszystkich razem i każdego z osobna. Domagano się sprawdzania każdego detalu z naszej przeszłości, a gdy fakty nas nie obciążały, to zmyślali własne wersje wydarzeń. Na Twitterze wszystko było czarno-białe. Tam nie liczyła się prawda, niuanse ani zrozumienie. Mnie jednemu dostało się

trochę współczucia, bo moje wysoki wynikały z choroby psychicznej i były sprawą dawno minioną.

Tyle że choroba psychiczna wcale nie należała do przeszłości. Dziecko wróciło. Tańczyło mi przed oczami na jawie i we śnie. Wrzeszczało z bólu, mówiło, że jestem zły i bezużyteczny, i w ogóle nie warto, żebym dalej żył. Wódka pomagała mi zasnąć, bo teraz piłem w sekrecie. Mary przyjechała ze mną do LA. Zajmowała się dystrybucją moich filmów i nie mogłem już dłużej unikać publicznych występów, gdyż w kontrakcie zobowiązałem się do udziału w promocji. Zastrzegłem, że w wywiadach nie będę się wypowiadać na temat braci, ale dziennikarze i tak zawsze wywlekali moje problemy psychiczne z czasów, gdy byłem niestabilną gwiazdką popu. Dolewałem wódki do butelki z wodą i sączyłem ją w czasie wywiadów. Popijałem podczas zdjęć do nowego filmu. Popijałem na spotkaniach AA, siedząc obok Mary, trzymając ją za rękę i po raz nie wiem który powtarzając słowa modlitwy o pogodę ducha.

Mary wiedziała, że rewelacje na temat braci były dla mnie szokiem. Will, Kate i aborcja, Brian sprzedający moje życie brukowcom. Zadbała, żebym kontynuował leczenie, ale terapeutka z LA okazała się inna od wszystkich łapiduchów, których wcześniej spotkałem. Nazywała się doktor Mukherjee. Była drobną kobietą o hinduskiej urodzie, która uparła się, że muszę odnaleźć źródło problemu. Chciała wiedzieć, skąd wzięło się we mnie poczucie, że matka mnie nienawidziła. Gdy wyjaśniłem, że jestem dzieckiem z gwałtu albo z romansu, i opowiedziałem, jak matka mnie traktowała, jak wszystkiego mi odmawiała, jak mnie ignorowała, jak mnie obciążała całym tym gównem, którego z racji młodego wieku nie mogłem unieść, doktor Mukherjee zasugerowała, że powinienem pogrzebać w przeszłości i dowiedzieć się, co za tym stało. To miała być moja praca domowa. Nie zamierzałem się w tym babrać, ale Mary nalegała, żebym spróbował. Rozmowa z Willem i Brianem była wykluczona. W końcu poleciałem do Irlandii, żeby spotkać się z ciocią Peggy. Była już wtedy dobrze po osiemdziesiątce. Od lat nie miałem z nią kontaktu. Okazało się, że wciąż mieszka sama i radzi sobie bez pomocy. Powitała mnie ciepło

i serdecznie, dodając, że jest przerażona tym, co gazety piszą o nas wszystkich, i zszokowana śmiercią Susan.

Ciocia Peggy była pierwszą osobą, która wyjawiała mi prawdę w całej jej prostocie.

– Musisz zrozumieć, Luke, że twoja matka urodziła dwoje dzieci w ciągu czternastu miesięcy, a dwa miesiące po Brianie była znowu w ciąży. Z tobą. Bardzo nie chciała tak szybko rodzić kolejnego dziecka. Wasz ojciec ją ubóstwiał, zwłaszcza wtedy, na początku, i bardzo się o nią troszczył. Byliśmy sierotami, a on pragnął ją chronić. Obie wychowywałyśmy się w rodzinach zastępczych, to było trudne, poza tym prawie nie znałyśmy reszty rodzeństwa, bardzo wcześnie nas rozdzielono. W tamtych czasach antykoncepcja była całkowicie nielegalna. Trzeci poród, twój, prawie ją zabił. Wiele tygodni spędziła w szpitalu. Kilka razy przetaczali jej krew. Była przerażona i myślę, że ta trauma została w niej na całe życie. Staralam się, Luke, naprawdę bardzo się starałam pomóc jej zrozumieć, że nie jesteś niczemu winien. Wiem, że była dla ciebie surowa. Próbowalam z nią o tym rozmawiać, ale sam wiesz, jaka była twoja matka.

– Dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałaś? – spytałem.

– To nie ja powinnam ci opowiadać tę historię, kochanie. Ale jest jeszcze coś, co musisz wiedzieć. Twoją matkę zgwałcono, wiele lat później, i myślę, że to odnowiło jej traumę.

– Powiedziała mi o gwałcie. Miałem wtedy tylko dwanaście albo trzynaście lat.

– Naprawdę? – Ciocia zrobiła zszokowaną minę. – Ale to chyba wyjaśnia, dlaczego ci o nim powiedziała. W jej umyśle oba te zdarzenia: twoje narodziny i gwałt coś ze sobą łączyło. Ból i strach. Wydaje mi się, że mogła być przez to trochę niezrównoważona. Nie jesteś pierwszą osobą w naszej rodzinie, która cierpiała na taką... chorobę. Mówiliśmy wszystkim, że nasi rodzice zginęli w wypadku tramwajowym, ale to nieprawda. Wasza babka odebrała sobie życie, gdy byliśmy malutcy. Ojciec zniknął. Moll i ja trafiłyśmy do adopcji, ale reszta rodzeństwa dorastała w sierocińcach.

– Babcia popełniła samobójstwo, jak?

– Rzuciła się pod pociąg. Moll była najmłodsza, ledwie skończyła dwa lata. Ja miałam cztery.

– Ale mama mówiła, że z tym pociągiem to... ciotka taty.

Peggy potrząsnęła głową.

– Nie. To była nasza matka. W tamtych czasach to był okropny wstyd. Najpierw samobójstwo, a potem zniknięcie ojca. Uciekł, chyba do Szkocji. Nigdy do nas nie wrócił, my też go nie szukaliśmy. Wiele lat później myślałam o tym, żeby go odnaleźć, ale ten pomysł przerażał waszą mamę. Zresztą z biegiem lat to przestało mieć znaczenie, bo nikt tak długo nie żyje.

– Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałem.

– Ale gdy Moll poznała waszego tatę, była przekonana, że on jest spełnieniem jej marzeń. Był na tyle starszy, że prawie mógłby zostać jej ojcem, no i, w porównaniu do nas, wywodził się z wyższych sfer. Na początku go uwielbiała, ale łatwo się nudziła, a poza tym, mimo że dzieliło ich tylko piętnaście lat, wtedy to była prawdziwa luka pokoleniowa. Moll dorastała w latach sześćdziesiątych, więc gdy on pracował w firmie ubezpieczeniowej, ona chodziła jeszcze do podstawówki.

Zalał mnie przytłaczający smutek. Gdyby mama się przemogła i mi o tym powiedziała, moglibyśmy się nawzajem zrozumieć, wzajemnie sobie pomóc.

W czasie tego pobytu w Irlandii nie próbowałem spotkać się z braćmi. Wracając klasą biznesową bezpośrednio do Los Angeles, piłem czystą wódkę. Po wylądowaniu poszedłem się przespać do hotelu i dopiero następnego dnia wróciłem do mieszkania, które dzieliłem z Mary.

Według doktor Mukherjee podejście mojej matki do mnie, chociaż okrutne, było zrozumiałe. Z mojego powodu przeżyła chwile niewyobrażalnego strachu. Muszę spojrzeć na fakty z jej punktu widzenia. Muszę spróbować jej wybaczyć. Dziecko, które mnie nawiedza, to ja sam, który proszę siebie o miłość. Tak to ujęła. Przepisała mi dodatkowe psychotropy i kazała skonfrontować się z moim gościem zjawą, przyjąc go z otwartymi ramionami, karmić tym, co mu potrzebne, i cieszyć się jego

obecnością. Tak. Łatwo powiedzieć. On mnie przerażał. Sam siebie przerażałem. Nie miałem pojęcia, do czego jestem... on jest zdolny. Nie powiedziałem jej też, że znowu piję.

Pierwszego dnia Bożego Narodzenia 2017 roku, trzy miesiące po śmierci swojej matki, Daisy przedawkowała. Ja i Mary byliśmy wtedy w Dublinie z kilkudniową wizytą u jej rodziny. Miałem tygodniową przerwę w zdjęciach. Daisy mieszkała z przypadkowymi współlokatorami. Wszyscy wyjechali do domów na święta i została sama. Wciąż jeszcze odmawiała kontaktu z Willem i Brianem. Zgromadziła całą halde paracetamolu i wzięła wystarczająco dużo, żeby powalić konia. Zanim jednak straciła przytomność, zdążyła pożegnać się na blogu ze swoimi czytelnikami. Byli wśród nich jej znajomi, którzy zadzwonili po karetkę i Briana. Tamci przyjechali, wyważyli drzwi i znaleźli ją na czas.

Ten dzieciak wyrośnie na drugiego mnie. Żal mi jej. Ale ponieważ otarła się o śmierć, Brian i Will zawarli coś w rodzaju rozejmu. Trudnego zawieszenia broni. Pogodzili się ze względu na nią. Do mnie też się odezwali. Po wyjściu ze szpitala Daisy ponownie zamieszkała z Brianem. Odwiedzaliśmy ją z Willem regularnie, a ja udawałem przed nią, że lubię swoich braci. Była na mocnych lekach i często zdarzało jej się gapić tępo w przestrzeń. Kusilo mnie, żeby ją spytać, czy też widzi malutkie dziecko, ale bałem się, że mówiąc to na głos, mogę przypadkiem zarazić ją swoją chorobą. W końcu moje szaleństwo jest dziedziczne.

W styczniu byłem w Los Angeles na planie Niewinności, filmu biograficznego o Caravaggu na podstawie sztuki irlandzkiego dramaturga Franka McGuinnessa, gdy ogłoszono nominacje do Oscarów. Kobieta z gwiazd była nominowana w trzech kategoriach: za najlepszą rolę drugoplanową – moją, najlepszą muzykę i scenariusz. Bezwstydne dusze Willa nominowano za najlepsze zdjęcia. Irlandzkie media wpadły w ekstazę, chociaż tu i ówdzie wspominano, że nominacji mogłoby być więcej, gdyby filmu nie produkował Will. On sam udzielił Grace Kennedy szczerego wywiadu o życiu z HIV i swoim smutku po śmierci Susan. Publicznie zwrócił się do wszystkich kobiet, z którymi spał,

żeby się przebadaly. Zgodził się zostać rzecznikiem organizacji charytatywnej pomagającej chorym na AIDS i twarzą kampanii społecznej informującej o tym, że dzięki powszechnej dostępności leków antyretrowirusowych HIV nie prowadzi już do śmierci, jednak oskarżenia o molestowanie kobiet bardzo mu zaszkodziły. Wywiad i kampanie trochę ociepliły jego publiczny wizerunek, ale nie aż tak bardzo. Will musiał odłożyć realizację kolejnego projektu filmowego, bo jego sponsorzy się wycofali.

Brian napisał mail do nas obu z pytaniem, czy może przyjechać z Daisy na galę oscarową w marcu. Zgodnie z jego słowami właśnie takiego zastrzyku pozytywnej energii było jej trzeba. Błagał, płaszczył się, mówił, że nie ma pieniędzy na hotel ani na samolot, ale to by było takie ważne dla Daisy. Więc powiedzieliśmy z Willem „tak”. Przecież nie mogliśmy odmówić, prawda?

Marzec 2018

Luke

W dniu ceremonii wręczenia Oscarów spotkaliśmy się z Willem, Brianem i Daisy na wczesnym śniadaniu w Cabana Cafe przy bulwarze Zachodzącego Słońca. Przywitaliśmy się podejrzliwie, ale – ze względu na Daisy, która nie patrzyła na nas, tylko gapiła się na własne dłonie – z udawanym ciepłem. Usiedliśmy przy stoliku na zewnątrz. Przez sześć miesięcy, które upłynęły od śmierci Susan, młoda zastraszająco dużo straciła na wadze. Jej twarz, wcześniej okrągła jak księżyc w pełni, była teraz wychudzona. Gapiłem się na nią z niepokojem. W miejscu krągłych policzków miała napiętą skórę, a spod ramiączek srebrnej bluzki wystawały obojczyki. Dżinsy wisiały jej na biodrach. Prawie nie jadła – przesuwiała widelcem po talerzu jajecznicy z jednego jajka i wypiała dokładnie dwa łyki świeżo wyciskanego soku pomarańczowego, choć Brian i Will nalegali, by chociaż spróbowała grzanki albo bajgla. Kazałem im zostawić ją w spokoju. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością. Brian usiłował zachęcić ją do rozmowy, zapytał o jej blog. Odparła, że straciła zainteresowanie pisaniem. Brian uparł się, by dalej prowadzić konwersację, i przeszedł do pytań o jej plany na przyszłość. Skwitowała, że to sprawa pomiędzy nią a jej nowym agentem. Po tym Brian się zamknął.

Moje małe dziecko wiło się w spazmach, rozdrapywało mi skórę i rozdzierało duszę.

Brian

To spotkanie przy śniadaniu było pełne chwil niezręcznego milczenia. Od wielu miesięcy nie widzieliśmy się w tym gronie. Will zaproponował

toast za Susan, wszyscy wznieśliśmy filizanki z kawą, ale spiorunowałem Willa wzrokiem. Luke miał puste spojrzenie, był niespokojny, wiercił się na krześle i często podnosił rękę, żeby pomacać się w dole pod jabłkiem Adama. To nie wróżyło dobrze. Robił tak przed wszystkimi swoimi epizodami.

Ponieważ rachunek mieli zapłacić Will albo Luke, nie ograniczałem się przy zamówieniu. Powiedziałem im, że od wybuchu skandali trudno mi znaleźć klientów. Will zasugerował, że mogę sprzedać „dom Luke’a” i znaleźć sobie małe mieszkanie w centrum Dublina. Nie odpowiedziałem.

Zmieniłem temat na dzisiejszą galę oscarową. Kto dostanie statuetkę? Ze względu na Daisy wspaniałomyślnie pogratulowałem Willowi nominacji dla jego Bezwstydných dusz, dodając, że film jest w porządku. Will stwierdził, że nie zdążył obejrzeć filmu Luke’a, ale ma nadzieję, że dostanie Oscara za swoją rolę, choć nie mógł się powstrzymać od komentarza, że to mało prawdopodobne, bo Luke nie był wcześniej nominowany ani do Złotych Globów, ani do Nagrody Gildii Aktorów Ekranowych.

Powiedziałem, że jestem bardzo zaskoczony, że Will jeszcze nie widział filmu Luke’a, bo wszyscy o nim mówią. Luke oświadczył, że napisał sobie już mowę, na wypadek gdyby tego Oscara faktycznie dostał.

– Kuisz los – mruknął Will.

– Módlcie się, żebym nie wygrał, bo jeśli będę musiał tam wyjść, to o każdym z was mam kilka słów do powiedzenia, nawet o mamie.

– Ale o mnie chyba nie, prawda? – spytała nerwowo Daisy.

Luke wyjął z kieszeni kartkę, rozłożył ją i przekreślił jedną linijkę odręcznie napisanego tekstu. Pochyliliśmy się z Willem, żeby zobaczyć, co tam zanotował, ale Luke złożył papier i schował go do kieszeni, zanim zdołaliśmy coś przeczytać.

Daisy wyszła do toalety.

– Poszła się porzygać? – Luke skierował to pytanie do Willa.

– Spytaj jej ojca. Skąd ja mam wiedzieć? – padła odpowiedź.

Wytarłem czoło serwetką i powiedziałem cicho:

– Młoda chodzi na terapię, ale to droga zabawa. Nie mogłem jej załatwić ubezpieczenia, bo przedawkowała. Stać mnie tylko na spotkania z psychologiem raz w miesiącu, a na terminy w państwowych placówkach trzeba długo czekać.

Will przeszył mnie wściekłym spojrzeniem.

– Przez dwadzieścia dwa lata łożyłem na wychowanie twojego dziecka, Brian. Co za zbieg okoliczności, że zrobiłeś sobie ten twój teścik już po jej osiemnastych urodzinach. Ciekawe, dlaczego tak długo z tym zwlekałeś? Możesz nie odpowiadać, i tak nic nie wygrasz.

– Bzdury! – zaoponowałem. – Susan zawsze zaprzeczała, że Daisy jest moja.

– Nie wycieraj sobie gęby Susan! – wybuchł Will.

– To nie ja ją zdradzałem. To nie ja sprzedałem jej...

Luke rąbnął szklanką o blat.

– Pokryję koszty terapii, okej?

Znów wyjął kartkę i zanotował coś na dolnym marginesie. Tym razem też próbowaliśmy zobaczyć, co napisał, ale zrobił to szybko i dyskretnie.

Wtedy Daisy wróciła do stolika. Była blada i miała czerwone oczy.

– W co się dziś ubierzesz, młoda? Czy może powinienem spytać: kogo włożysz? Diora? Laurena? – Ze względu na Daisy rozpaczliwie starałem się wprowadzić do tego spotkania trochę normalności.

– Moją mamę – odparła. – To znaczy włożę suknię ślubną mamy. Miała ją na sobie w piątym miesiącu ciąży, więc musiałam zrobić dużo poprawek, ale myślę, że będzie wyglądać dobrze.

Jej oczy rozjaśniła nadzieja i napięcie wokół stolika trochę opadło. Daisy była spoiwem, które trzymało nas razem. Ten prawie uśmiech podniósł nas wszystkich na duchu.

William

Daisy nareszcie trochę się rozluźniła, więc zaczęliśmy żartować o naszych designerskich smokingach, a Luke powiedział, że Mary dostała na galę suknię od irlandzkiego projektanta.

– Ale na czerwonym dywanie się ze mną nie pojawi.

– Dlaczego? Przecież jest twoją partnerką? – spytał Brian.

– Już nie. – Dla mnie to nie była nowina. – W każdym razie nie chce ściągać na siebie uwagi.

– Rany, Luke – westchnął Brian. – Coś ty znowu nawywijał? Zaczęłeś pić? Pójdź na kilka spotkań AA. Napraw, co zepsułeś. – Luke podniósł dłonie. Nie był gotowy do rozmowy na ten temat.

Brian zrobił skupioną minę, potem wypalił:

– Już wiem! Przejdziesz się po dywanie z Daisy! Co ty na to, młoda?

Jej twarz rozjaśniła się w prawdziwym uśmiechu.

– Naprawdę? Serio? Bardzo ci dziękuję, Luke!

To był fatalny pomysł.

Wszyscy zatrzymaliśmy się w hotelu Regency Oriental, półtora kilometra od Dolby Theater, gdzie odbywała się ceremonia, ale powiedzieliśmy sobie: „Do zobaczenia na gali!” i każdy z nas wrócił oddzielnym uberem. W czasie oficjalnego wejścia gwiazd na czerwonym dywanie mieliśmy się pojawić tylko Luke i ja, a teraz również Daisy. Gdyby ktoś chciał robić ze mną wywiad, postanowiłem odmawiać. Byłem pewien, że Bezwstydne dusze dostałyby nominację w kategorii najlepszy film, gdyby nie te cholerne szwadrony od #MeToo. Umówiliśmy się, że Mary i Brian będą na nas czekać w środku. Brian i Daisy mieli rezerwację na górnym balkonie. Mnie, Luke’a i Mary usadzono w pierwszych rzędach.

Los Angeles od tygodnia buzowało podnieceniem. Luke, Mary i ja chodziliśmy na wszystkie imprezy, na których wypadało być: bal dobroczynny Screen Ireland, bal Oscara Wilde’a w wytwórni Bad Robot w Santa Monica. Luke nie rozumiał aluzji, gdy wszyscy ulatniali się z rautów o dziewiątej wieczorem, mimo że Mary błagała go, żeby nie robił z siebie widowiska. Znikał z przypadkowymi nieznanymi i późno wracał

do hotelu. Miał pokój obok mojego, więc przez jego wariackie jazdy zasypiałem dopiero nad ranem. Wszyscy udzielaliśmy wywiadów w mediach, ale niektórzy dziennikarze zaczęli już napomykać, że zachowanie Luke'a jest „nieprzewidywalne” albo „ponure”. Nie używali jeszcze słów „pijany” ani „naćpany”, ale byłem pewien, że znowu pije. Wiem na pewno, że wcale nie spał.

Mary i ja, jako niezależni producenci, przez cały tydzień zajmowaliśmy się sprawami branżowymi: zawieraliśmy umowy, zabiegaliśmy o finansowanie i dystrybutorów. Mieliśmy spotkanie po kokardę. Fakt, że przyjęcia tak szybko się kończyły, bardzo nam pasował. To było zupełnie co innego niż szalone imprezy w Irlandii, które huczały do późnych godzin nocnych. Ponieważ krajowe media obserwowały nas jak jastrzębie, pozdrawialiśmy się z Mary uprzejmym skinieniem głową.

Daisy zwierzyła mi się, że jej agent z Los Angeles jest nią rozczarowany. Zasugerował, że powinna zdawać na żywo relację z Oscarów na Twitterze, a ona odmówiła. Potem dodała, że może będzie musiała się z nim przespać, żeby go udobruchać.

– Daisy! – wybuchnąłem przerażony.

– To nie byłby pierwszy raz – stwierdziła. – Ruch #MeToo jest modny, ale za rok wszyscy o nim zapomną. Nie zamierzam być ofiarą. Potrafię owinąć sobie swojego agenta wokół palca, wiem, że woli mnie w chudej wersji. Jak sam mówi: „Tak jest znacznie lepiej dla interesów”. – Patrzyłem na dziewczynę, która była kiedyś moją córką i którą kiedyś kochałem ponad wszystko na świecie, a teraz stała się obcym człowiekiem. Zatęskniłem za Susan. I za mamą.

Luke

Mary wezwała mnie do swojego pokoju hotelowego. Zaczęła błagać, żebym poszedł na spotkanie AA. Już nie ukrywałem przed nią, że piję. Jakiś czas temu powiedziała mi, że między nami koniec. Byliśmy razem tylko dla zachowania pozorów i po to, żeby mogła pilnować, jak się zachowuję, bo od ogłoszenia nominacji media miały mnie na oku. Na szczęście Hollywood mniej interesowało się moimi wyczynami niż prasa w Irlandii i UK.

#MeToo stanowiło w tym roku gorący temat, a media prześcigały się w domysłach na temat tego, które znane głowy ze studiów filmowych jeszcze się potoczą, bo coraz więcej kobiet wysuwało swoje oskarżenia. Will był zdecydowanie na ich celowniku.

Wcześniej chciałem, żeby również Mary poinformowała media o nadużyciach Willa, których była ofiarą, ale stanowczo odmówiła. Chociaż nie zaprzeczyła rewelacjom na blogu Daisy, to ich nie potwierdziła. Obawiała się odwetu wobec ruchu #MeToo, a będąc jedną z niewielu kobiet producentek filmowych, czuła, że reperkusje mogą dotknąć również jej. Martwiła się też, że sama może znaleźć się pod lupą, ponieważ pracując u Willa, organizowała mu prywatne spotkania z młodymi aktorkami. Nie wiedziała, co się tam działo, ale gdy dziewczęta wychodziły z „przesłuchania” ze łzami w oczach, zawsze podejrzewała, że płaczą nie tylko dlatego, że nie dostały roli.

– Wiedziałaś, co się tam dzieje, i nie zrobiłaś nic, żeby to przerwać? – spytałem.

– Ty też nic nie zrobiłeś! Każdy wiedział. Posłuchaj, twój brat nie jest Harveyem Weinsteinem, ale wszyscy wrzucają molestowanie, gwałty i przemoc do tego samego worka z gównem, a ja nie chcę się w nim ubabrać. Ani jako pomocnica bydlaka, ani jako jego ofiara.

Całymi tygodniami się o to spieraliśmy. Wreszcie, przepelniony złością i frustracją, przestałem ukrywać przed Mary swoje picie, a ona wyrzuciła mnie z domu. Ziemia usunęła mi się spod nóg i zaliczyłem upadek.

Odmówiłem pójścia na spotkanie AA. Miałem zamiar wrócić do swojego pokoju i popracować nad mową. Mary spojrzała na mnie.

– Ale wiesz, że możesz nie wygrać?

– Oczywiście, że wiem – odparłem. – Ale mam potrzebę ją napisać. Może nie na gali, ale i tak gdzieś ją dzisiaj wygłoszę.

– Tylko błagam, nieważne, co się stanie, bądź życzliwy. Pamiętaj o Daisy. Ona nie zniesie kolejnego skandalu. I nie pij dzisiaj. Proszę cię. Ze względu na nią. – Dopiero teraz zobaczyłem malutkie dziecko siedzące w zgięciu mojego łokcia. Śmiało się z Mary.

– Daisy i tak ma przejebane. Dla niej jest już za późno. Nikt jej nie uratuje.

– Na miłość boską, weź się w garść! Nie rozumiesz, że dziś może być najlepszy wieczór w twoim życiu? Dlaczego nigdy nie możesz docenić tego, co dobre?

– Bo na to nie zasługuję – odparłem. A może powiedziało to moje dziecko? Nie wiem, które z nas się odezwało.

– Pierdol się, Luke! Stoisz przed szansą, za którą inni gotowi byliby zabić, a ty ją po prostu odrzucasz. Czy przez pięć minut możesz nie myśleć tylko o sobie? Zawsze byłeś taki samolubny, czy ta obsesja na własnym punkcie wynika z twojej choroby psychicznej? Zastanawiałam się na tym, ale wciąż nie wiem, jak to z tobą jest. Przez jakiś czas myślałam, że mnie kochasz, ale teraz wątpię, czy to kiedykolwiek była miłość. Po prostu mnie potrzebowałeś. Nie jest to najatrakcyjniejsza z twoich cech.

Nie odpowiedziałem, z obawy o to, co może się wydobyć z moich ust. Mary sięgnęła po teczkę. Tego dnia zostało jej jeszcze jedno spotkanie biznesowe, a potem miała zabrać Daisy do jakiegoś salonu.

– Idź już, proszę – powiedziała.

Ruszyłem w stronę drzwi, ale zatrzymałem się przy minibarku i wziąłem z niego buteleczki z wódką. Mary rzuciła się, żeby mi je wyrwać z ręki, ale trzymałem mocno i roześmiałem się jej w twarz. Dziecko biegało mi po ramionach i karku, rechocąc z uciechy.

Brian

Zastukałem lekko do drzwi pokoju.

– Daisy? Tu Brian. Mogę wejść? – Otworzyła mi w hotelowym szlafroku. Jej drobna sylwetka całkowicie w nim tonęła. Zmiana w jej wyglądzie była naprawdę dramatyczna. W osiem miesięcy z puszystej dziewczyny został szkielet. Przerazała mnie.

– Patrz, kupiłem twinkies, junior mints i Reese's kisses. W Irlandii ich nie dostaniesz. Chcesz spróbować? – Z entuzjazmem odgryzłem kęs ciasteczka twinkie na dowód, że jedzenie to czysta przyjemność.

– Nie jestem głodna, Brian.

– Na pewno jesteś, kochanie. Rano nic nie zjadłaś. Proszę, weź tylko gryza. Pomyśl, jaki będzie wstyd, jeśli zemdlejesz na czerwonym dywanie. Przecież tego nie chcesz, prawda?

– Nie zemdleję.

– Słoneczko, co mogę zrobić, żeby ci pomóc? Powiedz.

– Cofnij czas, żeby było tak jak dawniej.

– Kiedy?

– Kiedy? Wtedy, kiedy mama żyła, a ja myślałam, że ona i Will są moimi rodzicami, a ty moim wujkiem. Kiedy Will i mama byli razem. Kiedy miałam dziesięć lat.

– Chciałbym mieć taką moc. Naprawdę.

– Więc cofnij nas do wtedy, kiedy nie było takiego hejtu w internecie.

– Przecież cię błagałem, żebyś się trzymała z daleka od mediów społecznościowych. To czysta trucizna. Ale tamci ludzie cię nie znają. Nikt z nich nie wie, jaka jest prawdziwa Daisy. – Postanowiłem skierować rozmowę na inne tory. – A dzisiaj przejdiesz po czerwonym dywanie! Czy to nie fantastyczne? Jak ci wszyscy trolle to zobaczą, to im szczęki opadną. Sama się przekonasz.

– Dobrze wiem, co się stanie. Będą mówić, że jestem za szczupła. Że schudłam i się sprzedałam, że zdradziłam i zawiodłam wszystkich swoich fanów. Potem będą snuć domysły, że Luke jest moim ojcem albo że sypiam ze swoim wujkiem. A skończą na tym, że jestem żalosna, bo ubrałam się w starą suknię ślubną.

– Więc dlaczego chcesz tam iść? Wcale nie musisz.

– Bo raz w życiu chcę wyglądać ładnie. Nie zauważyłeś? Przecież ja tu pasuję. Prawie wszystkie kobiety mają tu jakieś zaburzenia związane z jedzeniem. Dwa lata temu pisałam o tym na blogu. Mogłabym zamieszkać w LA. Mój agent sądzi, że powinnam. Twierdzi, że mogłabym być twarzą kampanii Schudnij. Musiałabym tylko się uśmiechać i udawać szczęśliwą. Mogłabym to zagrać, to wcale nie takie trudne.

– Posłuchaj, co ty mówisz! Pomyśl o tych wszystkich plusach nadwagi, o których wtedy pisałaś, o tym, jakie możliwości ma twoje ciało i jak komfortowo się w nim czułaś. Byłaś wtedy zdrowsza i szczęśliwsza. Nie musiałaś nic udawać.

– Bo nie udawałam. Byłam znacznie szczęśliwsza, ale teraz wszystko się zmieniło. Ogromnie tęsknię za mamą. Żałuję, że napisałam na blogu te wszystkie rzeczy o naszej rodzinie. To moja wina, że wszystko się tak potoczyło.

Powiedziałem jej, że ją kocham i nic nie jest jej winą. Że możemy spróbować zacząć od nowa, że przy mnie może być sobą. Błagałem, żeby nie przeprowadzała się do Los Angeles, bo tu musiałaby żyć w niezdrowym otoczeniu, w którym presja na doskonały wygląd kobiet jest większa niż gdziekolwiek na świecie.

Objąłem jej kościste dłonie swoimi. Pozwoliła na to.

– Być może. Nie wiem, czego chcę. Może po prostu chcę być normalna.

Przytuliła mnie i oboje się rozplakaliśmy. Potem zjadła pół ciasteczka twinkie.

William

Powiedziałem wszystkim, że idę do WME na spotkanie w sprawie przyszłego projektu, ale zamiast tego postanowiłem odnaleźć dawną znajomą. Nazywała się Talaya Fuentes. Na początku tego dziesięciolecia spędziłem z nią wiele czasu. Była trochę po trzydziestce i – jak większość kobiet w LA – robiła, co mogła, żeby zostać aktorką i scenarzystką. Obsadziłem ją tylko w kilku mniejszych rolach, ale naprawdę ją lubiłem. Czułem, że nasza przyjaźń jest obopólna. Gdybyśmy spotkali się w innym czasie, w odmiennych okolicznościach, niewykluczone, że zacząłbym się z nią umawiać na poważnie i przedstawiać jako swoją dziewczynę. Jej scenariusze były niezłe, ale nie dość dobre, żeby się przebić przez gęste sito krytyki mojego zespołu rozwojowego. Mimo to specjalnie się dla niej starałem i wspominałem o niej, jeśli tylko był jakiś wakat. Od otrzymania diagnozy unikałem Los Angeles, ale teraz, skoro i tak tu byłem, miałem poczucie, że powinienem odwiedzić Talayę. Byłem na bieżąco z jej karierą,

bo śledziłem ją w internecie. Nakręciła kilka pilotów, poprowadziła jeden czy dwa sezony jakiegoś teleturnieju. Napisała też scenariusz do serialu animowanego, ale w zeszłym roku nie pracowała przy żadnej produkcji filmowej ani telewizyjnej. Obecnie, zgodnie z linkami na jej stronie, piekła personalizowane torty i ciasta w swoim domu w Santa Barbara.

Wziąłem samochód wypożyczony przez Geralda i pojechałem tam. Zastukałem do jej drzwi chwilę przed jedenastą rano. Otworzyła, zbita z tropu. Mimo że mój widok ją zaskoczył, poprawiła włosy i zdjęła kuchenny fartuch, spod którego ukazały się długie, opalone nogi w dzinsowych szortach. Wyszła na ganek.

– William Drumm! Dlaczego nie zadzwoniłeś? Przyjechałeś na Oscary? – Promieniowała energią i zdrowiem. Wyszczrzyła się do mnie w wybielanym hollywoodzkim uśmiechu. – Chyba nie przyszedłeś zaprosić mnie na galę, co? – Poprowadziła mnie do salonu przez kuchnię zastawioną tortownicami, blachami do ciast i wagami.

– Talayo, muszę cię o coś zapytać... właściwie muszę ci powiedzieć... Parę miesięcy po naszym ostatnim spotkaniu poczułem się... źle i... no, musiałem się przebadać...

– Ojej, złotko, masz HIV-a? Ja też. To ty mi go sprzedałeś? Powinam była cię zmusić, żebyś zakładał gumę. Mnie dopadł w dwa tysiące szesnastym. Bóg mi świadkiem, myślałam, że zdechnę. Ale te leki są fantastyczne, co nie?

– Zaraz, wcale nie sędzę, że to ja sprzedałem go tobie.

Rozłożyła ręce w powietrzu.

– Nie spotykaliśmy się na wyłączność, więc kto wie. Ale jak się masz? Leukocyty w normie? Macie tam u was w Irlandii leki antyretrowirusowe, tak? Bo wyglądasz dobrze!

– Tak. – Usiadłem, dygocąc. – Zanim się dowiedziałem, że to mam, zaraziłem żonę...

– Nie wiedziałam, że masz żonę.

– Bo nie miałem... byliśmy od dawna w separacji, ale od czasu do czasu zdarzało nam się... zgrzeszyć.

– Nigdy o niej nie wspominałeś. Ale ma się dobrze, tak?

– Nie... to znaczy zachorowała na raka, to był agresywny chłoniak, i wtedy się dowiedzieliśmy, że jest też seropozytywna. Było już za późno. Przysięgam, że po swojej diagnozie nawet się do niej nie zbliżyłem, więc musiałem zarazić ją wcześniej. To nie HIV ją zabił, ale...

– O, nie! Tak mi przykro, Will. Ale nie możesz winić za to siebie. Widzę, że bardzo ci na niej zależało?

– Owszem. Nie winię się za jej śmierć, ale ona była na mnie wściekła.

– Kto jeszcze o tym wie?

Zorientowałem się, że Talaya, w przeciwieństwie do mnie, nie jest na bieżąco z moim życiem.

– Wszyscy. A teraz te kurwy od #MeToo siedzą mi na ogonie. Jezu, może i złapałem za kilka tyłków, ale nie jestem potworem.

Talaya odstawiła dzbanek z kawą i powoli odwróciła się w moją stronę.

– „Te kurwy od #MeToo”? Sam siebie okłamujesz, Willu Drummie. Wobec mnie byłeś grzeczny, bo wiedziałeś, że nie pozwolę ci na żadne wyskoki, ale widziałam, jak traktujesz inne kobiety. Bardziej bezbronne i młodsze ode mnie. Te śliczne biedactwa, które przychodziły do ciebie w nadziei, że odmienisz ich życie. Jesteś drapieżką.

Jej ton się zmienił. Czy ona też zamierzała zwrócić się przeciwko mnie? Po tym wszystkim co dla niej zrobiłem?

– Co ty chrzaniasz? Jakoś nie zauważyłem, żebyś stanęła w obronie swoich skrzywdzonych „sióstr”.

– Wal się! Pilnowanie twoich lepkich łap i brudnego jęzora to nie jest mój obowiązek.

– A jednak się ze mną prowadziłaś, chodziłaś na kolacje, dobrze grałaś tę swoją rolę. – Mnie też było stać na sarkazm.

– Posłuchaj uważnie, Will. Jestem świadkiem. Widziałam, jak obmacujesz kobiety. Nasłuchałam się twoich wstrętnych komentarzy.

Widziałam też, jak przy okazji szturchacie się porozumiewawczo z kolesiami na wysokich stołkach, jak banda smarkaczy. Sądzisz, że skoro wpuściłam cię do łóżka, to jestem tylko jakąś głupią cipą? Robię, co mogę, żeby zarobić na życie, tak samo jak ty. A tak się złożyło, że przez jakiś czas byłeś dla mnie przydatny.

– Ale ja nie jestem gwałcicielem!

– Nie musisz. Wystarczy, że jesteś dupkiem.

– Dlaczego mi to robisz? Przecież nigdy nie wyrządziłem ci krzywdy. Nikogo nie zgwałciłem.

– Nie, ale uważasz, że jesteśmy od was gorsze. #MeToo? W dupie mam twoje świństwa. Dbam o siebie. Spokojnie, nie wydam cię. Mam w życiu lepsze rzeczy do roboty. Ale myślę, że to bardzo ciekawe, że czekałeś, ile... dwa lata? ...żeby mi powiedzieć, że masz HIV.

– Bardzo wątpię, czy byłem twoim jedynym kochankiem. Założę się, że ten tyłek zrobił niejedną rundkę po mieście.

Roześmiała mi się w twarz.

– Wynoś się z mojego domu, Will, i nigdy nie wracaj. A przy okazji... – Pokiwała małym palcem. – ...tym nigdy nie zaspokoisz kobiety.

Wyszedłem od tej suki. Nie wiedziałem, że taka z niej kurwa. Żadnej nie można ufać.

Brian

Zadzwoiłem do Willa z prośbą, żeby przyszedł do mnie zaraz po powrocie do hotelu. Pojawił się w mrocznym nastroju. Najwyraźniej jego spotkanie biznesowe nie poszło najlepiej. Za to dobrze wiedział, o czym chcę rozmawiać.

– Musimy coś zrobić z Lukiem – rzuciłem, chodząc po pokoju. – Nie dostanie tego Oscara, ale i tak nam zaszkodzi. Nie wiadomo, co nagada ludziom, a jest meganiestabilny. On znowu pije!

– Powiedz mi coś, czego nie wiem. To się zmieni w kolejny epizod, czy tylko ma doła?

– Gdyby to był zwykły dół, jego eks nie bawiłaby się w babysitterkę. Martwi mnie to. Jeśli wyda jakieś szalone oświadczenie, przez tydzień będą nas obsmarowywać w nagłówkach. Po raz pierwszy od śmierci mamy cieszę się, że jej tu nie ma. Wyobrażasz sobie, co on może publicznie naopowiadać na jej temat? – Jak zwykle wystarczyło wspomnieć o mamie, żeby Will zaczął uważnie słuchać.

– Co? Myślisz, że mógłby? O niej?

– Bardziej niepokoję się o Daisy. Jeśli Luke na czerwonym dywanie zrobi cokolwiek, żeby ją zdenerwować...

– Racja. A skoro Mary już nie ma nad nim kontroli, to ten obowiązek znów spada na nas – mruknął Will.

– Może moglibyśmy go zamknąć w jakimś zakładzie?

– Tutaj? Dzisiaj?

– Nie wiem. Daisy tak się ucieszyła na ten czerwony dywan. Nie chcę jej tego odbierać, ale ona nie zniesie kolejnego dramatu. Sama mi to powiedziała. Nie mogę jej stracić, ty chyba też nie.

– Chcesz powiedzieć: nie mogę znowu jej stracić? – Ten gniew Willowi nie przeszedł.

– Wszyscy byśmy na tym stracili. Jesteś gotowy na takie ryzyko? – Ja zdecydowanie nie byłem.

– Więc chodźmy się z nim skonfrontować – zarządził Will.

– Dobrze, tylko się na niego nie wkurzaj. Trzeba działać ostrożnie. Musimy go uspokoić. Albo znaleźć sposób, żeby go uciszyć. Wszystko jedno jaki, byle milczał.

William

Pojechaliśmy z Brianem do Luke'a na dziewiąte piętro. Już mieliśmy pukać, gdy drzwi się otworzyły i z pokoju wyszedł młody człowiek w bejsbolówce i skórzanej kurtce. Brian przytrzymał drzwi stopą i spytał chłopaka, kim jest, ale ten nacisnął tylko czapkę na oczy, przyśpieszył prawie do biegu i zniknął w drzwiach na końcu korytarza. Gdy weszliśmy do pokoju, Luke podniósł wzrok, ale nie przerwał tego, co robił. Przystawił

do nosa zwinięty w rulonik banknot dolarowy i po kolei wciągnął trzy grube kreski kokainy ze szklanego blatu kawowego stolika. Potem wziął łyk z na wpół opróżnionej butelki z napisem Stolichnaya.

– Mam wrażenie, że stoły w hotelach specjalnie mają szklane blaty – powiedział, wyskakując z fotela, i zaraz znalazł się przy minibarze. – Czym mogę szanownych panów poczęstować?

– Do kurwy nędzy, Luke! Co ty odpieprzasz? Czy ty jesteś stuknięty? – wrzasnął Brian. Niedawno sam mi mówił, że mam się nie wkurzać na Luke’a.

– Owszem, ale o tym chyba już wiecie.

Podczas gdy Brian kontynuował swoją tyradę, ja zacząłem rozglądać się po pokoju w poszukiwaniu marynarki, w której Luke pojawił się na śniadaniu. Leżała za nim, po drugiej stronie łóżka.

– Jeśli masz, poproszę o jacka danielsa – rzuciłem, stając przy łóżku. Brian zgromił mnie spojrzeniem. Luke wyciągnął do mnie zrolowany banknot. Pokręciłem głową. – Za stary jestem na to gównno. Ty również.

Brian wpatrywał się w Luke’a z rozpaczliwą irytacją.

– Nie puszczę z tobą Daisy na czerwony dywan. Tak się nawaliłeś koka, że nie kontaktujesz!

– I dobrze, bo ten cały czerwony dywan to jest ostatnia rzecz, której jej potrzeba – odparł Luke. – Daisy powinna wrócić do domu, pójść na studia, uciec jak najdalej od nas wszystkich i spróbować żyć normalnym życiem.

– Skąd ty możesz wiedzieć, czego jej trzeba, Luke!?! Nigdy nie byłeś ojcem – powiedziałem. Nie miałem najmniejszej ochoty wysłuchiwać mądrości na temat Daisy wygłaszanych przez mojego niezrównoważonego brata.

– Ty też nie – odciął się. – Żaden z was nie był dla niej dobrym ojcem, chociaż obaj, o ile się nie mylę, mieliście na to szansę, co nie? A ja mógłbym być dobrym ojcem, i mężem też, gdybyś nie zmusił mojej dziewczyny, żeby mnie porzuciła i usunęła ciążę.

Westchnąłem.

– Skąd to wiesz? Od Kate? Zrobiłem ci przysługę. Spójrz na siebie. Spierdoliłbyś życie nie tylko sobie, lecz także jej i dziecku.

Brian wytrzeszczył na mnie oczy.

– Boże, ty jesteś jeszcze gorszy, niż myślałem. Zmusiłeś ją do aborcji?!

– Otóż to – przytaknął Luke. – Zaszantażował ją. A ona na to poszła ze względu na mnie. – Wysypał na stół porcję kokainy i zaczął ją dzielić na kreski.

– Jesteś złamanym kutasem – rzucił Brian w moją stronę. – Biedna dziewczyna.

– A ty, Brian? – Luke przeniósł spojrzenie na niego. – Nigdy się nie dowiemy, prawda? Zabawiałeś się z tą uczennicą, czy nie...

– To wierutna bzdura! Wiesz, że nic tam się...

– Ale za to dobrze wiemy, jak dymałeś mnie. Wmanewrowałeś mnie w sprzedaż domu, jedynej rzeczy, którą posiadałem, dobrze wiedząc, że miałem wtedy najebane w głowie. Wiemy, że sprzedawałeś mnie brukowcom. Twoja tchórzliwa zazdrość była zawsze widoczna jak na dłoni. Sknerstwo również. Rolowałeś mnie na każdej umowie, którą mi załatwiłeś. I zdrajcą też jesteś. Spałeś z dziewczyną własnego brata, nie? Nie masz żadnego powodu, żeby być z siebie zadowolonym.

Luke miał rację, a przy tym – mimo że był nawalony jak meserszmit – zaskakująco sprawnie formułował myśli. Wziął kolejny łyk wódki z butelki, przystawił zrolowany banknot do nosa i pochylił się nad stołem.

– Susan należała do mnie, zanim Will ją poznał. I on dobrze to wiedział!

– Należała do ciebie? – powtórzył Luke. – Susan nie była rzeczą, tylko dorosłą kobietą. Sama wybrała Willa, ale ty nigdy się z tym nie pogodziłeś.

– Pierdol się! Obaj się pierdolcie! – wybuchnął Brian.

Zaczęli wydzierać się na siebie jak dwa uczniaki, a ja przypomniałem sobie o notatkach. Sięgnąłem do tyłu, do wewnętrznej kieszeni drogiej lnianej marynarki Luke'a, wyjąłem z niej dwie kartki i zacząłem oglądać ze wszystkich stron. Papier był wypełniony dziecinnymi szlaczkami

i obrazkami przypominającymi hieroglify. Nic nie można było z tego odczytać.

– Moja mowa oscarowa. Opowiem wszystkim o naszej kochającej rodzinie. – Luke powiedział to dziecięcym głosem.

Przyłożył rękę do gardła, a potem zaczął śledzić wzrokiem punkt na swoim ciele, który przemieszczał się jak niewidzialny pająk od jego ramienia do dłoni. Nagle odwrócił wzrok, przeskoczył przez sofę, znalazł się przy szklanych drzwiach, otworzył je na oścież i wyszedł na balkon z widokiem na wzgórze Hollywood.

– Proszę cię! – zaskamlał. – Błagam, zostaw mnie w spokoju!

Napotkałem spojrzenie Briana. Wyszliśmy za Lukiem na balkon, w kalifornijskie słońce. Nasz najmłodszy brat miał kolejny epizod.

– Z kim rozmawiasz? – spytałem go. Wyglądał tak, jakby w jego głowie właśnie eksplodowały fajerwerki.

– Luke, musisz się uspokoić. Nie możesz w tym stanie iść na galę. Gdzie masz telefon? Zadzwonimy do twojego terapeuty.

Brian automatycznie wszedł w rolę niańki, do której dawno przywykł. Luke nie odpowiedział, tylko mamrotał coś niezrozumiale do wnętrza swojej dłoni.

– Myślę, że dla nas wszystkich będzie lepiej, jeśli nie pójdzie na ceremonię – powiedziałem.

Brian patrzył to na mnie, to na niego.

Luke zaczął histerycznie zawodzić, mamrocząc do swojego niewidzialnego dręczyciela:

– Nie! Nie zgadzam się, nie możesz jej tego zrobić. Nie jej!

– Trzeba go zamknąć w zakładzie. Natychmiast – oświadczyłem.

Luke przykucnął w narożniku balkonu, machając lewą ręką, jakby oganiał się od muchy albo próbował strząsnąć wodę z dłoni.

– Co? – mruknął Brian. – Co się dzieje? Co jest, Luke? Wróć do pokoju!

Luke znowu utkwiał wzrok we wnętrzu swojej dłoni.

– Ono ma twarz Daisy. Już ją dopadło!

Napompowany kokainową energią cofnął się, odbił i usiadł na balustradzie, jednocześnie wyrzucając ręce na zewnątrz, jakby chciał strząsnąć pająka, którego nikt poza nim nie widział.

– Luke! Co ty wyprawiasz? Kto dopadł Daisy? – zacząłem dopytywać, ale nie słyszał, wytrzeszczył tylko oczy w dzikiej determinacji.

Potem stanął na balustradzie. Była szeroka prawie na pół metra, za nią ziało kilkadziesiąt metrów pustki, a w dole czekał twardy beton wokół basenu.

– Daisy. Jest w niebezpieczeństwie. Teraz wiem to na pewno.

Spojrzeliliśmy po sobie z Brianem. Nie śmieliśmy przyjąć do wiadomości tej myśli, która bez wątpienia przebiegła nam obu przez głowę. Rozwiązanie było takie proste.

– Są z Mary w salonie piękności. Nic jej nie grozi – zapewniłem.

– Nic nie rozumiesz. Nigdy tego nie zrozumiesz.

Brian spojrzał na mnie i pokręcił głową. Jedną rękę wyciągnął do Luke'a, a drugą wezwał mnie nagłym gestem. Z ociąganiem zrobiłem to samo.

– Chwyć nas za ręce, Luke. Zejdź na dół, wróćmy do środka.

Przez chwilę wszyscy trzej wymienialiśmy się spojrzeniami. Mieliśmy świadomość, że to, co się stanie, jest nieuniknione. Wtedy dotarło do nas, że zawsze to wiedzieliśmy, ale ta chwila minęła i Luke, nie ufając żadnemu z nas, jednak wyciągnął do nas ręce. Gdy nasze dłonie się zetknęły, Brian spojrzał na mnie i pociągnął Luke'a, wytrącając go z równowagi. Lecąc na plecy, Luke próbował jeszcze złapać mnie za rękę, ale schowałem ją do kieszeni. Brian i ja do końca życia o tym nie rozmawialiśmy.

Podeszliśmy do balustrady, ale on leżał już płasko na betonowym patio. Połamany, w nieprawdopodobnej pozie. We wzroku Briana dostrzegłem odbicie własnego spojrzenia, a tam mieszaninę przerażenia z podnieceniem. Gdy personel hotelowy zaczął się dobijać do drzwi pokoju, staliśmy w objęciach, zalani łzami, powtarzając sobie nawzajem, że już

dobrze, wszystko dobrze, tak będzie najlepiej, Luke wreszcie odnalazł
spokój.

Kwiecień 2019

Daisy

Dzisiaj Will i Brian zabierają mnie na obiad z okazji urodzin. Przestali się kłócić o śmierć mojej mamy i o to, który z nich jest moim prawdziwym ojcem. Wygląda na to, że teraz są przyjaciółmi. Albo starają się stwarzać takie pozory. Pożegnali się z przemysłem filmowym i zaczęli pracować w branży budowlanej. Mówią, że każdy z nich jest dla mnie i ojcem, i wujkiem jednocześnie.

Bardzo, bardzo brakuje mi mamy. Była jedyną stabilną osobą w moim życiu. Chciałabym móc odszczekać wszystkie te wstrętne rzeczy, które jej mówiłam. Od zawsze wiedziałam, że tata ją zdradza, ale myślałam, że ona jest jak skała. Nie potrafiłam jej wybaczyć, a potem już było za późno. Wydaje mi się, że umarła, nienawidząc mnie i w ogóle nas wszystkich, ale nie mogę mieć jej tego za złe.

Po śmierci Luke'a znaleźliśmy się w kręgu zainteresowania mediów. Gala oscarowa się odbyła, ale wszystkim gwiazdom na czerwonym dywanie rozdano czarne opaski na ramię, znalezione naprędce w jakimś magazynie rekwizytów, a całe plejady gwiazd, które nigdy osobiście nie poznały mojego wujka, udzieliły dziesiątek wywiadów na jego temat i o tym, jak je zszokowała wiadomość o jego odejściu. Przez wzgląd na niego tego wieczoru na gali nie ogłoszono wyniku w jego kategorii. Potem się okazało, że jednak Oscara nie dostał. Ale po jego śmierci film zarobił siedemset milionów dolarów w samych kinach, stając się jednym z dziesięciu najbardziej dochodowych obrazów wszech czasów. Luke i tak nie umiałby się cieszyć z tego sukcesu. W śledztwie ustalono, że popełnił samobójstwo pod wpływem narkotyków i alkoholu. Stał się legendą, sławną jak Marilyn Monroe albo Kurt Cobain. Nastolatki jeżdżą na pielgrzymki do Glendalough, ale nie do klasztoru założonego w szóstym

wieku przez Świętego Kewina, tylko do miejsca, w którym bracia rozsypali prochy Luke'a.

Po jego samobójstwie pojechaliśmy z Brianem i Willem na miesiąc do wynajętej willi na południu Francji. Ustaliliśmy, że nie będziemy odpowiadać na maile ani telefony od dziennikarzy. Zlikwidowaliśmy nawet swoje profile w mediach społecznościowych. Po powrocie do Irlandii odcięliśmy się od świata, żądając, żeby uszanowano naszą prywatność. To mi się podoba. Zarówno mojemu ojcu, jak i wujkowi udało się zostawić przeszłość za sobą. Ja żyję w nieustającej pętli smutku, poczucia winy i przerażenia. Nie umiem z niej uciec.

Gdy Brian był menedżerem Luke'a, zmusił go do spisania testamentu. Ponieważ Luke nie miał dzieci, cały majątek zostawił mnie. Nie wiem dlaczego, ale zgaduję, że Brian go namówił. Nigdy nie byliśmy z Lukiem szczególnie blisko. Irytowałam go. Może dlatego, że chciał, żebym była niezależna finansowo i żebym mogła przeżyć, nawet gdy nie będę sławna. Ale kiedy mama umarła, odziedziczyłam po niej dom i cały majątek, więc i tak nie musiałam pracować, żeby się utrzymać.

Nie mam teraz agenta. Nie korzystam z mediów społecznościowych ani nie piszę bloga. Rzadko wychodzę z domu, chyba że po zakupy, a i to, jeśli trzeba, mogę zamówić przez internet. Jedzenie już zawsze będzie dla mnie problemem, ale przynajmniej mam kogoś, kto mówi mi, co mam robić. To taki dziecięcy głosik w mojej głowie. Wyobrażam sobie, że wygląda jak mała laleczka, którą miałam w dzieciństwie. Tylko ja ją słyszę. Czasami każe mi jeść. A innym razem – głodować. Słucham jej, bo chyba nikomu innemu nie mogę zaufać.

Ubrałam się ładnie na obiad z Willem i Brianem. Postanowiłam założyć tę suknię, którą przerabiałam specjalnie na zeszłoroczne Oscary. To ich wkurzy. Nadal jestem bardzo szczupła, nawet szczuplejsza niż wtedy, więc znowu musiałam ją przerabiać. Jestem na nich zła. Chcę, żeby ich wszystkich w końcu spotkała kara. Moja mała przyjaciółka też tego pragnie.

Spoglądam przez okno w moim pokoju. Wsiadają razem z samochodu Briana. Obaj niosą prezenty. Ten w rękach Willa jest dwa razy większy od tego, który trzyma Brian. Widzę, jak wzajemnie na nie łypią. Brian zapakował swój w błękitną torebkę z logo Tiffany'ego, a Will się boi, że prezent od jego brata przyćmi ten od niego.

Poczucia winy, moi panowie, nie da się zasypać pieniędzmi. A ja zrobię wszystko, żebyście cierpieli. Pójdziemy do tej waszej superekskluzywnej restauracji, zamówię najdroższe danie z karty, pozwolę wam się pławić w samozadowoleniu, a potem będę patrzeć, jak wam rzedną miny, gdy zrozumiecie, że nie tknę ani kęsa. To będzie miły wieczór dla mnie i mojej małej przyjaciółki.

Podziękowania

Mojej rodzinie, ośmiorgu rodzeństwa, teściom i nie-teściom, którzy są dla mnie źródłem nieustającego wsparcia i inspiracji (choć to nie na nich wzorowałam bohaterów tej książki). Szczególnie dziękuję Mamie i Tacie. Jestem szczęściarą, że was mam.

Większości moich najbliższych przyjaciół, z którymi znam się jeszcze z czasów, gdy mnie nie publikowano. Potem, na festiwalach i innych wydarzeniach literackich, poznałam bardzo wielu nowych przyjaciół. Zawsze czekam na was z herbatą.

Znajomym z mediów społecznościowych, którzy przynoszą mi radość i dzielą się ciekawymi historiami, dziękuję za waszą życzliwość i za to, że tam jesteście, nawet o czwartej nad ranem.

Na gruncie zawodowym: po pierwsze i zawsze, mojej agentce Marianne Gunn O'Connor, która sprowadziła mnie znad wielu przepaści i ocaliła przed niejedną otchłanią, jest niezawodną przyjaciółką i fanką, której wytrwałość i lojalność są godne odnotowania w tej kapryśnej branży. Pat Lynch, która zręcznie wspiera Marianne w każdym jej działaniu, i Vicki Satlow, która prowadzi interesy w Europie i kupuje mi szampana w Paryżu.

Mojej cieplej i mądrej redaktorce Patricii Deevy. Dzięki twojej wnikliwości i mądrym radom moje książki są coraz lepsze. Dziękuję Ci. Dziękuję również koleżance redakcyjnej Patricii Orli King za jej pomoc.

Clonie Lewis z Penguin Ireland za świetną robotę, bez której nie dowiedzielibyście się o tej książce. Brianowi Walkerowi i Carrie Anderson, którzy dbają o to, by znalazła się we wszystkich najlepszych księgarniach. Michaelowi McLoughlinowi za to, że łagodnie i uprzejmie nakręca nas wszystkich do działania.

Joannie Prior z Penguin General UK, która od mojej pierwszej książki zagrzewała mnie do pracy niczym cheerleaderka. Katy Loftus, Ellie Smith,

Annie Underwood, Sam Fanaken i jej zespołowi sprzedaży, Amelii Fairney, Annie Ridley i Georgii Taylor z redakcji, komunikacji, produkcji i marketingu za wasze wsparcie.

Nie zapominam o Karen Whitlock, mojej redaktorce o przeszywającym spojrzeniu, i korektorkach Sarah Coward i Elisabeth Merriman, dzięki których knowaniom wychodzę na autorkę czytaną i świadomą chronologii zdarzeń. Od samego początku mogłam liczyć na pomoc zespołu Dead Good, dziękuję więc Rhi Griffiths, Sophie Tudor i Lizzie Marshall.

Ekspertom i specjalistom, na których wiedzy opierałam się, budując tło tej opowieści: Sue Leonard – świetnej znawczynie tajników ghostwritingu, Lucy Nugent – dyrektor generalnej szpitala Tallaght University Hospital, konsultantce hematologicznej Helen Enright za fachowe porady na tematy medyczne. Rebecce O’Flanagan, która od podszewki zna irlandzki przemysł filmowy. Lucasowi Webbowi, który wie, co i jak dzieje się na festiwalu w Cannes. Tarze Flynn i Sinead Crowley – moim ekspertkom od Oscarów. Jeanowi-Renému Fouquerne, który opowiedział mi ze szczegółami, jak to jest być paryskim nauczycielem. Conorowi Horganowi i Michaelowi Gallenowi za wiedzę o paryskich dzielnicach i architekturze. Cathy Belton za wgląd w tajniki aktorstwa. Clare O’Dea, która wiedziała, gdzie gwiazda rocka może zagrać koncerty w Szwajcarii. Peterowi Nugentowi za porady prawne. Fionie O’Doherty, świetnej znawczynie psychologii i psychiatrii. Dziękuję też Philipowi Nolanowi o sokolim wzroku za to, że zauważył głupi błąd, który umknął wszystkim innym. (Wiszę ci browara, Philipie).

Wszelkie pomyłki i błędy rzeczowe są wyłącznie moją winą, moi konsultanci i źródła nie mają z nimi nic wspólnego.

Jestem również wdzięczna Norze Hickey i wszystkim pracownikom Centre Culturel Irlandais w Paryżu, gdzie w kwietniu 2019 roku prowadziłam wykłady, oraz pracownikom Tyrone Guthrie Center, którzy nie zgłaszają sprzeciwu, gdy jak zły szeląg pojawia się u nich regularnie, by, rozkoszując się jeziorem i jedzeniem, czerpać inspirację od ducha

panny Worby, a także Paulowi Maddernowi z River Mill Readers' and Writers' Retreat za ogromne porcje w ich stołówce.

Podziękowania zechcą przyjąć wszystkie osoby z branży wydawniczej, które zachęcały mnie do działania: Jane Casey, Sinead Crowley, Marian Keyes, Kate Beaufoy, Rick O'Shea i jego niesamowity klub książki, Liz Lyons, Val McDermid, Yrsa Sigurdardóttir, Lilja Sigurdardóttir, Alexandra Sokoloff, Ed James, Sophie Hannah, Carmel Harrington, Catherine Ryan Howard, Ian Rankin, Lisa Jewell, Shari Lapena, Susi Holliday, Philip St John, Cathy Brown, Frank McGuinness, Denise Mina, Tammy Cohen, Sarah Pinborough, Dinah Jeffries, Erin Kelly, Ryan Tubridy, Will Dean, Marta Starosta, Dara O'Briain, Iain Reid, Sinead Moriarty, Claudia Carroll, Monica McInerney, Vanessa Fox O'Loughlin, Vanessa Ronan, Bert Wright, Jane Harper, Sinead Gleeson, Liam McIlvanney, Vanda Symon, Fiona Sussman, Zoe Beesley, Tess McDougall, Craig Sisterson, Dame Fiona Kidman, Jackie Lynam, Alison Lyons, Amy Ridout, Dani Gill, Alex Barclay, Bob Johnston, Maria Dickenson, Sam Eades, Louisa Cameron, Jacques Filippi, Colette McBeth, Sarah Hilary, Mark Edwards, Margaret Madden, Liz Barnsley, Anne Cater, Philip Nolan, Damien O'Meara, Tara Sparling, Zoe Comyns, Claire Hennessy, Breda Browne, Sophie Grenham, Craig Robertson, David McRedmond, Donal and Anne Marie Ryan, Sebastian Barry, Erin Mitchell, Judith Mok, Michael O'Loughlin, William Ryan, Louise Kennedy, Fionnuala Kearney, Paul Maddern, Ruth Ware, Ferdia Mac Anna, Anne Clark, A.J. Finn, Ger Holland, Nadine O'Regan, Maura Fay, Declan Hughes, Catherine Moylan, Declan Burke, Cormac Kinsella, Tracy Fenton, John O'Donnell, Deirdre Kinahan, Myles Dungan, P.J. Lynch, Eoin Colfer, Hilary White, Caroline Grace-Cassidy, Bill Whelan, Mary Dorcey, Cliodhna Ni Anluain, Evelyn O'Rourke, Rosemary Graham, Keelin Shanley, Sam Baker, Sonja Hall Tiernan, Sarah Moore Fitzgerald, Martin Doyle, Cat Hogan, Morag Prunty, Andrea Carter, Valur Gunnarsson, Sigurjón Sigurgeirsson, Sinead McDonnell, Sheila Killian, Paul McVeigh, Maire Logue, David Torrans, Kit de Waal, Pauline Clooney, Nicole Shanahan, Maire Hanrahan, Declan Meade, Liz Walsh, Dave Rudden, Sarah Davis-Goff, Sophie Goodfellow, Judith Gantley, Katherine Garnier,

Alan Douglas, Ciaran Walsh, Alison McKenna, Amanda Fennelly, Sabine Durrant, Sinead Nic Aodha, Ger Gaughran, Martina Devlin, Peter Ryan NZ, Kate Moloney, Eilis Ni Dhuibhne, Catherine Dunne, Lia Mills, Francis O'Hara, Tony Baines, Eimear O'Herlihy, Anna Fox, Valerie Bistany, Sean Rocks, Anna Carey, wszyscy coachsurferzy oraz, nie mniej ważne, wszystkie osoby, od których spodziewam się ostrych maili z reprimendą, że o nich zapomniałam. Wybaczcie, ale mózg mi się już lasuje.

Bibliotekarzom, pisarzom, blogerom książkowym, księgarzom, osobom układającym programy festiwali literackich, kuratorom i moderatorom, ankieterom i rozmówcom, a także Wam – drodzy Czytelnicy – za to, że wprawiacie mój świat w ruch. To dzięki Wam wszystko jest warte zachodu. Dziękuję z głębi serca.

Przypisy

- [1] Przyszedł twój brat (fr.) – przyp. tłum.
- [2] Irlandzka organizacja zarządzająca prawami do utworów muzycznych, odpowiednik polskiego ZAIKS-u – przyp. tłum.
- [3] Za Paula. Naprawdę mi przykro (fr.) – przyp. tłum.
- [4] i to szybko (fr.) – przyp. tłum.
- [5] panie dyrektorze (fr.) – przyp. tłum.
- [6] panią wicedyrektorką (fr.) – przyp. tłum.
- [7] Wręcz przeciwnie (fr.) – przyp. tłum.
- [8] Kochamy Daisy! (ang.) – przyp. tłum.
- [9] Funkcja odpowiadająca premierowi (irl.) – przyp. tłum.
- [10] Kobieta i matka dwóch aniołów (fr.) – przyp. tłum.

Spis treści

Dedykacja

Motto

Wstęp

CZĘŚĆ PIERWSZA. BRACIA

WILLIAM

1. 1994

2. 1985

3. 1992

4. 1978

5. 1999

6. 1983

7. 1998

8. 1981

9. 2006

10. 1984

11. 2001

12. 2004

13. 2016

LUKE

14. 1977

15. 1989

16. 1984

17. 1995

18. 1988

19. 1983

20. 1997

21. 1978

22. 1994

23. 1979

24. 2010

25. 2003

26. 2000

27. 2016

BRIAN

28. 1978

29. 1993

30. 1979

31. 1976

32. 1989

33. 1995

34. 2005

35. 2011

36. 2008

37. 2015

CZEŚĆ DRUGA. OBCY

38. 2017

39. 2017

40. Styczeń 2018

41. Marzec 2018

Kwiecień 2019. DAISY

Podziękowania

Przypisy

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
Our Little Cruelties

Opracowanie graficzne okładki
Karolina Żelazińska

Zdjęcia na okładce
Stephen Mulcahey / Trevillon Books

Redaktor prowadząca
Dorota Jabłońska

Redakcja
Aleksandra Kubis


Korekta
Natalia Galuchowska
Jadwiga Przeczek

Copyright © 2020 by Liz Nugent
Copyright © for the Polish translation by Mateusz Rulski-Bożek, 2022
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2022

ISBN 978-83-8032-784-9



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź
nas na 

Konwersja: [eLitera s.c.](#)